

# KRAKÓW

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 12-01 (204-205) Grudzień 2021–Styczeń 2022

## 55 lat Teatru STU: nasze emocje i wdzięczność

Jan-Krzysztof Duda, arcymistrz szachów

Lektury na święta i nowy rok:

Głowiński, Polewka, Komar,

Paczkowski, Grodziska,

Stabro, Brzeziecki



9 771733 045101 1 1

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Czy człowiek pytający  
o sens swojego istnienia ma szanse  
na znalezienie odpowiedzi?





Stworzenie Adama i Ewy, fresk (1280), klasztor w Innichen w Tyrolu Południowym (fot. Wolfgang Sauber, Wikimedia Commons)

Czy da się pogodzić naukę z religią? Czy w dobie współczesnych zdobyczy nauki – z teorią powstania wszechświata, fizyką kwantową i inżynierią genetyczną na czele – pytanie o istnienie Boga ma jeszcze jakikolwiek sens? I wreszcie kim lub czym ów Bóg mógłby być, skoro wierzymy w Jego wszechmoc, obserwując jednocześnie i doświadczając wszelkiego zła tego świata?

To tylko część pytań, które w swej najnowszej książce *Nadzieja na sensowność świata* stawia Jerzy Surdykowski – dziennikarz, publicysta, pisarz. Ale przecież są to też pytania, na które szuka odpowiedzi każdy, kto nie podchodzi do kwestii wiary i religii bezrefleksyjnie, i to niezależnie od wyznania. Książka, której fragmenty przedstawiamy na pierwszych stronach tego świąteczno-noworocznego wydania „Krakowa”, ukazała się właśnie nakładem Copernicus Center Press.

# Nadzieja na sensowność świata

Tekst: Jerzy Surdykowski

**W sferze naszego poznania obecność tajemnicy jest w miarę postępów nauki coraz bardziej oczywista. Nic dziwnego, że usiłujemy jakoś sobie z nią poradzić, podobnie jak mieszkańcy platońskiej „jaskini filozofów”, skoro pojęli, że nie są w stanie zerwać krępujących ich więzów.**

Nieraz idziemy drogą wytyczoną przez samego wielkiego Newtona, który wprowadził swą teorię grawitacji zbudował podstawy nowoczesnej kosmologii, ale też uznał, że bez stałej interwencji boskiej kosmos nie może funkcjonować.

Znakomity uczonek, jeden z kilku najwspanialszych umysłów, jakie wydała ludzkość, jeszcze w XVII wieku, nim rozblęskło Oświecenie, nie tylko sformułował prawo ciężenia, ale też dał początek rachunkowi różniczkowemu, którym stoi cała nowoczesna matematyka. Nie stronił od społecznych zaangażowań, nadzorował mennicę królewską, przewodniczył Royal Society, najznamienitszemu towarzystwu naukowemu tamtych czasów, był członkiem parlamentu, choć kroniki odnotowały tylko jedno jego odezwanie się: w sprawie otwarcia okna. Trudno jednak o lepszego patrona dzisiejszego racjonalizmu niż człowiek, który ujął w liczby i w proste, zrozumiałe prawa to, co dotąd było ostoją sił niepojętych, a więc bez wątpienia nadprzyrodzonych. Powstał nawet po jego śmierci utopijny projekt świeckiej religii z nim jako bożkiem i Radą Newtona złożoną z najprzedniejszych mędrców, stojącą na czele takiej społeczności. Ale ten sam gigant z pomników nie radził sobie z wyjaśnieniem, w jaki sposób krążące po orbitach ciała niebieskie nie pospadają jedno na drugie pod wpływem siły grawitacji. Jak Układ Słoneczny zachowuje stabilność mimo odwiedzających go komet? Wzorem średniowiecznych mistyków dopuszczał interwencję aniołów korygujących orbity planet. Trudno o lepszy dowód stałej obecności i zbawczej pracy Stwórcy podtrzymującego świat w każdym momencie istnienia. „To jest bezustanny cud” – głosił. Obszerna biblioteka Newtona składała się tylko w niespełną połowę z dzieł, które moglibyśmy określić jako naukowe; jej większość to religia, alchemia, magia i astrologia. Ten sam umysł, który przewidywał atomową budowę materii i nawet korpuskularną strukturę światła, uważał, że skrupulatnie analizując Pismo Święte, można przewidzieć datę końca świata. „Jestem przekonany, że Biblia jest Słowem Bożym, napisanym przez tych, których On inspirował. Studiuję ją codziennie” – pisał. Dopiero ponad sto lat później Laplace skorygował pobożną mechanikę Newtona, udowadniając stabilność układu krążących wokół Słońca planet; trudno więc dziwić się zadufaniu oświeceniowego mędrca, który uwierzył, że mechanika wyjaśni wszystko, przewidzi przyszłość i zredukuje obecność zaświatów do pomijalności.

Bóg Newtona nie tylko stworzył świat i wszystkie w nim istoty, jak powiada Księga Rodzaju. Taki Bóg bezustannie trzyma się i oliwi rozpędzone mechanizmy, by utrzymać swe dzieło w jakimś takim porządku. Trudno o lepszy przykład tego, co później nazwano „fizykoteologią” albo bardziej złośliwie „zapychaniem

dziur Bogiem”. Jeśli czegoś nie wiemy i nie pojmujemy, to na pewno tkwi tam ślad interwencji z zaświatów. Patron racjonalizmu – w swoim pojęciu „naukowo” – uzasadnił istnienie dobrego Bożi od ochrony działwy na chybliwych kładkach, uzdrawiania chorych i zsyłania karzących ludzkie grzechy klęsk. Takiego Boga trzeba się bać, należy bezustannie się Doń modlić i zabiegać o życzliwą przychyłność, bo w przeciwnym wypadku tęgo można oberwać już za życia, nie wspominając o pośmiertnym piekle. Tak mniej więcej wyobraża sobie Boga większość osób uważających się za religijne, choć Go akurat w ten sposób nie nazywa, albo – jeszcze częściej – posiłkuje się pośrednictwem długiego szeregu świętych patronów, z których zresztą zwykle najważniejszy jest dla nich Święty Spokój.

Rzecz jasna w miarę postępów nauki Newtonowska fizykoteologia ulega stopniowej kompromitacji, od której ucieczką jest tylko krótka pamięć, tak jak zapomnieliśmy o aniołach na orbitach planet czy poznaliśmy mechanizmy, które pozornie bezmyślnie ewolucji pozwalają wybrać rozwiązania bardziej celowe. Jednakże pojawienie się coraz rozleglejszych obszarów nieznanego tworzy dogodne miejsce dla jej nowych szanów. Ogrom niepoznawalnego jest dowodem, że istnieją sprawy i obszary, które nas absolutnie przewyższają i przy których nasza dzisiejsza matematyka jest tylko zabawą przedszkolaków. Czyż myśląc o kosmicznej Tajemnicy, nie czujemy czasem mrozu na grzbiecie i pokusy, by zawołać, że oto złąpaliśmy Pana Boga za nogi?

Zapobiegliwy i pracowity, ale jednocześnie dociekliwy – a kiedy trzeba, to nawet mściwy wobec grzeszników – Pan Bóg z koncepcji Newtona całkiem dobrze czuje się bowiem w dzisiejszym świecie nieogarnionego i niepoznawalnego kosmosu, a z drugiej strony opierających się poznaniu kwantów. Wprawdzie już święty Jan Paweł II powiedział kiedyś trafnie, że Bóg to nie starzec z brodą, ale w świadomości większości wierzących – nie tylko chrześcijan – zagnieżdżyło się swoiste dwójmyślenie: z jednej strony akceptujemy to, co przynosi nauka, choć zwykle nie potrafimy jej zrozumieć, lecz z drugiej ów Bóg „z wyżyn nieba spoglądający na ziemię” z cytowanego już psalmu wcale nam nie przeszkadza. Modlimy się do Niego, prosimy o pomoc w załatwianiu codziennych spraw, wierzymy, że uchroni nas od nieszczęścia. A jeśli nie On sam, to wstawi się za nami któryś z rozrastającego się grona świętych z Niepokalaną Dziewicą na czele. Wciąż żyją ludzie, którzy podczas burzy zapalają gromniczne świece, nie pamiętając, że już kilka wieków temu rozumiano, iż pioruny nie biorą się z woli Boskiej, tylko z praw fizyki. Podobnie ortodoksyjni Żydzi wierzą we wstawienictwo i pomoc starotestamentowych patriarchów albo osiemnastowiecznych

cadyków. Hinduiści modlą się o wsparcie całego areopagu bogów i pomniejszych bożków, zaś azjatyccy buddyści o Boga w ogóle wolą się nie wypowiadać, ale w swoich świątyniach składają ofiary przeróżnym świątkom i duchom, zwykle zaczerpniętym z hinduizmu albo z lokalnych legend; ich, a nie Mistrza Buddę, proszą o pomoc, opiekę i pośrednictwo.

Najważniejszą zaletą kosmosu Newtona jest łańcuch, bo nie stawia on wyzwania przed naszą wyobraźnią. Funkcjonuje jak ogromny mechanizm: każda przyczyna ma swój skutek, koła zębate zawsze zagłębiają się we właściwe tryby, a jak coś w nim zazgrzyta, to zaraz pojawiają się niezawodni aniołowie jako nadprzyrodzona brygada awaryjna. Nie ma w nim kwantów, czarnych dziur i zakrzywionej czasoprzestrzeni, nikt sobie nie zawraca głowy prawdopodobieństwem. Jest to świat przyjazny zarówno katechizmowi wbiżanemu do głów działwie na lekcjach religii, jak i naszej potocznej wyobraźni. Nie naraża jej na szwank, nie zmusza do wychodzenia ponad utarte od wieków schematy. Jest to świat pogodnego wiejskiego proboszcza albo dobrodusznego pastora.

Obowiązujący w katechizmach i popularnych układniach wiary, uświęcony urzędowymi dogmatami język dzisiejszej religii jest bowiem mową nawet nie przedoświeceniową, ale przedkopernikańską; ba, wręcz folwarczną. Na samej górze stoi bacznie doglądający swego gospodarstwa Pan, któremu podlegają pomniejsi ekonomowie. Jeszcze niżej rzesza parobków i dziewczek służebnych mających pracować sumiennie, wiele dla siebie nie żądać i jeszcze mniej pytać. Podobnie jak w porządnym folwarku jest też karczer w postaci piekła. Takiego Boga wciąż wyznaje większość z nas, choć gdyby ich o to spytać, zgodzą się, że Ziemia krąży dookoła Słońca, człowiek wylądował na Księżycu, a absolutystyczne królestwa – z wszechmocnym władcą surowo osądającym poddanych – szczęśliwie odeszły w zapomnianą przeszłość. Czy to wina wiernych, ich poczciwej głupoty? Raczej dziełtwa historii, bo taki przez wieki był język i zasób pojęć: patriarchalny i folwarczny. Innego nie mieliśmy. Ale dzisiaj, w innym świecie, posługującym się innymi pojęciami, jest to wina religijnej hierarchii, i to tym większa wina, im bardziej jest ona scentralizowana i umocniona w instytucjach, a więc w katolicyzmie największa. Tu na pewno znajduje się istotna część odpowiedzi na zarzut rabina Heschela – a mówił on przecież nie tylko o judaizmie – że „religia stała się po prostu zwietrzała, nieistotna, przygniatająca lub mdła, tak że ludzie nie żałują nawet utraty wiary”. Albo na pesymizm kardynała Martiniego z jego przedśmiertnej wypowiedzi o pustych kościołach, ale rozrastającej się biurokracji i pompatycznej, choć daremnej celebrze. Tak, kardynał ma rację: Kościół jest w tyle o dużo więcej niż 200 lat!

Nie ma się więc co dziwić słynnemu stwierdzeniu żyjącego pod koniec XIX stulecia niemieckiego filozofa Fryderyka Nietzschego: „Bóg umarł”. Przecież po grzebała Go nauka. Podchwytuje to po z górą stulecie w cytowanym przedtem fragmencie Richard Dawkins. „Bóg faktycznie umarł, tylko trochę musi potrwać uprzątnięcie zwłok” – dokłada autor światowych bestsellerów Yuval Harari. Trudno o bardziej zwięzły manifest ateizmu. Można się nawet z nim zgodzić, bo bez wątpienia umarł Bóg Newtona. A raczej

jego staroświeckie wyobrażenie, jakie ukształtowali w swoich umysłach równie przerażeni niszczycielskimi siłami przyrody, co bezlitosną potęgą swoich władców ludzie starożytności i średniowiecza.

Mądry Czech, ksiądz profesor Tomáš Halík, jeden z największych umysłów dzisiejszego Kościoła katolickiego, słusznie pisze, że kiedy spotyka ateistę, zapytuje go: „A w jakiego Boga ty nie wierzysz? Bo może wspólnie dzielimy tę samą niewiarę?”. Trudno dziś być w zgodzie z tym, co człowiek wie o przyrodzie

## Nie mówmy już tyle o Kościele – mówmy i myślimy raczej o Bogu.

i o sobie samym, a jednocześnie wierzyć w Boga Newtona, „z wyżyn nieba spoglądającego na ziemię”. Ale trzeba było przez etap takiej wiary przejść, by ruszyć dalej. Właśnie o obraz Boga bardziej odpowiadający naszej dzisiejszej wiedzy o świecie, człowieku i kosmosie będę tutaj kołatał i będę oń się spierał.

Upadek Boga pojmowanego wedle Newtona to także upadek źródła władzy. Niegdyś pochodziła ona z boskiego nadania; zarówno władza Kościoła, jak i ojca. Tronowanie Boga ponad wszystkim i wszystkimi było wzorem zarówno dla państwa, parafii, jak i rodziny. Monarchia absolutna odpłynęła w przeszłość wraz z oświeceniowym przewrotem, wzór trwale pozostał. Dlatego zwolennicy takiego Boga domagają się introzacji Chrystusa Króla, ale ci, którzy lepiej rozumieją znaki czasu, przypominają im niejeden raz powtórzony przez tegoż Chrystusa zdanie: „Królestwo moje nie jest z tego świata”. Jeśli rzeczywiście odrzucamy obraz Boga królującego ponad folwarcznym mechanizmem newtonowskiego kosmosu, to źródłem zarówno dobra, jak i władzy muszą być nie tylko wartości wyznawanej religii, ale też nasze sumienie i rozum. Czy pojmujemy więc, jak bardzo zostaliśmy obciążeni, odrzucając tamten obraz Boga, absolutnego władcy naszych państw i naszych sumień? Zostaliśmy obciążeni brzemieniem wolnego wyboru. Łatwiej było żyć w świecie przedkopernikańskim. Nie było wolności, lecz nie zaznaliśmy jeszcze jej jadowitych owoców.

Dlatego powinniśmy szanować także wiarę wyrażaną językiem przedkopernikańskim i ludzi, którzy tak wierzą, bo wiara płynie z ich serca. A może również inne spojrzenie jest dla nich za trudne? Nie próbują wybiegać myślą ponad świat Newtona, bo zapobiegliwi i wszechobecny Stwórca jest niezbędnym warunkiem jego istnienia i działania. Jest to świat bezpieczny i stabilny, gdyż z tak uproszczonego uniwersum nie można Boga po prostu wyrzucić. Ale już nie muszą pojmować w swej naiwnej prostomyślności, że w pobożnym założeniu kryje się widmo przyszłego ateizmu: badając przyrodę funkcjonującą jak mechanizm, można nie pytać o Boską przyczynę, lecz krok za krokiem odkrywać jej prawa, a wtedy stopniowe znikanie z niej Boga okazuje się równie oczywiste, co nieuchronne. Jeśli brak nam poczucia Tajemnicy pisanej wielką literą, jeśli to, czego nie wiemy, łatwo zapychamy nadprzyrodzoną wszechmocą, wtedy nie dziwmy się procesowi, w którym Bóg niepostrzeżenie znika, a w końcu – jak chciał Nietzsche – umiera w zapomnieniu wraz z przyrostem wiedzy. Takie jest

źródło ateizmu, niezbyt wyrafinowanego – dziewiętnastowiecznego z ducha – ale najpowszechniejszego. Skoro świat jest tylko mechanizmem, to łatwo może się okazać, że nikt go nie oliwi. Mechanika wystarczy może dla ontologii, lecz na pewno nie dla teologii. Ale może rodzić się tu jeszcze inne niezamierzone zło: jeśli upieramy się przy takim widzeniu świata, a w nim Boga, jeśli inne spojrzenia mamy za herezję albo podszept szatański, to dostarczamy jeszcze więcej paliwa najbardziej niemądrym ateizmowi w duchu Dawkinsa.

Daremne są dzisiejsze narzekania na upadek wiary, bezsilne są złorzeczenia, że Europa wygnała Boga ze swej duszy. Owszem, wygnała Boga Newtona i poczciwą Bożię rodem ze starych katechizmów. Nie da się przywrócić tego, co było. Aby odbudować dawną wiarę, trzeba byłoby odciąć ludzi od wiedzy, unieważnić naukę albo przynajmniej zamknąć ją w więzy z kości słoniowej, zakazać popularyzacji. Można i trzeba jednak dzisiaj zobaczyć wiarę w Boga zupełnie na nowo, w świetle tego, co wiemy o wszechświecie. Dopiero ona ożywi ten naukowo bezosobowy obraz

Epidemia koronawirusa i osamotnienie w zamkniętych na czas kwarantanny domach może okazać się wielkimi rekolekcjami. W osamotnieniu cichnie hałas świata, powracają wielkie pytania, a nieuchronność śmierci okazuje się źródłem nadziei, a nie tylko zwierzęcego strachu.

z jednej strony nieogarnionego kosmosu, a z drugiej mikroświata kwantów, i nada mu sens. Tylko tak rozumiana wiara odpowie na niepokój rabina Heschela. Ale musi być to wiara pojmowana jako przystępna, a nie jako kojec z dogmatami „podanymi do wierzenia” i raz na zawsze ustawionymi przegrodami, których nie wolno przekraczać potulnej, lecz z samej istoty głupawej trzodzie.

Dlatego jeszcze raz twierdzę, że nade wszystko potrzebna jest wspólnota wszystkich wierzących zarówno w Boga według którejś z religii, jak i wierzących tylko w wartości świeckiego humanizmu. A także coraz liczniejszych tych, którym najbliższa jest postawa deistyczna bez precyzowania wyznawanej wiary; „*believing without belonging*”, jak powiadają Anglosasi. Bóg na pewno nie umarł, ale bez wątplenia umarł jednak Nietzsche!

\*

Język nauki ukazuje Boga potężnego i niepojętego, ale odległego, obojętnego i bezosobowego, na kształt rozmiłowanego w matematyce Stworzyciela u Leibniza albo Brahmana hinduistów. Język miłości ukazuje małego Jezusa w żłobie, macierzyńską Marię, zatroskanego Józefa, aż na koniec tegoż samego Chrystusa w triumfie zmartwychwstania po zbawicielskiej męce na krzyżu. Język Biblii głosi srogięgo, muskularnego i nieraz gniewnego Boga Ojca z długą, siwą brodą. A cóż powiedzieć o obrazach Boga w innych religiach? Wszystkie te wizerunki są

może nie tyle nieprawdziwe, ile ułomne. Jak więc dotrzeć do Boga? Jaki jego obraz powinniśmy nosić w sercu i odtwarzać w umyśle? Niestety, nie istnieje dostępna dla nas, ludzi, prawda o Bogu; jest tylko wiara, nadzieja i miłość – trzy podstawowe ewangeliczne cnoty. Dobrze, że chrześcijaństwo wynosi je tak wysoko, bo to właśnie one łączą zlewiska wszystkich rzek wielkich religii. Musi nam wystarczyć intuicja mądrego poganina Heraklita, który mówił o Logosie – słowie, a może niewyraźnym słowami pojęciu, ale także o racjonalności, która stoi za wszystkim, co istnieje. „Na początku było słowo...” – powtarza po nim Biblia. Ale nasz niepojęty teotropizm żąda obrazu bóstwa na miarę możliwości ludzkiego rozumu. I tylko dlatego natworzyliśmy tyle wyobrażonych postaci Boga, nieraz nawzajem się wykluczających i śmiertelnie poważnych. Jak dojść w tym do prawdy, jak odnaleźć sens? Starożytności prorocy, spisujący językiem swojej epoki i swojej kultury kolejne księgi Pisma, byli mądrzejsi: kiedy człowiek ma do czynienia z Tajemnicą, przesłania ją obłok, taki sam jak ten, w którym Jahwe rozmawiał z Mojżeszem na górze Synaj. „W obłoku ukazywać się będę” – powiada swemu prorokowi. Potem obłok – skrywając Bożą obecność – szedł przed Izraelem, kiedy Mojżesz prowadził swój lud przez pustynię ku Ziemi Obiecanej. Obłok unosił się nad Arką Przymierza, z obłoku przemawiał Pan do Ezechiela w babilońskiej niewoli, obłok wypełnił nowo zbudowaną świątynię Salomona. Nie inaczej jest w Nowym Testamencie: obłok skrywa zarówno anioła zwiastującego Maryi jej przeznaczenie, jak i Ojca potwierdzającego na górze Tabor tożsamość Syna. Na koniec obłok otula Chrystusa wstępującego do nieba na oczach swoich apostołów. Uszanujmy tę mądrość, bo jest ona jedyną dopuszczalną postawą wobec Tajemnicy, której nie pojmujemy. Wtedy właśnie najbardziej przystoi sokratejska skromność: obłok możemy dostrzec i zrozumieć, tego, co skrywa w swoim wnętrzu – już nie. Błogosławiony obłok, który pozwala sięgać ku Tajemnicy tak daleko, jak to jest możliwe. Człowiek w ciągu niedługiego czasu musiał przejść od biblijnej wizji świata do kosmosu nieogarnionego, wielowymiarowego i kwantowego. To gigantyczne wyzwanie, z którym większość z nas dotąd sobie nie poradziła. Czy jesteśmy w stanie wyobrazić sobie Boga jeszcze większego i bardziej złożonego niż wszechświat? Na pewno nie, chociaż już pojmujemy, że nie jest to długobrody starzec „z wyżyn nieba spoglądający na ziemię”. Więc uszanujmy wiarę naiwną i wiejską. Tym bardziej błogosławiony jest obłok. „Życie nie ma scenariusza, dramaturga, reżysera, producenta, nie ma też sensu” – pisze Yuval Noah Harari w opasłej (550 stron) książce *Homo Deus. Krótka historia jutra*. „Wedle naszej najlepszej wiedzy naukowej wszechświat jest ślepym i bezcelowym procesem, hałaśliwym i wściekłym, ale nic nieoznaczającym. Podczas nieskończonego krótkiego pobytu na tej małej kropce, jaką jest nasza planeta, puszymy się przez chwilę, miotamy tam i z powrotem, ale potem słuch o nas ginie”. Ale ten sam Harari zauważa, że życie może mieć sens tylko wewnątrz sieci opowieści przekazywanych przez ludzi sobie nawzajem, bo one właśnie czy nią nas społeczeństwem, nadają mu

wartości i cele. Bez sieci opowieści i wmotanych w nie sensów bylibyśmy tylko hordą. Jedna z tych opowieści nazywa się Ewangelią Chrystusa i nawet ateista Harari musi to uznać. Właśnie wspólnoty wierzących nieraz już w dziejach świata pozwoliły na zachowanie dobrego obyczaju, kultury i życia intelektualnego w obliczu barbarzyństwa. One są obłokiem czyniącym bardziej zrozumiałe to, czego pojąć nie potrafimy. Tylko to jedno świadczy, że Kościół jest potrzebny, mimo że – jak pisze cytowany wcześniej ksiądz Tomáš Halík – jego skarby „czasem pokrywa twarda skorupa błota, a bywa że kupa gnoju”. Pozostaje mieć nadzieję, że będzie to Kościół mądry tym najcenniejszym kruszcem mądrości, o jakim pisał w swoim liście święty Jakub: „Mądrość zaś zstępująca z góry jest przede wszystkim czysta, dalej – skłonna do zgody, ustępliwa, posłuszna, pełna miłosierdzia i dobrych owoców, wolna od względów ludzkich i obłudy”. Dopiero wtedy zrozumiemy zdanie Einsteina: „Poczucie, że we wszystkim, czego możemy doświadczyć, jest coś, czego nasz umysł nie potrafi zrozumieć, czego piękno i podniosłość dotyka nas tylko pośrednio – to właśnie jest religijność”. Nawet jeśli przy tym tylko pozostaniemy, to i tak jesteśmy braćmi w wierze. Nietzsche napisał kiedyś, że Kościół stał się nagrobkiem Boga, co wtedy uważano za bluźnierstwo, a co dzisiaj staje się oczywistością. Dlatego nie mówmy już tyle o Kościele; mówmy i myślimy raczej o Bogu, choć to jakże trudne, bo nas przerastające. Niedawna epidemia koronawirusa i osamotnienie w zamkniętych na czas kwarantanny domach może okazać się wielkimi rekolekcjami i wtedy będzie ożywcze. W osamotnieniu cichnie hałas świata, po wracają wielkie pytania, a nieuchronność śmierci okazuje się źródłem nadziei, a nie tylko zwierzęcego strachu. Ale może to wszystko nie ma sensu. Kultura europejska ginie. Przyczyną jest zanik wiary, a wraz z nią wartości. Lecz rechrystianizacja Europy w duchu tradycyjnego katechizmu na pewno się nie powiedzie, a w duchu sarmackiego mesjanizmu (o czym marzą najbardziej zakamieniałe żubry polskiej prawicy) byłaby tragifarsą. Jedyna nadzieja to pogodzenie Boga z nauką, deizmu z pobożnością. Ale jak długo i jakże powoli... Tymczasem już za pół wieku zaleje nas morze, zmiotą tajfuny, wypalą pustynne upały, zatopi zanik podbiegunowych lodowców, zamorzy niedostatek wody do picia. Więc co? Rozpacz? Także rozpacz Boga? My, wnuki Oświecenia, nie mamy innej drogi jak kontynuacja – pełnego trudu i nie zawsze owocnych wysiłków – szlaku obranego w biblijnej legendzie przez pierwszych prarodzców, kiedy wybierając wolność i odbijając od brzegu posłuszeństwa, podjęli samotną żeglugę przez wzburzone fale bytu. Musimy nie tylko „w pocie czoła chleb swój dobywać”, ale też bezustannie wybierać między dobrem a złem, nie mając ani boskiej mocy, ani boskiej wiedzy. Taki jest sens pięknej legendy z Księgi Rodzaju, którą dziś warto rozważać nie dla literalnego opisu, lecz dla jej mądrego sensu. A tym nam dziś trudniej, że po traumatycznych doświadczeniach XX wieku przyszłość nie jest już cudowną krainą, w której wszyscy żyją długo, szczęśliwie i bogato, a jest raczej wylęgarnią lęków. Dawny wszechświat był płaski; Słońce i planety krążyły potulnie dookoła Ziemi,

zaś na niej wznosiła się pionowo niezmienna i nie naruszalna hierarchia, gdzie „wszystko było na swoim miejscu”. Po Koperniku, Newtonie i Einsteinie wszechświat nabrał głębi i wymiarów, ale nieoczekiwanie spłaszczyła się Ziemia, bo wszyscy są podobno równi, a jakakolwiek hierarchia jest postrzegana jako zaprzeczenie nowoczesności. Dzisiejsza epoka – a może, jak powiedział Melchior Wańkiewicz, „międzyepoka” – to nowoczesność po przejściach. Przeżywszy straszny wiek XX, wiemy już, do jakich okropności zdolny jest człowiek, lecz nie przeminęło rozdarcie zrodzone jeszcze w czasach rewolucji francuskiej. Wciąż targają nami dwie sprzeczne namiętności: wiara w lepszą przyszłość i tęsknota za bezpowrotnie utraconą przeszłością. Tym bardziej że przeszłość – zwłaszcza odpowiednio przyozdobiona i zmitologizowana przez szalbierzy – kusi swoim blaskiem, którego nie znajdujemy w dniach dzisiejszych, a tym bardziej w przyszłych. Nostalgiczni piewcy przeszłości – zwykle pozujący na konserwatystów, choć niegodni tego miana – nie są w stanie ani zaproponować ludziom realnego wyjścia, ani tchnąć w nich wiary; potrafią tylko pokazać, że człowiek pozbawiony zakorzenienia w Absolutie zaskakująco łatwo traci swoje człowieczeństwo. Wiek XX był stuleciem złowrogich utopii, czy wiek XXI okaże się stuleciem nostalgii? Zawieszeni między bezpowrotnie minioną przeszłością a niepewną i budzącą lęk przyszłością, kołyszając się niebezpiecznie na wzburzonych falach bytu, nie mamy innej drogi jak dalsze usiłowanie uporządkowania świata wokół nas; nie mamy innego światła jak własny rozum, innego drogowskazu jak wiara. Potrzebne są nam korzenie, ale nie kotwica. Nie mamy też innej instrukcji jak powiedzenie przypisywane cesarzowi Markowi Aureliuszowi: „Boże, daj mi siłę, bym zmienił to, co zmienić mogę, daj mi cierpliwość, abym pogodził się z tym, czego zmienić nie jestem w stanie. I daj mi mądrość, bym odróżnił jedno od drugiego”. Bo dopiero na tej utrudzającej, lecz nieuniknionej drodze możemy zrozumieć, że nie ma wcale tego przereklamowanego konfliktu między postępem i konserwatyzyzmem, jest tylko konieczność podejmowania małych, ale w miarę rozumnych decyzji i otwartość wobec wielkiej pracy, jaką jest wprowadzanie ich w życie. Bo właśnie na tej utrudzającej, lecz nieuniknionej drodze my, wnuki Oświecenia, możemy pojąć i zaakceptować, że jesteśmy także dziećmi Bożymi niezależnie od tego, czy wierzymy w Niebiosa czy tylko w ludzki rozum.



**Jerzy Surdykowski** – rocznik 1939, publicysta, pisarz, dyplomata, działacz opozycji demokratycznej w PRL, wykładowca dziennikarstwa na UJ. Od końca lat 60. związany z dziennikarstwem – tu m.in. „Perspektywy”, „Życie Gospodarcze”, „Życie Literackie”. W sierpniu 1980 roku uczestniczył w strajku w Stoczni Gdańskiej, gdzie publikował w biuletynie strajkowym, po stanie wojennym, objęty zakazem pracy w mediach, pisywał do prasy drugiego obiegu. Po 1989 roku był członkiem redakcji „Tygodnika Solidarność”, „Rzeczpospolitej” i „Wprost”, a następnie konsulem generalnym w Nowym Jorku oraz ambasadorem w Tajlandii. Autor wielu książek.

**TEMAT MIESIĄCA:****Teatr STU, nasze emocje i nasza wdzięczność**Marta Gruszecka **S. 14**

Nazywają siebie rodziną STU. Co roku, 20 grudnia spotykają się na tradycyjnej wigilii, by wspominać, żartować, kolędować i dzielić się opłatkiem. Dwa miesiące później, 20 lutego, we wspólnym gronie świętują urodziny teatru. W tym roku okazja jest szczególna – Teatr STU Krzysztofa Jasińskiego skończył 55 lat.

**ESEJ****Nadzieja na sensowność świata**Jerzy Surdykowski **S. 1****LEKTURY NA ŚWIĘTA I NAJBLIŻSZY ROK****Tęgie głowy (Jan Błoiński)** Michał Głowiński **S. 24****Dom pod wiecznym piórem** Jan Polewka **S. 66****Bestiariusz** Michał Komar **S. 82****Stan wojenny, czyli kontrrewolucja generacji** Andrzej Paczkowski **S. 88****Ptaszy ludzie i inne opowiadania** Karolina Grodziska **S. 94****Igor Mitoraj. Polak o włoskim sercu** Agnieszka Stabro **S. 104****Wielka gra majora Żychonia** Andrzej Brzeziecki **S. 112****KRAKÓW MÓWI****Rozbitek z Galaktyki Gutenberga**Jerzy Surdykowski/Witold Bereś i Krzysztof Burnetko **S. 98****Emocje zamiast słów** Jacek Dukaj/Paweł Stachnik **S. 108****LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA****Ostatnia taka jesień, ostatnie takie święta...**Krzysztof Jakubowski **S. 30****Artystyczna dusza arcyministra Dudy** Majka Lisińska-Kozioł **S. 35****Futbol i krakowskie stadiony – prapoczątki** Witold Bereś **S. 54****Jak biliśmy w piłce Turków pod Wawelem** Krzysztof Jakubowski **S. 56****Na cześć Ojca Musiała** Marian Turski **S. 122****Kronika kulturalna** **S. 137, 139****Krakowski łącznik** **S. 140****Kraków (Główny)** **S. 141****Linia A-B** **S. 142****REKOMENDACJE****Anatomia narysowana**Magda Huzarska-Szumiec **S. 46****Zrozumieć świat istniejący na opak** Witold Bereś **S. 64****Książka na 102!** Anna Stafiej **S. 65****Reporterska podróż do zaświatów Dantego** Magda Huzarska-Szumiec **S. 86****Tatry przetworzone** Ewa Kozakiewiczowa **S. 93****Przygotowany na szczęście** Anna Woźniakowska **S. 121****OBYWATELE KRAKOWA****Ach, (te) dziewczyny (Joanna Basicz i Marlena Harańczuk)** Marta Gruszecka **S. 10****FOTO RETRO****Przystanek pod Barbakanem**Krzysztof Jakubowski **S. 12****PORTRETY 2021** **S. 42****HISTORIA****Pani i panny Pareńskie** Ewa Danowska **S. 61****Prasa sprzed stu lat** Krzysztof Jakubowski **S. 74****MUZYKA****Na schyłek i początek roku**Anna Woźniakowska **S. 118****FILM****Imaginarium** Maria Malatyńska **S. 124****Film balkonowy** Łukasz Maciejewski **S. 128****TEATR****Nasze drogie ruiny** Paweł Głowacki **S. 71****KSIĄŻKI****Nasza biblioteka** **S. 134****Moja Krakowska Książka Miesiąca** Janusz M. Paluch **S. 138****GALERIA „KRAKOWA”****Łucja Kłańska-Kanarek**Magda Huzarska-Szumiec **S. 50****FELIETON****NA CZERWONYM ŚWIETLE** Ewa Lipska **S. 7****OKIEM BERESIA** Witold Bereś **S. 8****Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI** Krzysztof Burnetko **S. 9****AFISZ WIEDEŃSKI** Magda Huzarska-Szumiec **S. 80, 127****SMOCZE JAJO** Mieczysław Czuma **S. 131****POZA KRAKOWEM...** Magda Miśka-Jackowska **S. 132****DZIENNIK PANDEMICZNY**Iga Dzieciuchowicz **S. 133****LUBIĘ LUBIĆ** Agnieszka Kosińska **S. 146****OKŁADKA**

Rys. Piotr Błachut



Drogi Staszku, może lepiej, że nie doczekałeś 2021 roku, roku Stanisława Lema, w którym tytuły gazet i innych publikacji grzmiały: „Stanisław Lem zacierał swoją żydowską tożsamość. O matce powiedział tylko kilka zdań”, „Wyparta tożsamość żydowska”; ukrywał, nie przyznawał się do winy etc. I nie są to publikacje z „Gazety Polskiej”... Do tego marsz Niepodległości w Warszawie i antysemickie ekscesy w Kaliszu... Stanisław Jerzy Lec pisał: „Antysemitę poznaje się po nosie. Węszącym”.



**Ewa Lipska** – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Rys. Piotr Brachut

*Wszystkim Przyjaciółom i Czytelnikom  
w imieniu swoim i całej redakcji  
życzę po prostu spokoju, ciepła wśród najbliższych  
i chwili wytchnienia -  
- dobrych Świąt Bożego Narodzenia  
i lepszego No.*

*Witold Beres*

## Drodzy Przyjaciele i Prenumeratorzy,

**Szanowni Czytelnicy miesięcznika „Kraków”!**

Od blisko czterech lat, odkąd miałem honor zostać redaktorem naczelnym „Krakowa”, szczególny nacisk kładę na kontakt z Państwem, naszymi Czytelnikami. Wierzę, że dostrzegacie nasze starania i jednocześnie przepraszam za wpadki, które nam się zdarzają. Piszę dziś do Państwa w sprawie podwyżki ceny pisma i pewnych zmian w jego dystrybucji.

Obecny numer naszego pisma nosi datę „grudzień 2021/styczeń 2022” i jest półtora raza większy (aż 144 strony dobrej lektury!), a w sprzedaży detalicznej kosztuje tylko 10 złotych – czyli właściwie tyle, ile dotąd (7 złotych za 96 stron). Niestety, już pierwszy numer przyszłoroczny (ukaze się z datą „luty 2022”) – oraz kolejne – choć standardowej objętości, też będą kosztować 10 złotych za egzemplarz. Natomiast numery podwójne (lipiec/sierpień oraz grudzień 2022/styczeń 2023) będą kosztować po 15 złotych. W związku z tym musimy również podnieść cenę prenumeraty zamawianej bezpośrednio w redakcji.

I tak, w prenumeracie krajowej dziesięć numerów (w tym dwa podwójne), które ukażą się w przyszłym roku, kosztować będzie 100 złotych. Zakup pisma w prenumeracie i tak jest tańszy niż w kioskach czy sieci EMPiK (gdzie trzeba będzie zapłacić 110 złotych). Wysyłka pozostaje darmowa!

Prenumerata zagraniczna natomiast (zarówno do Europy, jak do Stanów Zjednoczonych i Kanady) kosztować musi teraz 200 zł. W tym przypadku do ceny pisma dochodzą bowiem koszty pocztowe

(przesyłki priorytetowej). Mamy też gorącą prośbę do naszych Przyjaciół z Klubu Miesięcznika – zarówno osób fizycznych, jak firm – by od dziś zechcieli wspierać nas rocznie kwotą 200 złotych. Oczywiście, będziemy wielce wdzięczni tym spośród Przyjaciół, którzy zechcą utrzymać roczną wpłatę w wysokości tysiąca złotych – w zamian nadal dostawać będą od nas pamiątki, książki i zaproszenia na ważne imprezy organizowane przez „Kraków” bądź objęte patronatem miesięcznika. Serdecznie zapraszam też innych naszych Przyjaciół, dotychczas niezrzeszonych w naszym klubie, o wstąpienie doń i wsparcie nas. Powód tych zmian jest niestety prozaiczny – drożyzna postępuje również na rynku wydawniczym. Mam nadzieję, że pomimo tych kłopotów nie tylko zostaniecie z nami, ale i będziecie utrzymywać aktywny kontakt z „Krakowem”. Z góry dziękuję za życzliwość i zrozumienie.

*Witold Beres*  
Redaktor naczelny

PS Szczegółowe informacje dotyczące prenumeraty można znaleźć na stronie 140 „Krakowa”, zaś zasady działania Klubu Przyjaciół – na stronie 145.



**Witold Beres** – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

# Ludzie znad nieludzkiej granicy

Tekst: Krzysztof Burnetko

**Ci ludzie ratują innych ludzi wbrew nieludzkiej władzy i jej nieludzkim przepisom, będącym gwałtem na humanitarnym prawie. Więcej, wbrew większości swoich rodaków.**

Grupa Granica, Medycy na Granicy, Fundacja Ocalenie, Białowieska Akcja Humanitarna, Polska Akcja Humanitarna, Rodziny Bez Granic – ludzie tworzący te organizacje oraz liczni niezrzeszeni aktywiści działają tam, w lasach, na miejscu. Ludzie z Funduszu Obywatelskiego im. Henryka Wujca, warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, Sant’Egidio, Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, Fundacji Polskie Forum Migracyjne, Strefy Wolno-Słowa, Stowarzyszenia Interwencji Prawnej, Obywatele RP i inni członkowie ruchów zwanych opozycją uliczną (wśród nich Justyna i Paweł Wrabcowie zatrzymani pod zarzutem „pomocnictwa w organizowaniu nielegalnego przekroczenia granicy przez cudzoziemców”, co zagrożone jest ośmioma latami więzienia). Ludzie, którzy mogliby prowadzić celebryckie życie, a tymczasem też jadą nad granicę pomagać – jak Maciej Stuhr z żoną czy Maja Ostaszewska – albo głośno mówią, co myślą – jak Barbara Kurdej-Szatan (ze wszystkimi tego konsekwencjami), Danuta Wałęsa, Jolanta Kwaśniewska, Anna Komorowska.

A do tego wielu anonimowych mieszkańców strefy stanu wyjątkowego i okolicznych nadgranicznych terenów, którzy w godzinie próby też okazują się ludźmi – choć wiedzą, że zwykle nie zyskają tym sympatii sąsiadów, także tych najbliższych, zza miedzy.

Wreszcie ci wszyscy, w całym kraju wpłacają pieniądze na pomoc uchodźcom, przynoszą dla nich odzież i żywność, protestują na ulicach. Także dzielne dzieciaki i mamy z Krakowa, które stały się ofiarami policyjnej interwencji za narysowanie solidarnościowych obrazków pod siedzibą partii rządzącej (co dziwi o tyle, że akurat tu policja dotąd zachowywała się wobec ulicznych protestów, w porównaniu do stolicy zwłaszcza, w miarę przyzwoicie).

\*

„Niezależnie od tego, kim jest bity – trzeba z nim być. Trzeba dać mieszkaniu bitemu. Trzeba go schować w piwnicy. Trzeba się tego nie bać. I w ogóle zawsze trzeba być przeciwko tym, którzy biją” – regułę tę Marek Edelman powtarzał podczas wielu naszych rozmów.

Nawiązywał przy tym albo do swoich przeżyć z czasów okupacji, kiedy to, jak mawiał, sam wielokrotnie był pędzony z miejsca na miejsce albo musiał uciekać, bo inaczej by zginął. Tak było przecież zarówno w warszawskim getcie, jak podczas powstania w kwietniu 1943, którego był jednym z komendantów, podczas późniejszego ukrywania się, a w końcu w powstaniu warszawskim, którego był uczestnikiem – i kolejnego ukrywania się.

Albo nawiązywał do czasów PRL, gdy był już uznanym lekarzem, lecz władze rozpięły antysemicką na-

gonkę i uległy im portier któregoś dnia zatrzasnął przed nim drzwi szpitala. To wtedy stary kolega powiedział mu: – Jak będzie źle, to cię schowam.

On sam zresztą, gdy udało mu się wrócić do pracy w innej lecznicy, przyjmował na swój oddział nękanym przez władze ludzi opozycji. A kiedy różni gorliwi zarzucali mu, że łamie przepisy, odpowiadał: „Patrzą na człowieka, a nie na papiery”.

Przytaczał wreszcie tę zasadę już po Wiośnie Ludów 1989 roku – gdy wstawiał się za dyskryminowanymi mniejszościami (zarówno w kraju, jak w choćby w Czechach, gdzie w Usti miejscowych Romów oddzielono od innych obywateli... murem) czy ofiarami czystek i wypędzeń na Bałkanach. A kiedy różni specje od politycznych dywagacji i symetrii sugerowali, że stawia zbyt duże wymagania albo nie uwzględnia realiów, rzucał tylko: „Obojętny świadek, który odwraca głowę, staje się odpowiedzialny za zło i współwinnym zła. I na całe życie będzie skalany tym złem, którego próbował nie widzieć”. Czasem dodawał najwyżej, że żadne mury nie są w stanie powstrzymać ludzi uciekających przed głodem czy wojną (skądinąd to samo powtarzał Ryszard Kapuściński, jeden z najprzenikliwszych znawców i analityków współczesnego świata).

Jacek Kuroń pisał o Edelmanie: „Marek przez swą nieustanną aktywność zmusza nas stale do zastanowienia się nad sobą – naszą obojętnością, lenistwem, strachem”.

\*

Teraz do zastanowienia się nad sobą – naszą obojętnością, lenistwem, strachem – zmuszają nas wszyscy ci, którzy są (lub byli choćby przez chwilę) tam, nad granicą. I nie ma większego znaczenia ani to, że za kryzysem tym stoją zapewne dyktatorzy z Mińska i Moskwy. Ani to, że działania rządu na wschodniej granicy – a więc politykę tak zwanego push backu, czyli siłowego odsyłania złapanych uchodźców na stronę białoruską, oraz stan wyjątkowy, czyli między innymi zakaz dostępu organizacji humanitarnych i dziennikarzy na wrażliwy obszar – pochwała większość rodaków. Oraz że chcą oni budowy muru.



**Krzysztof Burnetko** – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



# Ach, (te) dziewczyny

**Tekst:** Marta Gruszecka **Zdjęcia:** z archiwum i dzięki uprzejmości duetu Ach, dziewczyny

**Rysują kobiety, które je inspirują, zilustrowały podcast Joanny Okuniewskiej, są autorkami identyfikacji graficznej Muzeum Inżynierii Miejskiej. Ostatnio namalowały Stanisława Lema, a ten, choć z natury wybredny, takim portretem z pewnością byłby zachwycony. Ach, dziewczyny – ależ wy macie talent!**

Joanna Basicz i Marlena Harańczuk, artystki z duetu Ach, dziewczyny, poznały się na studiach. Obie wybrały edukację artystyczną na Wydziale Sztuki i Nauk o Edukacji w Cieszynie, będącym filią Uniwersytetu Śląskiego. Nie myślały jeszcze wtedy o grafice. – Chciałam być malarką, a Asia fotografką – wspomina Marlena. Na ostatnim roku studiów zamieszkały razem w Krakowie.

Grafika zaczęła być każdej z nich coraz bliższa – zaczęły rysować i realizować pierwsze zlecenia. Czuły, że idą w dobrym kierunku. Niestety, nie do końca własną drogą – projekty na zamówienie nie dawały dużych szans rozwoju i ograniczały ich pomysły. Co więcej, propozycje przygotowania plakatów, logotypów czy identyfikacji wizualnych dostawały nieregularnie, a to nie pomagało w utrzymaniu się w dużym mieście. Środków na życie dostarczała praca w gastronomii, którą zajmowały się przez kilka lat. Wspominają ją miło – w nieistniejących już kawiarniach Cisza i Spokój przy Brackiej poznały ludzi, z którymi przyjaźnią się do dziś.

Decyzję o powrocie do swojej pasji podjęły wiosną 2019 roku. – Poczuliśmy się pewnie, postanowiłyśmy spełnić marzenie i zacząć rysować to, co nam w duszy gra – wspominają. Założyły fanpage na Facebooku i Instagramie. Napisały: „To my, Ach, dziewczyny! Asia i Marlena, Marlena i Asia. Z pasją projektujemy, malujemy, rysujemy, nigdy nam dość. Przyjaźń i pasja to najlepszy duet! Dlatego wspierając się nawzajem, krytykując i szukając rozwiązania, postanowiłyśmy połączyć nasze siły”.

Nazwa „Ach, dziewczyny” przyszła naturalnie. – Leżałyśmy na kanapie w gronie znajomych i żartowałyśmy. W pewnym momencie ktoś skomentował jakiś żart „ach, dziewczyny”, a my uznałyśmy, że to przecież świetne hasło. Bo patrząc na nasze obrazki, będzie można śmiało powzdychać sobie z zachwytu – śmieją się.

Pierwszą wystawę zorganizowały przed rokiem w Dniu Kobiet i poświęciły ją swoim przyjaciółkom, czyli, jak mówią, kobietom, które je inspirują. Portrety Zuzi, Justyny, Marysi, Ani, Marty, Lili, Halszki i kilku innych można było oglądać w Metaforma Cafe na Powiślu.

Znakiem rozpoznawczym Ach, dziewczyn jest rysowanie twarzy – Ach, dziewczyny uwielbiają przyglądać się twarzom z bliska i przenosić piękno oraz charakter każdej z nich na obraz. Razem zastanawiamy się, co chcemy narysować i jak ma wyglądać nasze dzieło, a potem rozdzielamy obowiązki. Jeśli mamy zamówienie na przykład na portret Rysia i Marzenki, to jedna z nas rysuje Rysia, a druga Marzenkę. Następnie wysyłamy sobie szkice, potem ewentualne poprawki i zaczynamy rysować

– tłumaczy Asia. Kto je inspiruje? Tutaj nie są zgodne – Marlena lubi twórczość Patryka Hardzieja, królem rysunku zdaniem Asi jest Bolesław Chromy.

Czułe spojrzenie Ach, dziewczyn dostrzegła Joanna Okuniewska, autorka popularnego podcastu *Moje przyjaciółki idiotki*, w którym opowiada o relacjach damsko-męskich. Artystki zaprosiła też do współpracy Muzeum Inżynierii Miejskiej w Krakowie. Jej efekty można podziwiać w mediach społecznościowych MIM oraz na plakatach w różnych miejscach Krakowa. Od niedawna spogląda z nich Stanisław Lem, który obchodziłby w tym roku setne urodziny. Ach, dziewczyny zilustrowały wywiad z futurologiem z 1997 roku, w którym opowiada on o rozwoju internetu i związanych z tym zagrożeniach. Artystki mają na koncie również identyfikację graficzną i ilustracje dla kawiarni Spokój oraz etykiety na butelki napojów marki Hempley-CBD.

Plany na przyszłość? – Marzymy, by Ach, dziewczyny były naszym jedynym dzieckiem, któremu będziemy mogły poświęcić całą uwagę. Dziś, poza tym przedsięwzięciem, każda z nas ma inną absorbującą pracę, to ona dominuje w naszym planie dnia. Mamy też nadzieję, że z czasem będziemy bardziej odważne i pewne siebie, co pozwoli nam głośniej mówić o naszej twórczości i zdobywać ciekawe zlecenia.

Informacje o twórczości Ach, dziewczyn na Facebooku i Instagramie. Portrety, ilustracje i inne projekty można zamawiać mailowo: achdziewczyny@gmail.com lub telefonicznie: 797 567 372.



**Marta Gruszecka** – dziennikarka z lekkim piórem i łebskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchoać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.



## Przystanek pod Barbakanem

Tekst: Krzysztof Jakubowski Zdjęcie: z archiwum autora

**Pierwszą linię autobusową uruchomiono na trasie Barbakan–ul. Warszawska–Prądnik Czerwony w styczniu 1927 roku.**

Początkowo przez dziesięciolecia komunikacja w miastach kojarzyła się wyłącznie z tramwajem. Nie inaczej było w Krakowie, choć zdarzały się mniej i bardziej udane próby nowatorskich rozwiązań. Do takich należała

linia tak zwanych omnibusów samochodowych, kursujących między Dworcem Kolejowym a Salwatorem w latach 1911–1913.

Z chwilą wybuchu I wojny światowej wszystkie pojazdy mechaniczne zostały



Czerwony dopiero w styczniu 1927 roku, a inicjatorem była Krakowska Spółka Tramwajowa. Warto podkreślić, że była to linia po części podmiejska, bo Prądnik przyłączono do Krakowa dopiero w 1941 roku, jako XLI dzielnicę katastralną. Wybór trasy nie był przypadkowy, bo już w 1911 roku planowano poprowadzić tam tramwaj. Prądnik Czerwony był dość gęsto zabudowany i liczył ponad 6 tys. mieszkańców. Stała komunikacja z miastem była wybawieniem zwłaszcza dla garnącej się do nauki młodzieży, która wybierała miejskie szkoły średnie.

Przedsięwzięcie było udane i dość szybko, bo już w 1929 roku gmina Kraków po fuzji z Krakowską Spółką Tramwajową utworzyła spółkę akcyjną Krakowska Miejska Kolej Elektryczna obsługującą całe miasto.

Na fotografii wykonanej w lutym 1932 widzimy niewielki autobus kursujący właśnie na tej pionierskiej trasie. To amerykański Durant model Rugby z fabryki w Lansing (Michigan). Był jednym z 12 zakupionych w 1929 roku egzemplarzy tej marki. Nie był to cud techniki i o zakupie zdecydowała zapewne niewygórowana cena. Ramowa konstrukcja o długości 5,2 m i szerokości 2 m zapewniała 13 miejsc siedzących. Słaby, bo ledwie 45-konny benzynowy silnik rozpędzał pojazd do prędkości 50 km/h.

Obok stoi konduktor, dziś widywany jedynie na kolei. Zawód ten uległ zupełnej likwidacji w krakowskiej komunikacji wiosną 1969 roku (krótko funkcjonowali jeszcze tak zwani konduktorzy rewizyjni).

Duranty, których produkcję wstrzymano w 1932 roku, eksploatowane były na podkrakowskich drogach do końca okupacji. W całej Europie zachowało się zaledwie kilka egzemplarzy. Jeden z nich – dziś pięknie odrestaurowany i sprawny – należy do krakowskiego MPK. Czy to aby nie ten z fotografii?

Przystanek przeniesiono spod Barbakanu na pobliski plac Matejki dopiero w styczniu 1957 roku. Kilka lat wcześniej rozebrano widoczne na dalszym planie neogotyckie budowki do murów miejskich.

zarekwirowane przez wojsko, toteż marzenia o wygodnym transporcie autobusowym musiały zostać odłożone na czas nieokreślony. Po wojnie niestabilna sytuacja polityczna i gospodarcza wciąż długo nie sprzyjały śmiałym inicjatywom w dziedzinie komunikacji.

Pierwszą linię autobusową – tym razem już z prawdziwego zdarzenia – uruchomiono na trasie Barbakan–ul. Warszawska–Prądnik



**Krzysztof Jakubowski** – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

# 55 lat z życia STU

Tekst: Marta Gruszecka Zdjęcia: dzięki uprzejmości Archiwum Teatru STU

Nazywają siebie rodziną STU. Co roku, 20 grudnia spotykają się na tradycyjnej wigilii, by wspominać, żartować, kolędować i dzielić się opłatkiem. Dwa miesiące później, 20 lutego, we wspólnym gronie świętują urodziny teatru. W tym roku okazja jest szczególna – Teatr STU Krzysztofa Jasińskiego skończył 55 lat.



Spadanie, scena zbiorowa, 1970, fot. Jacek Szmuc

Tę historię można zacząć od liczb. Jeden Krzysztof Jasiński, trzy litery STU, 55 lat działalności artystycznej, setki legendarnych nazwisk aktorów i aktorek oraz tytułów spektakli zapisanych złotymi zgłoskami na kartach historii teatru, tysiące pokonanych kilometrów w drodze na krajowe i zagraniczne występy, setki tysięcy widzów.

– Teatr STU jest teatrem specyficznym, to legenda i ikona artystyczna Krakowa, coś wyjątkowego, co zdarzyło się na mapie naszego kulturalnego miasta – mówi prezydent prof. Jacek Majchrowski.

## Nadać koloru gomułkowskiej szarzyźnie

Jak narodziła się legenda? Kiedy powstawał Teatr STU, na świecie nie było jeszcze nawet rodziców autorki tego tekstu. W Polsce panowała stagnacja gomułkowska, młodzież w napięciu oczekiwała na zmiany, potrzebowała idei i buntu. Teatr jako twór

odzwierciedlający nastroje społeczne zdawał się być idealną przestrzenią do głośnego wyrażania własnych poglądów. W 1964 roku do Krakowa przybył ktoś, kto doskonale rozumiał, co dzieje się wokół, w dodatku potrafił zamienić tę wiedzę w sztukę, a głos pokolenia przenieść na scenę. Tą osobą był 21-letni wówczas Krzysztof Jasiński.

– Przyjechałem do Krakowa z Poznania już jako doświadczony animator kultury studenckiej, po ukończeniu historii w Studium Nauczycielskim. Najważniejszym twórcą był tutaj Waldemar Krygier, założyciel Teatru 38 i bliski, niesłusznie zapomniany współpracownik Grotowskiego. W Krakowie działała też Cricot 2. Szkoła teatralna nie dawała mi szczególnej satysfakcji, pierwszy rok wydawał się infantylny. Wiedziałem, że chcę czegoś więcej, zwłaszcza że miałem u boku wybitnych kolegów, między innymi Olgierda Łukaszewicza, Wojciecha Pszoniaka, Jerzego



Schejbalą, Jerzego Fedorowicza, Jana Łukowskiego, chwilę później do PWST dostał się Jerzy Trela. Krygier otwierał wtedy Studencki Teatr Polityczny, w który się zaangażowałem, ale niedługo potem wyjechał do Moskwy i nas osierocił. Na drugim roku szkoły teatralnej, 20 lutego 1966 roku, oficjalnie założyłem Teatr STU. Profesorowie PWST nam kibicowali – prof. Edward Dobrzański, wówczas adiunkt uczelni, nawet się do nas zapisał! Wykładowca PWST dołączył do grupy teatralnej, którą założył student! – wspomina Jasiński.

W tym samym czasie w Krakowie zaczynała grać Skaldowie, w Klubie Pod Jaszczurami występuje ubrany w biały smoking i muszkę Czesław Niemen. – Każdy z nas próbował nadać koloru gomułkowskiej szarzyźnie – komentuje założyciel STU.

### STU wędruje po świecie

Pierwszy skład Teatru STU? Krzysztof Jasiński, Jan Łukowski, Wojciech Pszoniak, Olgierd Łukaszewicz i Jerzy Trela. Pierwszy etap działalności trupy to spektakle Eugène’a Ionesco, Sławomira Mrożka czy Nikołaja Gogola grane w całej Polsce i za granicą. Już w 1966 roku teatr przywiózł Grand Prix z Erlangen po XII Internationale Theaterwoche der Studentenbunnen i odwiedzał kolejne festiwale przez następne cztery lata.

Symboliczne drugie narodziny STU dokonały się we wrześniu 1970 roku podczas Seminar of Documentary Theatre w Rotterdamie. Tam odbyła się premiera *Spadania*, spektaklu, od którego zaczęła się legenda STU. Do grupy należeli już wtedy między innymi Jerzy Stuhr i Włodzimierz Staniewski. – Pomysł na tę sztukę narodził się w ekspresie na trasie Warszawa–Kraków. Wraciałem z Edwardem Chudzińskim, późniejszym kierownikiem literackim STU, z narady w Radzie Naczelnej ZSP, gdzie dowiedzieliśmy się o seminarium teatru dokumentalnego w Rotterdamie – wspomina Jasiński. Od *Spadania* zaczęła się 10-letnia podróż STU po świecie. Do historii teatru alternatywnego przeszedł też cykl określany jako *Tryptyk STU* i nazywany manifestem pokolenia: poza *Spadaniem* jeszcze *Sennik polski* oraz *Exodus*.

### Musical w namiocie

Drugi okres twórczości grupy zakończył się w 1976 roku, dwa lata po premierze *Exodusu*. – Byliśmy pod presją, która bardzo mi przeszkadzała. Oczekiwano na nowe przedstawienie w STU. Chciałem koniecznie uciec od polityki, iść w kierunku teatru repertuarowego, odejść od teatru interwencyjnego. Repertuarowego to znaczy bardziej literackiego, artystycznego. I wtedy wybudowaliśmy przy ulicy Rydla duży namiot dla tysiąca widzów. Zaczęliśmy grać zupełnie inny repertuar – opowiada dyrektor. W Namiocie STU premierę miały historyczne spektakle, w tym *Szalona lokomotywa* – pierwszy krakowski

musical na podstawie tekstów Witkacego z muzyką Marka Grechuty i Jana Kantego Pawлуśkiewicza, *Pacjenci* na podstawie Mistra i Małgorzaty Michała Bułhakowa, pierwsza realizacja Bułhakowa w Polsce, oraz *Operetka* Witolda Gombrowicza.

### Szekspir jak w „Pod Łabędziem”

Po latach tułaczki, spektakli plenerowych i doświadczeniu do szpiku kości teatru alternatywnego, marzeniem Jasińskiego była

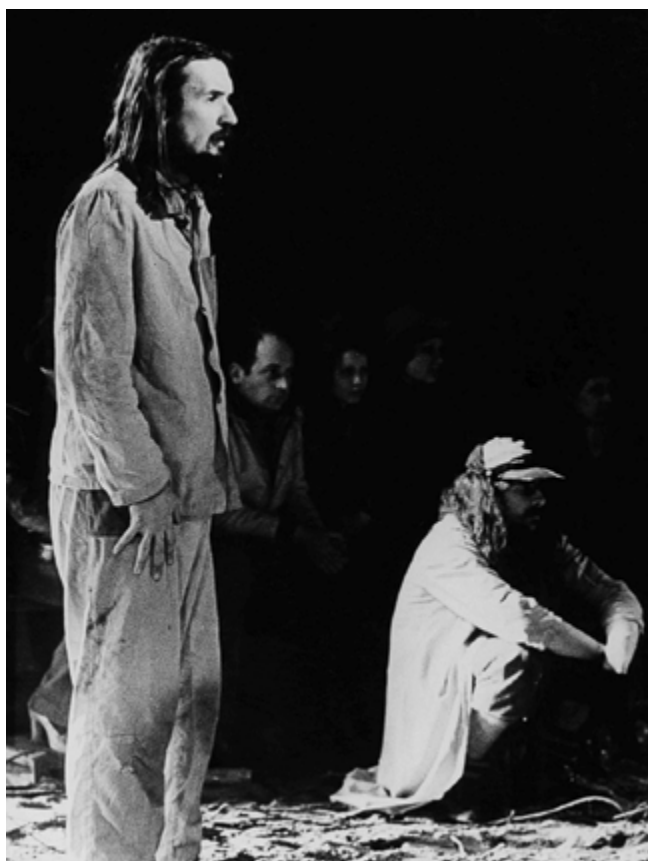


*Exodus*, Franciszek Muła, Małgorzata Siembab, Ryszard Radwański, 1974, fot. Bogumił Opióła

prawdziwa, stała, krakowska scena. W znalezieniu domu dla STU pomogło miasto. – Dostaliśmy od władz pusty budynek przy alei Krasińskiego. Przed wojną mieściła się tam centrala górnicza. Sala, w której zamierzałem zbudować potencjalną scenę, miała jeden feler – była podparta dwiema kolumnami nie do wyburzenia. Zastanawiałem się, jak to rozwiązać, chodziłem po wnętrzu, zapalałem świeczkę i patrzyłem na to miejsce. Pewnej nocy przypomniał mi się mój egzamin z historii sztuki u prof. Dobrowolskiego. Profesor miał pod stołem karton oraz małe kartoniki z naklejonymi obrazkami. Na każdym z nich był przedstawiony jakiś teatr – naszym zadaniem było przybliżenie jego historii i idei. Trzy razy z rzędu wylosowałem teatr elżbietański, londyński The Swan. Na obrazku były dwie kolumny! Wtedy zdałem sobie sprawę, że scena, która powstanie przy Krasińskiego, będzie miniaturą teatru

elżbietańskiego. Skoro w teatrze „Pod Łąbędzem” zagrano całego Szekspira, dlaczego nam miałyby się nie udać – mówi Jasiński.

Udało się – na scenie mieszczącej 250 widzów w 2000 roku dyrektor wyreżyserował *Hamleta*. – Cztery godziny, duża obsada, wielka scenografia w małej przestrzeni. Kompletnie szaleństwo. Wydawało się, że na tej scenie, scence, zbudowano cały Elsynor. I że to, co widzimy, jest fragmentem niepomrotnie większej całości, że



*Pacjenci*, Bolesław Greczyński, 1976, fot. Krzysztof Gierałtowski

mury duńskiego zamku mieszczą w sobie cały budynek STU i jeszcze wyrastają kilkadziesiąt metrów w górę – komentuje Tadeusz Nyczek, pisarz, pedagog, polonista i krytyk teatralny, serdeczny przyjaciel Teatru STU. *Hamleta* zagrał wtedy Radosław Krzyżowski w dublurze z Krzysztofem Zawadzkiem. Dwie dekady temu o inscenizacji dzieła Szekspira pisano, że to jedno z najlepszych przedstawień Teatru STU i hit obecnego sezonu teatralnego pod Wawelem. Dziesięć lat później w roli duńskiego księcia wystąpił Krzysztof Kwiatkowski w dublurze z Michałem Mikołajczakiem. *Hamlet* wrócił też w tym sezonie – 31 października inscenizacja obchodziła 20. urodziny. Z tej okazji na scenie STU pojawiło się ponad 40 artystów, którzy przez ostatnie dwie dekady brali udział w przedstawieniu. *Hamletem* był po raz pierwszy Robert Ciszewski.

– W najśmielszych marzeniach nie zakładaliśmy, że fenomen tego przedstawienia będzie trwać 20 okrągłych lat, a widzowie nadal tak licznie będą wypełniali naszą widownię. Pomimo upływu lat odpowiedź na pytanie „być albo nie być?” pozostaje oczywista. A dzięki nowemu pokoleniu artystów, kolejne pokolenie widzów może doświadczyć tego ponadczasowego dzieła w tej widowiskowej formie – komentuje Jasiński.

Dotychczas na Scenie STU pojawił się również szekspirowski *Król Lear* z Danielem Olbrychskim i Mariuszem Saniternikiem na zmianę w roli głównej oraz *Wiedźmy* oparte na motywach *Króla Leara*, *Hamleta*, *Burzy*, *Makbeta*, *Snu nocy letniej*, *Romea i Julii* oraz *Ryszarda III*. Znakomitą kreację – chciałoby się powiedzieć: najpotężniejszej wiedźmy ze wszystkich wiedźm, stworzyła Beata Rybotycka, prywatnie żona Krzysztofa Jasińskiego, związana ze STU od 1990 roku (zadebiutowała wtedy w *Panu Twardowskim* w reżyserii męża).

#### **Andrzej Zaucha na kogucie**

Dwa lata wcześniej, w sierpniu 1988 roku do rodziny STU (to ważne dla teatru pojęcie wyjaśnię później) trafił Marek Hoinkis, dziś kierownik Działu Administrowania Mieściem Teatru STU. – Znalazłem ogłoszenie o pracy dla rekwizytora. Chociaż chciałem być aktorem – skończyłem nawet Państwowe Studium Kulturalno-Oświatowe w Kaliszu ze specjalizacją teatralną – pomyślałem, że najpierw poznam teatr od drugiej, bardziej technicznej strony. Od razu rzucono mnie na głęboką wodę – dwa dni po moim przyjęciu miałem sprawdzić się w spektaklu *Kto się boi Virginii Woolf?* w reżyserii Mikołaja Grabowskiego. Od odchodzącego rekwizytora usłyszałem: Tu masz to, tam masz tamto, pamiętaj, że szklanka ma stać w odpowiednim miejscu. Byłem przerażony, ale podołałem. Zagraliśmy dziesięć spektakli, po których już wiedziałem, że wolę być nie na scenie, a za kulisami – wspomina kierownik.

Zakulisowa praca również wymagała od niego wcielania się w wiele różnych ról. Hoinkis był więc w STU rekwizytorem, inspicjentem, potem kierownikiem administracyjnym i kierownikiem Ośrodka Poszukiwań Teatralnych STU w Ochodzy.

Dzięki wieloletniej obecności w rodzinie STU anegdotami sypie jak z rękawa. – Pracowałem jako inspicjent przy *stus Panach Twardowskich*, musicalu Włodzimierza Jasińskiego i Janusza Grzywacza w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego. 101 spektakl pozwoliłem sobie obejrzeć od strony publiczności. Trwała akurat scena, w której Andrzej Zaucha siedział na kogucie, a chwilę potem miał wznieść się w górę. Zadaniem zastępującego mnie na moment brygadzysty było naciśnięcie jednego guzika. Patrząc na scenę i jestem przekonany, że wszystko gra – Andrzej siedzi na kogucie,

który jest zaczepiony na dwóch linach. Pojawiają się dymy, lasery, grają światła, aktor wznosi się, scena wygląda spektakularnie. Nagle zdaję sobie sprawę, że kogut nie chce się zatrzymać, a Andrzej wisi już pod samym sufitem. Błyskawicznie znalazłem się za kulisami i uratowałem Zauchę przed wypadkiem. – Panie Andrzejk, to się więcej nie powtórzy! – zapewniłem błady. – Panie Mareczku, dobrze, że ja taki niski jestem, bo byście mnie w sufit wgnietli – odpowiedział mi Zaucha.

niedokładnie. Postanowił maksymalnie je zżyć. Darek o tym nie wiedział i kiedy jak zwykle chciał się powiesić, pętla naprawdę zacisnęła mu się na szyi. Dyrektor Jasiński natychmiast przerwał spektakl i odciął aktora. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło – wspomina Hoinkis.

Niestety, Dariusza Gnatowskiego już na Scenie i w rodzinie STU nie zobaczymy. Aktor zmarł niespodziewanie 20 października 2020 roku na COVID-19.



*Szalona lokomotywa*, Zofia Niwińska, Krzysztof Jasiński (zdjęcie z próby), 1977, fot. Jacek Bogucki

### Niebezpieczne cingulum

O tym, że aktorstwo to niebezpieczny zawód, przekonał się też Dariusz Gnatowski, wieloletni aktor STU, niezapomniany Arnold Boczek ze *Świata według Kiepskich*. Debiut teatralny Gnatowskiego przypadł na 20 grudnia 1986 roku, a zatem dzień symboliczny dla rodziny STU (o tym również później). Aktor wcielił się wtedy w rolę Mieczysława Walpurga w dramacie *Wariat i zakonnica* Witkacego w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego. Spektakl grano z przerwami 35 lat. – Finał sztuki to scena, w której Mieczysław Walpurg wiesz się na lampie. Rekwizytem służącym do powieszenia było spięte damską zszywką cingulum. Spinałem je delikatnie dla bezpieczeństwa. Darek wiesział się, a potem swobodnie odpinał. Kiedy byłem na urlopie, zastępował mnie inny pracownik, który przygotowując rekwizyty stwierdził, że cingulum jest spięte

### Teatr przyjazny dla zwierząt

W STU debiutowały też zwierzęta. Podczas benefisu Jerzego Nowaka na scenie obecna była kura. W jednym ze słynnych benefisów Teatru STU miał zagrać boa dusiciel. Ale nie zagrał, bo... przespał swój występ. – Benefis był realizowany jesienią, a więc było ciemno, zimno, gnuśno... Nic dziwnego, że artyście zachciało się spać – żartuje Hoinkis.

Epizodyczną rolę miały zagrać barany, ale ostatecznie ich nie było. Popisowym numerem miał być koń. – W finale jednego z benefisów wjeżdżała na nim striptizerka. Ale bezapelacyjne pierwsze miejsce na tej liście zdobyły u nas zwierzęta spod znaku szczura. I nie chodzi tu o chiński horoskop, lecz o prawdziwe laboratoryjne szczury, które pod wykwalifikowanym okiem opiekunów i treserów grały swoją życiową rolę w scenie z *Hamleta*. Piski i okrzyki widzów były jedyną owacją dla małych aktorów.

### Dwó̄r pēten inspiracji

Choć STU miało juŹ siedzibę, pod koniec lat 70. minionego wieku artyści postanowili ponownie wyruszyæ poza Kraków. W klasycystycznym dworze w Ochodzy, 30 kilometrów na południowy zachód od stolicy Małopolski, grupa stworzyła Ośrodek Poszukiwań Teatralnych. – Działała tam regularna scena o wielkości zbliŹonej do tej przy Krasieńskie-go, organizowaliśmy okazjonalne spotkania i konferencje naukowo-artystyczne, dyrek-



*Wariat i zakonnica*, Halina Wyrodek, Dariusz Gnatowski, Andrzej Róg, 1986, fot. Archiwum STU

tor Jasiński prowadził teŹ stajnię, dzieki której goście dworu mogli uczyæ się jazdy konnej. Ochodza była wyjątkowa – artyści pracowali w odosobnieniu od świata zewnętrznego, byli niezwykle skupieni na pracy. Spektakle powstawały w niecałe trzy tygodnie. Lubiłem podglądaæ aktorów podczas prób. Odbywały się nie tylko na scenie, ale teŹ na przykład podczas obiadu w salonie czy przy kominku. Dwó̄r w Ochodzy był niezwykle inspirującym miejscem – wspomina Hoinkis. Jednym ze zrealizowanych tu spektakli był *Kubuś Fatalista* Zbigniewa Zapasiewicza. W Ochodzy odbywały się równieŹ spotkania artystów po benefisach największych polskich gwiazd, między innymi Skaldów. Dwó̄r w Ochodzy naleŹał do STU do 1997 roku.

### Chcę tak jak oni!

W 2016 Krzysztof Jasiński ogłosił sukcesję, a w 2019 roku dyrektorem Sceny STU został

związany z nią od 22 lat Krzysztof Pluskota. Pierwsze jego wspomnienie związane z teatrem Krzysztofa Jasińskiego? – Pamiętam do kładnie. Byłem jeszcze w liceum i ani trochę nie czułem powołania do aktorstwa. Do czasu, aŹ w Teatrze Telewizji obejrzałem dwa spektakle: *Opis obyczajów* oraz *Scenariusz dla trzech aktorów*, oba w reŹyserii Mikołaja Grabowskiego, oba transmitowane ze sceny Teatru STU. Te sztuki mną wstrząsnęły i wzbudziły we mnie niepokój. Zacząłem dociekaæ, zainteresowałem się bohaterami i teatrem samym w sobie. Nie mialem nic przeciwko, gdy polonistka zgłosiła mi na konkurs recytatorski... W 1994 roku obejrzałem trzeci poruszający spektakl *Niech Źyje śmieræ, czyli trzy zdania o umieraniu* Quasi-Kabaretu Rafała Kmity. Chcę być tacy jak oni! – pomyślałem i postanowiłem, Źe spróbuję zdaæ do szkoły teatralnej. Jeszcze wtedy nie do końca rozumialem, czym jest Teatr STU, ale obsesyjnie myślałem o tym, by kiedyś stanąć na jego deskach. Po maturze dostałem się do krakowskiej PWST. Studiowałem, a w wolnych chwilach chodziłem do Teatru STU. I tylko tutaj, bo grano wtedy spektakle Bogusława Schaeffera, które w liceum tak mnie poruszyły. *Scenariusz dla trzech aktorów* obejrzałem siedemnaście razy, *Kwartet* ze dwadzieścia. Teksty znałem na pamięæ, cytowałem je bez zająknięcia. Na drugim roku szkoły teatralnej podszedł do mnie kolega z czwartego roku i powiedział: „Słuchaj, występuję w kabarecie Rafała Kmity. Nie mogę zagraæ za mieciec w spektaklu, mógłbyś mnie zdublować?”. Natychmiast zacząłem się przygotowywaæ. W noc poprzedzającą występ zadzwonił inny kolega z tego samego kabaretu i poprosił o dublurę w jeszcze jednej roli. Tak w kwietniu 1999 roku jednego dnia spełniłem dwa marzenia równocześnie. Zadebiutowałem na scenie STU i to w spektaklu *Wszyscyśmy z jednego szynela* Grupy Rafała Kmity. Do dziei wspominaam mój debiut jako magiczny – wzrusza się Pluskota.

### Niespodziewany uścisk dłoni

Z magią aktor serdecznie się zaprzyjaźnił. Bo jak inaczej wytłumaczyæ, Źe po 17 latach od debiutu Krzysztof Jasiński uczynił go swoim sukcesorem w STU? Do nominacji doszło podczas spotkania jubileuszowego z okazji 50-lecia teatru w krakowskim magistracie. Dyrektor Jasiński ujawnił nazwisko następcy w niekonwencjonalnym stylu. Powiedział: „Za chwilę uścisknę dłoń jednej z osób tu obecnych, prosząc, by wybaczyła mi ten stres, na jaki ją naraŹam. Nie wiem, czy osoba, do której się teraz zwrócę, nie powie mi, Źe coś mi się poprzekręcało w głowie. Ryzyko jest wyłączenie po mojej stronie. Apeluję do was, byście wsparli mojego nowego dyrektora, by dzierŹył sztandar teatru wysoko w górze”. Po czym opuścił mównicę, by podejść i uściskaæ dłoń Krzysztofa Pluskoty.

Ten wspomina, Źe był w cięŹkim szoku, co zresztą nie uszło uwadze zgromadzonych. – Nikt nie wiedział, kto zostanie nowym

dyrektorem. Ba, nazwiska nie znała nawet żona dyrektora Jasińskiego, aktorka STU, Beata Rybotycka. To było perfidnie zaplanowane...

### **Pluskota: STU to mój dom**

W nauce nowych obowiązków pomogła mu rodzina STU. – Nigdy nie myślałem o sobie w kontekście zajmowania jakiegoś stanowiska. Od pierwszego dnia w STU byłem szczęśliwy tylko dlatego, że mogę tu być. Wiele razy świadomie rezygnowałem z intratnych propozycji, na przykład telewizyjnych, tylko dlatego że kolidowały mi z pracą w STU. Występowałem na licznych scenach, robiłem różne dziwne rzeczy, ale zawsze myślałem o sobie, jako o facecie, który jest przynależny temu miejscu. STU to mój dom, mój Vaterland, mój Heimatland. A tu nagle mam być dyrektorem...! Nowej roli uczyłem się przy wsparciu dyrektora Jasińskiego, współdecydowałem o sprawach artystycznych, obsadowych czy programowych. Po trzech latach usłyszałem od niego: „Jesteś gotowy, by pokierować Sceną STU”.

### **Tradycje rodziny STU**

Wszyscy, którzy pracują w teatrze, podkreślają, że STU to rodzina. – Do teatru przyciągnęła mnie fascynacja artystyczna, ale tym, co mnie w nim zakotwiczyło, jest rodzina STU. To nasza wielopokoleniowa wspólnota, grupa bliskich sobie ludzi. Wszyscy członkowie rodziny STU dbają o nasz wspólny dom, nastrój, budynek, gaszą światło w łazience, dążą do tego, by dobrze nam się razem żyło. Do rodziny należą też oczywiście widzowie, bez nich STU nie byłoby tym, czym jest – podkreśla Pluskota.

Najważniejsze daty dla rodziny STU? 20 grudnia – dzień, w którym wszyscy obecni i byli aktorzy oraz pracownicy spotkają się na teatralnej wigilii. – Pierwsza wigilia STU odbyła się w 1967 roku na ulicy Brackiej 15. To było zwykłe spotkanie opłatkowe, ale trwało długo, bo w tym roku wygraliśmy Grand Prix na festiwalu w Zagrzebiu i nie mogliśmy się rozstać. Do dziś spotykamy się właśnie 20 grudnia i wspominamy, żartujemy, kolędujemy, dzielimy się opłatkiem. Jesteśmy razem – mówi Jasiński.

O znaczeniu tradycji rodziny STU opowiada Tadeusz Nyczek: „Tak pilnie przestrzeganych wspólnotowych rytuałów nie spotkamy bodaj w żadnym innym teatrze, mimo że na przykład wigilia bywa świąteczną okazją do spotkań w każdym ludzkim zespole biurowym, redakcyjnym czy firmowym. Ale STU ma swoje osobne obyczaje. Często zdarza się, że właśnie w wigilię, nie mówiąc o urodzinach, daje nową premierę”.

Dyrektor Pluskota podkreśla, że członków rodziny STU łączy tak duża więź, iż choćby ktoś miał dotrzeć na wigilię z drugiego końca Polski, a nawet świata, to dociera. Przez ostatnie 55 lat nie odbyło się tylko jedno spotkanie

opłatkowe – ubiegłoroczne, któremu przeszkodziła pandemia koronawirusa. – Nawet stan wojenny nas nie zamknął... – zaznacza dyrektor Jasiński.

Jak dołączyć do rodziny STU? – pytam dyrektora Pluskotę. – Wystarczy się zakochać i zostać pokochanym.

### **Pod ramię z Wyspiańskim**

Pięć lat temu, z okazji 50-lecia Teatru STU, Krzysztof Jasiński dokonał spektakularne-



*Hamlet*, Krzysztof Globisz (Klaudiusz), 2000, fot. Ryszard Kordecki

go wyczynu. *Wesele*, *Wyzwolenie* i *Akropolis* Stanisława Wyspiańskiego połączył w jeden *Tryptyk zamknięcia*. I było to pierwsze spotkanie dyrektora z legendą polskiego teatru. „Skoro pomieściliśmy *Króla Leara* Szekspira, poradzimy sobie z Wyspiańskim” – komentował dyrektor. Tak zaczęło się *Wędrowanie* według Wyspiańskiego – premiera odbyła się 11 listopada 2014 roku, kilka tygodni później (17 stycznia 2015 roku) Jasiński pokazał go w Teatrze Śląskim im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. Po roku wędrowania tryptyk powrócił na deski STU i zakończył podróż. W historycznym spektaklu grali: Beata Rybotycka, Monika Kępka, Dorota Kuduk, Agata Myśliwiec, Ewa Porębska, Anna Szymańczyk, Marcel Borowiec, Grzegorz Gzyl, Robert Koszucki, Radosław Krzyżowski, Krzysztof Kwiatkowski, Michał Meyer, Grzegorz Mielczarek, Michał Mikołajczak, Krzysztof Pluskota,

Andrzej Róg, Wojciech Skibiński, Rafał Szumera, Jerzy Trela, Wojciech Trela, Mariusz Witkowski, Marcin Zacharzewski, Krzysztof Zawadzki oraz muzycy: Piotr Grząślewicz i Marcin Hilarowicz.

#### Uczniowie mistrza

Głównym reżyserem STU jest Krzysztof Jasiński. Nie oznacza to jednak monopolu. Spektakle reżyseruje też Krzysztof Pluskota. Wśród jego realizacji wymienić można zna-

„Scenariusz ułożyłem z piosenek, tekstów dramatycznych oraz z wierszy Jerzego Przybory. Jest dynamicznie, śmiesznie i lirycznie. Całość tworzy fabularną historię o sześciu postaciach” – opowiadał reżyser.

W STU reżyseruje także Marek Gierszał, którego spektakl *Kogut w rosole* według tekstu Jokica cieszył się niesłabnącym wzięciem publiczności przez ponad 10 lat. W repertuarze pozostaje również przedstawienie *Firma* dzięki w jego reżyserii.



*Biesy*, (od lewej) Urszula Grabowska, Anna Tomaszewska, Beata Rybotycka, Krzysztof Pluskota, Grzegorz Mielczarek, fot. Paweł Nowostawski

komite *Śluby panieńskie* Fredry z 2017 roku i *Balladynę* Słowackiego, której premiera odbyła się 20 października 2019. Od kilkunastu lat do rodziny STU należy Artur „Baron” Więcek, reżyser i scenarzysta. W ubiegłym roku wystawił na scenie STU *Ci co mnie niosą* Sławomira Mrożka. Nie sposób też zapomnieć o jego *Pilchu*, czyli *Innych rozkoszach* z 2016 roku oraz *Wariacjach Tischnerowskich. Kabarecie filozoficznym* (rok 2009), spektaklu opartym na słynnej *Filozofii po góralsku* ks. Józefa Tischnera, pozostającym ciągle w repertuarze.

Jednym z najmłodszych reżyserów, którzy debiutowali w STU, jest Łukasz Fijał. Premiera spektaklu *Dom wyobraźni* na podstawie tekstów Jeremiego Przybory i muzyki Jerzego Wasowskiego odbyła się w maju 2018.

#### Songi Teatru STU

Tegoroczny, jubileuszowy, 55. sezon STU rozpoczęły trzy premiery. Pierwsza odbyła się w 100. rocznicę urodzin Stanisława Lema – był to spektakl *L do L* na podstawie listów Stanisława Lema do Ewy Lipskiej w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego. 18 września widzowie mogli obejrzeć dowcipną sztukę Nadieżdy Ptużkiny *Kiedy sobie znowu umierała* w reżyserii Mirosława Gronowskiego. W listopadzie, w 103. rocznicę urodzin Leopolda Kozłowskiego, STU wystawiło muzyczny portret ostatniego klezmera Galicji autorstwa Jacka Cygana ze Zbigniewem Zamachowskim w roli głównej.

Plany STU na drugą połowę jubileuszowego sezonu? – W przyszłym roku 80. urodziny i 60-lecie pracy artystycznej obchodzi Jerzy

Trela, senior rodziny STU. 20 lutego 2022 roku, w 56. urodziny STU, odbędzie się premiera *Szewców* według Witkacego w reżyserii Krzysztofa Jasińskiego. Na marzec zaplanowaliśmy muzyczne podsumowanie 55 lat działalności STU, czyli *Songi Teatru STU*. Żaden polski teatr nie może się pochwalić tak bogatą historią muzyki jak STU. To tutaj do lat 90. działało największe i najbardziej nowoczesne studio nagrań w Europie Wschodniej. W STU nagrywał Maanam, Lady Punk

teatrem spełnionym, który miał swój początek, środek i kulminację. Ja czuję się spełniony poprzez *Tryptyk zamknięcia* na 50-lecie STU, który zagraliśmy 50 razy. Teraz wszystko przed nami, być może jakąś rolę odegra pandemia, która już zmusiła nas do zmiany. Respektujemy ją, poznajemy, otwieramy się na nowe. Rodzinie STU życzę natomiast mądrych wnuków. Nasza rodzina to nie pusty slogan, a bliska sobie wspólnota, która cały czas się rozrasta. Życzę nam też dostrzegania



*Wesele*, Grzegorz Mielczarek, Agata Myśliwiec-Grząślewicz, 2013, fot. Jacek Wrzesiński

czy Izabela Trojanowska. Dla STU komponowali i śpiewali najlepsi, chociażby Krzysztof Szwejgier, Jan Kanty Pawluśkiewicz, Marek Grechuta, Andrzej Zaucha, Zbigniew Wodecki, Janusz Grzywacz, Janusz Stokłosa i wielu innych. Utwory związane z historią STU – zarówno najstarsze, jak i najmłodsze – zaprezentuje 16 wokalistów wybranych z 470 chętnych – zdradza Pluskota. Jasiński podkreśla: *Songi Teatru STU* to historyczny spektakl muzyczny – we wspaniałej grupie uzdolnionych artystów zaśpiewamy piosenki najważniejszych twórców STU.

#### **Sto lat STU!**

Czego życzy Pan sobie i rodzinie STU na kolejne 55 lat? – pytam dyrektora Jasińskiego. Mówi: – Teatr STU w swojej historii jest

sensu życia w sztuce – kiedy, tak jak dziś, nauka i religia mają kryzys, sztuka może pomóc w odpowiedzi na pytanie, jak żyć.



**Marta Gruszecka** – dziennikarka z lekkim piórem i łębskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchoać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.

Ukształtowały mnie dwa ważne spektakle STU, *Spadanie* i *Exodus*, a potem ważne było dla mnie wiele kolejnych. Starłem się więc zawsze pomagać temu teatrowi, gdy tego potrzebował: najpierw jakoś go wsparłem jako wojewoda, a później, już jako prezydent, doprowadziłem do tego, że stał się miejską instytucją kultury. I dziś, kiedy mam tylko wolny czas, chętnie idę do STU.

*Prof. Jacek Majchrowski (prezydent Krakowa)*

Moje dorosłe życie to równoległy tor, po którym zasuwa *Szalona Lokomotywa* wraz z teatrem STU, a jedno z pierwszych moich mocnych teatralnych doznań jako ucznia liceum to *Exodus* w Barbakanie, gdzie nie można było się oprzeć wdziękowi pięknej nagiej aktorki.

*Jerzy Meysztowicz (przedsiębiorca, polityk)*

STU bardzo lubię i szanuję.

*Jan Kanty Pawluśkiewicz (kompozytor)*

Wielki podziw i szacunek dla STU za nieustający niepokój twórczy, niezależność i absolutny profesjonalizm.

*Paweł Nikliński (Targi w Krakowie)*

55 lat jestem wiernym widzom STU i czekam na każdą premierę, która jest zawsze dla mnie niespodzianką, przeżyciem i świętem.

*Anna Stafiej (miesięcznik „Kraków”)*





Łucja Kłańska-Kanarek, *Anioł styczniowy*

# Michał Głowiński

## Tęgie głowy

Tytułowe *Tęgie głowy* to osoby, które w sposób szczególny przyczyniły się do rozwoju polskiej humanistyki. Profesor Michał Głowiński, wybitny historyk i teoretyk literatury, postanowił przypomnieć sylwetki bliskich mu na różnych etapach życia myślicieli, naukowców, literaturoznawców, pisarzy, ale też działaczy społecznych czy po prostu ludzi o wyjątkowych osobowościach. Jak przyznaje we wstępie do wydanego przez Wielką Literę tomu, szkice poświęcone ludziom, którzy mieli na niego wpływ, tworzył nie z myślą o publikacji, tylko o szufladzie. Przed 1989 rokiem nie chciał, by ingerowała w nie cenzura. Później pomyślał, że mógłby czuć się skrzepowany koniecznością powściągnięcia pióra, którym opisywał przecież ludzi już nieżyjących. Szczęśliwie zmienił zdanie i światło dzienne ujrzało 58 portretów takich postaci jak Miron Białoszewski, Irena Sendlerowa, Stanisław Barańczak, Jan Józef Lipski, Teresa Torańska... Ich biografie obfitują w ważne wydarzenia, które autor pokazuje od kulis, nierzadko ujawniając nieznanne szczegóły. Jak choćby w wypadku prof. Jana Błońskiego, któremu poświęcony rozdział z czytawistych dla „Krakowa” względów tu przytaczamy. (red.)

## Jan Błoński (1931–2009)

Działalność krytycznoliteracką zaczął w bardzo młodym wieku, bodaj w roku 1949. Uczeń Wyki, debiutował na łamach redagowanej przez niego jeszcze wówczas „Twórczości”. Był jednym z czwórki znakomitych krytyków – jego magistrantów – obok Ludwika Flaszena, Andrzeja Kijowskiego i Konstantego Puzyny. W latach, na jakie przypadły moje studia, a więc w pierwszej połowie szóstej dekady XX wieku, był już autorem rozpoznawalnym, na jego nazwisko, jak też na publikacje, chyba niejednym raz się natknąłem. Nie był z tej czwórki znany najszerzej, prym wówczas wiodł Flaszen jako autor artykułu *Nowy Zoil, czyli o schematyzmie*, ogłoszonego w roku 1952 w „Życiu Literackim”; artykuł ów zdobył rozgłos jako pierwsza, nieznacznie tylko zakamuflowana krytyka realizmu socjalistycznego, pisana niby z pozycji zwolennika, a w istocie bezlitośnie go demaskująca, mimo widocznego łudzenia despoty, uosobionego w postaci cenzora. Nie pamiętam publikacji Błońskiego z tamtych lat, była pełnia stalinizmu i każdy, kto cokolwiek ogłaszał drukiem, musiał się dostosowywać do rygorystycznie egzekwowanych wymagań ideologicznych. Robił to niewątpliwie także on, ale z całą pewnością nie można go określić jako krytyka socrealistycznego, nawet gdy się ma na uwadze jego twórczość z lat najdawniejszych.

Raczej starał się postępować tak, by omijać to, co oficjalnie popierane i nakazane, szukał zatem dziedzin, w których literatura była czymś innym niż tylko służką propagandy. Mimo wszystko, oczywiście, skazywało go

to na daleko idące kompromisy, ich uniknąć nie mógł.

W późnym wywiadzie, udzielonym Krystynie i Stefanowi Chwinom, powiedział, że w tym początkowym okresie zajmował się twórczością Gałczyńskiego i Mieczysława Jastruna, bo z publikujących wówczas poetów tylko oni zachowywali pewne standardy literackie.

Były to dla krytyki lata wyjątkowo trudne, w istocie powstały warunki, jakie ją uniemożliwiały. W Polsce Ludowej nie było łatwo zajmować się krytyką literacką, stanowiła sferę działalności o wiele bardziej narażoną na interwencje ideologiczne niż historia czy teoria literatury. Decydowały o tym różne względy: siła nacisków politycznych, to, co się działo w życiu literackim, nieustannie podlegającym rozmaitemu rodzajowi ograniczeniom, a także – w niektórych latach przynajmniej – jego marność. Jak każdy, kto ogłaszał swoje teksty, Błoński skazany był – głównie na początku – na różnego typu uległości, ale zwłaszcza w dojrzałej twórczości pisał tak, jakby nie przyjmował do wiadomości PRL-owskich wymagań i realiów. Tak zakreślał rejony swojej działalności, by zawsze pozostawać sobą. I to mu się w imponujący sposób udawało. Opinia, że jest najwybitniejszym krytykiem literackim tego pokolenia, które zaczynało krótko po wojnie, więcej, najwybitniejszym polskim krytykiem działającym w drugiej połowie XX wieku, jest moim zdaniem w pełni uzasadniona. Najlepszym, który przyszedł po generacji Wyki i Sandauera, tym, z kim nikt z rówieśników

i młodszych nie może iść w paragon. Kiedy przyszło mi pisać dla „Tygodnika Powszechnego” artykuł po jego śmierci, nie miałem wątpliwości, że mogę go zatytułować „Wielki krytyk”.

Nie pamiętam, kiedy Janka poznałem osobiście, zanim wszakże to się stało, miałem okazję nie tylko czytać jego teksty, ale także kilkakrotnie go widzieć. Tu muszę wspomnieć o fakcie, jaki przypominam niechętnie. Ogłosiłem w „Twórczości” nietrafną, a może po prostu głupią recenzję jego książki *Poeci i inni*. Miałem wtedy poglądy radykalnie formalistyczne i z tego punktu widzenia ze szczeniackim fanatyzmem oceniałem ten zbiór szkiców. Oczywiście tego rodzaju kryteria, bardzo scjentyficzne w duchu, były rażąco nieodpowiednie.

Nie wiem, czy mi wybaczył to niemądre, czepialskie omówienie, nigdy z nim na ten temat nie rozmawiałem. Dziesięć lat później w tejże „Twórczości” pisałem o jego znakomitej książce o Sępie Szarzyńskim i tę już w pełni doceniłem, wiem, że z tej recenzji był zadowolony. Widziałem go kilkakrotnie w czasie jakichś dyskusji literackich – w Związku Literatów Polskich, w Klubie Krzywego Koła; na jednym z zebrań był prelegentem. Utkwił mi w pamięci jego odczyt na temat polskiej literatury współczesnej w centrum Polskiej Akademii Nauk na rue Lauriston w Paryżu. Janek był dzięki babce, rodowitej Francuzce, dwujęzyczny, mówił po francusku jak po polsku, nie sprawiało mu różnicy, którym językiem się posługuje. Śmieszność sytuacji polegała na tym, że słuchaczami tej francuskiej prelekcji byli wyłącznie Polacy, żaden Francuz nie zaszczylił jej swoją obecnością. W czasie tak zwanej lampki wina przez chwilę z Jankiem rozmawiałem, wymieniliśmy dwa albo trzy zdania, ale jako osoba anonimowa. Nie przedstawiłem się, może dlatego że się bałem, że po tej niefortunnej recenzji sprzed kilku lat nie będzie chciał ze mną rozmawiać i spotka mnie afront. Błoński wydawał mi się człowiekiem z wielkiego francuskiego świata, pewnym siebie, świetnie osadzonym we francuskich realiach, a ja czułem się jak zakompleksiony, przerażony prowincjusz. Ów odczyt odbył się na początku mojego pobytu w Paryżu, na przełomie lutego i marca 1963 roku.

Janek przez długie okresy przebywał za granicą, głównie we Francji. Bliższa znajomość, a potem przyjaźń, wywiązała się po jednym z jego powrotów w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, wtedy właśnie krótko pracował w Instytucie Badań Literackich, zanim przeniósł się na Uniwersytet Jagielloński (mieszkał w Krakowie). Z tego czasu zapamiętałem dość dziwny epizod: po jakimś zebraniu zapytał mnie w tonie egzaminacyjnym: Czy wie pan (jeszcze wtedy nie mówiliśmy sobie po imieniu), kto to był Théophile de Viau? Zaskoczony, odpowiedziałem poprawnie. Nie sądzę, że chodziło o upokorzenie mnie w przypadku, gdybym o tym francuskim poecie nie słyszał. Był to element pewnej gry, ironicznej, ale też

autoironicznej, którą Janek w różnych okolicznościach prowadził; wystąpił w roli belfra, mnie zaś wyznaczył rolę ucznia poddanego sprawdzianowi. Mówiąc krótko, była to gombrowiczada, w ten sposób też ją potraktowałem. Takich lub podobnych gombrowiczad w sposobie bycia Janka było dużo.

Mogłem się o tym przekonać w czasie naszych licznych kontaktów w ciągu następnego ćwierćwiecza. Był człowiekiem serio, ale nieobca była mu zabawa czy nawet – niekiedy – błazenada. Wiedział, kiedy może sobie na nią pozwolić; nigdy nie była czymś niestosownym.

Sposobności do spotkań powstawało wiele. Janek był pierwszym redaktorem naczelnym dwumiesięcznika „Teksty”, zapraszał mnie do ogłaszania w nim moich rzeczy. Kiedyś wspólnie się zastanawialiśmy, jak podredagować mój artykuł o peryfrazach współczesnych, by nic istotnego w nim nie zmieniać, a równocześnie nadać mu taką postać, by cenzura go nie zakwestionowała. Spotykałem Janka na różnego

W Polsce Ludowej nie było łatwo zajmować się krytyką literacką, stanowiła sferę działalności o wiele bardziej narażoną na interwencje ideologiczne niż historia czy teoria literatury. Jak każdy, kto ogłaszał swoje teksty, Błoński skazany był na różnego typu uległości, ale zwłaszcza w dojrzałej twórczości pisał tak, jakby nie przyjmował do wiadomości PRL-owskich wymagań i realiów.

rodzaju sesjach, w tym także na tak zwanych lutowych konferencjach teoretycznoliterackich, w których z chęcią uczestniczył, choć teorią literatury się nie zajmował, czy na konferencji muzykologicznej w Baranowie w roku 1979, na którą przyjechał z żoną. Niezapomnianym wydarzeniem była wspólna wycieczka do Wilna w roku 1967, a także spotkanie w Holandii z okazji stulecia urodzin Witkacego. To właśnie Janek poprosił mnie o recenzowanie prac doktorskich Józefa Opalskiego i François Rosseta. Obszerna korespondencja między mną a nim (właśnie ją uporządkowałem) świadczy o tym, że kontaktowaliśmy się często i w przyjacielskim tonie.

Muszę jednak wspomnieć o tym, co na relacje między nami rzuciło cień. Ówczesna kierowniczka redakcji romanistycznej Państwowego Instytutu Wydawniczego Irena Wachlowska zaproponowała mi opracowanie wyboru esejów Georges’a Pouleta i poprzedzenie go wstępem. Kilka lat po powrocie z Paryża nieźle się orientowałem w tym, co się dzieje we francuskiej krytyce literackiej, a więc chętnie się tego zadania podjąłem. Zapytałem, jakie

są oczekiwania wydawnictwa, i projekt wyboru w umówionym terminie przedstawiłem. Nastał marzec, pani Wachlowska powiadomiła mnie, nie ukrywając zażenowania, że autorytatywny recenzent – wywnioskowałem, że był nim Maciej Żurowski – orzekł, że książka taka w moim opracowaniu będzie szkodliwa społecznie. Domyślałem się, że chodziło tu nie tyle o mnie, ile o IBL, przeciw któremu pewna grupa pracowników Uniwersytetu Warszawskiego, w tym także ten romanista, prowadziła ostrą kampanię na wszystkich możliwych frontach, zmierzając również ku temu, by ograniczyć działania Instytutu. Sprawa usnęła, zapomniałem o niej. Po latach z PIW-u nadeszła korekta tomowi Pouleta, na karcie tytułowej było moje nazwisko jako autora wyboru, mimo że różnił się on od pierwotnego (był znacznie obszerniejszy), autorem wstępu zaś był Błoński. Zrobienia korekty odmówiłem, bo nie było powodu, bym się nią zajmował, poprosiłem też o pominięcie mojego nazwiska jako tego, kto wybór przygotował. Wydawnictwo zaproponowało kompromis, umieszczono nazwiska nas obu. Nieświadomy czytelnik mógłby sądzić, że to dowód naszej bliskiej współpracy, było wszakże odwrotnie, tom ów – paradoksalnie – jest świadectwem braku współpracy. Do Janka nie miałem i nie mam pretensji o to, że się ostatecznego opracowania tomowi Pouleta podjął (ukazał się w świetnej serii *Biblioteka Krytyki Współczesnej* w roku 1977), tym bardziej że byłem świadom, iż w sprawach francuskich jest dużo bardziej kompetentny ode mnie, to jednak, że mnie o tym nie powiadomił, uznałem za akt nielojalności. Nigdy ze mną na ten temat nie rozmawiał – i do dzisiaj nie wiem, czy mam fakt ten interpretować jako wynik zaniedbania czy też oznakę pewnej małości, od jakiej nie był wolny, co niekiedy ujawniało się także w innych sytuacjach. Nie wykluczam, że w grę wchodziło i jedno, i drugie.

W sumie był to niewielki epizod, który nie zaważył na moim stosunku do Janka. Niezmiennie podziwiałem go jako człowieka o wyjątkowej inteligencji, łączącego wspaniałą inwencję i dociekliwość z błyskotliwością i dowcipem. Miał dar godny pozazdrosczenia – niezwykłą przenikliwość, umiejętność uchwycenia istoty rzeczy niezależnie od tego, co było bezpośrednim przedmiotem jego refleksji, a także od tego, czy nad czymś pracował przez lata, jak nad twórczością Witkacego i Gombrowicza, Miłosza i Mrożka, czy daną twórczością zajął się tylko raz jeden, jak to było w znakomitych pracach o poezji Norwida i Baczyńskiego, i w latach następnych do niej nie wracał. Ta niezwykła przenikliwość ujawniła się w mistrzowskiej książce o Sępie Szarzyńskim, książce imponującej i zaskakującej również z tego powodu, że ani przedtem, ani potem Błoński literaturą staropolską się nie zajmował (poza opracowaniem koncepcji i zredagowaniem zbiorowego tomu poświęconego interpretacjom utworów Kochanowskiego). Dzieło

to pisał we Francji; kiedyś mówił, że wybrał właśnie Sępa, bo jego dorobek jest niewielki, można zatem było go opisać i nad nim zaplanować wówczas, gdy nie miało się pod ręką dobrej biblioteki polonistycznej. Praca była pisana pod niewątpliwym wpływem francuskiej krytyki tematycznej, która wtedy – w latach sześćdziesiątych – przeżywała swoją świetność, a przy tym jej czołowi przedstawiciele – przede wszystkim Jean Rousset – odkrywali francuski barok, zaniedbany i zapomniany, bo główną tradycją w kulturze francuskiej był klasycyzm. Związek z rozkwitającą wówczas krytyką tematyczną w niczym nie umniejsza ani oryginalności, ani doniosłości książki Błońskiego. Była czymś więcej niż tylko znakomitym studium o wyjątkowo trudnym poecie, była jedną z tych prac, które zrewoltowały historię polskiego piśmiennictwa XVI i XVII wieku, zmieniły do niej podejście. Wpłynęła na głębsze zainteresowanie barokiem. Jacyś specjaliści w tym zakresie wypowiadają się o książce Błońskiego niechętnie. Domyślałem się, że nie chodzi o sprawy merytoryczne, ale o zwykłą zawzięć. Przykrość im sprawia, że książka tak ważna i znana wyszła spod pióra autora spoza ich kręgu.

Umiejętność uchwycenia istoty rzeczy za pierwszym podejściem ujawniła się w pracach Janka związanych z problematyką żydowską, a w istocie dotyczących relacji polsko-żydowskich. Jego pierwsza wypowiedź na ten temat, esej *Biedni Polacy patrzą na getto*, ukazała się w „Tygodniku Powszechnym” w styczniu roku 1987 i od razu stała się rewelacją. Nikt przed nim tak o tych sprawach nie pisał. Wydaje mi się, że nigdy wcześniej Janek tymi kwestiami się nie zajmował, w każdym razie publicznie, bo prywatnie mogły przyciągać jego uwagę choćby ze względu na wątki żydowskie w biografii żony. O artykule tym ogłosiłem (z okazji dwudziestej rocznicy jego opublikowania) sporych rozmiarów tekst w roczniku „Zagłada Żydów”. Chciałbym podkreślić, że sam artykuł wywołał solidarnie negatywne reakcje ze strony komunistycznej i endeckiej, stał się przedmiotem ostrych ataków tak wyznawców Lenina, jak entuzjastów Dmowskiego. Nic dziwnego, naruszył najróżniejsze tabu i stereotypy, zakwestionował usankcjonowane sposoby myślenia. Także dzisiaj jest przedmiotem ataków, podobnie jak drugi wielki esej z lat osiemdziesiątych, *Dwie ojczyzny – dwa patriotyzmy* Jana Józefa Lipskiego. Dezawuuje go prawica, w tym IPN, nie mieści się on bowiem w obrębie lansowanej obecnie wersji tak zwanej polityki historycznej. To, że do dzisiaj zachował aktualność mimo radykalnej zmiany sytuacji politycznej, że do dzisiaj wywołuje ostre reakcje, świadczy o jego wielkości. Rzadko się zdarza, by stosunkowo niewielki artykuł autora, niebędącego politykiem, przywódcą czy ideologiem, zmienił tak wiele w skali społecznej.

Zyskał zresztą także międzynarodową sławę, jako pierwszy polski głos tego rodzaju był

szeroko na świecie omawiany, przetłumaczono go na kilka języków, pisano o nim sporo w Izraelu.

Wydawać by się mogło, że Janek był człowiekiem sukcesu. Wiele na to wskazuje. Szybko zyskał znakomitą pozycję zawodową, bardzo dobrze ułożyło mu się życie rodzinne. A jednak ten żywot, na który składało się tyle spełnień, był wielce dramatyczny. Nie za sprawą ponurych czasów, w których przyszło Janekowi egzystować, historia obchodziła się z nim raczej łagodnie, nie słyszało się o okropieństwach, których miał zaznać w czasie okupacji, a także komunizm chyba nie dał mu się specjalnie we znaki. Przez lata wykładał we Francji. Powiedziałbym, że dramatyczność nosił Janek w sobie, nieszczęścia skumulowały się w jego latach ostatnich, ale pewne zapowiedzi pojawiały się w okresach wcześniejszych, choć wtedy zapewne nie przywiązywano do nich większej wagi. Zwracało uwagę już przy pierwszym spotkaniu, że miał dziwną wymowę, mówił niewyraźnie, choć nie było to ani jankanie, ani seplenienie. Nie można też było od razu nie dostrzec nerwowego tikku, osobliwego śmiechu, niemającego uzasadnienia ani w tym, co mówi, ani w zewnętrznej sytuacji, który w najmniej spodziewanych momentach przerywał tok mowy. Działo się tak również w czasie wystąpień publicznych, a miał ich Janek niemało. Prowadziło to niekiedy do przykrych nieporozumień, ci, którzy go nie znali i o tikku nie wiedzieli, przyjmowali go jako oznakę lekceważenia lub nawet pogardy. Janek był pierwszym przewodniczącym jury Nagrody Nike. W czasie uroczystości powiadomił, że nagrodę przyznano Miłoszowi za *Pieska przydrożnego*, głównym kontrkandydatem był Zygmunt Kubiak jako autor książki o mitologii greckiej. Przed wymówieniem tego nazwiska Janek swoim zwyczajem się roześmiał. Kubiak poczuł się urażony i natychmiast wraz z żoną demonstracyjnie opuścił salę. Nie wiem, czy ktoś mu potem wytłumaczył, że nie miał powodu do takiego zachowania. Opowiadano mi, że w Izraelu budził zdumienie śmiech Błońskiego pojawiający się przed słowem „Holokaust”. Wydaje mi się, że tik tym był częstszy, im Janek był bardziej zdenerwowany.

Odkąd pamiętam, Błoński skarżył się na złą pamięć. Nie chodziło tylko o utrudnienia w życiu codziennym, żalił się, że przypadłość ta utrudnia mu pracę krytyka, historyka literatury, eseisty. Z początku brałem te żale za pewien rodzaj kokieterii, w późniejszych latach trudno było nie zauważyć, że – niestety – są aż nadto uzasadnione.

Pamiętam, że w roku 2001, wracając z konferencji w Krasicy, byłem przez kilka godzin w Krakowie. Na Rynku spotkałem Janka z żoną, panią Teresą. Powiedzieli mi, że właśnie przygotowują duży wybór prac rozproszonych; od niechcenia rzuciłem uwagę, a właściwie prośbę, by nie zapomnieli o eseju o Norwidzie. Janek natychmiast stwierdził, że

niezależnie od siebie nigdy Norwidem się nie zajmował i nie opublikował o nim ani słowa. Zapowiedziałem, że zaraz po powrocie do domu przyślę mu notkę bibliograficzną. Tak zrobiłem, ten znakomity tekst został w książce przedrukowany. Wtedy już od dawna wiedziałem, że to nie są żarty. Przypadkowe spotkanie na Rynku było chyba moim ostatnim bezpośrednim kontaktem z Jankiem albo jednym z ostatnich (nie pamiętam, czy wcześniej czy później była wizyta w domu państwa Błońskich po moim odczycie w Centrum Kultury Żydowskiej na Kazimierzu). Dochodziły do mnie coraz bardziej niepokojące informacje o kondycji psychofizycznej Janka. Nie stanowiły nowości czy zaskoczenia, wiadomo było, że ulega on zmiennym nastrojom,

*Esej Biedni Polacy patrzą na getto ukazał się w „Tygodniku Powszechnym” w styczniu roku 1987 i od razu stał się rewelacją. Wywołał solidarnie negatywne reakcje ze strony komunistycznej i endeckiej, stał się przedmiotem ostrych ataków tak wyznawców Lenina, jak entuzjastów Dmowskiego. Nic dziwnego, naruszył najróżniejsze tabu i stereotypy, zakwestionował usankcjonowane sposoby myślenia.*

że ma okresy zniechęcenia, bierności, a jeśli nawet nie depresji w zdefiniowanym w medycynie sensie, to stanów w mniejszym lub większym stopniu do niej zbliżonych. Po tego rodzaju smutnych antraktach następowały zwykle okresy wielkiej aktywności, euforycznych nastrojów i działań. Około roku 1980 docierały wieści o załamaniu Janka i przeżywanym przez niego kryzysie.

Radykalnie to się zmieniło wraz z pojawieniem się ruchu solidarnościowego. O ile wiem, Janek nie był działaczem związkowym, ale był czynny, został prorektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego do spraw studenckich. Szczególną aktywność wykazywał w stanie wojennym, bronił studentów, starał się ich wydobywać z więzień i obozów internowania. Był to wspólny okres w jego życiu. Nigdy wcześniej taką działalnością się nie zajmował i tak jak w pisarstwie, gdy podejmował nowe tematy i problemy, także w tej dziedzinie od razu zademonstrował niezwykłą klasę.

Początkowo choroba nie spowodowała całkowitego wycofania się Janka z życia publicznego. Jeszcze funkcjonował, prowadził zajęcia ze studentami, coś pisał, choć większych prac już nie podejmował.

Miał dni raz lepsze, raz gorsze. Dwa wydarzenia spowodowały moje przerażenie.

W czasie rautu po uroczystości przyznania Nagrody Nike podszedłem do niego, tak jak się podchodzi do dobrego kolegi. Nie poznał mnie, był zdziwiony, że jakiś nieznajomy zwraca mu głowę. Zналиśmy się od co najmniej trzydziestu lat, to zachowanie uświadomiło mi, jak poważna jest sytuacja, choć najpierw starałem się przypisać je zmęczeniu po wielogodzinnej pracy jury. Dopiero po jakimś czasie Janek uświadomił sobie, że rozmawia z kimś, z kim od niepamiętnych czasów jest po imieniu. Drugie wydarzenie przypadło mniej więcej na ten sam czas (rok 1999). Był recenzentem doktoratu Jacka Leociaka. Napisał bardzo interesującą, wysoce kompetentną recenzję – i przyjechał na obronę. Szczęśliwie trafił do Pałacu Staszica, ale był zagubiony, nie wiedział, z jakiego powodu znalazł się w Warszawie, czego w ogóle od niego oczekują. Do obrony zostało jeszcze trochę czasu, obawialiśmy się, że nie będzie w stanie odczytać recenzji i w ogóle w sposób przytomny w obronie uczestniczyć. Koleżanki zaczęły zabawiać go rozmową, poczęstowały mocną kawą, jakoś wrócił do formy, okazało się jednak, że gdzieś zostawił teczkę (wkrótce się odnalazła). Po wszystkim odprowadziłem go na dworzec, obawiałem się, że zabłądzi bądź wsiądzie do niewłaściwego pociągu. Wtedy już jednak odzyskał animusz, zorientował się, że towarzyszę mu, by się nim opiekować, co przyjął raczej niechętnie. Jeśli nie liczyć narzekań na słabą pamięć, chyba nie orientował się w swym pogarszającym się w zastraszającym tempie stanie.

Chciałbym wspomnieć o jaśniejszym wydarzeniu z ostatniej dekady jego życia. Myślę o jubileuszu połączonym z niewielką sesją naukową, jaki się odbył w styczniu roku 2001 w Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego z okazji siedemdziesięciolecia Janka. Uroczystość miała kameralny charakter, odbywała się w sali pięknej i historycznej, ale niewielkiej, zaproszono najbliższych współpracowników i przyjaciół, w tym kilka osób spoza Krakowa (głównie specjalistów od twórczości Witkacego, ale także mnie). Wydaje mi się, że tak uroczystość pomyślano, bo nie wiedziano, w jakim stanie będzie jubilat, obawiano się, że może stać się coś nieprzewidzianego, a więc najlepiej, by było niewielu uczestników. Kraków – jak wiadomo – jest miastem lubującym się w jubileuszach, zresztą takie uroczystości także w innych miejscach, gdy ich bohaterowie to postacie znane, zwłaszcza wybitni i cenieni profesorowie, organizowane są zwykle w dużych salach. Ta kameralizacja była zatem znacząca. Janek, cały czas pod czujnym okiem pani Teresy, robił takie wrażenie, jakby był w doskonałej formie i żadne choroby go nie trapiły. Zdarzył się wprawdzie pewien drobny incydent, ale nie za jego sprawą, on zresztą zareagował znakomicie, z wielką klasą. Specjalista od filozofii Witkacego, Bogdan Michalski, potraktował uroczystość jak sesję jemu poświęconą. Zabrał głos, krytykował Błońskiego

za to, że filozofii Witkacego nie docenia i niewłaściwie ją rozumie. Ze względu na okoliczności był to wyskok niczym nieumotywowany. Przewodniczyłem temu segmentowi obrad. Nie wiedziałem, co z tym fantem zrobić, po chwili namysłu postanowiłem sprawę obrócić w żart, stwierdziłem, że doktor Michalski, zresztą mój znajomy od lat, wymyślił nowy gatunek retoryczny – polemikę jubileuszową. Janek w słowie końcowym, w którym dziękował uczestnikom i mówcom, ze szczególną atencją potraktował Michalskiego, stwierdził, że weźmie jego zastrzeżenia pod uwagę, były bowiem niezwykle istotne i interesujące. To był Błoński z najlepszych lat. Po raz ostatni takim go widziałem.

Po jubileuszu było już tylko gorzej. Dochodziły z Krakowa coraz bardziej niepokojące i coraz smutniejsze wieści. Że publikowane w „Tygodniku Powszechnym” krótkie teksty napisane zostały przed laty, syn wydobył je z domowych zakamarków, bo Janek napisać niczego nie jest w stanie. Że gdy pojawia się w miejscach publicznych, na przykład na zebraniach Polskiej Akademii Umiejętności, to zachowuje się tak, jakby niezbyt dobrze się orientował, gdzie się znajduje i kim są osoby, które się z nim witają. Podobno kiedy zmarła nagle jego żona, nie dostrzegł, co się stało, a w każdym razie nie uchwycił tego dramatycznego wydarzenia natychmiast, mimo że we wszystkich możliwych wymiarach miało dla niego znaczenie fundamentalne i w sposób decydujący określało jego codzienność. Orzeczenie lekarzy było jednoznaczne – choroba Alzheimera. Przez ostatnie lata życia wegetował w nieświadomości, nie miał kontaktu ze światem, a przy tym – jak słyszałem – przez długi czas był w całkiem dobrej formie fizycznej. Trudno mi sobie wyobrazić tego wspaniale inteligentnego, twórczego i dynamicznego człowieka w takim stanie, a także tego rosnącego i tęgiego mężczyznę, który za sprawą niesamowitego okrucieństwa losu znalazł się w położeniu małego dziecka, które niczego nie potrafi wyrazić, niczego nie rozumie i jest całkowicie uzależnione od innych. Czasem się słyszy, że ta potworna choroba nie bierze w posiadanie osób zajmujących się intensywną pracą umysłową. Przypadek Janka nie tylko nie potwierdza tej teorii, ale dobitnie jej przeczy.

# PANTEON POLSKICH HUMANISTÓW



Powikłane biografie niepospolitych  
umysłów drugiej połowy XX wieku

# Ostatnia taka jesień, ostatnie takie święta...

Tekst: Krzysztof Jakubowski

Dwudziesty rok niepodległości upływał raczej spokojnie. Po wielkim kryzysie, był to kolejny dobry dla gospodarki rok, a w polityce zagranicznej istotną zdobyczą była normalizacja stosunków z Litwą. Dopiero jesienią 1938 roku pojawiło się wzmożenie nastrojów.

Śpośród wydarzeń politycznych najwyższą rangę miała wrześniowa konferencja w Monachium. Po dokonanej w marcu aneksji Austrii, kanclerz Hitler zażądał tym razem zachodniej części Czechosłowacji zamieszkałej przez ponad trzy miliony Niemców. W wypadku nieprzyjęcia tych żądań zagroził zbrojną interwencją. Ostateczne rozstrzygnięcie miała przynieść zwołana na żądanie Niemiec konferencja w Monachium. Obok gospodarzy do obrad przystąpili szefowie rządów w Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch. Bezpośrednio zainteresowanych – przedstawiciele Czechosłowacji – nie zaproszono.

Przyjęcie stawianych przez Niemców twardych warunków nie było zaskoczeniem. Zarówno sygnatariusze układu, jak i wszyscy obserwatorzy nie mieli

źle traktowana, systematycznie wynaradawiana ludność polska, szacowana na około 120 tys.

Spór z Czechosłowacją o te tereny trwał z różnym nasileniem od 1919 roku. Tuż po zakończeniu konferencji w Monachium – 30 września 1938 roku – wysłano Czechom ultimatum z żądaniem podjęcia w ciągu 24 godzin decyzji o zwrocie Zaolzia. Rzecz poprzedziła umiejętnie podsycana akcja propagandowa z licznymi wiecami, z których kilka odbyło się w Krakowie. Pochody manifestantów pod konsulatem Czechosłowacji przy ul. Potockiego 8 (dziś Westerplatte) blokowała wszelako każdorazowo policja.

Tak czy tak, rozgrywka o Zaolzie przyniosła Polsce złą prasę i trudne do naprawienia straty, zwane dziś wizerunkowymi. Nawet w zaprzyjaźnionych krajach uznano to za działanie ręką w rękę z Hitlerem. Poprzedzającą akcją propaganda, szermująca hasłem parcia do „narodowej konsolidacji”, też nie pozostawiła dobrego wrażenia. Widać było, że w obliczu listopadowych wyborów do sejmu skierowana jest głównie na użytek wewnętrzny.

## Manifestacja i *Te Deum*

2 października sanacyjny Obóz Zjednoczenia Narodowego zwołał na krakowskim Rynku wiec dla uczczenia przyłączenia Zaolzia do Polski. W sukurs przyszła technika i zebrani mogli wysłuchać radiowej relacji z działań polskiego wojska.

W katedrze na Wawelu bp Stanisław Rospond odprawił uroczyste nabożeństwo dziękczynne za odzyskanie Śląska Zaolziańskiego. Zadbano o podniosły nastrój. Po nabożeństwie odezwał się dzwon Zygmunta, a biskup zaintonował *Te Deum*.

Na pewien czas sprawa Zaolzia zdominowała życie publiczne. Żył nią także Kraków, choć kilka dni później miały tu miejsce dwa ważne wydarzenia. 8 października odsłonięto pomnik prezydenta Józefa Dietla, znakomite dzieło Ksawerego Dunikowskiego, a nazajutrz wspomniany bp Rospond konsekrował kościół pod wezwaniem św. Stanisława Kostki, wznoszony w Dębniakach od 1932 roku. Świątynia ta za sprawą Wacława Krzyżanowskiego otrzymała na wskroś nowatorską formę z dominującą, ażurową wieżą-dzwonnicą, wpisującą się trwale w panoramę miasta.

## Uchodźcy Nocy Kryształowej

W listopadzie i grudniu 1938 roku Kraków przygarnął niemal 3 tys. deportowanych z Niemiec Żydów, obywateli polskich. Tym, którzy nie znaleźli miejsca u krewnych i znajomych, pozostała opieka utworzonego w tym celu Żydowskiego Komitetu Pomocy.



Polskie czołgi wkraczają na ulice czeskiego Cieszyna, fot. kalendarz „IKC” na rok 1939, archiwum autora

wątpliwości, że kapitulanka postawa Europy jeszcze bardziej rozzuchwiała Hitlera. Jedynym zadowolonym był brytyjski premier Neville Chamberlain, który na londyńskim lotnisku oznajmił rodakom: „Przywożę wam pokój na nasze czasy”.

Do rozbioru Czechosłowacji przyczyniły się niechlubnie oddziały polskie w postaci sformowanej do różnie Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Śląsk” dowodzonej przez gen. Władysława Bortnowskiego. Polska zajęła niewielki teren 801,5 km<sup>2</sup>, jednak o dużym znaczeniu gospodarczym, bo między innymi z częścią węglowego zagłębia morawsko-karwińskiego i hutą w Trzyńcu. Gwoli historycznej prawdy powiedzieć trzeba, że na zaanektowanym Zaolziu dominowała



Exodus ten był konsekwencją Nocy Kryształowej – pogromu ludności żydowskiej na terenie Niemiec z 9 na 10 listopada.

Akcję wypędzeń rozpoczęto jednak już pod koniec października, aby uprzedzić wejście w życie przepisów wykonawczych podjętej przez polski sejm ustawy „o pozbawieniu obywatelstwa tych, którzy nieprzerwanie przebywali za granicą dłużej niż pięć lat”. Ogółem akcją objęto około 17 tys. Żydów z polskim paszportem. Szacuje się, że 9 tys. z nich znalazło się w obozie przejściowym utworzonym na przejściu granicznym z Zbąszyniu.

Dojmujący był niski status ekonomiczny wypędzonych, którzy utracili bezpowrotnie swe majątki. Niemcy pozwalali im zabrać tylko 10 (sic!) marek, czyli równowartość 22 zł. Wszelkie próby nielegalnego wywozu jakichkolwiek dóbr kończyły się kolejnymi restrykcjami, bo niemieccy celnicy byli na to szczególnie wyczuleni.

Dziś zastanawiać może, dlaczego uchodźcy nie mogli znaleźć schronienia w nieodległym od granicy Poznaniu, mieście wówczas większym od Krakowa. Po latach to już jedynie historyczna zaszczość, ale wtedy międzywojenny Poznań miał pewną specyfikę – ze względu na silne wpływy ugrupowań narodowych był miastem niezbyt przyjaznym Żydom. Dość powiedzieć, że zamieszkiwało ich tam niespełna 3 tys., podczas gdy w Krakowie społeczność ta liczyła ponad 60 tys. W Poznaniu wychodziły dwa najbardziej poczytne tygodniki antysemitki – „Pod Pręgierz” i „Samobrona Narodu” – obydwie w nakładzie 25 tys. egzemplarzy. W 1938 roku łączny nakład ukazującej się w kraju prasy antysemitki sięgał 100 tys. egzemplarzy i był porównywalny z nakładem tygodników społeczno-literackich.

W związku z pogarszaniem się sytuacji Żydów w 1938 roku widoczny stał się trend do zmiany wyznania. O ile jednak we Lwowie odnotowano aż 7 tys. takich przypadków, to w Krakowie było ich ledwie 91.

### Czas różnych wyborów

Listopadowe wybory do sejmu nie spotkały się ze szczególnym entuzjazmem elektoratu, choć frekwencja *per saldo* nie była zła (najniższa w woj. krakowskim – 48 proc., najwyższa na Śląsku – 83 proc.). Była to konsekwencja zmiany ordynacji wyborczej, przeforsowanej przez posłów obozu sanacyjnego po wejściu w życie konstytucji z 1935 roku. Ograniczona odtąd z 444 do 208 liczba posłów, przy podniesionym dodatkowo cenzusie wieku (czynne prawo wyborcze po ukończeniu 24 lat, bierne od 30) sprawiły, że co najmniej 10 proc. dotąd uprawnionych utraciło prawa wyborcze. Efektem tych działań była obecność w sejmie – wyłonionym w wyborach we wrześniu 1935 roku – zaledwie dwóch ugrupowań: sanacyjnego BBWR (153 posłów) i Mniejszości Narodowej (55), z wyraźną dominacją posłów ukraińskich. W wyborach do senatu zasada powszechności została całkowicie wyeliminowana. Z 96 senatorów (wcześniej 111), 64 wyłaniano drogą głosowania pośredniego przez wojewódzkie kolegia wyborcze, 32 powoływał prezydent RP.

Trudno zatem dziwić się, że w listopadzie 1938 roku – podobnie jak trzy lata wcześniej – opozycja nawoływała (dość skutecznie) do bojkotu głosowania.

Dzień przed wigilią 1938 roku swoisty przejaw ekumenizmu popłynął z łamów katolickiego „Głosu Narodu”: „Na żydowskich wystawach widać żłobki z Dzieciątkiem Jezus, umieszczane tam dla reklamy. Władze administracyjne powinny zabronić tej profanacji religijnej świętości chrześcijan”.

Służyły temu przede wszystkim akcja ulotkowa i uliczne demonstracje. Największą z nich, zorganizowaną przez Młodzież Wszechpolską, policja rozbiła na ul. Szewskiej. Frekwencja w Krakowie osiągnęła niespełna 55 proc. Dla porównania – w 1928 roku do urn poszło 72 proc. wyborców.

Większe zainteresowanie towarzyszyło wyznaczonym na 18 grudnia wyborom do samorządu. Według ówczesnej ordynacji liczba mandatów do rad miejskich zależna była od liczby ludności. I tak Warszawa wybierała stu radnych, Łódź – 84, a Poznań i Kraków po 72. W wyborach tych dość nieoczekiwaną porażkę poniósł uformowany doraźnie Chrześcijańsko-Narodowy Blok Samorządowy, skupiający głównie działaczy prorządowego Obozu Zjednoczenia Narodowego oraz środowisk katolickich (23 mandaty). Mandat więcej zdobyła Polska Partia Socjalistyczna,



Prezydent Krakowa Mieczysław Kaplicki (po lewej, z puszką) zbierał datki na „Gwiazdkę dla dzieci bezrobotnych”, fot. grudzień 1938, NAC

trzecią siłą byli narodowcy. Słabiej wypadli syjoniści, rozbici na kilka bloków. Kampania była tym razem niebywale ostra, a walka wyborcza przeradzała się nierzadko w bojkoty z użyciem broni palnej, pałek i kastetów. Ścierali się na ogół narodowcy z socjalistami, którzy, wzmocnieni posiłkami z innych miast, wyraźnie dominowali.

Wkrótce po wyborczej porażce bloku prorządowego prezydent Krakowa Mieczysław Kaplicki postanowił złożyć rezygnację. Co ciekawe, zewsząd zbierał niemal wyłącznie pochwały. „IKC” chwalił go za „drakańskie oszczędności i celowość w wydawaniu każdej złotówki”. „Czas” ubolewał: „Miasto traci w nim dobrego, przewidującego i zapobiegliwego gospodarza”.

## Rok 1939 stał pod znakiem Marsa, ale wtedy chyba nawet miłośnicy astrologii nie przywiązywali do tego szczególnej wagi...

Dodać warto, że Kaplicki był z zawodu lekarzem wenerologiem i (początkowo) nie szczenił mu złości. Były prezydent wyładował miękko – na stanowisku dyrektora Jaworznickich Komunalnych Kopalń Węgla z uposażeniem kilkakrotnie przewyższającym dotychczasową pensję.

### Ostatnie takie święta

Jedną z ostatnich społecznych inicjatyw, w jakich wziął udział Kaplicki, była kwesta na „Gwiazdkę dla dzieci bezrobotnych”. Zdarzenie upamiętniła fotografia przedstawiająca prezydenta z puszką w ręku obok Pałacu pod Baranami. Była to jedna z akcji pomocy dla najbardziej potrzebujących. Co roku zbierano też fundusze na tak zwaną Pomoc Zimową, kierowaną głównie do bezdomnych.

Zbliżało się Boże Narodzenie i tradycyjnie już wszelkie ziemskie sprawy schodziły na plan dalszy. Całe połacie Rynku Głównego zajęte były przez kiermasz świątecznych ozdób i targ choinek – wtedy przede wszystkim świerków, rzadziej jodeł. W okresie międzywojennym ceny wigilijnych drzewek ustalał magistrat, a sprzedawano je ponadto na Rynku



Sprzedż choinek i owoców, na Rynku Głównym, naprzeciw kościoła Mariackiego, fot. 1934, NAC

Kleparskim i Podgórskim. Cena – jak dziś – uzależniona była głównie od wysokości. Za choinkę 2–3-metrową płacono 2 do 3 złotych, za mierzącą ponad 3 metry, od 3 do 4 złotych. Nie było to aż tak wiele, zważywszy, że na przykład za kilogram cukru płacono wtedy 1 złotego. Po karpia należało się udać na pobliski targ na plac Szczepański. Amatorzy niższych cen i egzotycznego sztafażu wędrowali aż na targ rybny przed synagogą Izaaka na Kazimierzu.

Sklepy kolonialne pełne były owoców cytrusowych, trafiających wtedy na nasz rynek niemal wyłącznie drogą morską, na ogół z portów greckich i palestyńskiej Hajfy. Rzadziej spotykane mandarynki przyływały najczęściej z Turcji. Przed świętami

pojawiły się też banany sprowadzane z Jamajki, obecne w handlu od połowy lat 30., po wybudowaniu dojrzewalni tych owoców w nowoczesnym gdyńskim porcie. Z rodzimych owoców popularne były wieszane na choinkach małe czerwone jabłka rzadko dziś spotykanej odmiany kokska.

Jeżeli już mowa o sklepach, to dzień przed wigilią swoisty przejaw ekumenizmu popłynął z łamów katolickiego „Głosu Narodu”: „Na żydowskich wystawach widać żłobki z Dzieciątkiem Jezus, umieszczane tam dla reklamy. Władze administracyjne powinny zabronić tej profanacji religijnej świętości chrześcijan”.

21 grudnia w scenerii Rynku, u stóp pomnika Mickiewicza rozstrzygnięto drugi konkurs szopkarzy i zespołów kolędniczych. Spośród 48 twórców szopek pierwszą nagrodą (80 zł) uhonorowano Jana Dońca. Wśród kolędników zwyciężył zespół ze szkoły w Zielonkach.

Kina nęciły premierami. W LOPP (później znane jako Wolność), wyświetlano film o przygodach Marco Polo z Gary Cooperem, w Wandzie polski melodramat *Serce Matki*, w Scali teatr Bagatela) dramaturg obyczajowy z Jadzią Andrzejewską *Moi rodzice rozwodzą się*. Dla zasobniejszych, w sali koncertowej Starego Teatru wystąpił Chór Dana, już bez Mieczysława Fogga, ale za to Hanką Brzezińską. Wkrótce, w wieczór sylwestrowy, w tej samej sali bawili goście niezrównani Mira Zimińska i Eugeniusz Bodo.

Spore inwestycje ku wygodzie krakowian poczyniła pod koniec roku Miejska Kolej Elektryczna. Najpierw oddano odcinek tramwaju do Bronowic, a tuż przed świętami przedłużono linię nr 3 biegnącą do Borku Fałęckiego oraz linię nr 6, poprzez ul. Wielicką do cmentarza Podgórskiego. Jednocześnie wydano komunikat, że w wigilię komunikacja będzie obsługiwać do godz. 20, w Boże Narodzenie ruch tramwajów i autobusów zostanie wstrzymany, a w drugi dzień świąt odbywać będzie się już normalnie.

Specjalny program świąteczny przygotowało polskie radio. W wigilię z krótkim orędziem wystąpił prymas Polski ks. kardynał August Hlond. W najlepszym czasie antenowym, tuż przed transmisją pasterki wyemitowano felieton piewcy Śląska Gustawa Morcinka o świętach na Śląsku Zaolziańskim. Ponadto przewidziano koncert Ewy Bandrowskiej-Turskiej i kolędy odegrane na organach przez Feliksa Nowowiejskiego, a w Boże Narodzenie transmisję z Watykanu, gdzie chór Kaplicy Sykstyńskiej wykonał oratorium *Boże Narodzenie*.

Po mroźnej drugiej dekadzie grudnia, świąteczne i ostatnie dni 1938 roku były ciepłe. Tylko w górach temperatura spadła poniżej zera i padał śnieg. Kończył się ostatni rok odrodzonej 20 lat wcześniej Rzeczypospolitej. Rozpoczynający się rok 1939 stał pod znakiem Marsa, ale wtedy chyba nawet miłośnicy astrologii nie przywiązywali do tego szczególnej wagi...



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

## Problemem nie jest obecna władza – są nim sami Polacy

KRZYSZTOF BURNETKO  
miesięcznik „Kraków”



Książka już dostępna na  
[www.austeria.pl](http://www.austeria.pl)

Patronat medialny

**KRAKÓW**

Teatr STU to ważne miejsce na mojej mapie Krakowa – tu uczestniczyłem w wielu niezapomnianych spektaklach, spotkałem wielu wspaniałych ludzi i tu poznałem Andrzeja Wajdę.

*Andrzej Jajszczyk (profesor nauk technicznych, Klub Krakowski)*

Teatr STU był teatrem ze SNU moich krakowskich inicjacji teatralnych. Urodził we mnie archetyp teatru: kameralnego, bez bariery wielkiej sceny, ze światem granym tuż-tuż na wyciągnięcie ręki widza. Idąc NA sztukę, łąduję od razu W sztuce. To chyba zresztą jedna z definicji magii :)

*Agnieszka Staniszevska (dyrektor Biblioteki Kraków)*

Pierwsze moje spotkanie z Teatrem STU przypadło na połowę lat 60. ubiegłego stulecia, kiedy to jako student Łódzkiej Akademii Medycznej byłem członkiem tamtejszego teatru Cytryna. Odbywały się różne spotkania i festiwale – to tam zobaczyłem pierwsze spektakle STU. Potem, gdy we wrześniu 1979 roku przenieśliem się do Krakowa, jeśli była tylko okazja, oglądałem możliwie wszystkie inscenizacje. To teatr wyjątkowy, a Krzysztof Jasiński to jego mózg i dusza.

*Prof. Jerzy Sadowski*

Historia STU to historia mego życia, jesteśmy niemal rówieśnikami. Jeśli myślę o Krakowie w kategoriach miasta otwartego, inspirującego, wzbudzającego dobre emocje i intelektualnie wymagającego, miasta nie kołtuńskiego i nie zapyziałego, to intuicyjnie i bezwiednie myślę o STU. I jestem dumny, że mój obecny szef w krytycznych dla tego teatru chwilach zawsze znajdował ratunek, czego byłem świadkiem.

*Andrzej Kulig (wiceprezydent Krakowa)*

# Artystyczna dusza arcymistrza Dudy

Tekst: Majka Lisińska-Kozioł Zdjęcia: Jacek Kozioł

**„Znakomity szachista jest artystą, jest uczonym, jest inżynierem, jest wreszcie dowódcą i zdobywcą” – mawiał dziewiętnastowieczny mistrz Louis de la Bourdonnais. Te słowa jak ulał pasują do Jana-Krzysztofa Dudy z Wieliczki.**

Mając pięć lat, nauczył się grać w szachy, w wieku piętnastu został arcymistrzem, dziś jako 23-latek – i pierwszy Polak w historii – zdobył Puchar Świata.

Największym wyzwaniem pucharowego turnieju w Soczi okazał się półfinał. Przeciwnikiem Polaka był aktualny mistrz świata Norweg Magnus Carlsen. Do spotkania mogło jednak nie dojść. – Spóźniłem się na autobus, który miał mnie zawieźć z hotelu na ćwierćfinałowy mecz z Hindusem Viditem. Innego transportu nie było, czas uciekał, robiło się nerwowo. I wtedy po Carlsena przyjechała limuzyna. Zgodził się mnie podrzucić – wspomina Jan. – Podziękowałem mu za pomoc, a rundę później go pokonałem.

W finale Polak odprawił wymagającego Siergieja Karjakiną. Obserwatorzy mówią, że Duda był rozluźniony i lepiej zniósł trudy rywalizacji. Turniej w Soczi trwał wszak ponad trzy tygodnie. Codziennie do rozegrania była ważna i wyczerpująca partia. Wolny od gry dzień trafiał się tylko wtedy, gdy nie było dogrywki. – Wolny od gry, ale nie od szachów, bo trzeba się było przecież przygotowywać do kolejnego meczu – opowiada trener Kamil Mitoń.

## Szachy męczą

Obliczono, że najdłuższa partia szachowa prowadząca do wygranej może się składać z 5949 posunięć. Liczba uniktowych ruchów szachowych możliwych do wykonania wynosi 10 do potęgi 120, czyli więcej niż wszystkich elektronów znajdujących się we wszechświecie. To teoria, a w praktyce najdłuższa oficjalna partia szachowa składała się z 269 posunięć. Rozegrana w 1989 roku pomiędzy Nikolicem i Arsovinem trwała ponad 20 godzin. Tymczasem zdaniem lekarzy i fizjoterapeutów nadwężenie mięśni posturalnych obserwuje się już po pięciu-sześciu godzinach przy szachownicy. W dodatku człowiek zmęczony przestaje logicznie myśleć, a przecież skomplikowana partia wymaga skutecznej taktyki, kalkulacji, maksymalnej koncentracji i podejmowania ryzyka. W czasie gry na ogół wzrasta zawodnikom ciśnienie, tętno i liczba oddechów.

Arcymistrz podczas jednego dnia turnieju może spalić blisko sześć tysięcy kalorii, czyli więcej niż przeciętny maratończyk w trakcie

biegu. Trzeba je zatem uzupełniać. Na ogół więc w trakcie trwających wiele godzin zawodów szachiści mają do dyspozycji bufet z przekąskami i napojami. Niektórzy zabierają też ze sobą batoniki, czekoladę, drożdżówki. Jedzenie pomaga wesprzeć wydajność umysłu. Węglowodany, na przykład, są wykorzystywane przez mózg w trakcie wysiłku intelektualnego. A regularne przyjmowanie posiłków

Za ojczyznę szachów uważa się Indie. Już w latach 70. VI wieku grano tam w tak zwaną czaturangę. W dosłownym tłumaczeniu czaturanga oznacza „czterostronny” lub „podzielony na cztery części”. Nazwa pochodzi od indyjskich wojsk, w których skład wchodziły piechota, kawaleria, słonie bojowe oraz rydwany. Figury odpowiadały tym rodzajom wojsk i mogły wykonywać różne ruchy. Plansza, na której rywalizowano, była kwadratem zawierającym 64 pola (8 na 8).

zapobiega skokom glukozy i poprawia koncentrację. Konieczne jest też picie minimum dwóch litrów napojów dziennie. Arcymistrz Fabiano Caruana przyznał, że mimo dbania o posiłki podczas dziesięciodniowych zawodów tracił siedem kilogramów.

Po długim turnieju, gdy spada poziom adrenaliny, nawet młodzi szachiści odczuwają zmęczenie. Zawodnicy szukają więc różnych sposobów, by oszczędzać siły. Mistrz świata Magnus Carlsen przyjmuje w trakcie gry w szachy ergonomiczną pozycję – opiera dolną część pleców o krzesło i stara się nie wyciągać mocno głowy do przodu. Dzięki temu nie traci energii i mniej mu doskwiera ból pleców. Pomagają też regularne ćwiczenia, które przygotowują organizm do wysiłku.

## Pływanie, siłownia, bieganie

Doktor Kordian Lach, pracownik Instytutu Nauk o Sporcie w Zakładzie Sportów Wodnych na AWF w Krakowie, trener odpowiadający



**Jan-Krzysztof Duda** (urodzony w 1998 w Krakowie) – szachista, arcymistrz od 2013 roku. Zwycięzca PŚ FIDE w 2021 roku. W szachy gra od piątego roku życia. Łącznie zdobył kilkadziesiąt medali w rozgrywkach z cyklu mistrzostw Polski (zarówno w szachach klasycznych, jak i szybkich oraz błyskawicznych) w różnych kategoriach wiekowych. Jest najwyższej sklasyfikowanym Polakiem w światowym rankingu FIDE we wszystkich kategoriach. Już jako 16-latek trafił do reprezentacji Polski, z którą w 2017 roku zdobył brązowy

medal w MŚ, w 2018 zajął czwarte, a w 2020 – w zawodach *online* – trzecie miejsce w Olimpiadzie Szachowej. Prezydent Andrzej Duda odznaczył go najpierw Srebrnym Krzyżem Zasługi za „wybitne osiągnięcia sportowe”, a ostatnio złotym. Reprezentuje MKS MOS Wieliczka, na czas drużynowych MP był „wypożyczony” do TKKF Drogowiec Kraków i Wasko Hetmana GKS Katowice. Grywał też w zagranicznych klubach w drużynowych mistrzostwach Niemiec, Czech, Chorwacji, Francji i Hiszpanii.

za przygotowanie fizyczne Jana-Krzysztofa Dudy, zauważył, że młody szachista lubi wyzwania. Wykorzystał to i Janek – wcześniej ledwie przemieszczał się w wodzie, a szybko nauczył się pływać czterema stylami. Dzięki temu oraz ćwiczeniom na siłowni i bieganiu pod okiem doktora Wacława Mirka z tej samej krakowskiej uczelni podnosi próg odczuwania zmęczenia.

Do teamu Dudy dołączyła też psycholog sportu profesor Małgorzata Siekańska. Janek pracuje z nią pomiędzy zawodami. Uczy się relaksować, ale też dystansować wobec porażek. – Czas na analizę przegranej partii i wyciągnięcie wniosków przychodzi po turnieju. W danej chwili trzeba się skupiać na meczu, który trwa, i tych, które będą po nim. Dawniej zdarzało się, że Janek po porażce natychmiast chciał się odegrać. I to się zwykle nie udawało – opowiada trener Kamil

Mitoń. – Chęć wzięcia szybkiego rewanżu nie jest sprzymierzeńcem gracza, dlatego trzeba było tę skłonność Janka opanować. Dziś wie, jak radzić sobie w ekstremalnie trudnych turniejowych sytuacjach.

Jest świadomy, że kariera sportowa wymaga trudnych wyborów, rezygnacji z przyjemności, a do sukcesu nie ma drogi na skróty.

Dzieciństwo Dudy było więc bardziej pracowite niż jego rówieśników, w szkole średniej nie szalał na prywatkach czy dyskotekach. – Nie potrzebuję tabunów znajomych. Wystarczy mi grono kilku bliskich przyjaciół. Mimo to zauważyłem, że jestem w mniejszym stopniu introwertykiem niż kiedyś. W wolnym czasie lubię czytać. Moja szachowa biblioteka liczy kilka tysięcy tomów, więc mam z czego wybierać. Ale jak już gram, to gram. Przebywam wówczas w swoim szachowym świecie, w którym stres i emocje to normalność. A że

jestem raczej impulsywny, nie dbam o to, żeby trzymać je na wodzy – o mówi Janek.

### **Królewska gra, artystyczna inspiracja**

Szachy stanowiły ulubioną rozrywkę na królewskich dworach. Ich amatorami byli król angielski Jan bez Ziemi, król Kastylii Alfons X Mądry, król Szwecji Karol XII, car Piotr I Wielki, a także władca mongolski Timur. Fryderyk II Wielki, zwany rozbójnikiem Europy, korespondował na tematy szachowe z królem filozofów Wolterem. Napoleon Bonaparte lubił podobno ryzykować na szachownicy tak, jak to robił, dowodząc wojskiem. Na polach bitewnych osiągał jednak lepsze rezultaty, gdyż – jak mówiono – do szachów brakowało mu cierpliwości. Na Wyspie Świętej Heleny miał szachy, które otrzymał od przyjaciół. Nie wiedział, że dostał razem z nimi ukryte wewnątrz figur plany ucieczki z niewoli. Szachy miał cesarzowi doręczyć zaufany oficer, ale zmarł na statku, którym podróżował. Jego następcą nie znał szachowej tajemnicy, więc i Napoleon się o niej nie dowiedział.

W szachy grywali też wytrawni politycy: Niccolo Machiavelli, Charles Maurice de Talleyrand i kardynał Richelieu. Z uczonych: Benjamin Franklin, Dmitrij Mendelejew i Albert Einstein. Lubili szachy Włodzimierz Lenin, lubił Józef Piłsudski. Przy szachownicy chętnie zasiadali Tadeusz Kościuszko, rosyjski feldmarszałek Aleksander Suworow i Grigorij Potiomkin. Poemat *Szachy* napisał Jan Kochanowski. A XV-wieczny fresk autorstwa Albertusa Pictora z kościoła Taby w Szwecji zainspirował Ingmara Bergmana do nakręcenia *Siódmej pieczęci*, słynnego filmu, w którym rycerz wracający z wyprawy krzyżowej gra w szachy ze Śmiercią o swoje życie. Stanley Kubrick, reżyser, scenarzysta, był członkiem Marshall Chess Club w Nowym Jorku, tego samego, w którym grał mistrz świata Bobby Fischer. Artysta podczas jednego z wywiadów mówił: „Szachy uczą kontrolowania emocji, które czujesz, gdy widzisz coś, co na pierwszy rzut oka wygląda dobrze. Uczą cię, by to przemyśleć, zanim się skusisz, i myślenia tak samo obiektywnego, kiedy masz kłopoty”.

Lubił szachy także Joseph Conrad i chętnie w nie grywał, zwłaszcza nocami, gdyż cierpiał na bezsenność. Grali pisarze: Bolesław Prus, Henryk Sienkiewicz, Stefan Żeromski i Karol Irzykowski. Pisali o szachach Aleksander Puszkina i Adam Mickiewicz – zarówno w utworach literackich, jak i prywatnych listach.

Austriacki prozaik Stefan Zweig tak scharakteryzował tę grę w swojej *Noweli szachowej*: „Czyż nie jest to jedyna gra, należąca do wszystkich ludów i wszystkich czasów, gra, o której nikt nie wie, jaki bóg zesłał ją na ziemię, aby uśmiercić nudę, wyostrzyć zmysły, napiąć ducha? Gdzież jest w niej początek i gdzie koniec? Każde dziecko może się nauczyć jej podstawowych reguł, a jednak

w granicach tego ciasnego kwadratu może ona wytworzyć specjalny rodzaj mistrzów, których nie da się porównać z żadnymi innymi, ludzi z jednym jedynym, właśnie szachowym talentem, specyficznych geniuszów, u których wizja, cierpliwość i technika działają w równie i ściśle określonych proporcjach jak u matematyka, u poety, u muzyka, tylko w odmiennych nawarstwieniach i połączeniach”.

### **Cudowny świat szachów**

Moje pierwsze spotkanie z Jankiem, w 2008 roku, pachniało ciastem drożdżowym. Pani Wiesława upiekła je wtedy dla syna. – Był niejadkiem i tylko taka bułka z masełkiem mogła go przekonać do zjedzenia śniadania.

Pamiętałam też nietypowy salon w podwielickim domu Dudów. Dzisiaj, tak jak wtedy, stoją w nim stoły do ping-ponga i bilarda. Tuż przy wejściu można zagrać w piłkarzyki. Pojawiły się ciężarki służące wzmocnieniu mięśni. A obok kominka na niskim stoliku

Jeden z pierwszych podręczników gry w szachy ukazał się w 1497 roku w Salamance pod tytułem *Rozprawa o miłości i sztuce szachowej ze stu pięćdziesięcioma przykładami partii*. Jej autorem był Luis Ramírez de Lucena. Książka zawiera analizę 10 otwarć szachowych oraz 150 pozycji i problemów szachowych. Są tu opisy debiutów znanych dziś jako obrona francuska i obrona skandynawska.

rozłożono dużą szachownicę z pięknie rzeźbionymi figurami.

Wszyscy wiedzą, że Janek zawsze był nad wiek cierpliwy, skoncentrowany oraz imponował pamięcią. Jego mama zastanawiała się, co mogłoby zainteresować takiego chłopca jak jej syn. I pokazała pięcioletkowi szachy. Od razu mu się spodobały. – Nawet się nie dziwiłam, bo to nasza rodzinna gra – wspomina pani Wiesława.

Jej siostra – Czesława Pilarska (z domu Grochot), dziś profesor ekonomii – była trzykrotną mistrzynią Polski w tej dyscyplinie. W dodatku królewska gra połączyła też rodziców Janka. Wiesława i Adam poznali się podczas studiów na krakowskiej AGH. Ona wygrała z nim w szachy, a on zaprosił ją na randkę. Zakochali się, pobrali i doczekali synka. Dwa lata później tata Janka zmarł. Mama i jej mały chłopiec zostali we dwoje.

Z czasem gra w szachy stała się ulubionym zajęciem Jasia, a *Cudowny świat szachów* ulubioną książeczką czytaną na dobranoc. Już jako kilkulatek trenował parę razy w tygodniu. Rozwiązywał zadania szachowe, czasami

korzystając z programów komputerowych. W 2003 roku w Przebieczanach koło Wieliczki zadebiutował w turnieju szachowym. Zajął 52 miejsce. W 2004 roku w Kołobrzegu został wicemistrzem Polski do lat sześciu. Rok później wygrał aż 27 turniejów. Wiedział już wtedy, co to jest roszada, i nie znosił „szewskiego mata”. Od małego lubił zwyciężać, a nie przegrywać, i marzył o wielkich sukcesach, choć już wtedy zdobywał szachowe dziecięce laury.

Pani Wiesława dbała o jedynaka, pilnowała, żeby nie miał zaległości w szkole, na półkach układała kolejne puchary, a w szufladach kolejne medale. Kiedy trzeba było, jeździła z nim na turnieje. Z trybun za pomocą kamerki lub przez lornetkę przyglądała się reakcjom siedzącego przy szachownicy syna. – Z zachowania Janka byłam w stanie wywnioskować, co się dzieje. Gdy się wiercił, wiedziałam, że szuka rozwiązań. Kiwanie oznaczało intensywne myślenie. Jeśli podskakiwał w drodze do toalety, było pewne, że partia rozwija się po jego

Wyrażenie „szach mat” najczęściej tłumaczone jest jako „król jest martwy” czy „król jest zabity”. Taka interpretacja jest błędna. W rzeczywistości w języku perskim, z którego wywodzi się określenie „szach mat”, oznacza ono „król jest bezradny”.

myśli. Podczas jakichś mistrzostw świata dowiadywałam się, jak mu idzie z... Polski – opowiada. – Z trybun nic nie było widać, ale syn grał tak dobrze, że transmitowano na żywo jego szachownicę, więc znajomi wchodzili na odpowiednie strony internetowe i dzwonili do mnie z informacjami.

Janek z tamtych czasów pamięta niektóre sytuacje i niektóre turnieje.

– W Czarnogórze kolejny raz w decydującym momencie trafiłem na reprezentanta Turcji. Miałem szczęście do tureckich szachistów. Bałem się, że tym razem już mu nie podołam. I wtedy trener Władimir Szyszkin (trenował także Kamila Mitonia – przyp. MLK) powiedział mi z tego, ni z owego: Jasiu, nie martw się. Każdy Turek ma swojego Sobieskiego. Wziąłem więc ze sobą na zawody podobiznę króla i wygrałem – wspomina.

Mijały lata. Wieliczanie sięgali po kolejne medale. Łącznie w mistrzostwach Polski w różnych kategoriach zdobył kilkadziesiąt krążków. W 2013 roku – mając 15 lat i 21 dni został arcymistrzem.

Na świecie naliczono ich około 1700, ale superarcymistrzów, czyli graczy z rankingiem powyżej 2700 punktów – tylko czterdziestu. Janek jest wśród nich jedynym Polakiem.

To zasługa trenerów. Do 2009 roku pracował z nim Andrzej Irlik, ale już trzy lata wcześniej równolegle zajmował się Jankiem

mistrz międzynarodowy Leszek Ostrowski. To on ukształtował chłopca jako szachistę grającego agresywnie i świetnie radzącego sobie w turniejach drużynowych. W 2014 roku szkoleniowcem Dudy został o 14 lat starszy arcymistrz Kamil Mitoń z Niepołomic, były podopieczny Irlika. Mitoń jest współautorem ostatnich sukcesów Janka.

Ale jak wiadomo sukcesy w sporcie zawodowym, także w szachach, są wypadkową wielu czynników. O tym, kto zostanie zwycięzcą, decyduje nie tylko talent i pracowitość, ale też dyspozycja dnia, odporność psychiczna, odpowiednie nastawienie, dobra kondycja fizyczna, a nawet dieta. A że poziom szachowej czołówki się wyrównuje, kto ma lepszy sztab, bardziej kreatywny, idący z duchem czasu – ten zyskuje przewagę.

Ogniwem łączącym sztabowe działania Janka jest pani Wiesława. Nic dziwnego, że w kraju zyskała przydomek „szachowa mama”, a za granicą „mama Duda”. Odkąd syn zaczął grać w szachy, na jej głowie była logistyka treningów i startów, szukanie sponsorów, dofinansowanie trenerów, sprawdzenie lotów, bukowanie biletów, towarzyszenie w podróżach. Dziś jest dumna, bo Janek obronił licencjat na krakowskiej AWF. Tytuł pracy to: *Psychologiczne aspekty talentu szachowego na przykładzie zawodników klasy światowej*. Od zawsze mu pomagała, doradzała, dopingowała. I nadal to robi, gdy jest taka potrzeba. Jest mózgiem operacji „Kariera syna Jana-Krzysztofa”.

### Mistrz muzyk i mistrz leń

W XVIII wieku szachowe berło, czyli symbol arcymistrzostwa, zdobył François Philidor, francuski muzyk i twórca 23 uznanych oper. Już jako nastolatek ogrywał najlepszych dorosłych w słynnej paryskiej Café de la Régence. Denis Diderot, filozof epoki oświecenia, pisał w *Kuzynku Mistrza Rameau*: „Jeśli jest zbyt zimno lub zbyt dżdżysto, chronię się do Café de la Régence. Tam bawię się, przypatrując się grze w szachy. Paryż jest miejscem na świecie, a Café miejscem w Paryżu, gdzie gra ta kwitnie najlepiej”.

Jednak pierwszym w historii oficjalnym mistrzem świata w szachach był urodzony w Pradze Wilhelm Steinitz, który zdobył tytuł w 1886 roku. Prymat odebrał mu Niemiec Emanuel Lasker, którego w 1921 roku pokonał kubańczyk José Raúl Capablanca. Ten ostatni zwykł mawiać o sobie, że jest leniem i że do gry się nie przygotowuje. Uwielbiał za to zabawę, biesiadowanie i alkohol. Szybko uznał wyższość Aleksandra Alechina, który dla odmiany był oddany szachom bez reszty. Podobno, gdy obu zaproszono do teatru, Capablanca nie odrywał oczu od sceny, a Alechin od kieszonkowej szachownicy. W czasie II wojny światowej Alechin współpracował z Niemcami i pisał artykuły, w których wykazywał wyższość szachów aryjskich nad semickimi. Zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach.



W Polsce brylował w tym czasie Szymon Winawer, jeden z dziesięciu ówczesnych najlepszych szachistów świata, i równie dobry Akiba Rubinstein. Ksawery Tartakower królewską grę zamienił na walkę na froncie, służył w armii francuskiej. Po II wojnie na światowych szachownicach rozpoczęła się dominacja zawodników ze Związku Radzieckiego.

### Szachista z fantazją

- Bywa, że szachista „sypie się” w pięć ruchów i jest po partii, a Janek potrafi wyjść obronną ręką z takiej sytuacji – opowiada Mitoń. – Jest mistrzem motywacji. Ma artystyczną duszę, ale wie, że matematyka również przydaje się w szachach. Potrafi policzyć dziesięć, piętnaście posunięć do przodu. Ale jeśli sytuacja na szachownicy jest skomplikowana, nawet mistrzowi trudno przewidzieć nawet dwa ruchy.

- Jestem osobą kreatywną w życiu i w szachach. Lubię grać ostro, odważnie. Nie zawsze zatem chodzę utartymi ścieżkami, często ufam swojej intuicji. Jej posiadanie jest bezcenne choćby wtedy, gdy ma się mało czasu na analizowanie sytuacji na szachownicy. Zwłaszcza że w trakcie gry często powstaje taka, której się wcześniej nie widziało na oczu – mówi Janek.

Jego zdaniem szachistów można podzielić na trzy grupy. Pierwsza, to tak zwani gracze rozumowi, którzy posługują się w grze wyłącznie matematyką. Kolejna to artyści, dla których bardzo ważne jest piękno szachów, uwielbiają unikatowe sytuacje, interesują ich niestandardowe pozycje, efektowne, choćby nawet ryzykowne motywy i gra sama w sobie.

- Należę do graczy, którzy choć doceniają przydatność zdolności matematycznych, traktują grę w szachy jako walkę między umysłami. Jestem praktykiem, ale mam fantazję, więc gdy mogę wygrać w efektowny sposób – podejmuję ryzyko. Ale zmierzam do zwycięstwa. Nie do tego, by pięknie przegrać.

Klasę Dudy doceniają inni szachiści. Mistrz świata Garri Kasparow gratulował mu wspańskiego występu w tegorocznym Pucharze Świata i pokonania Magnusa Carlsena. Zdobyl się na to, choć wcześniej Polak także i jego odprawił z kwitkiem w szachach szybkich i w błyskawicznych.

- Janek ma niezwykłą zdolność analizy, kojarzenia i interpretacji faktów. Jest wnikliwym obserwatorem – opowiada Kamil Mitoń.

Adam Dzwonkowski, członek teamu Dudy, zauważa, że wieliczanin swój efektowny sposób gry łączy z opanowaniem i dojrzałością.

To ważne, bo gra w szachy wymaga nieustannej gotowości i odpowiedniej reakcji. W jej trakcie aktywowane są jednocześnie często przeciwstawne umiejętności intelektualne, a wszystko po to, aby znaleźć zwycięską strategię uwzględniającą odpowiedzi przeciwnika.

- Moim wzorem jest Carlsen – mówi Janek. - Potrafi grać w każdym stylu.

Jakiś czas temu norweski mistrz dał młodym zawodnikom kilka rad. Na przykład żeby walczyli o środkowe pola, sprawdzali, czy bierki przeciwnika są niechronione, zapamiętywali schematy, a nie poszczególne ruchy, zachowywali pokerową twarz, nie poświęcali zbyt wiele czasu na jeden ruch.

Nie wiem, czy Janek wziął sobie te rady o serca, ale kilka razy pokonał Carlsena. Choćby w 2020 roku, w turnieju Altibox Norway Chess przerwał trwającą 801 dni serię 125 partii Norwega bez porażki!

Carlsen i Kariakin, przeciwnicy Polaka w ostatniej fazie Pucharu Świata w Soczi, to rówieśnicy urodzeni w 1990 roku, ale poza wiekiem i szachami nic ich nie łączy. Pierwszy to geniusz z Norwegii, celebryta i znajomy twórcy Facebooka Marka Zuckerberga. Drugi to fan Władimira Putina, popierający aneksję Krymu. Mimo to partia, którą rozegrali w 2016 roku o mistrzostwo świata, wzbudziła ogromne zainteresowanie w Nowym Jorku. Carlsen obronił tytuł, chociaż dopiero w dogrywce.

Na świecie naliczono około 1700 arcymistrzów, ale superarcymistrzów, czyli graczy z rankingiem powyżej 2700 punktów – tylko czterdziestu. Janek jest wśród nich jedynym Polakiem.

Podobne emocje wywołał też mecz stulecia z 1972 roku, kiedy to w Reykjavíku Amerykanin Bobby Fischer pokonał Rosjanina Borysa Spasskiego. Trwała wówczas tak zwana zimna wojna, więc triumf nad graczem z ZSRR był ważny także pod względem propagandowym. Po tym wydarzeniu szachy w USA zyskały prawdziwą popularność. W Nowym Jorku objawiła się Diana Lanni, jedyna kobieta regularnie grająca w szachy przy stołach Washington Square Park. Podobno odkryła tę grę, gdy uświadomiła sobie, że nie rozumie otaczającego ją świata i nie umie się w nim odnaleźć. Zwykła mawiać: „Logika szachów jest alternatywą dla chaosu życia”.

Dziesięć lat po wygranej Fischera ukazała się w Ameryce powieść Waltera Tevisa *Gambit Królowej*. Niektórzy uważają, że postać głównej bohaterki Beth Harmon to połączenie życiorysów: autora książki oraz Diany Lanni, a wątek szachowej kariery Beth przypomina losy Fischera, który jak ona był uznawany za naturalny talent i podjął walkę o tytuł najlepszego szachisty globu, choć od lat zdobywali go radzieccy arcymistrzowie.

Dziś Beth Hormon, mająca skłonność do używek i alkoholu, nie miałaby szans na wejście do światowej czołówki. - Szachy stały się sportem, który wymaga nie tylko wysiłku intelektualnego, ale też fizycznego, a to zmusza do prowadzenia sportowego trybu życia.



Jan-Krzysztof Duda i Kamil Mitoń

Zmienił się też sposób rozgrywania partii. Są one krótsze, bardziej dynamiczne. Niemniej, tak jak wygrana Fischera ze Spasskim spopularyzowała szachy w Stanach Zjednoczonych, tak pokazany w okresie pandemii serial *Gambit Królowej* (w roli głównej wystąpiła Anya Taylor-Joy), nakręcony na kanwie książki Tevisa, przysłużył się do jeszcze większego spopularyzowania tej gry, zwłaszcza w internecie.

– Co prawda szachy klasyczne są bardziej prestiżowe, ale szybsze tempo gry w internecie przyciąga kibiców. Jakość gry na tym przyspieszeniu trochę cierpi, bo siłą rzeczy popełnia się więcej błędów, ale lubię szachy błyskawiczne. Dzięki intuicji mogą działać szybciej niż rywale, co często daje mi przewagę – mówi Jan-Krzysztof Duda.

#### **Człowiek, komputer, sztuczna inteligencja**

Najsłynniejszym mistrzem szachowym wszech czasów jest Rosjanin Garri Kasparow. W 1985 roku, mając 22 lata, pokonał innego mistrza Anatolija Karpowa. Pewnie dlatego w 1996 roku zorganizowano pojedynek Kasparowa z programem komputerowym przygotowanym przez IBM. Wygrał szachista. Do rewanżu doszło rok później. Maszyna nazywała się Deep Blue i była kolejną wersją prototypu. Kasparow czuł ogromną presję oraz zmęczenie i przegrał całe starcie. Informowano wtedy, że Deep Blue był lepszy dzięki 245 wyspecjalizowanym procesorom szachowym,

które analizowały 200 milionów ruchów na sekundę! W 2003 roku doszło do pojedynku Kasparowa z komputerem Deep Junior, który tym razem zakończył się remisem.

Inżynierowie z firmy DeepMind nie zasypiali gruszek w popiele i stworzyli sztuczną inteligencję, która w cztery godziny posiadała całą wiedzę zgromadzoną przez ludzkość. Następnie AI (*Artificial Intelligence*) wykorzystwała zdobyte umiejętności w praktyce; uczyła się od siebie podczas tysięcy partii rozgrywanych we własnych sieciach neuronowych (tzw. Alpha Zero). Gdy skonfrontowano ją z Stockfish 8 uważanym przez wielu za najlepszy na świecie program komputerowy do gry w szachy – okazała się lepsza; ze stu partii wygrała 25, grając białymi, i jeszcze trzy partie, gdy grała czarnymi. Pozostałe były remisowe. Obserwatorzy tej konfrontacji uważali, że Alpha Zero wykonywała zupełnie nieracjonalne posunięcia, na przykład poświęcając gońca i hetmana, by zyskać przewagę pozycyjną. I choć takie sytuacje w prawdziwej grze widywane są bardzo rzadko, sztuczna inteligencja dzięki nim wygrywała.

– Jej dynamiczny rozwój udowodnił, że jako ludzie nie mamy szans w starciu z maszynami – mówi Jan-Krzysztof Duda.

Tymczasem zespół Microsoft i naukowcy z Cornell University oraz University of Toronto stworzył Maię. Nadrzędną funkcją tego oprogramowania miało być wierne

symulowanie stylu gry charakterystycznego dla ludzkich przeciwników, a nie wykorzystanie nabytej wiedzy do wygrywania za wszelką cenę.

Maia zadebiutowała w grudniu 2020 roku na witrynie szachowej lichess.org. W ciągu siedmiu dni rozegrała ponad 40 tysięcy partii i w większości przypadków prawidłowo dopasowała swój styl gry do umiejętności graczy. Bo Maia potrafi nie tylko nauczyć się nowych sztuczek, aby pokonać bardziej zaawansowanych przeciwników, jest także w stanie symulować najczęstsze błędy nowicjuszy. Dzięki niej umiejętności może podnosić każdy, kto zaczyna grać w szachy.

### Jak arcymistrz z arcymistrzem

W teamie Dudy muszą się dogadać dwaj arcymistrzowie.

- Z czasem, a mam już 37 lat, stałem się bardziej koncyliacyjny - mówi trener Kamil Mitoń. - Rozumiem, że Janek lubi pospać, że nie jest systematyczny, nie podchodzi do treningu rutynowo; taką ma naturę. Raz pracuje więc o dziewiątej, raz o piętnastej. Jestem zdania, że zmuszanie go do myślenia, gdy potrzebuje odpoczynku, nie przynosi spodziewanych efektów, a dla mnie ważne jest, by codzienny, kilkugodzinny trening szachowy był dobrze wykorzystany. Dla urozmaicenia pracy grywamy więc w szachy „na ślepo”, czyli bez szachownicy; choćby podczas rowerowej przejażdżki.

To zresztą dla szachistów tej klasy żaden problem. Pomaga notacja, czyli opisanie każdego pola za pomocą współrzędnych. Kolumny (pionowe linie) są oznaczone małymi literami od a do h, począwszy od lewej (dla białych) strony szachownicy. Rzędy szachownicy (linie poziome) są ponumerowane od 1 do 8, począwszy od pierwszej linii białych. Początkowo białe bierki zajmują więc linie 1 i 2, czarne - 7 i 8.

- Jestem dzisiaj zawodnikiem niżej notowanym od Janka, jednak wciąż wymagającym i doświadczonym. Gdybym grał białymi, byłoby mu trudno ze mną wygrać, bo musiałyby w którymś momencie partii podjąć ryzyko. Zablefować. A ja bym to wykorzystał. Granie białymi daje przewagę - prawo rozpoczęcia gry, a to determinuje kierunek, w którym będzie się układać. Białe są jak serwis w tenisie lub atut własnego boiska w piłce nożnej - mówi Mitoń, jeden z najlepszych trenerów szachowych w Polsce. - Mimo różnic szanujemy się i rozumiemy, a kompromisy to podstawa współpracy i odnoszenia sukcesów, pozwalają zarabiać i zajmować się szachami zawodowo - dodaje.

Wyczynowy sport wymaga wszak nakładów. I nie ma znaczenia, czy jest to tenis czy szachy. Trzeba mieć na bilety lotnicze, hotele, najnowocześniejsze komputery, na zatrudnienie sztabu trenerskiego, na bazy danych, ubrania. A zarabiają tylko najlepsi. Janek już się do nich zalicza. Za Puchar Świata otrzymał

110 tysięcy dolarów. Dzięki wygranej zakwalifikował się do przyszłorocznego turnieju pretendentów. Jest ich ośmiu. Najlepszy zagra z Magnusem Carlsenem o tytuł mistrza świata

- Janek gra odważnie, nieszablonowo, jest waleczny. Tam, gdzie wielu zawodników zakończyłoby partię remisem, on szuka sposobu wygrania jej i to są jego atuty. Ale nie będzie łatwo - mówi Mitoń. - Trzeba doskonale rozpracować przeciwników. Poziom wśród szachistów się wyrównuje. Każdy ma dostęp do informacji. Topowi gracze - Duda plasuje się na 15. miejscu w światowym rankingu - ścigają się na komputerowe bazy, na szybki sprzęt. Janek współpracuje z firmą komputerową Lenovo, która produkuje urządzenia o dużej mocy obliczeniowej. Ta współpraca to wielka pomoc, bo dziś nie zabiera się ze sobą na turniej kilku szachownic, notatek, książek i zegara. Bierze się laptopa.

**Arcymistrz podczas dnia turnieju może spalić blisko sześć tysięcy kalorii, czyli więcej niż przeciętny maratończyk w trakcie biegu.**

Są w nim historie gry przeciwników, ich najciekawsze partie, można sprawdzać kolejny i kolejny raz, jakie otwarcia stosują.

A, że konkurencja jest coraz większa, problemem staje się również doping, czyli przede wszystkim nielegalny dostęp do oprogramowania w trakcie partii lub turnieju. Dziś można je sobie wgrać w lepszy zegarek albo do komórki i korzystać z odpowiedzi maszyny.

- Dlatego na ważniejszych turniejach, na przykład olimpiadzie szachowej, przechodzimy przez bramki jak na lotniskach. Nie wolno mieć przy sobie nawet długopisu - mówi Kamil Mitoń.

Michaił Tal, ósmy mistrza świata w szachach, mawiał: „Musisz zabrać swojego przeciwnika głęboko do ciemnego lasu, gdzie  $2 + 2 = 5$ , a ścieżka prowadząca na zewnątrz jest wystarczająco szeroka tylko dla jednego z was”. Może to jest sposób na Carlsena? - O pokonaniu rywala decydują dziś niuanse - mówi Mitoń. - Dlatego o tym, jak się przygotowujemy, jakie stosujemy metody, nie mówimy za dużo.



**Majka Lisińska-Kozioł** - absolwentka prawa i dziennikarstwa na UJ. Zajmuje się przede wszystkim reportażem społecznym i sportowym. Laureatka wielu nagród dziennikarskich, między innymi Złotej Gruszki.

# Portrety 2021

Tekst: Witold Beres Zdjęcie: domena publiczna (za omawianą książką)

**W tym numerze portretów więcej, bo przecież kolejna edycja konkursu na najlepsze dzieło biograficzne tego roku dobiega finału!**



Ci ludzie szli przez wiele dni, doświadczając ogromnych cierpień. Szli bez względu na pogodę, niektórzy szli wzdłuż torów kolejowych, mający więcej szczęścia przyjechali pociągiem. Wśród nich są starcy, kobiety i dzieci. Osoby te bardzo cierpią i są zdesperowane. Jako człowiek nie mogę pozostać obojętny na ich prośby. Proszą o pozwolenie na wystawienie im tranzytowych wiz japońskich, aby mogli wydostać się z tej śmiertelnej pułapki, którą jest w tej chwili Litwa zajęta przez Rosję Sowiecką” – tak zapisał swoich wspomnieniach Chiune Sugihara, ostatni konsul Cesarstwa Japonii na Litwie,

o tłumie żydowskich uciekinierów, tłoczących się pod jego domem rozgorączkowanych, głodnych Żydów głównie polskiego pochodzenia, przybyłych do Kowna z Wilna. A wcześniej z okupowanej przez Niemcy i Rosję Polski.

Kim był ten niezwykły Japończyk?

To japoński dyplomata (urodził się w 1900 roku, zmarł 31 lipca 1986), słynny głównie z powodu pomocy udzielanej kilku tysiącom Żydów, chcącym uciec z terytorium Litwy po rozpoczęciu jej okupacji przez Armię Czerwoną 15 czerwca 1940 roku, a przed formalną aneksją Litwy przez ZSRR (3 sierpnia 1940) i likwidacją konsulatu Cesarstwa Japonii w Kownie, gdzie pełnił funkcję konsula. Jego działania bywają porównywane do dokonań Oskara Schindlera.

To Sugihara udał się osobiście do ambasady ZSRR w Kownie, uzyskując zgodę na przejazd żydowskich uchodźców przez tereny Rosji. Musieli płacić podwójną cenę za przejazd koleją transsyberyjską. Na drugi dzień ogłosił wobec czekających pod konsulem: „Wystawię wizę każdemu z was. Proszę cierpliwie czekać”. Pracował po kilkanaście godzin dziennie, od ósmej do dwudziestej, wystawiając od kilkudziesięciu do kilkuset wiz. Musiał wpisywać wszystkie informacje ręcznie po japońsku.

Wszystko zaczęło się od tego, że w roku 1940, kiedy Hitler miażdżył zachodnią Europę, na terenie tak zwanej Republiki Litewskiej, która była właśnie zajmowana przez Związek Sowiecki, istniały jeszcze dwa ostatnie konsulaty obcych państw: konsulat honorowy Holandii, gdzie przedstawiciel Philipsa Jan Zwartendijk reprezentował interesy Królestwa Holandii, oraz konsulat japoński, gdzie rządził właśnie wicekonsul Sugihara. I wtedy, Natan Gutwirth, młody Żyd holenderski, student Talmudu na słynnej uczelni w Telszach we wschodniej Litwie, uzmysłowił sobie, że Holandia, która formalnie została zajęta przez nazistów już 10 maja (i w rezultacie on nie mógł tam już wrócić), posiada przecież jeszcze kolonie na Karaibach,

w Curaçao, podówczas Indiach Zachodnich. Do Curaçao wizy nie były potrzebne, ale trzeba było mieć wizę japońską, aby przejechać przez Rosję i Syberię. Wtedy Sugihara uznał wizy Holendra jako wizę docelową i zaczął wydawać japońskie wizy tranzytowe. Dzięki niemu sześć tysięcy Żydów, w większości tych, którzy uciekli z Polski na Litwę jeszcze w roku 1939, a w roku 1940 nie mieli gdzie się podziąć, uciekając przed komunizmem i hitlerowcami, te sześć tysięcy ludzi wyjechało z Litwy przez Związek Sowiecki, płacąc japońskie sumy za każdy bilet. I dotarło poprzez Japonię, bo taki był warunek, do Ameryki Południowej, do Surinamu i do Holenderskich Indii Zachodnich.

Ta historia sprzed wielu lat dziwnie, niepokojąco koresponduje z dziejącą się na obrzeżach Polski dzisiejszą historią z uchodźcami...

\*

Sugihara został po wojnie odznaczony Medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata i drzewkiem w Yad Vashem.

Ale dla nas, dziś żyjących w Polsce, kto wie, czy nie większe znaczenie ma to, co robi autor tej książki profesor Aleksander Skotnicki. Tak, sytuacja jest nieporównywalnie spokojniejsza i łagodniejsza, ale pewnym sensie Skotnicki kontynuuje linię Sugihary. Tak jak tamten ratował ludzkie życie, tak Skotnicki ocala od zapomnienia pamięć.

Bo przecież tak zwana lista Sugihary, czyli lista tych sześciu tysięcy osób, to jest równocześnie sześć tysięcy historii ludzkich, związanych z losami Żydów, obywateli polskich, w tym ogromnej liczby Żydów krakowskich. I właśnie Żydom krakowskim - to jest niezwykle pomysł książki Skotnickiego - jest poświęcone jego opracowanie.

Mamy tu 47 nazwisk krakowian, których ocalała lista Sugihary. I znowu decyduje szczegół, i znowu wzruszenie. Na przykład Ignacy i Maksymilian Aleksandrowiczowie, o których Skotnicki pisze tak: „Pochodzili ze starej, kupieckiej rodziny krakowskiej (...) właścicieli trzypiętrowej, obszernej kamienicy z wieżyczką pod adresem Bernardyńska 11 (róg od ulicy Smoczej, tuż pod Wawelem, naprzeciwko wieży sandomierskiej). (...) Poza ojcem Maksymilianem i stryjcem Ignacym, którzy się uratowali dzięki wizom Sugihary, podczas II wojny światowej zginęli wszyscy członkowie tej licznej rodziny”.

To maleńki wycinek tej wielkiej akcji, w której ratowano Żydów z Polski, wśród nich krakowskich. Tym ludziom poświęcona jest ta książka.

Niezwykły Marian Turski, świadek Holocaustu, recenzując książkę Skotnickiego, tak pisze o nim samym: „Profesor Aleksander Skotnicki jest uznanym na świecie hematologiem i transplantologiem, autorem wielu prac z zakresu medycyny. (...) przypomina i utrwała losy rodzin żydowskich, które przyczyniły się do rozwoju życia



Bohater książki z rodziną

gospodarczego, społecznego i artystycznego Krakowa. Historyk amator? Przydadź, Panie Boże, wielu historykom zawodowym takiego warsztatu badawczego. (...) To właśnie, że punktem wyjścia Aleksandra Skotnickiego są Żydzi krakowscy, którzy znaleźli się wśród kilku tysięcy uratowanych z Zagłady dzięki wizom konsula japońskiego. Mamy zatem ich życiorysy, a także losy tych, którym nie udało się wyrwać z niemieckiej pułapki. Ważne jest tło: dlaczego na Litwie - mimo restrykcji radzieckich - można było w ostatniej chwili uciec przed Zagładą. (...) Ale przede wszystkim potrzebna była dobra wola konsula „z dalekiego kraju”, by wykazać się empatią - za cenę własnej kariery! - wobec obcych mu kulturowo Żydów z Polski. To jest arcyciekawe i Skotnicki rozwiązuje tę zagadkę”.

Aleksander B. Skotnicki, *Chiune Sugihara. Konsul, który ratował Żydów*, Aromat Słowa, Kraków 2021.



Za PRL przez lata był symbolem komunistycznego liberała, który za pomocą prowadzonego przez siebie tygodnika „Polityka” próbował racjonalizować partię i system (choć trzeba przyznać, że wizerunek ten od początku obśmiewał Leopold Tyrmand). Kiedy jednak Mieczysław Rakowski objął rzeczywistość decyzyjne stanowiska (najpierw 1981 roku wicepremiera, w 1988 roku premiera, a wreszcie w 1989 roku I sekretarza PZPR), nimb runął – Rakowski stał się symbolem buty ekipy stanu wojennego oraz niechęci, bagary wobec ruchu „Solidarności”.

Już tylko ten zwrot jest ciekawy – zarówno biorąc pod uwagę meandry polityki, jak psychologii (indywidualnej i społecznej).

Dr Michał Przeperski opisuje życie Rakowskiego z naukowym profesjonalizmem i obiektywizmem oraz – co zwłaszcza godne uznania, a coraz rzadsze jest dziś zwłaszcza wśród młodszych historyków – wyczuciem realiów politycznych, społecznych czy mentalnych okresu PRL. Nie stosuje wobec Rakowskiego taryfy ulgowej, ale uczciwie pokazuje jego zasługi – te z czasu redagowania „Polityki”.

Dostajemy opis skomplikowanych losów skomplikowanego człowieka w skomplikowanych czasach. kb

Michał Przeperski, *Mieczysław F. Rakowski. Biografia polityczna*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2021.



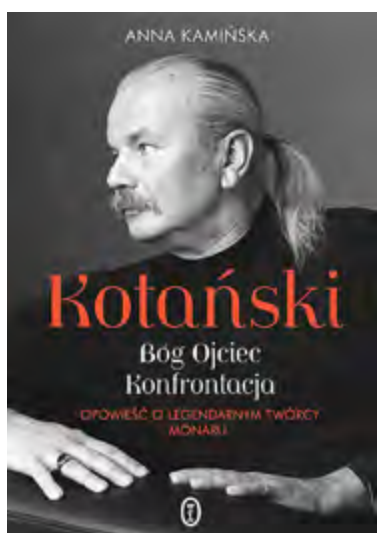
Jest o Nirwanie i grunge’u oraz o U2 i trasie Zoo TV, o serialach *Twin Peaks* oraz *Beavis i Butt-head*, a także o kanale MTV i serii koncertów *unplugged*, o Kate Moss i Madonnie. Ale jest też o twardych narkotykach, bezlitosnym świecie mass mediów i show biznesu oraz o samotności gwiazd popkultury (prowadzącej, bywało, do tragedii). Jest o zmianie kulturowych i społecznych obyczajów – w tym seksualnych – o modzie i o języku. A w tle jest także polityka.

Chodzi wszak o czasy pod każdym względem rewolucyjne – ostatnią dekadę minionego stulecia, już więc choćby tylko symbolicznie przełom wieków. Sam upadek komunizmu, do którego doprowadziła Wiosna Ludów w Europie Środkowo-Wschodniej, oznaczał zmianę światowego porządku. Równocześnie na Zachodzie – w Stanach Zjednoczonych zwłaszcza, ale też w Wielkiej Brytanii – młodzi ludzie powiedzieli „dość!” kultowi dobrobytu, przepychu

i konsumpcji oraz „dyktaturze pieniądza jako wyznacznika sukcesu i celu życia”. Stąd właśnie wzięta się głośna i brudna muzyka grunge i flanelowe koszule w kratę jej fanów czy taneczno-psychodeliczne zabawy w klubach rave (oraz popularność heroiny i pigulek ekstazy). Epokę sztuczności miała zastąpić era naturalności – z wszystkimi tego konsekwencjami. „Świat stał przed nami otworem” – wspomina Chris Cornell z grupy Pearl Jam. „Chodziło o to, by niczego nie udawać” – wspominała Kate Moss.

Anna Gacek, dziennikarka (związana niegdyś między innymi z Programem III Polskiego Radia), kreśli barwny portret lat 90. XX wieku. Jest mnóstwo anegdot, ale i doza refleksji. A przecież także wielu z nas, tu nad Wisłą, sądziło wtedy, że świat cały stoi przed nami otworem. kb

Anna Gacek, *Ekstaza. Lata 90. Początek*, Marginesy, Warszawa 2021.



Czy dokonałby tego, czego dokonał, gdyby nie był taki, jaki był? PRL, właściwie nikt nie ma pojęcia, jakim zagrożeniem są narkotyki. Na dodatek na rodzimym terenie pojawia się ich nadzwyczaj zabójcza wersja w postaci łatwej do wyprodukowania domowym sposobem makiwary, czyli hery z makówek. Powszechne jest też oczywiście poczucie kompletnej beznadziei. Efekt – rosnące grono sięgających po pokusę ucieczki w inny świat nawet za cenę upadku i śmierci. A komunistyczne państwo ogranicza się oczywiście do cenzurowania problemu.

Wtedy pojawia się on – z pomysłem na ratunek. Co z tego, że koncept

terapii przyjęty przez Monar niektórzy krytykują dziś jako nieetyczny. Dawał wszak szansę na przeżycie – przynajmniej niektórym.

Anna Kamińska pokazuje te dylematy oraz relacje twórcy Monaru z władzami PRL – które w tym kontekście pewnie można uznać za dopuszczalne – ale też, co ciekawsze, stara się wnikliwie zarysować cechy osobowościowe Marka Kotańskiego.

Znowu: obraz nie tylko osoby, ale i jej czasu. kb

Anna Kamińska, *Kotański. Bóg Ojciec. Konfrontacja. Opowieść o legendarnym twórcy Monaru*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021.

*Spadanie, Exodus, Szalona Lokomotywa* to Nasze Piękne Lata 70...

Tak, NPL 70.

To dlatego pod takim hasłem co roku w styczniu spotyka się od lat grupa osób związana z działalnością w ruchu studenckim w latach 70. XX wieku.

*Józef Misiaszek (Klub Krakowski)*

Teatr STU? To jakbym był pasażerem *Szalonej lokomotywy* i *Pacjentem* jednocześnie. Krzysztof Jasiński komponuje swoje zespoły i realizacje tak, jakby nie było ograniczeń przestrzeni, formy, tekstu. Od pudełka sceny przy Krasińskiego po namiot cyrkowy (czy raczej odwrotnie), od *Kabaretu* po *Hamleta*, od Czechowicza i Witkacego po Wyspiańskiego, Dostojewskiego i Szekspira. Jak się to robi?

*Krzysztof Goerlich (Klub Krakowski)*

Krzysztof Jasiński obok Teatru Cricot 2 Tadeusza Kantora i Piwnicy Pod Baranami Piotra Skrzyneckiego stworzył teatr magiczny, bez którego trudno wyobrazić sobie Kraków. Wpisał się złotymi literami do historii miasta, oddziaływał i oddziałuje na wyobraźnię kilku pokoleń Polaków. Ale mamy szczęście – STU nadal istnieje i w dalszym ciągu możemy sycić się wspaniałą literaturą, oglądać niezwykle kreacje aktorskie i podziwiać geniusz reżysera oraz twórcy Teatru – Krzysztofa Jasińskiego.

*Wojciech Ornat (Wydawnictwo Austeria)*

Klimat alternatywnych spektakli w STU towarzyszył mi od podstawówki – zabierali mnie tu rodzice, co niewątpliwie miało wpływ na kształtowanie mojej osobowości. Do dziś STU jest moim ulubionym teatrem i inspirującym, zawsze po spektaklach mam w głowie nowe pomysły do obrazów.

*Iwona Siwek-Front (malarka)*

Wspaniale tam bywać z przyjaciółmi, bo jest to teatr żywy i blisko widza.

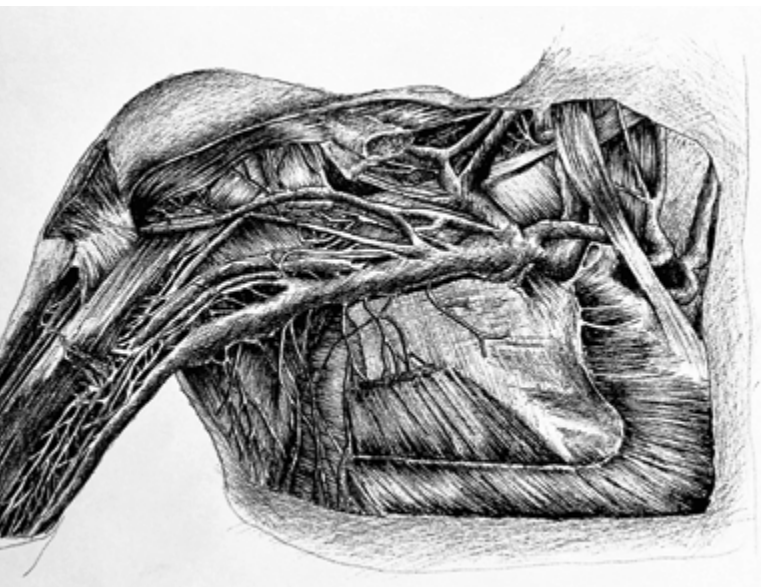
*Andrzej Pach (profesor telekomunikacji AGH)*

# Anatomia narysowana

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: archiwum Tomasza Wiatra

**Cor, hepar, ren, pancreas** – czyli serce, wątroba, nerki, trzustka... Nazwy ludzkich narządów jakoś lepiej brzmią po łacinie niż po polsku. Może dlatego, że nie posługujemy się nimi na co dzień i nie przywodzą nam na myśl realnych organów, tylko kojarzą się z czymś eleganckim, tajemniczym. I właśnie tak eleganckie, niczym ryciny ze starych ksiąg, są czarno-białe rysunki doktora Tomasza Wiatra z cyklu *Anatomia*, które zobaczymy na zaplanowanej na wiosnę przyszłego roku wystawie w Muzeum Czapskich.

Każdy może je odczytywać na własny sposób, w oderwaniu od anatomicznego kontekstu. Aorty, płątanina naczyń i żył działa na mnie niczym abstrakcyjne obrazy, rozbudzając wyobraźnię i pozwalając dostrzec



Tomasz Wiatr, *Anatomia barku*

w nich korytarze dziwnego zamku, po których chce się błądzić w poszukiwaniu przygód. Wątroba wygląda z kolei jak przestrzeń, w której mogłyby się rozgrywać sceny z horrorem. W przeciwieństwie do nerek mających zaokrąglone, znacznie przyjaźniejsze kształty. One, tak jak reszta narządów, zostały tu przedstawione z niezwykłą dokładnością i znajomością rzeczy.

Autorem tych niezwykłych dzieł jest lekarz urolog, a konkretnie – jak sam tłumaczy – chirurg układu moczowego żeńskiego

i moczowo-płciowego męskiego, pracujący na Oddziale Klinicznym Urologii i Urologii Onkologicznej Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie. Kto więc jak nie on miałby znać szczegóły anatomiczne człowieka. Dlatego oddaje je z taką chirurgiczną precyzją. – Zawsze wiedziałem, że chcę być zabiegowcem. Kiedy podczas studenckich praktyk w szpitalu trafiłem na blok operacyjny, gdzie odbywał się zabieg urologiczny, zrozumiałem, że to jest specjalizacja, jaką tylko mogłem sobie wymarzyć. Dzięki metodom laparoskopowym jest to elegancka, małoinwazyjna chirurgia, a operacje wykonuje się jakby przez dziurkę od klucza. To rzeczywiście wymaga precyzji, a rysowanie pozwala mi ją jeszcze rozwinąć – mówi doktor Wiatr.

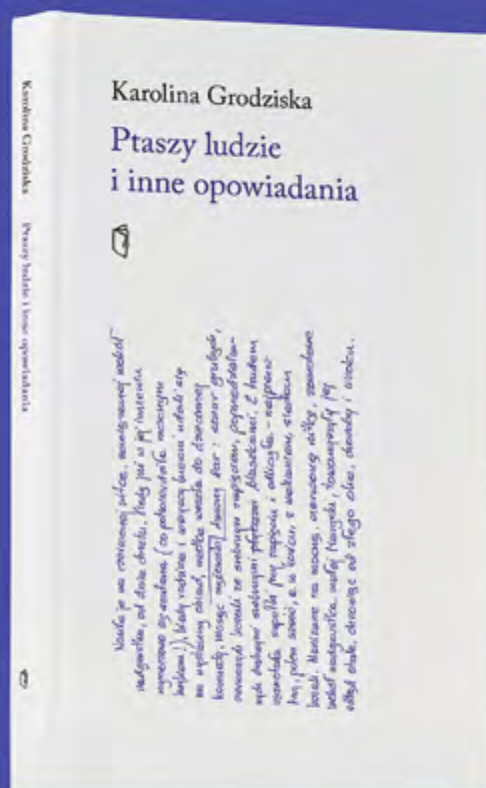
Kiedy ma chwilę przerwy i potrzebę zrelaksowania się po stresującej operacji, siada z ołówkiem oraz kartką i zaczyna szkicować. Tak powstał cykl *Anatomia*, tak powstały poprzednie rysunki artysty, przedstawiające znane postaci, między innymi Clinta Eastwoda, Bono, George’a Clooneya, Angelinę Jolie, Natalie Portman. Pacjenci, którzy leczyli się w starym budynku urologii Szpitala Uniwersyteckiego, mogli oglądać portrety najsłynniejszych urologów zawieszane przez lekarza na korytarzach, a koneserzy sztuki inne jego prace na wystawach w Collegium Maius czy MOCAK-u.

Na wiosnę w Muzeum Czapskich otwarta zostanie kolejna ekspozycja rysunków Tomasza Wiatra. Na ścianach zawisną prace z serii *Anatomia* i subtelne, bardzo zmysłowe akty kobiece, w dużej mierze utrzymane w kolorze sepii. – Na tej wystawie pokażę człowieka od środka i człowieka z zewnątrz – śmieje się artysta, który własnym sumptem postanowił też wydać katalog swoich rysunków. Uzyskany dochód przekaże na cele charytatywne.



# „Piękno, pamięć, prawda. Proszę Państwa – oto Literatura!”

miesięcznik „Kraków”



Książka już dostępna na  
[www.austeria.pl](http://www.austeria.pl)

Jako prawdziwa krakowianka kocham jubileusze, więc jubileuszowo pozdrawiam Teatr STU, teatr mojej studenckiej, a dokładniej, polonistycznej młodości, a więc to coś, co powstawało na moich oczach (przeszło pół wieku temu? Niebywałe!) i z moimi wczesnymi wzruszeniami, choć sama pętałam się gdzie indziej: między polonistycznym Kabaretem OSESKI a Teatrem Poezji tego samego wydziału, po drodze zahaczając o różne piękne inicjatywy Wojtka Jesionki w Klubie Pod Jaszczurami. Ale Wy byliście już wtedy nadzwyczajni! Cudowny był wtedy ten Wasz teatr pierwszego bałaganu artystycznego, w którym wszystko mogło się zdarzyć! Byłam z Wami od początku – albo raczej: byłam z Wami na początku, przy pierwszych premierach, przy *Pamiętniku wariata*, przy *Senniku polskim...* chyba aż do *Szalonej lokomotywy*. A potem? Chyba bardziej odfrunęłam do Teatru 38, trochę przecież starszego i bardziej niestabilnego w trwaniu, zmiennego, a i dzisiaj o mniej głośniejszej tradycji. Dlaczego tak się stało? Może dlatego, że za często wyjeżdżaliście i fajnie było notować Wasze sukcesy, ale bez emocjonalnego udziału własnego? Coś w tym musiało być, że nigdy nie mogłabym powiedzieć, że jesteście moim teatrem, choć moi ukochani koledzy, rówieśnicy z UJ, ze szkoły teatralnej i różni „rycerze roku ‘68” u Was debiutowali (Jurek Stuhr!), u Was zdobywali sławę, od Was szli w świat, ba, stawali się Waszym teatrem, a teraz powracają od czasu do czasu jak do macierzy... I niech tak pozostanie! A ja, oczywiście – też powróciłam: na różne benefisy, na genialne monologi w wykonaniu Jurka Treli i na wspaniałe nieraz, artystyczne działania moich kochanych studentów z naszej szkoły teatralnej (*Biesy* z Radkiem Krzyżowskim, Ulą Grabowską i innymi).

Rozwijajcie się nadal, wszystkiego co najlepsze życzę Wam na następne pół wieku, jeśli jest jeszcze jakiś szczyt do zdobycia, to go na pewno zdobędziecie! A teraz, w czasie niestabilnym, najważniejsze jest trwać! Więc trwajcie!

*Maria Malatyńska (miesięcznik „Kraków”)*



Łucja Kłańska-Kanarek, *Koncert na Anioła i wiolonczelę*



**Łucja Kłańska-Kanarek** jest absolwentką Wydziału Plastycznego Akademii Pedagogicznej w Krakowie. Maluje obrazy olejne, ale sięga też po inne techniki – akryl, pastel,

akwarela czy tempera. Jej obrazy można zobaczyć w prywatnej Galerii 9 Aniołów przy ul. Bocznica 9a (tel. 606-140-545), a także na stronie [www.klanska.pl](http://www.klanska.pl).

# Obrazy, na których przysiadły anioły

**Tekst:** Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcia:** archiwum artystki

**Nieziemskie istoty przyfrunęły do Łucji Kłańskiej-Kanarek razem z literaturą judaistyczną, która zafascynowała malarkę. I tak już zostały razem z katolickimi Madonnami, które ze sobą przyprzewodziły.**

Jeżeli istnieją miejsca, gdzie od pierwszej sekundy czuję się dobrze, to należy do nich galeria Łucji Kłańskiej-Kanarek. Malarka czeka na mnie na ganuku domu, zapraszając z uśmiechem do środka. A tam gorąca herbata z sokiem malinowym, podana w porcelanowych filiżankach, pyszne ciasto, no i anioły, które spoglądają na mnie z wiszących na ścianach płócien. Patrząc na nie, zaczynam rozumieć, dlaczego ludzie tak chętnie kupują zamieszkiwane przez nie obrazy. Ich towarzystwo uspokaja, poprawia nastrój, mam wrażenie, że powoli zaczynają nawet latać nad moją głową.

A na pewno latają nad głową Łucji, do której przyszedł w dzieciństwie w postaci tłuściutkich aniołków z kościoła św. Jana Sióstr Prezentek.

– Rodzice upodobili sobie ten kościół i zabierali mnie tam w każdą niedzielę. Nie mogłam napatrzeć się na te grubiućkie, barokowe putta, które podobały mi się może także dlatego, że sama byłam bardzo chudą dziewczynką. Ich walorem było oczywiście to, że miały skrzydła i były aniołami, czyli istotami, które w wigilię przynosiły mi pod choinkę prezenty. Nie mogłam ich nie kochać.

Ale przyszedł taki moment, że o nich zapomniała. To naturalne, w końcu dorastająca dziewczyna, uczennica liceum plastycznego, a potem studentka, nie powinna zwracać sobie głowy naiwną wiarą w anioły. Musiało upłynąć trochę czasu, by nieziemskie istoty wróciły do Łucji. I wybrały sobie do tego dość nieoczywistą drogę. Otóż przyfrunęły razem z literaturą judaistyczną, która zafascynowała malarkę. Zeszyły do niej z kart książek Singera i innych pisarzy, dzięki którym zaczęła poznawać kulturę żydowską. – To były lata 70. tamtego wieku. Brałam pod pachę szkicownik i szłam na Kazimierz, by rysować miejsca, gdzie można było jeszcze poczuć zapach ludzi zmuszonych do opuszczenia swoich domów, słychać było ich głosy zakłute w starych murach i ich codzienność ukrytą w zniszczonych sztydach sklepów. Te szkice przenosiłam na płótna, na których zaczęły przysiadają anioły. Były to Chagallowskie anioły, takie niedopowiedziane – wspomina.

Jej dzisiejsze anioły są już zdecydowanie bardziej realistyczne. I na dodatek nie są to eteryczne istoty, ale stworzenia z krwi i kości, bardzo cielesne kobiety, czułe, opiekuńcze, troskliwe. Wystarczy jeden ruch ich skrzydeł, by przyglądający się im człowiek poczuł się lepiej. Szczególnie gdy fruują na obrazach, na których malarka uwiecznia architekturę Krakowa, gdy przysiadają na kamienicach ulicy Kanoniczej, na klasztorze Norbertanek, alei prowadzącej

na salwatorski cmentarz, na Skałce, na kościele św. Wojciecha czy na wawelskich krużgankach.

Anioły Łucji są zawsze pogodne jak ona sama i jak ludzie, którymi chce się otaczać. Mówi, że jakimś dziwnym trafem ma do nich szczęście i że to właśnie takie osoby najczęściej odwiedzają jej dom, przynosząc ze sobą dobrą energię, której było jej potrzeba w trakcie pandemii, bo o mały włos nie pogrzebała marzeń artystki. Otóż zawsze chciała mieć prywatną galerię. Bała się jednak ją otworzyć, gdyż zdawała sobie sprawę z tego, że wymaga to ogromnych środków – wynajęcia specjalnych pomieszczeń, utrzymania ich i mnóstwa innych drobiazgów, za które trzeba zapłacić. Malarka nie sądziła, że kiedykolwiek będzie ją na to stać. Ale nagle okazało się, że wcale to wszystko nie jest konieczne.

– Mieszkam w Bieżanowie, na obrzeżach Krakowa, w domu wybudowanym na początku lat 60. XX wieku przez mojego tatę. Parter miał przejąć syn, ale postanowił wyjechać. Wtedy pomyślałam, że przecież galerię sztuki można mieć we własnym domu – opowiada Łucja. Jej mąż Andrzej, z wykształcenia inżynier, podchwycił pomysł i zabrał się do burzenia ścian, kładzenia podłogi, projektowania oświetlenia. Po generalnym remoncie malarka mogła powiesić swoje anioły i Madonny, które do nich dołączyły.

– Na otwarcie zaprosiliśmy mnóstwo gości, zaczęliśmy organizować koncerty, wieczory autorskie. Czułam, jakby moje anioły ofiarowały mi skrzydła, dzięki nim mogłam latać nad ziemią – wspomina malarka. Nie przypuszczała jednak, że za niecały rok pojawi się na świecie COVID-19 i zatrzyma wszystkie plany.

Najbardziej bała się, czy da radę dalej utrzymywać się ze swojej twórczości. W końcu obrazy są ostatnią rzeczą, jaką ludzie kupują w tak niepewnej sytuacji. I tu się pomyliła. Właśnie w takim momencie odbiorcy jej sztuki chcieli się skryć w ciepłych, tworzonych przez nią światach. – Miałam tyle zamówień, że nie wychodziłam z pracowni. I jak tu nie wierzyć, że anioły nade mną czuwają – uśmiecha się Łucja, dolewając mi do herbaty sok malinowy.



**Magda Huzarska-Szumiec** – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

# Odpowiada Łucja Kłańska-Kanarek

## **Jaki zapach kojarzy Ci się z dzieciństwem?**

Ha. Wiele ich, ale pierwsze, co przychodzi mi na myśl, to cudowny zapach chleba pieczonego w pobliskiej piekarence, siana na łące za domem i najmiłszy – małych kociąt w domu babci w Bieżanowie.

## **Jaki smak czujesz do dziś, gdy wracasz wspomnieniami do pierwszych lat życia?**

Wata cukrowa na odpuście, wigilijne łązanki z makiem w domu rodzinnym i kisiel borówkowy robiony przez babcię w Zakopanem.

## **Co oznacza dla Ciebie słowo „wolność”?**

Wewnętrzną harmonię, odpowiedzialność, swobodę wyrażania poglądów, życie według własnego sumienia i przekonań. No i świadomość, że nikt nie będzie próbował mnie do czegoś zmusić czy karać za taką postawę.

## **W jakich sytuacjach czujesz się zniewolona?**

Kiedy ktoś, występując z pozycji silniejszego, próbuje mną zafundować, sterować, manipulować, dyrygować, podporządkować mnie swym racjom.

## **Jaką książkę zabrałabyś ze sobą na bezludną wyspę?**

Książkę? Wyruszę z całą biblioteką! A już bez *Chłopów* Reymonta, *Ksiąg Jakubowych* Olgi Tokarczuk i Ewangelii nigdzie nie jadę. Aha, zapomniałam o niedocenianym Kraszewskim. Całym, poza baśniami.

## **Czy istnieje film, do którego możesz wracać bez końca?**

*Noce i dni* w reżyserii Jerzego Antczaka.

## **Jaka muzyka jest dla Ciebie ważna?**

*Requiem* Mozarta zawsze na pozycji pierwszej, średnio radosne, ale mnie uskrzydla! No i wszystko, co skomponował Zbigniew Preisner. Demarczyk, Grechuta – ukochni.

## **Czy są dźwięki, których nie znosisz?**

Jednostajne niskie tony, bzyczenie komara, mlaskanie, chrupkanie i chrapanie. I nie cierpię hałasu.

## **Kogo chciałabyś spotkać, gdy dotrzesz do nieba bram?**

Ale czy ja tam dotrę? Nie chcę żadnej z Szanownych Dusz urazić, wymieniając z nazwiska, ale oprócz tych, których kochałam, koniecznie królową Bonę.

## **Kogo nie chciałabyś spotkać w zaświatach?**

Tych, których nie chcę oglądać za życia, a czasem muszę.

## **Czy wierzysz w zjawiska nadprzyrodzone?**

I tak, i nie. Niby jestem realistką, mocno stąpam po ziemi, ale... „czucie i wiara mocniej mówi do mnie niż mędrca szkiełko i oko”.

## **Jaki sen najczęściej do Ciebie powraca?**

O wielkiej cukierni pełnej szklanych witryn, w których piętrzą się góry ciastek. Mniem, mniem...

## **Gdybyś mogła wybrać się w podróż marzeń, gdzie by to było?**

W ciepłe kraje, ale koniecznie balonem!

## **Czy istnieje miejsce, do którego nie chciałabyś już nigdy wrócić?**

Szkoła. Ale nie ta, w której się uczyłam, tylko ta, w której pracowałam. Na szczęście krótko.

## **Polska ma sens, bo...**

Jakkolwiek górnolotnie to zabrzmie – bo to Matka. Jest w sercu, głowie, w duszy. Jakkolwiek by była, to jednak Matka.

## **Kraków ma sens, bo...**

Bo go kocham. Umarłabym z tęsknoty, gdybym musiała stąd wyjechać. A ja tak bardzo lubię żyć...



Łucja Kłańska-Kanarek, *Anioł z zielonym balonikiem*

# Prapoczątki

Tekst: Witold Beres

**Choć pierwszy polski klub piłkarski powstał we Lwowie (Lechia, latem 1903 roku), to nie byłoby reprezentacyjnej piłki bez Krakowa.**

S to lat temu na pierwszy mecz reprezentacji Polski (z Węgrami w Budapeszcie w grudniu 1921 roku) nie tylko jechano pociągiem z Krakowa, ale w debiutanckiej jedenastce zagrało aż siedmiu piłkarzy Cracovii (obrońca Ludwik Gintel, pomocnicy Zdzisław Styczeń, Stanisław Cikowski, Tadeusz Synowiec oraz napastnicy Stanisław Mielech i Leon Sperling ze środkowym Józefem Kałużą), a podczas meczu Polaków prowadził trener Cracovii (i jednocześnie... Węgier) Imre Pozsonyi.

Już ten mecz wart jest filmu: wyjechano z Krakowa 16 grudnia o 10.40 przed południem klasą trzecią (bo nie było pieniędzy na klasy wyższe) i dojechano na miejsce o 23 czasu lokalnego (czyli o północy czasu polskiego) po pięciu przesiadkach, starciu z czesкими celnikami i awarii parowozu, czyli po 36 (!) godzinach od wyjazdu.

W środku nocy 13 piłkarzy i oficjele (prezes PZPN dr Edward Cetnarowski i ówczesny mistrz Polski w tenisie ziemnym Edward Kleinadel) zostali przewiezieni dorożkami do luksusowego hotelu Astoria, gdzie wreszcie po północy mogli coś zjeść, by następnego, zimnego, dżdżystego dnia, w niedzielę 18 grudnia, w samo południe ruszyć samochodami na odległy o 7 kilometrów stadion Hungaria i już o 13.30 wybiec na grząską murawę boiska (widzów 8 tysięcy – „tylko” jak na 30-tysięczny stadion, „aż” jak na polskie realia).

Niestety, Polacy byli zmęczeni, zaziębnieni (Kałuża miał gorączkę, zaś Gintel bóle żołądka) i pogoda była pod psem. Ale ponoć nie było tak źle – na bramce cudów dokonywał młody zawodnik Polonii Warszawa Jan Loth. O stylu ówczesnej gry najlepiej świadczy sytuacja z pierwszej połowy, gdy Wacław Kuchar (Pogoń Lwów) trafił w głowę węgierskiego bramkarza tak mocno, że ten stracił na chwilę przytomność. Ale choć sędzia nie przerwał gry, a Kuchar był z piłką przed pustą bramką, zamiast strzelać, zaczął cucić Węgra. Z kolei Loth później grywał w reprezentacji jako... napastnik.

W tej sytuacji porażka ledwie 0:1 (Jenő Szabó w 18 minucie) z jedną najlepszych wówczas drużyn europejskich, od której Polacy będą regularnie brać baty (pierwszy raz wygrywając na trzy dni przed wybuchem II wojny światowej), była sukcesem...

Drugi mecz reprezentacji, rewanżowy z Węgrami, był również krakowski. Oto 14 maja 1922 roku w Parku Gier Klubu Sportowego Cracovia (po śmierci Marszałka został

przemianowany w roku 1936 na im. Józefa Piłsudskiego) Polacy co prawda też przegrali (i to bezdyskusyjnie – 0:3), ale na boisku w jedenastce było aż dziesięciu krakowian. Prócz piłkarzy z Cracovii (Gintel, Cikowski, Synowiec, Mielech, Sperling i Kałuża), reprezentowana była jeszcze Jutrzenka (Józef Klotz oraz Zygmunt Krumholz) i Wisła (Stefan Śliwa i Henryk Reyman) – drużynę dopełniał Wacław Kuchar (Pogoń Lwów).

Ba, dwa tygodnie później, w trzecim swoim meczu kadra w końcu strzeliła bramkę – dzięki krakusowi. 28 maja 1922 w meczu towarzyskim Polacy wygrali w Sztokholmie ze Szwecją 2:1, a pierwszą bramkę strzelił Józef Klotz z Jutrzenki (Jutrzenka to nieistniejący już żydowski klub piłkarski, założony w roku 1910, którego działacze i sportowcy byli powiązani ze środowiskiem Bundu. Głównym rywalem Jutrzenki był żydowski syjonistyczny klub Makkabi Kraków, a mecze tych dwóch drużyn określano „świętą wojną” na długo zanim przeniesiono to określenie na mecze Cracovii z Wisłą).

Losy Klotza są w jakimś sensie emblematyczne dla sportu w II RP. Urodził się w Krakowie w 1900 roku w biednej rodzinie żydowskiej, ale służył w armii Austro-Węgier i w Wojsku Polskim podczas wojny z bolszewikami. Potem ożenił się z katoliczką, a na początku lat 30. zamieszkał w Warszawie. Tam po wybuchu II wojny trafił do getta i zginął rok później w masowej ulicznej egzekucji zatrzymanych w łapance...

\*

Przed wybuchem wojny głównie grano na Cracovii. Raz tylko zagrano na Wiśle, i było to na starym boisku z widownią na 1800 kibiców, znajdującym się obok dzisiejszego Stadionu im. Reymana. Za to po drugiej wojnie światowej w Krakowie reprezentacja grywała głównie na nowym, zbudowanym w 1953 roku stadionie Wisły (był przebudowywany i remontowany, kilka razy zmieniał nazwę).

Po drodze raz też zagrano na Suchych Stawach w Nowej Hucie, gdzie grywa Hutnik Kraków. Z tamtego meczu zapamiętano głównie to, że posłużył jako pretekst do bójki kibiców: najpierw ci z Hutnika gonili Cracovię, a później bili się z tymi z Wisły. I wtedy wracali ci z Cracovii...

Łącznie, przez blisko 100 lat reprezentacja Polski grała w Krakowie 21 razy, odnosząc 9 zwycięstw, 6 razy remisując i 6 razy przegrywając (bramki 45:30, najwięcej strzelił ich Włodzimierz Lubański – aż 8).





Piłkarska reprezentacja Polski przed pierwszym oficjalnym meczem z Węgrami (18 grudnia 1921 w Budapeszcie). Stoją od lewej: Pozsonyi, Kuchar, Szyc, Einbacher, Weyssenhoff, Sperling, S. Loth, Marczewski, J. Loth, Mielech, Cetnarowski, Babulski, Kałuża, Leser, Gintel. Klęczą od lewej: Styczeń, Cikowski, Synowiec.

Źródło: Wikipedia / domena publiczna (za: *Dziesięciolecie Polski odrodzonej. Księga pamiątkowa. 1918-1928, Kraków-Warszawa, „Ilustrowany Kurier Codzienny” 1928, s. 853*)

## Krakowskie mecze reprezentacji Polski w ostatnich 100 latach

- 14.05.1922**, Park Gier Klubu Sportowego Cracovia: Polska – Węgry 0:3 (towarzyski)
- 03.06.1923**, Park Gier Klubu Sportowego Cracovia: Polska – Jugosławia 1:2 (towarzyski, dla Polski bramkę strzelił Józef Kałuża)
- 01.11.1923**, Park Gier Klubu Sportowego Cracovia: Polska – Szwecja 2:2 (towarzyski, dwie bramki Wawrzyniec Staliński)
- 19.07.1925**, Boisko TS Wisła: Polska – Węgry 0:2 (towarzyski)
- 01.11.1925**, Park Gier Klubu Sportowego Cracovia: Polska – Szwecja 2:6 (towarzyski, bramki: Leon Sperling, Wacław Kuchar)
- 04.11.1956**, Stadion Miejski TS Wisła: Polska – Finlandia 5:0 (towarzyski, bramki: Henryk Kempny – 2, Krzysztof Baszkiewicz, Lucjan Brychczy, Edmund Kowal)
- 10.05.1964**, Stadion Miejski TS Wisła: Polska – Irlandia 3:1 (towarzyski, bramki: Eugeniusz Faber, Jerzy Wilim, Zygfryd Szołtysik)
- 16.05.1965**, Stadion Miejski TS Wisła: Polska – Bułgaria 1:1 (towarzyski, bramka: Ernest Pohl)
- 29.10.1967**, Stadion GTS Wisła: Polska – Rumunia 0:0 (towarzyski)
- 20.04.1969**, Stadion GTS Wisła: Polska – Luksemburg 8:1 (el. MŚ 1970, faza grupowa, bramki: Włodzimierz Lubański – 5!, Kazimierz Deyna – 2, Jerzy Wilim)
- 16.05.1970**, Stadion GTS Wisła: Polska – NRD 1:1 (towarzyski, bramka: Kazimierz Deyna)
- 22.09.1971**, Stadion GTS Wisła: Polska – Turcja 5:1 (el. ME 1972, faza grupowa, bramki: Włodzimierz Lubański – 3, Bronisław Bula, Robert Gadocha)
- 10.10.1979**, Stadion GTS Wisła: Polska – Islandia 2:0 (el. ME 1980, faza grupowa, bramki: Roman Ogaza – 2)
- 19.11.1980**, Stadion Miejski: – Algieria 5:1 (towarzyski, bramki: Andrzej Iwan – 2, Janusz Kupcewicz, Włodzimierz Ciołek, Marek Dziuba)
- 07.09.1983**, Stadion Miejski, Polska – Rumunia 2:2 (towarzyski, bramki: Włodzimierz Ciołek, Andrzej Iwan)
- 04.05.1994**, Stadion Miejski Hutnik Kraków, Polska – Węgry 3:2 (towarzyski, bramki: Marcin Jałocha, Henryk Bałuszyński, Adam Fedoruk)
- 18.08.1998**, Stadion Miejski, Polska – Izrael 2:0 (towarzyski, bramki: Mirosław Trzeciak, Rafał Siadaczka)
- 26.03.2008**, Stadion Miejski im. Henryka Reymana, Polska – USA 0:3 (towarzyski)
- 07.09.2010**, Stadion Miejski im. Henryka Reymana, Polska – Australia 1:2 (towarzyski, bramka: Robert Lewandowski)
- 04.06.2013**, Stadion Cracovii im. Józefa Piłsudskiego: Liechtenstein – Polska 2:0 (towarzyski, bramki: Artur Sobiech, Maciej Rybus)
- 06.06.2016**, Stadion Miejski im. Henryka Reymana, Polska – Litwa 0:0 (towarzyski)



**Witold Bereś** – producent filmowy, scena-rzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

# Jak biliśmy w piłce Turków pod Wawelem

Tekst: Krzysztof Jakubowski Zdjęcia: archiwum własne autora

Mija 100 lat, odkąd reprezentacja Polski w piłce nożnej rozgrywa mecze międzypaństwowe. Niestety, mecze o takiej randze dość rzadko rozgrywane były w Krakowie, a już spotkania o punkty w eliminacjach mistrzostw świata czy Europy policzyć można na palcach jednej ręki.



Wypełniony po brzegi stadion Wisły podczas jednego z ligowych meczów. Drewniana trybuna (proj. Romana Bandurskiego) mieszcząca około 3,5 tys. widzów zniszczona została podczas burzy w 1946 roku, fot. 1928, NAC

Spróbujmy prześledzić ten wątek, ze szczególnym uwzględnieniem jednego meczu...

## Lata 20. XX wieku i... bardzo długa przerwa

Zanim reprezentacja Polski w piłce nożnej została przyjęta oficjalnie do europejskiej rodziny futbolowej FIFA, doszło do kilku spotkań międzypaństwowych. Widownią drugiego meczu w historii międzynarodowych kontaktów polskiej kadry był Kraków, a nasza drużyna przegrała – w obecności 16 tys. widzów (!) – ze znakomitą wówczas reprezentacją Węgier 0:3. Mecz rozegrany w maju 1922 roku był nieudanym rewanżem za porażkę w Budapeszcie (0:1), w grudniu poprzedniego roku. Spotkanie to – podobnie jak jeszcze trzy inne w okresie międzywojennym – rozegrano na stadionie Cracovii.

Tylko raz bowiem w dwudziestoleciu reprezentacja zagrała na boisku Wisły, a był to przegrany mecz – znów z drużyną Węgier (tym razem 0:2) w lipcu 1925 roku, niemal dokładnie w trzecią rocznicę wybudowania stadionu przy al. 3 Maja. Jego charakterystycznym elementem była kryta drewniana trybuna po zachodniej stronie, usytuowana prostopadle do alei. Jesienią tego samego roku przyszła jeszcze dotkliwa porażka z reprezentacją Szwecji (2:6).

## Za PRL-u

Na kolejny (oficjalny) międzypaństwowy mecz przyszło Krakowowi czekać niemal 30 lat, bo do 1956 roku...

Po ostatniej wojnie widownią międzypaństwowych spotkań był bowiem dla odmiany

właśnie tylko stadion Wisły. Był to zupełnie nowy obiekt, zrealizowany w duchu umiarkowanego socrealizmu, oddany do użytku w maju 1953 roku. We wspomnianym 1956 roku fetowano tam okazałe zwycięstwo 5:0 nad Finlandią.

Po kolejnej przerwie i trzech towarzyskich meczach rozegranych około połowy lat 60. przyszło zmierzyć się wreszcie o punkty w eliminacjach do mistrzostw świata. Mecz odbył się 20 kwietnia 1969 roku, a przeciwnikiem był europejski outsider – reprezentacja Luksemburga. Stąd zapewne wynik 8:1 i aż pięć bramek ówczesnej gwiazdy polskiego

w latach 1972–1976 po trzecie miejsce na mistrzostwach świata i dwa medale olimpijskie. A jednak.

Dość nieoczekiwanie szansa taka wyłoniła się już po kilku miesiącach od objęcia kadry przez trenera Górskiego, jesienią 1971 roku. Nasi piłkarze znaleźli się wówczas w grupie eliminacyjnej z NRF, Turcją i Albanią. Mimo że zachodni Niemcy piłkarze zdobyli rok wcześniej brąz na mistrzostwach świata w Meksyku, nie grali olśniewająco. Zgubili nawet na własnym boisku punkt, remisując ze słabą Turcją (za zwycięstwo przyznawano wtedy tylko dwa punkty). Optymiści, których



Stadion Cracovii, oddany do użytku w 1912 roku, był w pierwszej połowie lat 20. widownią kilku meczów reprezentacji Polski. Modyfikowany, przetrwał w dawnej postaci do pożaru w 1966 roku, fot. ok. 1935, NAC

futbolu, niezawodnego Włodzimierza Lubańskiego. Wysokie zwycięstwo na inaugurację nie pomogło jednak w awansie z grupy eliminacyjnej, bo tę wygrała dość nieoczekiwanie Bułgaria.

#### **Pechowe Euro**

Sporych emocji przysporzyły finały Euro 2020, mimo że reprezentacja Polski przyczyniła się do tego w dość niewielkim stopniu. Tu trzeba przypomnieć, że nasi piłkarze nie mieli jakoś szczęścia do udziału w finałach tej imprezy, rozgrywanych cyklicznie co cztery lata, od 1960 roku. Po raz pierwszy wyszli z grupy eliminacyjnej dopiero podczas 13. edycji tej imprezy – w 2008 roku. Odtąd pojawiali się już we wszystkich finałach, choć bez specjalnych sukcesów.

Z historycznej perspektywy musi to dziwić, bo przecież reprezentacja pod wodzą trenera Kazimierza Górskiego sięgnęła

niegdy nie brakowało, zaczęli nawet przebąkiwać o możliwym wyjściu z grupy.

#### **Wątek osobisty: 22 września 1971 i Polska – Turcja**

Podobnie jak wcześniej, także w latach 70. i później decydenci z piłkarskiej centrali nie rozpieszczali Krakowa. Dlatego w ciągu ostatniego półwiecza rzadko rozgrywane były tu mecze reprezentacji o ważne punkty. Zaliczam się do szczęściarzy, którzy obejrze-  
li jedno z takich spotkań – potyczkę z Turcją.

O bilety nie było łatwo, ale ich znaczącą pulę rozprowadzały wtedy zakłady pracy. Z puli elektrowni, w której pracował ojciec, dostaliśmy dwie wejściówki. Ponieważ ojciec tradycyjnie nie miał czasu, wziąłem na mecz kolegę Jacka Pasternaka (dziś w San Diego). Mecz odbywał się wczesnym popołudniem, bo ówczesny stadion Wisły nie miał jeszcze oświetlenia elektrycznego, choć w jego czterech rogach

stały co najmniej od roku pomalowane na niebiesko smukłe maszty z jupiterami. Z Dębnik, gdzie mieszkaliśmy, autobus zawiózł nas pod hotel Cracovia i do stadionu pozostały już tylko dwa przystanki śmiesznym, pojedynczym wagonikiem tramwaju linii 17 albo 18, który pamiętał jeszcze czasy okupacji.

Pogoda sprzyjała, bo choć kończył się wrzesień, dzień był słoneczny i ciepły. Wypełniony po brzegi stadion robił wrażenie. „Dziennik Polski” podał, że sprzedano na ten mecz 40 tys. biletów, co wydawało się jednak mało prawdopodobne. Zapewne według tych samych kryteriów wyliczono na 35 tys. liczbę

krakowian – wiślaka Adama Musiała i byłego gracza Garbarni Roberta Gadochę. Gadocha, mimo że znalazł się w niezbyt lubianej Legii, przyjmowany był w Krakowie zawsze z sympatią. Niedaleko nas grupka starszych chłopaków z Zakrzówka, skąd wywodził się słynny lewoskrzydłowy, skandowała „Józek!, Józek!”, bo takie było jego prawdziwe imię. Wtedy jeszcze trwała tam mała uliczka Bzowa (boczna Zielnej), ze skromnymi parterowymi domami, gdzie wciąż mieszkał ojciec piłkarza.

Tamta drużyna Turcji miała niewiele wspólnego z dzisiejszą reprezentacją tego kraju i zaliczana była raczej do słabeuszy. Opinii tej nie



Tak prezentował się stadion Wisły w przeddzień eliminacyjnego meczu z Turcją latem 1971 roku. Jupitery już stały, jednak rozbłysły dopiero w czerwcu następnego roku podczas ligowego meczu z Legią. Siła ich natężenia – 600 luxów – z trudem mieściła się w ówczesnych normach FIFA, fot. Kronika Krakowa 1971

widzów na wiosennym meczu Wisła – Górnik Zabrze (1-0). Nikogo to nie dziwiło, bo skłonność do gigantomanii była w PRL-u mocno zakorzeniona.

Jeżeli chodzi o widzów, przypomnieć warto ciekawe zjawisko. Ówczesne mecze odbywały się na ogół w dojmującej ciszy trybun, a entuzjazm wywoływały jedynie bramki czy kontrowersyjne spięcia. Dopiero odniesiony w następnym roku olimpijski sukces drużyny Kazimierza Górskiego sprawił, że stadiony zaczęły objawiać zbiorowe – raczej pozytywne – emocje (choć nie był to jeszcze żywiołowy doping), organizowały się kluby kibica, a na Wiśle zaczął być słyszalny słynny później X sektor.

Mieliśmy miejsca stojące (od strony al. 3 Maja), ale „stojące” tylko formalnie, bo w czasie meczów wszyscy solidarnie siadali na nisko posadowionych, wąskich betonowych krzewnikach, co na dłuższą metę było jednak nie lada wyzwaniem. Gorąco powitano dwójkę

potwierdziła jednak pierwsza połowa, bo Turcy trzymali się dzielnie, a jedyną bramkę dla Polski zdobył świetnym technicznie uderzeniem rozgrywający Ruchu Chorzów, filigranowy Bronisław Bula. W przerwie meczu byliśmy świadkami chamskiego wybryku. Widzieliśmy, jak nasz starszy kolega z Dębnik, nieżyjący już niestety Tadek Piechnik, oberwał w głowę butelką po piwie. Skończyło się na szczęście tylko guzem, a wszechobecna na stadionie milicja oczywiście niczego nie zauważyła i nie znalazła winnego.

O incydencie pozwolił zapomnieć werek z bramkami, jaki rozwiązał się w drugiej połowie. Klasę pokazał dwukrotnie Włodek Lubiański, fantastycznie przyspieszający z piłką prowadzoną krótko przy nodze. Dryblingami i szybkością na skrzydle czarował Gadocha, a jego celny półwolej z 20 metrów wzbudził entuzjazm. Stosunkowo mało widoczny był Kazimierz Deyna, wówczas piłkarz o uznanej już renomie. Warto jednak przypomnieć, że

był to jeszcze czas, kiedy pierwsze skrzypcze w reprezentacyjnej drugiej linii grał mafiński Zygfryd Szoltyś z Górnika Zabrze, świetnie rozumiejący się z Lubańskim. Publikacja opuściła już stadion, kiedy to właśnie Lubański trafił po raz trzeci, tym razem w samo okienko z precyzyjnie wykonanego rzutu wolnego. Zwycięstwo 5:1 było imponujące, ale ja byłem trochę zawiedziony, bo mój ulubieniec Jan Banaś nie zdobył żadnego gola.

Do Dębnik wracaliśmy już w większej grupie. Rozprawialiśmy o meczu i ostrożnie rozważaliśmy szanse w eliminacjach, bo następnym przeciwnikiem była ekipa NRF z legendarnymi już Beckenbauerem, Müllerem i Netzerem. Po tym meczu były tylko

W ciągu półwiecza od meczu z Turcją Kraków tylko dziewięć razy (sic!) gościł reprezentację. Do meczu o punkty – znów w eliminacjach grupowych mistrzostw Europy – doszło tylko raz, w październiku 1980 roku, z drużyną Islandii (wygrana 2:0). W przyznawaniu meczów nie pomagało wcale to, że Kraków był na ogół szczęśliwy dla reprezentacji, która po raz pierwszy przegrała tu dopiero w 2008 roku z ekipą z USA.



„Ilustrowany Kurier Codzienny” o rozegranym 19 lipca 1925 roku na boisku TS Wisła towarzyskim meczu Polska – Węgry (0:2)

dwa punkty straty od Niemców i zapanował umiarkowany optymizm, jak się okazało, zupełnie niezasadniony. Kilkanaście dni później dotkliwa porażka 1:3 z ekipą NRF na warszawskim Stadionie 10-lecia oznaczała kres marzeń o grze w finałowym turnieju mistrzostw Europy wiosną następnego roku. Skromnym usprawiedliwieniem dla polskich piłkarzy mogła być koncertowa gra Niemców na belgijskich stadionach i zdobyte w cuglach mistrzostwo Europy.

**Zamiast glosy**

W ciągu półwiecza od meczu z Turcją Kraków tylko dziewięć razy (sic!) gościł reprezentację. Do meczu o punkty – znów w eliminacjach grupowych mistrzostw Europy – doszło tylko raz, w październiku 1980 roku, z drużyną Islandii (wygrana 2:0). W przyznawaniu meczów nie pomagało wcale to, że Kraków był na ogół szczęśliwy dla reprezentacji, która po raz pierwszy przegrała tu dopiero w 2008 roku z ekipą z USA. Decyzji nie ułatwiała na pewno permanentna przebudowa stadionu Wisły, ciągnąca się w latach 2004–2010. Nowy obiekt był mocno krytykowany za projektowe niedociągnięcia, niustające korekty i narastające koszty.

Jego budowa pochłonęła ponad 640 mln zł z gminnej kasy.

Tylko dwukrotnie mecze narodowej drużyny odbyły się poza stadionem Wisły. W maju 1994 roku na stadionie Hutnika Polska pokonała Węgry 3:2 i była to zapewne nagroda za dobrą wtedy grę nowohuckiej drużyny w I lidze, zwanej dziś ekstraklasą. Następnie w 2013 roku, już na nowym, oddanym do użytku trzy lata wcześniej stadionie Cracovii, reprezentacja Lichtensteinu przegrała z polską drużyną 0:2. Warto przy tej okazji pochwalić ten efektownie zaprojektowany obiekt, sfinansowany (157 mln zł) przez gminę. A tak na marginesie, łatwo wyliczyć, że najstarsza w Polsce arena piłkarska czekała na przyznanie międzynarodowych zawodów niemal 88 lat, bo tyle minęło od wspomnianego wyżej meczu ze Szwecją...



**Krzysztof Jakubowski** – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciasto o każdej porze*.



Stanisław Wyspiański (1869–1907), *Portret Lizy Pareńskiej (wśród pelargonii)*, Kraków 1905, pastel, papier 65,5 x 48,5 cm

# Pani i panny Pareńskie

Tekst: Ewa Danowska

**Eliza Pareńska była kobietą słynną w mieście jako żona znakomitego, zamożnego lekarza, przyjaciółka i protektorka artystów. Salon jej mieszkania przy ul. Wielopole przez lata stanowił ważne miejsce na mapie findesieclowego Krakowa.**

Głową rodziny był Stanisław Pareński – profesor medycyny o ugruntowanej sławie. Urodził się w Krakowie w 1843 roku, a dyplom wszech nauk lekarskich Uniwersytetu Jagiellońskiego uzyskał w roku 1868. Jego kariera rozwijała się błyskawicznie – mając 30 lat, został kierownikiem kliniki Chorób Wewnętrznych. W 1876 roku ożenił się z dziewiętnastoletnią Marią Elizą Mükleisen, córką nadinżyniera kolei oraz właściciela majątku Kobierzyn.

Pareńscy dzięki pracowitości i popularności Stanisława jako lekarza byli zamożni, co ułatwiało im prowadzenie ożywionego życia towarzyskiego – zapraszania gości na obiady, przyjęcia, tańce i cotygodniowe żurfiksy oraz przekazywanie hojnych datków na różne cele dobroczynne.

Eliza Pareńska, dla przyjaciół „pani Liza”, po pewnym czasie już „siwa pani”, była przystojna, modna, inteligentna i wykształcona. Miłośniczka wszelkich sztuk, protektorka cyganerii, nazywana „krakowską Aspazją”. W mieszkaniu Pareńskich przy ul. Wielopole oraz w willi w Tenczynku bywała artystyczna i intelektualna elita Krakowa, zarówno ze starszego, jak i młodszego pokolenia. Gościli tam Jacek Malczewski, Leon Wyczółkowski, Jan Stanisławski, Włodzimierz Tetmajer, Kazimierz Sichulski, Adam Asnyk, Stanisław Przybyszewski, Tadeusz Pawlikowski czy Ignacy Maciejowski (Sewer).

Chociaż Stanisław Pareński cenił sobie towarzystwo uniwersyteckich kolegów, to wieczory zazwyczaj spędzał wśród bohemy przesiadującej do późnej nocy, gdzie dyskutowano, plotkowano i czytano poezję.

Eliza Pareńska kolekcjonowała obrazy współczesnych malarzy, które u oglądających budziły skrajne emocje: od zachwytu do zaprzeczenia jakiegokolwiek wartości artystycznej. Szacowną matroną krakowską bynajmniej nie była, a na jej temat krążyły plotki, bo wyłamывała się z ustalonych, mieszczańskich reguł. Krytykowano ją za rozrzutność, oryginalne stroje i za to, że w dzień zasłaniała okna. Aleksandra Czechówna w swym pamiętniku napisała, że Pareńska nie dość że kokietka, to jeszcze luterka, a nawet bezwyznaniowa.

Z Elizą szczególnie był zaprzyjaźniony Stanisław Wyspiański, którego obrazy kupowała zwłaszcza na początku jego kariery malarskiej, a twórczość propagowała wśród znajomych. Została też matką chrzestną Stasia, syna Wyspiańskiego. Do końca życia leczył artystę doktor Pareński, a Eliza nie wypuszczała go spod swej życzliwej opieki. Podobno też była zadowolona, że jej córki Maria i Zofia, jako Maryna i Zosia, weszły do literatury.

Ważnym wydarzeniem dla sióstr okazał się bowiem udział w weselu Lucjana Rydla i Jadwigi Mikołajczykówny w Bronowicach. Stały się postaciami

Wesela Wyspiańskiego. Siedziały też na widowni podczas prapremiery sztuki, a ich matka nie obawiała się przesądu, że opisana panna nie wyjdzie za mąż.

Sukces sztuki Eliza Pareńska świętowała na równi z jej autorem, tym bardziej że była słuchaczką jej pierwszych fragmentów. Promowała w krakowskim towarzystwie dramat Wyspiańskiego – została opiekunką artysty w sferze prywatnej i zawodowej.

Mówiono o Elizie Pareńskiej, że jest zdeterminowana, by dla córek wyszukać jak najświetniejszych mężów. Z radością podjęła wyzwanie życia towarzyskiego, by organizować wieczorki tańczące

**Panny Maria i Zofia Pareńskie jako Maryna i Zosia weszły do literatury dzięki udziałowi w weselu Lucjana Rydla i Jadwigi Mikołajczykówny w Bronowicach. Stały się postaciami dramatu Stanisława Wyspiańskiego.**

i na takich bywać, by panny Pareńskie – piękne i posażne, chociaż do tej pory nieizolowane od życia towarzyskiego, mogły się w pełni zaprezentować. O ich wszechstronną edukację miał dbać między innymi ks. kanonik Juliusz Drohojowski, który oprócz udzielania nauk religijnych nauczył panienki grać w bezika, palić i pić koniak.

Różnica między dwiema siostrami – Marią i Zofią zwaną Fuśkiem – wynosiła tylko półtora roku, więc wspólnie się wychowywały, uczyły i równocześnie weszły do krakowskiego towarzystwa. Obydwie były piękne i rozpieszczone, odcytane, świadome najnowszych prądów artystycznych i pozujące na dekadentki. Jednak między sobą się różniły – Maria była pewna siebie, dowcipna i elokwentna, świadoma swej urody. Delikatna i subtelna Zosia była przeciwieństwem siostry – skromnie ubrana, poważna, o marzycielskim spojrzeniu.

Zosia miała nie więcej niż czternaście lat, gdy zachwyił się nią redaktor „Życia” Artur Górski. Innym wielbicielem był Adam Rydel, młodszy brat Lucjana. Podobno w młodziutkiej Zosi kochał się już wówczas bywalec salonu Pareńskich, redaktor „Czasu” Rudolf Starzewski, Dziennikarz z dramatu Wyspiańskiego. O jej względy zabiegał Edward Żeleński, młodszy brat Tadeusza. Ale to właśnie Tadeusz, który przybrał później przydomek Boy, wtedy obiecujący lekarz, zachęcany do pracy naukowej przez Stanisława Pareńskiego, poślubił w 1904 roku osiemnastoletnią Zosię. Meble i wystrój do ich mieszkania – sprzęty piękne, ale mało praktyczne – Pareńscy zamówili u Wyspiańskiego.

Także i Maryna miała kilku konkurentów, ale poślubiła trzy miesiące po Zosi innego lekarza – profesora pediatrii Jana Raczyńskiego. Objęcie przezeń katedry na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie spowodowało jednak konieczność opuszczenia Krakowa.

Najmłodszą z sióstr była Eliza – Lizka, uznawana za najładniejszą, najczęściej portretowana, także przez Wyspiańskiego. W dzieciństwie jako skłonna do chorób była rozpieszczana, delikatna i wrażliwa. Wychowywała się, jak i starsze siostry, w salonie rodziców pełnym gości i papierosowego dymu. Od najmłodszych lat towarzyszyły jej stany lękowe, które starała się zwalczyć za pomocą alkoholu. Gdy starsze siostry szykowały się do ślubów, szesnastoletnia wówczas Lizka zaczęła sięgać po morfinę.

Doktor Pareński cieszył się autorytetem, ale w krakowskich salonach narodziła się plotka, że prawie siedemdziesięcioletni profesor medycyny targnął się na życie, nie mogąc tolerować niemoralnego trybu życia członków rodziny. Żona Eliza przesadzała z gwarnym życiem towarzyskim, córka Lizka była morfinistką, Zosia miała romans, a i jej mąż Żeleński liczne kochanki, a do tego pisał kuplety pod pseudonimem Boy.

Po czterech latach była już nałogową narkomanką. Za mąż wyszła podczas karnawału w 1910 roku za poetę Edwarda Leszczyńskiego, młodopolskiego bon vivanta, bywalca salonu Pareńskich. Wbrew obawom lekarzy zdecydowała się urodzić dziecko – syna Witolda. W 1916 roku wyjechała na trzytygodniową kurację odwykową do Davos – oprócz morfiny zaczęła sięgać po kokainę i coraz więcej alkoholu.

Dramatycznym wydarzeniem w życiu rodziny była śmierć Stanisława Pareńskiego, który w 1913 roku zginął pod kołami pociągu na stacji w Szczakowej, spiesząc do chorego. Ożywione życie towarzyskie na Wielopolu skończyło się, Eliza Pareńska ograniczyła się do działalności dobroczynnej i kulturalnych spotkań. Chociaż doktor Pareński cieszył się autorytetem i sympatią, to w krakowskich salonach narodziła się plotka, że prawie siedemdziesięcioletni profesor targnął się na życie, nie mogąc dłużej tolerować niemoralnego trybu życia członków rodziny. Wszak żona Eliza przesadzała z gwarnym życiem towarzyskim, Lizka była morfinistką, Zosia miała romans z Rudolfem Starzewskim (przetrwał wojenne lata i rodzinne tragedie, dopóki Rudolf nie zastrzelił się w 1920 roku). Zaś zięć Żeleński miał liczne romanse, a do tego pisał kuplety pod pseudonimem.

W czasie I wojny światowej życie towarzyskie w salonie Elizy Pareńskiej z powodu śmierci jej męża i wojennego niedostatku zostało ograniczone do czwartkowych wieczorów, podczas których królowały polityczne dyskusje i oczekiwanie na koniec wojny. 22 lutego 1918 roku Eliza skończyła 61 lat i to były już ostatnie jej urodziny – po miesiącu zmarła,

nie odzyskawszy świadomości. W księdze zgonów parafii ewangelicko-augsburskiej jako przyczynę śmierci podano miażdżycę i zapalenie płuc.

Po paru miesiącach zmarł zięć Elizy Pareńskiej, Jan Raczyński, mąż Maryny. Czarną serią dopełniła śmierć syna Jana, który zginął tragiczną śmiercią jako lotnik armii austriackiej. Po niespełna roku piękna wdowa wyszła za mąż – za Romana Jasieńskiego, ale małżeństwo to trwało krótko. Po tem, mając 44 lata, wyszła za mąż za prof. Jana Greka, prezesa Lwowskiego Towarzystwa Lekarskiego, kolekcjonera dzieł sztuki.

Z kolei Zofia, gdy wraz z mężem przeniosła się do Warszawy, związała się romansem ze Stanisławem Ignacym Witkiewiczem.

Mieszkanie na Wielopolu, salon Pareńskich, przestało istnieć. W 1922 roku wyprowadziła się stamtąd owdowiała w wieku 33 lat Lizka z dziesięcioletnim synem, pokojówką i psem, zamieszkując przy ul. Śląskiej. Z domu rodziców zabrała obrazy, cenne meble i książki, zaczęła fascynować się teozofią. Nie potrafiła kontynuować towarzyskich tradycji rodziców. Stopniowo traciła kontrolę nad swoim życiem, zaczęła brać opium, popadać w stany depresyjne i mocno podupadać na zdrowiu. Kuracja w Szwajcarii niewiele pomogła.

Śmierć najmłodszej siostry Pareńskiej wpisała się w legendę Młodej Polski – odebrała sobie życie strzałem z rewolweru w 1923 roku. Pochowano ją tak, jak przed laty namalował ją Stanisław Wyspiański: z błękitnymi, czerwonymi i białymi wstążkami wplecionymi we włosy.

Z trzech sióstr Pareńskich to Zofia kontynuowała tradycje salonu matki, miejsca, gdzie w soboty spotykała się elita towarzyska (zaproszenie nie było łatwo otrzymać), podtrzymując swobodę wymiany myśli. Salon ten nie był już w Krakowie, lecz Warszawie, gdzie osiedli Żeleńscy. Ich małżeństwo trwało pomimo romansów obojga małżonków. Wspólnie pracowali nad *Biblioteką Boya*, stali się zgranym twórczym tandemem, dając sobie swobodę cechującą lewicowe intelektualne i artystyczne sfery. Zofia przepisywała rękopisy przekładów Boya i troszczyła się o sprawy związane z drukiem.

Po wybuchu II wojny światowej Boy-Żeleński znalazł się we Lwowie, a żona przygarnęła do mieszkania ukrywających się przed Niemcami jego kochankę Irenę Krzywicką wraz z synem.

Jak wiadomo, Tadeusz Boy-Żeleński został zamordowany wraz z profesorami uniwersytetu lwowskiego, podobnie jego szwagierka Maryna z Pareńskich Grekowa i jej mąż. Zofia z Pareńskich Żeleńska znalazła się w najcięższym okresie swego życia. Do Krakowa już nie wróciła. Była zupełnie osamotniona, bo niewiele osób zostało z licznej kiedyś rodziny. Zmarła, licząc 70 lat, w 1956 roku, spoczywa na Powązkach.



Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU.  
Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!





Łucja Kłaińska-Kanarek, Wawelskie Arkady



## Zrozumieć świat istniejący na opak

Tekst: Witold Beres Zdjęcie: Tomasz Wiśniowski/Wikimedia Commons

**„Jak zawierać znajomości... Ze świadomością, że każde spotkanie może okazać się w naszym życiu decydujące. Reżyserowanie zawierania znajomości ma tę zaletę, że można potem taką chwilę wspominać – z satysfakcją bądź wściekłością”.**

Takich niby-porad jest tu mrowie. Jest pytanie „jak?": „uczestniczyć w problemach lokalnych”, „budować filozofię” czy „nie popełniać samobójstwa”. Odpowiedzi nie są jednak żadnymi komunałami, oparte są bowiem na doświadczeniu surrealistów. A surrealizm był przecież czymś więcej niż stylem w sztuce czy metodą postrzegania rzeczywistości – był sposobem jej przeżywania i dawania sobie z nią rady.

Nic dziwnego, że podane przepisy chwytliwie układają się w poradnik – a literatura poradnikowa to gatunek, który odnosi ostatnio wielkie sukcesy na rynku książek. Popieram więc ów chwyt, tym bardziej że poza nim mamy historię surrealizmu w opowieściach. Na przykład Jacqueline Lamba w 1934 roku postanowiła wyreżyserować swe spotkanie z ówczesnym papieżem surrealizmu André Bretonem – najpierw kilkakrotnie siadała przy stoliku w kawiarni, gdzie siadywali surrealiści, bacznie wpatrywała się w Bretona, aż któregoś dnia nagle wyszła. Skonfundowany artysta wybiegł za nią w paryską noc i – pa pa pa... Tak to się zaczęło.

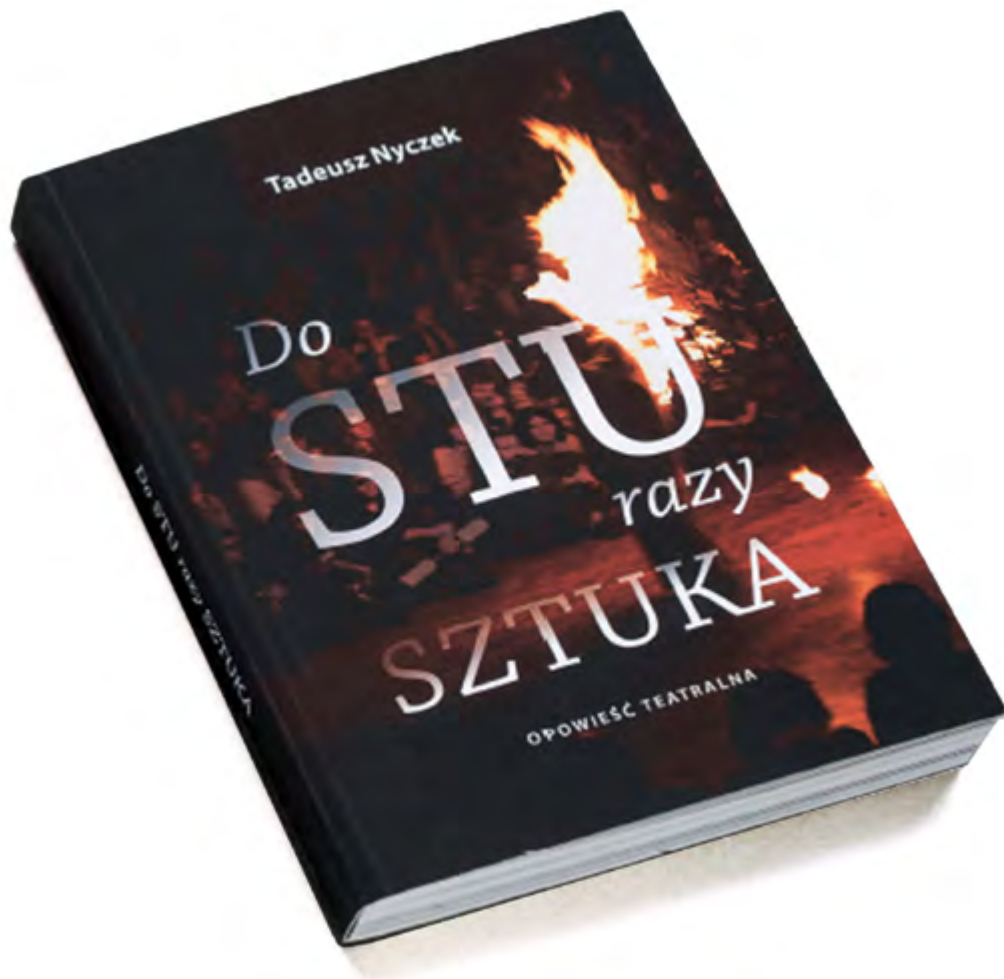
Autorka, Agnieszka Taborska, jest historykiem sztuki, tłumaczką i pisarką, a przede wszystkim światowej sławy specjalistką w materii surrealizmu właśnie. Najpierw studiowała na Uniwersytecie Warszawskim historię sztuki i romanistykę,

a później wykładała w cenionych szkołach amerykańskich i francuskich (Rhode Island School of Design w Providence czy w Pont-Aven School of Contemporary Art we Francji) sztukę współczesną.

Jej książki o surrealizmie: *Abecadło Topora*, *Okruchy amerykańskie* i *Spiskowcy wyobraźni. Surrealizm* zdobyły międzynarodową sławę (były tłumaczone na angielski i francuski). W 2004 roku ukazała się jej pierwsza powieść *Senny żywot Leonory de La Cruz*. W 2010 z kolei wydała zbiór anegdotów oraz krótkich opowiadań *Wieloryb*, czyli *przy-padek obiektywny eksplorujących surrealistyczne pojęcie przypadku obiektywnego*. Przetłumaczyła na język polski książki francuskich surrealistów: Rolanda Topora, Philippe’a Soupaulta, Gisèle Prassinos, a także amerykańskiego pisarza Spaldinga Graya. Jej bajki dla dorosłych i dzieci ukazały się w Polsce, Niemczech, Japonii i Korei.

Teraz stworzyła oryginalną książkę (w świetnym opracowaniu graficznym Lecha Majewskiego) o sztuce i literaturze, a także o nas. Nic dziwnego, że Olga Tokarczuk pisze na okładce: „Ta książka z pewnością zadziała jak cudowne lekarstwo dla naszej wymęczonej zmartwieniami i lekami duszy”.

Agnieszka Taborska, *Świat zwarował. Poradnik surrealistyczny. Jak przeżyć*, BoSz, Olszanica 2021.



## Książka na 102!

Tekst: Anna Stafiej

Zdjęcie: archiwum Teatru STU

Gdyby Teatr STU miał witrynę z wydawnictwami, to uwagę przyciągnęłaby ta oto rewelacyjna nowość!

Opowieść napisana przez Tadeusza Nyczka, krytyka literackiego, teatralnego i plastycznego, nie pretenduje do kronikarskiego zapisu (55-letniej już!) historii teatru STU. Autor, który towarzyszył STU od zarania dziejów, jeszcze w latach studenckich, i to nie tylko jako widz, krytyk, ale również uczestnik życia tej sceny (a epizodycznie jako aktor i kierownik Galerii STU), zna ten teatr od podszewki. Potrafi spojrzeć na historię, osiągnięcia, a także potknięcia STU ze zrozumieniem, sympatią i jednocześnie dystansem. Pisze o okolicznościach, w jakich Krzysztof Jasiński założył STU, a następnie jak umiejętnie go organizował (latami nie mając stałego miejsca do grania!) i przeprowadzał przez rafy zawirowań politycznych. Legenda wielkich spektakli, jak *Spadanie*, *Sennik polski*, *Exodus* przyćmiła kłopoty, z jakimi zespół i jego szef musieli się borykać, grając to tu, to tam, a potem w niezwykłym w swych rozmiarach namiocie, by wreszcie osiedlić się na stałe w obecnej siedzibie.

Nyczek nie zanudza kronikarskimi drobiazgami, ale wszystko co najważniejsze dla działalności STU przytacza, relacjonuje i, co ważne, pokazuje na tle wydarzeń politycznych oraz społecznych, które działaniom teatru towarzyszyły i nie były ani teatrowi, ani widzom obojętne. W tę teatralną opowieść wplata także osobiste doświadczenia i przygody, jak choćby zdarzenie z kumplem z nowohuckiego podwórka, który w marcu 1968 roku okazał się już nie kolegą, lecz wrogiem. Wspomina kontakty z kolegami-aktorami STU – chociażby Jerzym Stuhrem. Nie recenzuje spektakli, ale pokazuje ich znaczenie w danym momencie dziejowym i w szczególnych okolicznościach historii Polski, a tych w drugiej połowie XX wieku nie brakowało.

A chcąc swoją opowieść doprowadzić do rocznicowej aktualności, Nyczek pojechał do mazurskiej miejscowości Grom, gdzie Krzysztof Jasiński prowadził próby jubileuszowego spektaklu *Trzy siostry* A. Czechowa. Przyglądał się im i opisał proces powstania kolejnego spektaklu STU.

Tadeusz Nyczek, *Do STU razy sztuka. Opowieść teatralna*, Fundacja STU, Kraków 2021.

# Jan Polewka, *Dom pod wiecznym piórem. Leksykon legendarnego Domu Literatów w Krakowie*

O Domu Literatów przy ulicy Krupniczej 22 w Krakowie wiele już napisano i opowiedziano. Brakowało jednak wydawnictwa, które by zgromadziło i uporządkowało wiedzę na temat mieszkańców tego miejsca. Jan Polewka w książce *Dom pod wiecznym piórem. Leksykon legendarnego Domu Literatów w Krakowie*, która ukaże się nakładem wydawnictwa Iskry, uzupełnia tę lukę. W tomie znalazły się fakty, choćby spis wszystkich lokatorów poszczególnych mieszkań uwzględniający topografię kamienicy, okres, w którym tu mieszkali, i dzieła, które stworzyli. Ale nie zabrakło także wspomnień autora urodzonego i mieszkającego całe życie przy Krupniczej, syna pisarza Adama Polewki, znającego osobiście sześćdziesięciu (!) spośród setki literackich lokatorów. Z książki dowiemy się, co jadali w stołówce mieszkańcy słynnej kamienicy, jak bawiły się ich dzieci, jacy słynni goście z całego świata ich odwiedzali, jakiej muzyki tutaj słuchano... Ale, co chyba najważniejsze i co podkreśla sam autor, „leksykon przypomina o znanych i o zapomnianych, zanim ich krakowskie życie, albo krakowski epizod życia, pozostanie tylko okruczem legendy”.

(red.)

## E. ELITA, EMERYCI i EREMICI

### Elitarny front/Ekscentrycy i emigranci/Egeria i Ermitaż

**Elitarnie frontową**, w pierwszych latach po wojnie, wydawać się mogła główna część budynku z oknami od ulicy Krupniczej, którą zajęli pisarze o znanych już nazwiskach: Andrzejewski, Kruczkowski, Szaniawski, Peiper, oraz nestorzy Górski, Nikorowicz i Rybicki. Jednak z uwagi na rozpaczliwy brak mieszkań i dosyć duże powierzchnie lokali nikt z nich nie zajmował całej przestrzeni, dzieląc ją z innymi, często samotnymi lokatorami. Dopiero znacznie później frontowe mieszkania pozostawiano pisarzom z ich rodzinami niemal w całości, jednak w wielu z nich przynajmniej jeden pokój nadal zajmował literacki sublokator – tak jak A. Rybicki z rodzinami Tadeusza i Jerzego Kwiatkowskich, czy Br. Mróz-Długoszewski z rodziną Anny Świrszczyńskiej. W tej części najbardziej podzielone było mieszkanie nr 3 na pierwszym piętrze, które na początku lat 50. zajmowało czworo najemców, w tym troje z rodzinami.

W oficynach sytuacja była jeszcze trudniejsza – nawet dwupokojowe lokale rozdzielano na pojedynczych pisarzy; w większych mieszkaniach ze wspólnych łazienek i kuchni na zmianę korzystali współmieszkańcy, powodując w nich zgoła nieelitarny tłok. Wszyscy jednak, po dramatycznych przeżyciach wojennych, godzili się na ten stan – dopiero

w latach 60. poprzez remonty i podziały architektoniczne zaczęto wprowadzać pewne separacje. Dzisiaj, z perspektywy lat, trudno dociekać, czy początkowe zagęszczenia miały negatywny czy inspirujący wpływ na twórczość literacką lokatorów. Można jedynie wyobrazić sobie Gałczyńskiego piszącego *Zaczarowaną dorożkę* przy wtórze fortepianu Broszkiewicza piszącego opowieść o Chopinie. I można być niemal pewnym, że pierwszy zamysł *Kartoteki* T. Różewicza, z bohaterem drzemiącym na łóżku, w pokoju przez który przechodzą, czasem przysiadając obok, krewni, znajomi i nieznajomi, powstać musiał na Krupniczej.

**Ekscentrykami** albo oryginałami byli niektórzy z pisarzy o szczególnych cechach charakterów: Artur Maria Swinarski, dramaturg i satyryk obdarzony nadpobudliwą zdolnością do ironii i kpiny; Konstanty I. Gałczyński poeta dominujący i chwilami szalony; Jerzy Hordyński głośno objawiający swoje krytyczne spojrzenie na świat; dobrotliwy i cierpliwie milczący Jerzy Szaniawski czy tajemniczy ezoteryk Andrzej Rybicki, myślący szybko, ale poruszający się i mówiący dwa razy wolniej od innych. Do grona późniejszych oryginałów należałoby zaliczyć Sławomira Mrożka jako „schyłkowego postępowca” i Stanisława Czycza, osobnego i zawsze nieufnego outsidera, czy najmłodszego z poetów lat 60., lirycznego awanturnika Ireneusza Iredyńskiego.



Dom Literatów dzisiaj, fot. Jacek Maria Stokłosa (za łaskawą zgodą)

Jako postaci nieekscentryczne, ale szczególnie oryginalne, można wymienić tu Stefana Kisielewskiego i Stanisława Dygata czy Jerzego Zawieyskiego, którzy zaznaczali swoją wewnętrzną niezależność nawet w trudnych latach 50.

W porównaniu z tymi oryginałami wszyscy inni, także kolejni młodszy pisarze i poeci wydawać się mogą uosobieniem normalności, o ile oczywiście coś takiego występuje w osobowościach artystów, nigdy do końca życiowo nieuporządkowanych. Po innej jeszcze stronie znajdowali się, przeważnie starsi, mieszkańcy Domu Literatów, którzy od chwili przybycia, a szczególnie w następnych kolejnych etapach historii pozostawali na swego rodzaju cichej, wewnętrznej emigracji – Artur Górski, Tadeusz Peiper, Helena Wielowieyska, Antonina Brzozowska, a także młodsza od nich Hanna Malewska.

**Emigracja** prawdziwa była dla niektórych dopiero przed nimi – po latach Artur

Maria Swinarski zmarł w Szwajcarii, Jan Zych w Meksyku, Kazimierz Brandys w Nanterre, Jerzy Hordyński w Rzymie, Sławomir Mrożek w Nicei, Maria Paczowska w Luksemburgu, a Ludwik Flaszen w paryskiej Dzielnicy Łacińskiej. Roman Wysogład mieszka do dziś w Szwecji. Jednak niejednym raz literaci z Krupniczej dzielili się wrażeniem ciągłej tymczasowości w swoich na poły hotelowych mieszkaniach. I nawet jeżeli tymczasowy stan trwał niemal czterdzieści lat, to Stanisław Czycz „u siebie” był jedynie w Krzeszowicach, tak jak Jerzy Szaniawski w Zegrzynku, a Jerzy Andrzejewski, Stanisław Dygat czy Stefan Kisielewski w Warszawie. Jako swój dom rodzinny przyjęło Dom Literatów zaledwie siedem rodzin: Barnasiów, Boberów, Lovellów, Ożogów, Polewków, Skonecznych i Anny Świrszczyńskiej, i w każdym z tych przypadków literacy główni najemcy dożyli na Krupniczej kresu swych dni. Podobnie jak dożył wotni prezes i opiekun domu Stefan

Otwinowski, który wraz z żoną Ewą pozostał pierwszym i najważniejszym rezydentem Krupniczej, a także legendarnym prezesem krakowskiego ZLP. Taki zapis oznacza jedynie próbę uporządkowania kilku rodzajów „trwania mieszkańców” – w istocie Dom Literatów stanowił zbiór wyjątkowych osobowości i niezwykłych w swym charakterze losów; zbiór w swojej złożoności niemożliwy do sklasyfikowania.

**Egeria i Ermitaż** to nazwy dwóch miejsc, które po wojnie, były codziennym miejscem spotkań literatów, uzupełniając „stołówkowe posiadły”. Egeria była kawiarnią w ogrodzie domu Mehofferów, do którego prowadziło małe przejście w ogrodzeniu z podwórka Domu Literatów, obok krętych schodów.

Ermitaż to pobliska restauracja, która znajdowała się vis-à-vis teatru Bagatela (wówczas Młodego Widza) przy ul. Karmelickiej. W Egerii, prowadzonej przez mecenasa Zbigniewa Mehoffera i jego żonę, w letnie wieczory, przez dwa lata trwały długie i głośne dyskusje oraz zabawy. Do Ermitażu, przedwojennego jeszcze lokalu, literaci udawali się w chwilowych na ogół momentach lepszej kondycji, słowem niezwłocznie po otrzymaniu zaliczki z wydawnictwa. T. Kwiatkowski: „Obok naszego budynku przy Krupniczej wznosi się piętrowa kamieniczka wybitnego malarza Józefa Mehoffera. Syn malarza Zbigniew wpadł na pomysł, aby urządzić letnią kawiarnię, którą nazwał Egeria. Dość długo trwały pertraktacje o przebicie bramki w ogrodzeniu i o przejście do kawiarni przez naszą bramę. Po podpisaniu obopólnych zobowiązań doszło do uroczystego otwarcia Egerii. Miała to być kawiarnia dla środowiska artystycznego, gdzie przy stolikach rozmieszczonych pod drzewami można było w letnie wieczory pogawędzić, napić się czegoś mocniejszego i nawet potańczyć na parkiecie...”.

(T. Kwiatkowski *Niedyskretny urok pamięci*, s. 68)

#### **F. FORTEPIANY – FRYDERYK I FOXTROT** **Fortepianiści lwowscy i warszawscy/For-** **te Fryderyka i foxtrot Broszka/Fascynacje** **jazzowe**

**Fortepiany** na Krupniczej miały także swoją legendę, chociaż mniej znaną od bibliotek i maszyn do pisania. Na początku były dwa i jedno pianino, a przy nich trzech wybitnych pianistów – Jerzy Broszkiewicz i Marian Promiński studiowali przed wojną w konserwatorium lwowskim, Stefan Kisielewski w warszawskim.

Pierwszy fortepian należał do Broszkiewicza i uczestniczył w powstawaniu literackich opowieści o Chopinie (*Kształt miłości, Opowieść o Chopinie*) pisanych w latach 1948–49. Jego brzmienie docierało z wysoka, konkurując z fortepianem stacjonującym na parterze tej samej drugiej oficyny, w pokoju kompozytora Kisielewskiego. Ten fortepian był lepiej

słyszalny od strony ogrodów i ul. Studenckiej. Na podwórku Krupniczej, najczęściej z wysokości pierwszego piętra, słuchać można było pianina pisarza-wirtuoza Mariana Promińskiego, piszącego też o muzyce w swoich opowiadaniach...

W Domu Literatów po wojnie był w stołówce jeszcze trzeci fortepian potem zastąpiony pianinem: „Sylwestra 1945 obchodziliśmy nadzwyczaj uroczystość – wspominał Tadeusz Kwiatkowski. – Salę ozdobiło kolorowymi bibułami. Wcześniej zakupiliśmy fortepian stary, ale jeszcze nadający się do muzykowania. W tej fecie wzięli udział niemal wszyscy mieszkańcy domu” (T. Kwiatkowski, s. 89).

Oba te instrumenty były kolejno wykorzystywane podczas szalonych, cosobotnich wieczorów z występami i tańcami. Latem pianino przenoszono do Egerii w ogrodzie Mehoffera. Trzecie pianino pojawiło się u Kisielewskich, kiedy ich dzieci zaczęły uczyć się muzyki. Wcześniej gam i wprawek uczyły się nastoletnie przyjaciółki Kira Gałczyńska i Jolasia Olczakówna, które ćwiczenia domowe odrabiała przy pianinie stołówkowym – jak to zapisała Kira: „bo oczywiście Broszek nie był łaskaw użyć – co zrozumiałe – swojego fortepianu. Jego instrument nie był od bębnienia gam!” (*Nie gaście tej lampy przy drzwiach*, s. 56). Broszek, czyli Jerzy Broszkiewicz, także rozdzielał funkcje tych instrumentów dla swoich celów – fortepian był dla Chopina i muzyki klasycznej, pianino w stołówce do zabawy. Nowy czarny fortepian pojawił się dopiero w roku 1958 po całkowitym remoncie wnętrza stołówki-klubu, a jego debiutem był wieczór, na którym zagrał u Literatów sam Dave Brubeck.

**Forte Fryderyka i foxtrot** były na przemian muzyką dnia i wieczoru. Jerzy Broszkiewicz był pianistą wirtuozem, a Broszek taperem i pianistą variétés.

Jego pianistyczna, kabaretowa inwencja stanowiła istotną część występów: „Przygotowano także specjalny program, który wykoncypował Stefan Otwinowski. A więc na parkiecie wystąpił z solowym wykonaniem piosenki *Cyraneczka nie ptak* w krakusce z pawim piórem Jerzy Zawieyski.

Repertuar Ordonki zaprezentował Stasiu Dygat przy akompaniamencie Jerzego Broszkiewicza” – dodaje Tadeusz Kwiatkowski, a w *Panopticum* (s. 164) wyjaśnia: „Zapowiadała się jako zdolny pianista i we Lwowie, za okupacji sowieckiej, grał w knajpie na fortepianie. Wtedy każdy chwycił się jakiegokolwiek pracy, byleby zdobyć odpowiednie zaświadczenia czy bumagi”. Podobnie jak Broszkiewicz, Stefan Kisielewski podczas okupacji grywał w różnych miejscach: „Po powrocie do stolicy okazało się, że w okupowanym kraju umiejętność gry na instrumencie jest znacznie bardziej przydatna niż największy nawet talent publicystyczny. Dzięki temu Kisielewski



Jan Polewka (z lewej) i Jerzy Kisiielewski na planie filmu *Dom Literatów*, reż. Marek Gajczak, za wiedzą i zgodą Kraków Film Klaster

mógł zamienić pierwotne zajęcia riksarza na lekcje muzyki dawane po domach, akompaniowanie do ćwiczeń baletowych i gimnastycznych, wreszcie przygrywanie do kotleta w Rio Ricie na Krakowskim Przedmieściu...”, notuje biograf Mariusz Urbanek (*Kisiel*, s. 19). Na Krupniczej te umiejętności Kisiela objawiały się niekiedy wiązką przedwojennych przebojów, a w przyływach szczególnego humoru melodią znaną z jej słów:

„Niech żyje nam towarzysz Stalin/co usta słodsze ma od malin/niech żyją jego sojusznicy/Amerycanie i Anglicy!”. A potem, w ślad za Leopoldem Tyrmandem, razem z muzycznymi kolegami Wacka, dorastającego syna Stefana, w Domu Literatów pojawił się prawdziwy jazz. W ślad za Tyrmandem, co Stefan Kisiielewski w *Abecadle* ujął tak: „Tyrmand zdemoralizował mi dzieci, bo ich nauczył jazzu, ciuchów kolorowych, różnych takich rzeczy (s. 115)”.

**Fascynacja jazzem** zaczęła się na Krupniczej od jednego wiekopomnego wydarzenia. W marcu 1958 roku do Polski po raz pierwszy po wojnie zawitał amerykański jazz, czyli kwartet Dave’a Brubecka. Zespół odbył tournée po kilkunastu miastach, przyjmowany wszędzie entuzjastycznie. 14 marca Dave Brubeck Quartet wystąpił na koncercie w sali krakowskiej Rotundy, a po nim późnym wieczorem wziął udział, razem z najlepszymi polskimi jazzmanami we wspólnym *jam session* w Klubie Literatów na Krupniczej – co odnotowano w *The text message – embassy Warsaw* z 16 marca 1963 roku: „*For two evenings the collegiate generation of Krakow packed the Rotunda auditorium and applauded vigorously.*

Jakie było wspólne wczoraj na Krupniczej? Pogodne i przyjazne. Trochę szalone, czasem trudne, ale na ogół mądre. Mądre, bo trwające pośród żywej, współczesnej biblioteki. Wymagające wyrzeczeń, niezasobne, niekiedy biedne. A jednak dające radość i uczucia. Niepodobne do dzisiejszego świata zgiełku, reklamy i komercji.

*Following the first evening concert, the piano was hauled from the concert hall to the Literary Club for a jam session that continued until three o’clock the next morning”. Kwartet Brubecka wystąpił w składzie: Dave Brubeck – piano, Paul Desmond – sax, Eugene Wright – bas i Joe Morello – drums.*

W tym jamie wzięli udział świetnie zapowiadający się jazzmani polscy, którzy wówczas wszyscy mieszkali jeszcze w Krakowie: Krzysztof Komeda, Andrzej Kurylewicz, Andrzej Trzaskowski, Jan Byrczek, Wojciech Karolak i Andrzej Dąbrowski. Wydarzeniem szczególnym tego dnia był ślub Wandy Warskiej i Andrzeja Kurylewicza, który państwo młodzi postanowili uczcić podczas *jam session*. Po latach Wanda Warska opowiadała: „To był dla nas niezwykle wieczór. Dave dowiedział się, że właśnie wzięliśmy ślub z Andrzejem i dedykował nam dwa utwory. A potem wszyscy grali do rana razem, a na sali było mnóstwo przyjaciół muzyków, poetów i malarzy, i Sławek Mrożek i Rysiek Horowitz też”. Na tym *jam session* był oczywiście

Leopold Tyrmand ze swą żoną Małgorzatą Rubel, nazywaną przez niego „kopieską”, która zresztą towarzyszyła muzykom przez całe ich *tournee* jako tłumaczka. I jak donosiła plotka „w trasie” zakochała się w Paulu Desmondzie. Koncerty Brubecka zapowiadał, obecny także w Klubie, Roman Waschko, gdzie oprócz niego i Tyrmanda pojawili się Marian Eile, naczelny redaktor „Przekroju”, i Stefan Kisielewski z synem Wackiem i jego kolegą Tomaszem Stańko. I to ten wieczór Stańko zapamiętał jako swoje pierwsze spotkanie z prawdziwym amerykańskim jazzem. Rok później Tomek Stańko razem z Wackiem Kisielewskim, Jackiem Ostaszewskim i Romkiem Kowalem stali się bywalcami jazz clubu Helikon na ulicy Marka 15 i pasjonatami nowej muzyki. Ich jazzowe próby dosyć szybko przeniosły się do pokoju i do fortepianu Stefana Kisielewskiego, co Jerzyk Kisielewski, młodszy brat Wacka, zapamiętał tak: „Ojciec miał pokój z oknem na kawałek podwórka, który nazywaliśmy ogródkiem. I tam pracował... i tam Wacek urządził też próby swojego zespołu jazzowego. Pamiętam, że kiedyś byłem bardzo przejęty, bo po jednej z takich prób został u nas na noc prawdziwy kontrabas (za perkusję robiło w zespole nasze krzesło). Niezwykły instrument wywarł na mnie olbrzymie wrażenie” (*Pierwsza woda po Kisielu*, s. 23). W roku 1959 jazz zadomowił się u Kisielewskich także w postaci adapteru i niezwykłych czarnych płyt, tak zwanych long-playów, a były to między innymi *Ella & Louis*, *Duke Ellington* i oczywiście kwartet Dave’a Brubecka. W tym czasie młodzi adepci jazzu zaczęli też namiętnie słuchać radiowego Głosu Ameryki i niepowtarzalnego głosu Willisa Conovera prowadzącego *Godzinę jazzu*. Były to dla młodych muzyków początki fascynacji, a wśród nich dla Tomka Stańko – pół wieku później światowej sławy wirtuoza jazzowej trąbki... W późniejszych latach w Domu Literatów pojawiły się jeszcze dwa fortepiany. Jeden u Anny Świrszczyńskiej i jej córki Ludmiły, który potem, jakby u Felliniego, pozostał samotnie w ich opuszczonym i pustym do dziś mieszkaniu, a drugi znalazł się na kilka lat w pokoju studenta medycyny Andrzeja Polewki, pozostawiony na przechowanie przez jego kolegę. Ten instrument zaznaczył się jedynie tym, że młodzi medycy z kabaretu Cyrulik śpiewali przy nim swój przebój *Konik na biegunach*, a wraz z nimi Ewa Demarczyk, która zaczęła od Cyrulika, zanim Zygmunt Konieczny wprowadził ją do grona Piwnicy pod Baranami. Było to niedługo przed tym, kiedy „Czar-na Madonna” zadebiutowała w Klubie Literatów, który w roku 1961 na niecałe dwa lata przyciągnął artystów Piwnicy. Ich występy w klubie odbywały się przy tym samym fortepianie, na którym wcześniej, jako pierwsi zagrali Dave Brubeck i Krzysztof Komeda.

## Y. YESTERDAY

**Yesterday – i jeszcze mniej...**

**Yesterday came suddenly...** Wczoraj nadeszło niespodziewanie – śpiewał Paul McCartney. Mało kto wie, że Stanisław Barańczak przełożył wiele tekstów Beatlesów i *Yesterday* zastąpił nostalgicznym „Jeszcze mniej”.

Niejeden z dawnych mieszkańców wspomina *Wczoraj* w Domu Literatów z uczuciem i sentymentem. Jerzy Kisielewski wyznaje, że napisał swoją książkę z tęsknoty. Joanna Olczak-Ronikier kończy swoje wspomnienia wzruszającymi słowami: „Nie chcę opowiadać o tym, co działo się później. Zbyt trudne, zbyt smutne. Wolę zatrzymać się w tym miejscu, w którym pędzę przed siebie na wrotkach. Za chwilę będę w domu na Krupniczej. Otworzę drzwi, Różewicz znękany hałasem, jaki robię na wspólnym korytarzu, zatka uszy. Babka zsunie okulary ze zmęczonych oczu i spojrzy na mnie uważnie. A matka spyta: – Gdzie byłaś tak długo? Martwiłyśmy się o ciebie” (*Wtedy*, s. 327). Tak, to było wczoraj. Albo przedwczoraj, jak we wspomnieniu Tadeusza Kwiatkowskiego: „Żyliśmy po wojnie w wielkim stadzie literackim. Już nigdy później pisarze nie byli tak związani, nie dzielili ze sobą codziennych trosk i sukcesów, nie szukali siebie wzajemnie i nie żyli tak solidarnie zespoleni. Wszyscy odwiedzali się nawzajem, relacjonowali swoje odczucia i przeżycia, szukali rady i pomocy. Była to jedna rodzina, dobrana wprawdzie przypadkowo, lecz nagle zbratana i bezkonfliktowa. Bieg czasu zrobił oczywiście swoje...” (*Niedyskretny urok pamięci*, s. 75).

Spośród stu literackich lokatorów Krupniczej żyje dzisiaj trzynastu. Z tych dawnych jedynie Jerzy Korczak i Adam Maceński. Pozostali to pokolenie twórców z lat 70. i 80.: Anderman, Balbus, Lipska, Lisowski, Lubaś, Maj, Wysogład, Zdanowicz, Ziemianin i Żyszkiewicz. I Ryszard Sadaj, jedyny nadal na Krupniczej. Ale żyje także bardzo liczne grono literackich potomków, z których wielu zajmuje się pisaniem, nauką o literaturze, przekładami i pracą dla mediów. Jakie było ich wspólne wczoraj na Krupniczej? Z tego, co piszą i mówią – pogodne i przyjazne. Trochę szalone, czasem trudne, ale na ogół mądre. Mądre, bo trwające pośród żywej, współczesnej biblioteki. Wymagające wyrzeczeń, niezasobne, niekiedy biedne. A jednak dające radość i uczucia.

Niepodobne do dzisiejszego świata zgiełku, reklamy i komercji. A ich pamięć? Trochę jak u Barańczaka: „Nie wiem, co się stało i co zmieniło się w niej / z każdym nowym dniem widzę, że pojmuję mniej... Jeszcze mniej...”.

A jednak – w tej pamięci nadal ukryta moc... *Oh, I believe in yesterday!*



# Nasze drogie ruiny

Tekst: Paweł Głowacki Zdjęcia: Grzegorz Mart, za zgodą i dzięki uprzejmości Cricoteki

## Czwartek

Zostaje wiele. W powieści Javiera Mariása *Czarne plecy czasu* widnieje długa lista ocalałych łupin. Niezliczone wieki trwać będzie po nas nawet najbiedniejsza lichota. Ołowiany żołnierz, kapelusz, grzebień, pióro wieczne... A zegar? Filiżanki? Popielniczka? Wazon z uschlłym liściem paproci? Niechybnie to również. „I ten posążek indyjskiego adiutanta z malowanego drewna, który niedawno przyniosłem do domu z niejaką niepewnością, ta figurka też pewnie przetrwa dłużej ode mnie, jak sądzę” – dorzuca Mariás obok pióra wiecznego. A po wiecznym piórze dopisuje jeszcze: „Opowieści, które wymyśliłyśmy i które zostaną przejęte przez innych albo będą mówić o naszym niegdysiejszym, minionym i nigdy niepoznanym istnieniu, czyniąc z nas postaci fikcyjne”. Jak milczącą tę, nieogarnioną ruinę posklejać? I w co? Jak przywrócić dawną pełnię gruzom? W nowej Cricotece, na wystawie Roberta Kuśmirowskiego *Wpół do jutra*, jest ludzka czaszka uciulana z łupin niewiele większych od paznokci dziecka. Brakuje kawałka żuchwy, lecz to nie tragedia. Gdy wybije pełne jutro – wróci archeolog i doklei, co trzeba i gdzie należy. O ile wybije pełne jutro. O ile archeolog wróci i siędzie na zydlu za blatem zasypanym łupinami. A po drugiej stronie rozległej białej sali Cricoteki, przy wejściu, wciąż trwać będzie, jak trwa teraz, o wpół do jutra, widok, któremu niczego nie da się dokleić. Niczego prócz opowieści, swojej albo cudzej.

## Wtorek

Tuż przy wejściu, po prawej, w rogu – ażurowy, płaski trup. Mniej niż trup. Kawałki tylko. Resztki niegdysiejszej pełni. Dzieło ognia lub mozołu czasu. Resztki fasady domu z drewna. Ona pierwsza obróciła się w popiół. W popiół bądź kurz. A tam, gdzie była nieprzenikniona ściana, tam, między drewnianymi ramionami trójkątów – trwa powietrze, puste miejsce. Teraz już tylko szkielet frontowej ściany, rusztowanie z grubych, ukośnie i pionowo zbitych w trójkąty belek, utrzymuje pozory dawnej świetności fasady. Ten szkielet i jeszcze wejściowe drzwi, a raczej coś, co gra niemą rolę drzwi. Lecz trzeba uważać! Należy zachować ostrożność najwyższą! Martwe drzwi nie obróciły się w kurz jedynie dlatego, że w ich pobliżu żaden przechodzień nie kichnął ani nie krzyknął: Jest tam kto?! Drzwi wciąż trwają, gdyż nikt nie zapukał. Zresztą, po cóż pukać, kłanek naciskać, z dziurką od klucza oko sklejać? Wystarczy przecież zrobić krok w prawo, w lewo – i spojrzeć. W trójkątnej pustce – wszystko jak na dłoni. Za szkieletem

frontowej ściany – trójwymiarowa martwa natura pospolitych kształtów. Stół, łóżko, szafa, dywan, krzesła, zegar, filiżanki, popielniczka, wazon z uschlłym liściem paproci, inne na amen osamotnione banały. I żywego ducha. Pokój trupich przedmiotów w różnych stadiach rozpadu. Każda lichota – na innym etapie obracania się w pustę po sobie samej miejsce. Tym się zaczyna, a jeśli na początku ruszysz w lewo – tym kończy się wystawa. Mówić coś o przechodniu, który nie kichnął? Jak wyglądał? Skąd szedł? I dokąd? Jego wiek? Twarz? Oczy? Zmyślać jego lęk, gdy patrzył przez ażurową ścianę na stos kruszących przed szafą książek? I jego wtedy kurczowo zaciskającą się na srebrnej gałce laski dłoń w brunatnych cętkach? Więc jednak starszek z niego...?

## Piątek

W epilogu zagajenia wystawy, która jest niczym klarownie skomponowany pchli targ, Kuśmirowski powtarza odwieczną oczywistość. „Resztę historii mogą Państwo odtworzyć, stworzyć i opowiedzieć sobie sami. Wystawa otwiera bowiem wiele możliwości interpretacji”. Proszę bardzo. Oto bajka pierwsza z brzegu – *Gargantua i Pantagruel* Franciszka Rabelais’go. Nie cała, nie. Ledwie jeden okrucz – pewna lista. Czy porachował ktoś wszystkie ingrediencje pchlego targu *Wpół do jutra*? Od matuzalemowej cysterny na gaz lub benzynę, od tego żelaznego cielska, przypominającego trupa dinozaura poczynając, dalej idąc i mijając kruszący drut kolczasty, rozpruty fotel, czaszkę z łupin, archaiczną tablicę z zardzewiałymi kluczami do pokojów pensjonatu od wieków nieistniejącego i jeszcze głucho stuletnie pianino, a kończąc wędrówkę, dajmy na to, na porzuconym bucie,

„Wszystko tracimy, bo wszystko zostaje – prócz nas. Dlatego każda forma trwania po śmierci jest być może obrazą, możliwe, że jest nią każde wspomnienie”.

kupie strzępów odzieży lub powoli zabijanym przez mozolny czas pokoju za ażurową ścianą – czy zsumował ktoś wszystkie trwające w Cricotece formy osamotnionej lichoty? Jak wiele jest tych artefaktów, z których każdy we własnym tempie obraca się w pustę po sobie samym miejsce, milcząc prosząc o bajkę? W bibliotece opactwa św. Wiktora Gargantua znajduje piękne księgi. Licząca prawie

150 tytułów lista ciągnie się przez cztery bity strony powieści Rabelais'go, zaś piękno ksiąg polega głównie na tym, że – nie istnieją one. Są możliwościami jedynie. Są bajkami czekającymi na słowa.

#### Sobota

Inna opowieść – *Jaszczur* Balzaca. Sam początek. Oto Nieznajomy, młody melancholik, który później zyska imię Rafael, nocą wędru-

Związek zgody, panujący między osamotnionymi przedmiotami – nic nie traci ze swojej harmonii. Po chwili wędrowiec znów patrzy na stos kruszejących przed szafą ksiązek. Cętkowana dłoń drugi raz zaciska się kurczowo na srebrnej gałce. Powraca inna bajka Kantora. Kruszejące książki wolno się unoszą i opadają na ławkę z *Umarłej klasy*, którą wyobraźnia wędrowca ustawiła przed szafą. I wchodzi Sprzątaczką-Śmierć, jak wchodziła na pre-



je przez monstrualny paryski antykwariat. Błąka się w labiryncie pchlego targu, gdzie zdaje się trwać chyba wszystko, co na świecie zostało po ludziach i czemu jeszcze nie podołał mozolny czas. Idzie, a przy każdym przedmiocie uchyla się w jego głowie furka – na bajkę o przedmiocie. Czy możliwe, że nocny seans narracyjnego przywracania kruszejącym resztkom namiastki życia, pozorów pełni – zarazem przywrócił Nieznajomemu jego „Ja”? Po zamienionym na słowa przejściu przez pchli targ – odzyskał imię? Wie już, kim jest, bo snując napotkanym rzeczom fikcyjne życie – wysnuł też sobie tożsamość własną? A czy coś podobnego – takie narracyjne szukanie siebie – nie zdarzyło się w roku 1943 lub 1944, kiedy Tadeusz Kantor zawiesił oderwaną od wychodka deskę nad buczącą opowieścią, pod sufitem pokoju, gdzie odgrywana była jego opowieść – jego intymna parafraza *Powrotu Odysa* Stanisława Wyspiańskiego?

#### Poniedziałek

Mój widmowy wędrowiec, patrzący przez puste trójkąty na kruszejący pokój, w wyobraźni zamienia zamary nad szerniałym stołem kandelabr – na deskę z *Powrotu Odysa* Kantora. I nic złego się nie dzieje. Spokój zwłok rzeczy – pozostaje nietknięty.

mierze *Umarłej klasy*. I jak wtedy wytrzępuje z nieżywych tomów kurz. Zaraz zjawiają się umarli. Kolejny raz wrócą na nasz brzeg czarnej rzeki, gdyż znów, jak kiedyś na premierze, przypomnieli im się, że o czymś zapomnieli.

#### Wtorek

*Umarła klasa* – kiedy to było? Połowa lat 70. ubiegłego wieku. 1975, listopad? Tak. A ledwie rok wcześniej, w Piccolo Teatro di Milano, Lubow Raniewska i jej brat Gajew – po latach wracają do rodzinnego domu, wracają, bo... Zapomnieli o czymś? O sobie? Tak *Wiśniowy sad* Antoniego Czechowa czytał Giorgio Strehler. Był geniuszem. Gdyby żył, świętowałby setne urodziny. Kto wie, Józef Opalski być może zaprosiłby go do Krakowa na gigantyczny bal, jak zaprosił w październiku roku 1996 na zakończenie V Festiwalu Unii Teatrów Europy, aby wręczyć mu Nagrodę im. Tadeusza Kantora. Lubię roić, że tę małą rzeźbę, ukazującą chłopca w ławce – brązowe echo *Umarłej klasy* – otrzymał Strehler głównie za swój *Wiśniowy sad*, opowieść o zawsze fiaskiem kończącej się próbie powrotu do źródła, o wątpliwości pamięci. Za tę dławiącą scenę, kiedy Raniewska i Gajew, olbrzymy, siedzą na tych krzesłkach w dzieciennym pokoiku Raniewskiej, i nad tym stolikiem popijają z filiżanek dla

lalek herbatę, ufając przez chwilę, że śmierć znów jest daleko, jak była w dzieciństwie, kiedy wśród lilipucich mebelków i filiżanek jak naparstki bawili się w życie poważne. I jeszcze za tę sekundę, w której stojąca w kącie dziecinnego pokoju stareńka szafa otwiera się nagle i pod nogi olbrzymów, groteskowo zgarbionych na lilipucich krzeselkach, wypadają okruchy czasu dokonanego. Spłowiąte piórka, zakurzone kapelutki, dziurawe woalki,

mocnego, że ułuda przemieniła się w realność – ostatniej bajki Kantora *Dziś są moje urodziny* może w ogóle by nie było? Tamtego dnia szukał samotności albo śnił, że szuka samotności. Zszedł pod ziemię, do nor zagraconych resztkami jego dawnych seansów. Kości konia marszałka, kołyska, maszyna do rodzenia, połamany rowerek, ławki, szafa, krzyże, inne wióry. „Nasze drogie ruiny” – powie o nich Kantor. Przedmioty już bez opowieści. Mrok.



wstążki w strzępach, kruszejące buciki, puste pudełka, kiedyś granatowe ubranko marynarskie, jeszcze cudem ocalałe choinkowe bombki. W końcu zjawia się wehikuł ponad siły olbrzymów. Wózeczek. Wózek całkiem jak drewniana kołyska-trumienka, na dnie której w *Umarłej klasie* kolebały się, czekając na sen, dwie drewniane kule.

### Środa

„Chromowany wózek dziecinnie z czarnej ceraty – powiada Strehler w notatkach do *Wiśniowego sadu* – który niby mała trumna przetoczy się z prawej na lewą stronę proscenium i najedzie na Lubow, a ta ujrzy nagle przed sobą wózek swojego dziecka. Wtedy Lubow zapłacze cicho”. Co dalej? Cóż mogą wielkoludy, patrząc na rozsypane pod nogami resztki epoki małych nóg? „Pokój wyda się cmentarzem czasu – pisze Strehler – w którym Lubow i Gajew starać się będą zaprowadzić ład. Na próżno”. Co wtedy? Co zostaje wielkoludom, gdy pamięć się poddaje? To, co zawsze. Bezradność pokonanych. „A światło – kończy Strehler – zalewa tę delikatną pustkę”. W innej opowieści, innej albo tej samej, lecz ulepionej z innych słów, Kantor wspomina spotkanie w piwnicy dawnej Cricoteki. Któż wie? Bez tego zdarzenia, bez pamięci o zdarzeniu lub bez snu o zdarzeniu, snu tak

I tylko ledwo żywa żarówka w górze pod cegłami. I w umierającym świetle – szara dziewczyna, skulona na progu nory drogich ruin. Nieruchoma. Bezradność pokonanej. Płakała cicho. Płakała, szepcząc: „Dlaczego to wszystko takie smutne?...”. Wciąż od początku tylko to... Te pięć słów... Wiele razy... Bez skutku...

### Piątek

Zostaje wiele. Mariasa zbiór ocalałych łupin jest rozległy, ale też nie jest zamknięty. Z łatwością pomieści jeszcze resztę świata rzeczy, na czele z klarownym pchlim targiem Kusirowskiego i całą Cricoteką. Tak, zostaje wiele. Tylko że istotnie zostaje jedynie to, co usłyszysz opowieść o sobie. Lecz jest i mroczna strona tego trwania, łatwa do przeoczenia. W szkicuujących ją słowach Mariasa nie ma niejasności. Są one nieodwracalne. „Wszystko tracimy, bo wszystko zostaje – prócz nas. Dlatego każda forma trwania po śmierci jest być może obrazą, możliwe, że jest nią każde wspomnienie”.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

# Grudzień 1921

Opracował Krzysztof Jakubowski

Z przedświątecznego „IKC”: „Od strony kościoła Mariackiego w całej połaci Rynku, aż po kościółek św. Wojciecha stanął wspaniały las jodłowy, a wzdłuż Sukiennic ustawiono szereg kramów, gdzie przekupnie sprzedają świecidełka na drzewko i różne drobiazgi świąteczne. Przy tej sposobności zwracamy uwagę publiczności, aby nabywała wyłącznie wyroby krajowe, które można wszędzie nabywać po znacznie niższych cenach. Wyróżniają się one lepszym gustem i pomysłowością od tandety niemieckiej”.

✎ **1 grudnia.** Z kroniki „IKC”: „Wczoraj około godz. 5 wieczorem na ulicy Basztowej przechodnie urządzili pościg za złodziejem, który skradł z wozu na Rynku Kleparskim kozuch. Mimo nawoływań publiczności »łapać złodzieja«, przechodzący właśnie posterunkowy policji nr 485 nie uważał za stosowne wziąć udział w pościgu, lecz z angielską flegmą wolnym krokiem podążał przed siebie. Złodziej naturalnie znikł bez śladu”.

✎ **2 grudnia.** Następnego dnia „IKC” zamieścił osobliwą głosę do powyższej notatki: „Odnośnie do notatki we wczorajszym numerze jesteście proszeni przez posterunkowego nr 485 o zaznaczenie, że zachowanie jego wobec uciekającego złodzieja nie wynikało z jego

✎ **4 grudnia.** Z kroniki teatralnej „Głosu Narodu”: „Dzisiaj wchodzi na afisz nieznanne jeszcze w Krakowie dzieło Stanisława Wyspiańskiego, będące jedną z najznakomitszych tragedii nowoczesnych z ducha klasycznego, wstrząsające swoim genialnym przeprowadzeniem akcji, nad którą unosi się fatum – klątwa tych, którzy sprzeniewierzyli się swym ślubom. Niedopuszczona na scenę krakowską przez cenzurę austriacką *Kłątwa* jest jednym z najznakomitszych utworów teatralnych poety i obecnie wystawia ją teatr krakowski z należą pieczołowitością oraz w świetnej obsadzie najwybitniejszych swoich sił”.

✎ **7 grudnia.** Recenzent teatralny „Nowej Reformy” dzielił się z czytelnikami gorzkimi refleksjami: „W ostatnich czasach publiczność teatralną stanowią żywioły, które nie rozumiejąc sztuk i nie umiejąc się zachować, budzą oburzenie u tych nielicznych widzów z inteligencji, których obecnie nie stać na teatr. Jaskrawym przykładem poziomu kulturalnego dzisiejszej publiczności teatralnej są przedstawienia *Kłątwy*, podczas których w miejscach najtragiczniejszych i momentach o wysokim napięciu dramatycznym słychać głośne śmiechy i rozmowy”.

✎ **8 grudnia.** Komunikat z „IKC”: „Dyrekcja Policji wzywa administratorów realności, którzy z jakichkolwiek powodów osób w domu mieszkających nie zgłosili w Dyrekcji, by je w terminie 14-dniowym bezwarunkowo zameldowali. Po upływie tego terminu będą powołane organa odbywać po domach, hotelach itd. kontrolę i w razie stwierdzenia jakiegokolwiek zaniedbania lub opieszałości osoby winne zostaną pociągnięte do surowej odpowiedzialności”.

✎ **9 grudnia.** Z kroniki „Czasu”: „W sobotę dnia 10 bm. o 7 wieczór odbędzie się w Muzeum Przemysłowym, ul. Smoleńsk 9, odczyt inż. Stanisława Sokołowskiego pt. *Chłódnicstwo i jego ekonomiczne znaczenie w życiu ekonomicznym kraju*”.

✎ **9–10 grudnia.** Prasa podała informację przypominającą, że Konsulat Czechosłowacji mieści się od 1 grudnia przy ul. Gołębiej 18.

Dzienniki z konieczności skąpo informowały o toczącym się przed krakowskim Sądem Okręgowym przy drzwiach zamkniętych procesie grupy pięciu agitatorów komunistycznych (w tym trzech kobiet). Zapadły surowe wyroki, od 1 do 9 lat więzienia, obostrzone twarde łóżem co miesiąc.

złej woli, lecz jedynie z braku zorientowania się w zajściu, gdyż ani nawoływań publiczności »łapać złodzieja« nie słyszał, ani uciekającego sprawcy nie zauważył”.

✎ **3 grudnia.** Anons z „IKC”: „Młody, przystojny i zdolny akademik, o starym herbowym nazwisku, ożeni się. Duży posąg konieczny, zwrot fotografii zapewniony słowem honoru”.

✎ **3–4 grudnia.** Dzienniki z konieczności skąpo informowały o toczącym się przed krakowskim Sądem Okręgowym przy drzwiach zamkniętych procesie grupy pięciu agitatorów komunistycznych (w tym trzech kobiet). Zapadły surowe wyroki, od 1 do 9 lat więzienia, obostrzone twarde łóżem co miesiąc.



Mistrz introligatorski Robert Jahoda (1862–1947), fot., ok. 1910, Archiwum Narodowe Kraków

✎ **12 grudnia.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „W gmachu Muzeum Przemysłowego otwarta została wystawa wydawnictw zasłużonej firmy księgarskiej Gebethner i Wolff, która od 66 lat przoduje w Polsce ruchowi wydawniczemu. Z wystawą książek połączono wystawę opraw znanego w Krakowie artystycznego zakładu introligatorskiego p. Roberta Jahody”.

*Robert Jahoda był jednym z najwybitniejszych polskich introligatorów i zarazem konserwatorów książek i starodruków. Swą pracownię prowadził od 1887 roku przy Rynku Głównym 37, następnie w domu własnym, przy ul. Gołębiej 4, aż do śmierci w 1947 roku.*

✎ **12 grudnia.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Do policji doniósł p. Marian Hamerski, zamieszkały w domu resursy przy ul. Wolskiej, że przed kilku dniami 12-letni syn jego Marian zbiegł z domu rodzicielskiego, zabierając 15 tys. marek na drogę”.

*Resursy były elitarnymi stowarzyszeniami służącymi celom towarzysko-rozrywkowym, zrzeszały arystokratów, ziemian, zamożnych mieszczan i kupców, z czasem urzędników, przetrwały do 1939 roku; od 1901 najbardziej znana z krakowskich resurs mieściła się*



KRAKÓW. Hejnał na wieży Mariackiej. Fanfare de la tour de Nôtre-Dame de Cracovie.

Hejnalista z wieży Mariackiej (pozuje na niedostępnym dziś fragmencie dachu), widokówka, 1934, archiwum autora

*w pałacu Potulickich przy ul. Wolskiej 4 (dziś Piłsudskiego).*

✎ **12 grudnia.** „Nowa Reforma” zamieściła sprostowanie: „Odnosnie do notatki umieszczonej 9 bm. w naszym piśmie pt. *Wielkie rewizje u waluciarzy*, nadsyła nam adwokat dr S. Gottesman pismo, w którym imieniem swego klienta p. Wolfa Nattla donosi, że rewizji w mieszkaniu p. Nattla nie przeprowadzono, wobec czego wiadomość o znalezieniu obcych walut, specjalnych zapisków i tajnego telefonu w mieszkaniu p. Nattla jest nieprawdziwą”.

✎ **12 grudnia.** „IKC” przyniósł smutną wiadomość: „W czwartek 8 bm. zmarł w Krakowie przeżywszy lat 52, Jan Zawisza, trębacz z wieży Mariackiej. Zmarły pełnił swe obowiązki przez kilkanaście lat, wytrębiając z wyżyn wieży co godzinę na cztery strony świata starodawny hejnał, tak drogi wszystkim mieszkańcom Krakowa. Uciążliwą służbę trębacza na wieży Mariackiej pełni na zmianę trzech strażników i jednym z nich był właśnie śp. Zawisza, dopóki kilkumiesięczna choroba nie położyła kresu jego pracowitemu życiu”.

*W latach 30. zwiększono załogę trębaczy do czterech. Obecnie dyżur pełni sześciu*



Ulica Wojska z pałacem Potulickich (po prawej), widokówka, 1915, archiwum autora



Widokówka reklamowa prezentująca firmę Henryka Frista przy ul. Floriańskiej 37, ok. 1910, archiwum autora



Targ bożonarodzeniowy na Rynku Głównym na akwareli Stanisława Tondosa, pocztówka, ok. 1910, archiwum autora



Pałac w podkrakowskim Kryspinowie, fot., ok. 1960, własność prywatna

strażaków plus jeden pozostający w stałej gotowości.

✎ **14 grudnia.** Z kroniki Nowej Reformy: „Rada wyznaniowa żydowska w Krakowie uchwaliła na ostatnim posiedzeniu pod przewodnictwem prezydenta dra Rafała Landaua oddać do użytku publicznego drugą łaźnię ludową przy ul. Szerokiej będącą własnością gminy, a znacznym kosztem odrestaurowaną. W łaźni tej urządzony został zakład dla dezynfekcji ubrań, tudzież pralnia ludowa. Przed rokiem gmina żydowska oddała do użytku nową własnym kosztem urządzone łaźnię przy ul. Paulińskiej”.

*Obydwa budynki przetrwały. Łaźnia przy ul. Szerokiej 6 zwana Wielką Mykwą mieści od 1995 roku restaurację i hotel Klezmer-Hois oraz księgarnię wydawnictwa Austeria. Budynek przy ul. Paulińskiej 28 pełni dziś funkcje mieszkalne.*

✎ **14 grudnia.** W tej samej kronice skierowano kąśliwą uwagę do właściciela popularnej kawiarni: „Bywalcy kawiarni Esplanada żalą się, że zarząd kawiarni co kilka dni podwyższa opłatę za użycie szachów, która obecnie wynosi 70 marek. Czy nie za wysoko szacuje sobie właściciel zużycie materiału?”

✎ **14 grudnia.** „Nowy Dziennik” przyniósł wiadomość o śmierci wydawcy Józefa Frista, właściciela Salonu Malarzy Polskich, przy ul. Floriańskiej 37. Frist był prekursorem pocztówki artystycznej, jego wydawnictwo założone w 1885 roku popularyzowało między innymi dzieła polskiego malarstwa.

Od roku 1900 wydawało też pocztówki z widokami Krakowa utrwalonymi na fotografii. Prowadzone później przez synów H. Frista, przetrwało do 1939 roku.

✎ **15 grudnia.** „Wczoraj przed cmentarzem Rakowickim zatrzymała się fura, z której ludzie więcej wyjęli trumienkę kryjącą zwłoki 12-letniego chłopca, zmarłego wśród tragicznych okoliczności. Jak opowiadali towarzyszący orszakowi pogrzebowemu ludzie, chłopczyk wyszedł nocą z 11 na 12 bm., z pobliskiej wsi do Krakowa, po lekarstwo dla chorej matki. Gdy wracał z lekarstwem, opuścił go w drodze siły, skutkiem czego upadł na ziemię wśród nocy i dojmującego zimna. Rano dopiero ludzie idący do miasta znaleźli zmarznięte zwłoki chłopczyka, który śmierć znalazł, pragnąc przynieść ulgę cierpiącej matce” – relacjonował reporter „Nowej Reformy”.

✎ **16 grudnia.** Wyszedł pierwszy numer nowego tygodnika „Głos Niezależnych Socjalistów”, założonego przez kilku secesjonistów z PPS, z Bolesławem Drobnerem na czele. Nakład pisma został jednak skonfiskowany za „naruszenie spokoju społecznego i porządku publicznego, przez nakłanianie do zaburzeń”.

✎ **17 grudnia.** Podczas obrad Rady Miasta trwała gorąca dyskusja na temat bezpieczeństwa mieszkańców miasta: „Mówcy przypomniawszy szereg morderstw dokonanych w Krakowie, czynili zarzuty kierownictwu policji, że nieudolnym prowadzeniem śledztwa nie udało się wykryć sprawców. Zamiast



Julian Fałat, portret Gabrieli Zapolskiej, akwarela, 1898, Muzeum Narodowe w Kielcach



racjonalnych środków śledczych, uciekano się do sztuczek jak spirytyzm itd. Krytykowano angielski system policyjny, nie dający się dostosować do naszych stosunków i domagano się możliwie szybkiej reorganizacji policji” – relacjonował reporter „Czasu”.

✎ **18 grudnia.** Z kroniki „IKC”: „Od strony kościoła Mariackiego w całej połaci Rynku, aż po kościółek św. Wojciecha stanął wspaniały las jodłowy, a wzdłuż Sukiennic ustawiono szereg kramów, gdzie przekupnie sprzedają świecidełka na drzewko i różne drobiazgi świąteczne. Przy tej sposobności zwracamy uwagę publiczności, aby nabywała wyłącznie wyroby krajowe, które można wszędzie nabywać po znacznie niższych cenach. Wy różniają się one lepszym gustem i pomysłowością od tandety niemieckiej”.

✎ **19 grudnia.** W kolejnym numerze „IKC” ukazało się zgrabne nawiązanie do poprzedniej notatki: „Wśród jodłowego lasu koło Sukiennic ukazali się wczoraj nasi domorośli artyści z przedmieść, przynosząc na sprzedaż własnoręcznie wykonane szopki krakowskie. Są one ozdobione wieżycami z kolorowego papieru, a pod słomianą strzechą umieszczone są papierowe figurki przedstawiające pastery i królów zdążających do Dzieciątka. Szopki jako specjalność krakowska znajdowały chętnych nabywców”.

✎ **19–22 grudnia.** Wszystkie dzienniki opisywały montaż pomnika Tadeusza Kościuszki, który staraniem komitetu budowy usytuowano na wzgórzu wawelskim, na bastionie Władysława IV. Przypomnieć warto, że monument był gotowy od kilkunastu lat, lecz przetrzymywano go na dziedzińcu koszar Straży Pożarnej, skutkiem sporów o lokalizację. Wśród wielu pomysłów na jego posadowienie rozważano płytę Rynku Głównego, Błonia, a nawet szczyt kopca.

✎ **21 grudnia.** Z kroniki „Czasu”: „Wczoraj o 5.30 wieczorem wezwano Pogotowie Ratunkowe do kina Opieka, gdzie podczas wyświetlania filmu obecny tam kawalerzysta Józef Kozłowski uległ ostremu atakowi szaleńcu. Po obezwładnieniu chorego przewieziono do szpitala wojskowego”.

✎ **21 grudnia.** „Bandyty rabują już nawet kościoły!” – to tytuł notatki z „IKC” opisującej zuchwałość złodziei-świętokradców, którzy w kościele św. Krzyża rozbili tabernakulum i skradli wykonane ze srebra naczynia liturgiczne. Wartość skradzionych przedmiotów oszacowano na pół miliona marek.

✎ **22 grudnia.** Jak podała „Nowa Reforma”: „Urząd Ziemski w Krakowie przeprowadził wczoraj rozprawę, na której wywłaszczono majątek ziemski Kryspinów, będący własnością radcy miejskiego p. Suskiego. Jako motyw wywłaszczenia podano między innymi złe zagospodarowanie majątku i nabycie go z zysków wojennych. Radca Suski wniósł rekurs przeciwko temu orzeczeniu do Głównego Urzędu Ziemskiego w Warszawie”.

✎ *Postawione zarzuty były dość łatwe do obalenia, toteż majątek wraz z pałacem pozostał w ręku rodziny Suskich, właścicieli dużego sklepu kolonialnego u zbiegu pl. Dominikańskiego i ul. Grodzkiej. W czasach PRL-u ówczesni władarze urządzili w pałacu Państwowy Ośrodek Maszynowy. Neorenesansowy cenny obiekt z drugiej połowy XIX wieku powrócił do spadkobierców dawnych właścicieli, ale stoi opuszczony i niszczeje.*

✎ **22 grudnia.** „Kajdany małżeńskie – romans kryminalny w 5 wielkich aktach. Tło dramatu: Mąż stary, żona piękna i młoda, przyjaciel domu – w kinoteatrze Sztuka, hotel Saski. Dla młodzieży wzbronione!” – anonsował „IKC”.

Z „Nowej Reformy”: „W ostatnich czasach publiczność teatralną stanowią żywioły, które nie rozumiejąc sztuk i nie umiając się zachować, budzą oburzenie u tych nielicznych widzów z inteligencji, których obecnie nie stać na teatr. Jaskrawym przykładem poziomu kulturalnego dzisiejszej publiczności teatralnej są przedstawienia *Kłątwy* [Stanisława Wyspiańskiego], podczas których w miejscach najtragiczniejszych i momentach o wysokim napięciu dramatycznym słychać głośne śmiechy i rozmowy”.

✎ **22–23 grudnia.** Dzienniki wyliczały straty spowodowane przez szalejącą nad miastem wichurę. Uszkodzeniu uległy między innymi miedziane pokrycia dachów kościoła św. Piotra i Pawła oraz katedry wawelskiej. Orkan wyrwał drzewa z korzeniami, przewracał parkany. Szacowano, że niemal 20 proc. dachów w mieście zostało uszkodzonych.

✎ **31 grudnia.** „Nowości Ilustrowane” zamieściły fotoreportaż z uroczystości pogrzebowych Gabrieli Zapolskiej na cmentarzu Łyczakowskim. Wybitna aktorka i dramatopisarka zmarła we Lwowie, gdzie spędziła ostatnich kilkanaście lat życia.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

# Od nobliwych dam do zmysłowych bogiń

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Kunsthistorisches Museum

Jak namiętnym wzrokiem Tycjan patrzył na płeć piękną, możemy się przekonać, oglądając wystawę *Obraz kobiet u Tycjana. Piękno-miłość-poezja*, pokazywaną w wiedeńskim Kunsthistorisches Museum.



Tycjan, *Wenus z organistą i Kupidynem* (około 1555), płótno, 148 x 217, Museo Nacional del Prado, Madryt © Archivo Fotográfico

No to niech mi ktoś teraz powie, że mężczyźni w kobietach widzą tylko duszę. Nawet jeżeli tak twierdzą i starają się zachować pozory, to prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw. U Tycjana, którego obrazy możemy właśnie oglądać w Wiedniu, ta prawda wychodzi na jaw bardzo szybko. Choć na początku jest nobliwie, jakby kuratorzy wystawy obrazów pokazywanych w Kunsthistorisches Museum chcieli nas przekonać, że mistrz włoskiego renesansu spoglądał na portretowane damy z iście mniśnią powagą. Weźmy jednak pod uwagę to, że w pierwszej sali widzimy arystokratki, które musiał uwiecznić z należnym im szacunkiem. Pozwały mu one w zachwycających sukniach, nakładając na siebie drogocenne klejnoty, kosztowne futra i nakrycia głowy. Tak jak Isabella d'Este, księżna Mantui, której prośbie nie mógł odmówić (należała do rodziny jego szczerzych mecenasów) i przedstawił ją jako młodą dziewczynę, choć w rzeczywistości zbliżała się wówczas do sześćdziesiątki.

Ale już wenejanki, które patrzą na nas z kolejnych obrazów, mają zdecydowanie śmielsze dekolty. Widać tu, że mistrz, kiedy tylko miał ku temu okazję, ekspozycjonował kobiece wdzięki. Spójrzmy tylko na *Młodą kobietę w kapeluszu z piórami* czy *Młodą kobietę w futrze*, a pozbędziemy się wszelkich wątpliwości co do tego, że ciało modelek nie robiło wrażenia na artyście. Choć są one wciąż ubrane, to jednak kuszą subtelną zmysłowością także współczesnego odbiorcę.

Swojej erotycznej wyobraźni Tycjan nie musiał już powstrzymywać, gdy malował sceny mitologiczne. Wiadomo, boginie nie były zbyt pruderyjne, więc malarz mógł, przedstawiając je, naprawdę zaszaleć. Dlatego dziś możemy oglądać jego pełne namiętności dzieła, które pochodzą z cyklu *Poesie* opartego na *Metamorfozach* Owidiusza. Na wystawie przyciągają zwiedzających krągłe pośladki dziewczyny z *Nimfy i pasterza* czy kusząca nagość patronki miłości z *Wenus z organistą i Kupidynem*. No i przede wszystkim *Danae*, na którą spada deszcz złotych monet. Pod ich postacią skrywa się Zeus, przyjmowany przez poddającą się woli boga dziewczynę bez skrepowania. To chyba najbardziej erotyczny obraz artysty. Choć nie jestem pewna, czy Vasari miał rację, pisząc, że inne modelki z dzieł malarza wyglądają przy Danae jak zakonnice.

Możecie się o tym przekonać, wybierając się na wiedeńską wystawę, na której obok obrazów Tycjana znalazły się też dzieła takich twórców jak Giovanni Bellini, Jacopo Tintoretto, Paolo Veronese, Palma Vecchio, Lorenzo Lotto, Paris Bordone. Pochodzą one nie tylko z kolekcji Kunsthistorisches Museum, ale też z National Gallery w Londynie, Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku i Musée du Louvre w Paryżu.

*Obraz kobiet u Tycjana. Piękno-miłość-poezja*, Kunsthistorisches Museum, wystawa czynna do 16 stycznia 2022 roku.



Łucja Kłańska-Kanarek, *Dudziarz Mistrza Matejki*

# Michał Komar, *Bestiariusz*

Czasem dobrze jest cofnąć się w przeszłość i wrócić do niegdysiejszych form literackich. Takiego zabiegu dokonał znany publicysta i twórca scenariuszy filmowych Michał Komar. Podobnie jak średniowieczni autorzy, opisał zwyczaję zwierząt realnych i baśniowych, by ucieszyć czytelników, ale też pozwolić im wyciągnąć sporo ciekawych wniosków, które przynoszą obyczaj katoblepona, psiogłowieca, crocotta, a także łasicy, bociana, wilka, bobra...

Z wielką erudycją Komar cytuje tu dawnych mistrzów, a ich spostrzeżenia bywają nadzwyczaj trafne. Jak choćby Klaudiusza Eliana (175–235 n.e.), który tak pisał o zalotach żmij: „Samiec żmii łączy się z samiczką, oplatając dokoła jej ciała. Ona ulega oblubieńcowi i nie sprawia jej to żadnej przykrości. Gdy jednak akt miłosny dobiegnie końca, odpląca małżonkowi za obcowanie z nią zdradzieckim czynem: wczepia się mianowicie w jego kark i odgryza mu głowę, tak że samiec ginie. Żmija została zapłodniona i jest

brzemienna. Nie znosi jajek, ale rodzi żywe potomstwo, które natychmiast zachowuje się, jak mu każe natura. Oto młode przeżerając się przez łono matki, zjadają je, wydośćając się na zewnątrz; mszczą się na niej w ten swoisty sposób za śmierć ojca. Czymże wobec nich, drodzy tragediopisarze, są wasi herosi, tacy jak Orestes czy Alkmaon?”. Postawienie sobie takiego pytania to nie jedyny z pożytków płynących z wydanej przez oficynę Luna House książki (którą pięknie zilustrował Paweł Kowalewski). (red.)

## O Łasicy

Arystoteles (384–322 p.n.e.) poddaje krytyce Anaksagorasa (ok. 500–428 p.n.e.) i innych przyrodników, którzy głoszą, że „pośród czworonożnych łasica ustami wydaje na świat potomstwo (...). Co dotyczy łasicy, ma ona macicę zbudowaną w ten sam sposób co inne zwierzęta czworonożne. Jak zatem mógłby embrion odbyć drogę od macicy do pyszczka? Legenda wspomniana powstała stąd, że łasica rodzi potomstwo maleńkie (...) i często przenosi je w pyszczku. Także na temat borsuka i hieny opowiadają naiwne i zgoła bezpodstawne baśnie. Twierdzą mianowicie, że borsuk i hiena mają dwa organy płciowe, męski i żeński – i utrzymują, że borsuk zapładnia sam siebie, podczas gdy hiena pełni na przemian jednego roku rolę samca, drugiego rolę samicy. Stwierdzono jednak na podstawie obserwacji, że hiena posiada tylko jeden rodzaj organu płciowego”.

Plutarch (50–125 n.e.) nie ma w tej sprawie wyrobionego zdania, więc jedynie wspomina o ludziach, którzy uważają (nie wiadomo, słusznie czy też niesłusznie), że Łasica jest zapładniana przez uszy i rodzi pyszczkiem.

Stanowczo zaprzecza Plutarchowi nieznanemu autor *Fizjologa* (między II a IV wiekiem n.e.), pisząc o Łasicy: „Jej gardziel pobiera nasienie od samca, gdy zaś łasica stanie się brzemienna, rodzi przez uszy. Haniebnie zatem rodzą, rodząc przez uszy”.



I wysnuwa z tego dwa wnioski, jeden natury moralnej, drugi – o charakterze kulinar-nym: „Są tacy, którzy spożywają duchowy chleb w Kościele, kiedy jednak z niego wyjdą, wyrzucają słowo z uszu. Ci są podobni do nieczystej łasicy i zachowują się niczym głucha żmija, zatykająca swoje uszy”.

„Nie jedz więc łasicy ani do niej podobnych”.

Mówi się, że mięso Łasicy i jej podobnych jest łykowate nawet po starannym marynowaniu; Pismo Święte odnosi się negatywnie do jego konsumpcji.

Stawić trzeba Łasicę, bo pośród innych zwierząt tylko ona staje bez lęku do walki z okrutnym bazyliżkiem i go zabija.

# Skorpion

Wiele złych słów powiedziano o Skorpionie, ale czy sprawiedliwie?

Skorpion, choć dbały o potomstwo, jest samotnikiem, który dobrze wie, jaki jest świat. Dlatego skrywa się, nie lubi, gdy go niepokoją, i chadza poboczami.

Wierny sobie – żyje w smutku, bo chciałby być kochany przez innych, ale znając swe wady, domyśla się, że inni – zabiegający o przyjaźń – nie będą wobec niego szczerzy albo z obawy, że ta szczerłość go zabol i zmusi do użycia jadowitego kolca na końcu ogona, albo też, że obsypując go pochlebstwami, nie są szczerzy z samej swej natury.

Braku zaś szczerłości Skorpion nie znosi. Pięknie wyraża to uczucie La Rochefoucauld: „Szczerłość jest to otwartość serca. Spotyka się ją bardzo rzadko; a ta, którą się widuje zazwyczaj, jest jedynie zręcznym udaniem, aby ściągnąć ufność innych”. Tak, Skorpion jest kapłanem i żołnierzem otwartego serca. Ogłasza bunt przeciw obłudzie świata i rusza do walki, imając się – jak na wojownika przystało – rozmaitych forteli.

Klaudiusz Elian wielce niechętny Skorpionowi mówi tak: „Ileż sprytu i przebiegłości natura udzieliła skorpionom! Libijczycy (...)

obmyślają tysiące sposobów, by je przechytrzyć. A więc noszą buty do pół łydki, śpią w łózkach o wysokich nogach, postłania odsuwają od ścian, a czasem nogi łózek wstawiają do naczyń z wodą. Spodziewają się, że te środki ostrożności pozwolą im spać spokojnie i bez obaw”.

Ten sam Elian nie bez podziwu dodaje: „Skorpiony knują na ludzi wiele zasadzek. Jeśli na przykład skorpion uchwyci się na stropie jakiegoś narożnika, na którym może zawisnąć, czepia się go ze wszystkich sił kleszczami i wtedy wypuszcza swój jadowity kolec. Następnie drugi skorpion zsuwa się z sufitu po pierwszym i trzymając się mocno jego kolca, huśta się w powietrzu. Dalej łapie się go trzeci, po trzecim czwarty i piąty; każdy następny pełnie po poprzednich i wiszą wszystkie w pionie. Wreszcie ostatni skorpion zadaje cios śpiącemu człowiekowi i z powrotem wdrapuje się na tego, który jest powyżej. Po nim wspina się następny, dalej trzeci od dołu – w końcu cała reszta, aż ten swoisty łańcuch się rozplącze i rozwiąże”.

Powiedzmy więc szczerze: Skorpion w swej walce z obłudnym światem osiąga najwyższy poziom wojennego aryzmu.





## Jednorożec

Podług Indiki napisanej przez Ctesiasa i streszczonej przez Photiusa żyje Jednorożec w Indiach. Jest wielkości osła. Sierść ma białą, łeb karmazynowy i błękitne oczy. Ze środka głowy wyrasta mu ostry półtorałokciowy róg, u podstawy biały, pośrodku karmazynowy, na końcu czarny. Ten, kto pije z rogu wino, wodę czy jakiś inny płyn, jest zabezpieczony przed epilepsją i przed zadaną trucizną. Karmazynowy astragalus Jednorożca jest ciężki jak ołów.

Jednorożca nie prześcigną najszybsze konie. Otoczony przez myśliwych porzuca swe żrebaki i walczy do końca, kłując rogiem, gryząc i kopiąc. Nie zdarzyło się, by ktoś wziął go żywcem. Jego mięso jest gorzkie. Polują nań ludzie z uwagi na magiczny róg, a też astragalusa, z którego wyrabia się kości do gry dla władców i bogaczy.

Teatr STU to dla mnie wspomnienie *Szalonej lokomotywy* w namiocie na Rydla. I chociaż widziałam potem wiele fantastycznych spektakli tego teatru, to tamto wrażenie – wspomnienie nastolatki – tkwi we mnie do dziś.

*Ewa Bielecka (Stowarzyszenie „Na Rzecz Rozwoju”)*

Mówimy Teatr STU, myślimy Jasiński. Ale tak naprawdę wiemy, że to jest już całe środowisko, cała wielka rodzina – nie tylko krakowska. To perła w kulturalnej koronie całej Polski.

*Witold Bereś (redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”)*

*Exodus* wystawiony w Barbakanie w 1974 roku był dla mnie spektaklem inicjacyjnym: odbierało się ten spektakl politycznie, choć poeta nie wzywał raczej do rewolucji, jeśli już to do rewolucji wewnętrznej w każdym z nas. Więc wychodziliśmy w noc z pieśnią, która do tej pory brzmi w mojej głowie: „Wstań Polsko, wstań z donosów i anonimów, wykrętów i morza kłamstw, nagonek i wrzawy, przebudź się!

*Krzysztof Gierat (dyrektor Krakowskiego Festiwalu Filmowego)*

Można sobie wyobrazić Kraków bez Teatru STU  
Krzysztofa Jasińskiego. Tylko... po co? Stu lat!

*Zbyszek Lepka (Klub Krakowski)*

Jeśli świat jest teatrem, to Teatr STU jest moim światem!

*Artur „Baron” Więcek (reżyser filmowy i teatralny,  
w STU wystawił m. in. Ci, co mnie niosą Sławomira  
Mrożka i Inne rozkosze według Jerzego Pilcha)*

# Reporterska podróż do zaświatów Dantego

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec

Nowy przekład *Boskiej Komedii* Jarosława Mikołajewskiego wydobywa z poematu wszechczasów szczegóły pozwalające nam w wyobraźni wybrać się na wędrówkę po *Piekle*, *Czystcu* i *Raju*.



Niedawno bliski mi człowiek w przypiływie czarnego humoru powiedział, że nie muszę się już martwić, gdyż jego zdrowotny kryzys został zażegnany. „Zapomniałem wziąć obola i Charon odesłał mnie z powrotem” – zakomunikował. Traf chciał, że zbiegło się to z moją lekturą nowego przekładu *Boskiej Komedii* Dantego, którego dokonał Jarosław Mikołajewski, dzięki czemu doskonale wiem, jak wyglądał rzeczony Charon.

I oto ku nam nadciąga łodzią  
starzec, biały od starego zarostu,  
Krzycząc „Biada wam, dusze nikczemne!  
(...)  
Wówczas uciły wełniste policzki  
wioślarzowi z sinego bagna,  
który wokół oczu miał ogniste kręgi.  
(...)  
Charon demon o oczach jak żagwie  
Dając im znaki, wszystkie je gromadzi,  
Bije wiosłem każdego, kto przysiadła.

Czyż to nie jest iście reporterski opis mitologicznego przewoźnika, który przeprowadza przez Styks dusze zmarłych? Dzięki niemu jestem w stanie sobie wyobrazić nie tylko bohaterów włoskiego poematu, ale także podążać za nimi, wchodząc w kolejne kręgi *Piekle*, *Czystca* i *Raju*. Zresztą sam Jarosław Mikołajewski zauważa, że włoski poeta posługuje się tu niczym wytrawny dziennikarz takimi czasownikami jak: „znalazłem się”, „byłem”, „zobaczyłem”, „usłyszałem”, „poczułem”. „Autor *Boskiej (...)* w każdym wersie zaświadcza, że nie jest fantastą, lecz świadkiem, obserwatorem, reporterem” – pisze tłumacz.

A że Mikołajewski jest wybitnym poetą, czytając relację z miejsc wędrówki Dantego, wchodzimy także w świat jego wyobraźni. Tłumacz nadając tu pochodzącym sprzed wieków słowom bliższe nam sensory, zastrzega się, że jego przekład nie jest piękny, że nie chce gonić za rymem i metrum, ograniczeniami jakie narzuca jedenastozgłoskowiec. Wydaje mi się jednak, że to tylko kokieteria. Widać to choćby na przykładzie czasownika „robić”. Od czasu lektury nowego przekładu Dantego stałam się fanką tego słowa i uważam, że fraza Beatrice „Ja jestem zrobiona przez Boga” brzmi absolutnie wyjątkowo. Jest ona o wiele lepsza, niż gdyby ów czasownik został zastąpiony jakimś nawet najbardziej wymyślnym synonimem.

Dlatego sięgnijcie po *Boską Komedię* i wybierzcie się z nią w podróż do zaświatów, delektując się reporterskimi szczegółami wydobytymi na światło dzienne przez tłumacza. A ja na koniec pozwolę sobie za pośrednictwem jego słów, nakazać bliskiemu mi człowiekowi:

„A ty, który tam jesteś, żywy duchu,  
Odłącz się od tych, którzy umarli”.

Dante Alighieri, *Boska Komedia* (przekład Jarosława Mikołajewskiego), Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021.





Łucja Kłańska-Kanarek, *Koncert wawelski*

# Andrzej Paczkowski

## *Wojna polsko-jaruzelska.*

### *Stan wojenny, czyli*

## *kontrrewolucja generałów*

W czterdziestą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego wydawnictwo Wielka Litera przypomina jedną z najważniejszych książek przedstawiających mechanizmy stanu wojennego i reakcje społeczne na to, co zostało ogłoszone wczesnym rankiem 13 grudnia. Rozszerzone wydanie książki Andrzeja Paczkowskiego, zatytułowanej *Wojna polsko-jaruzelska. Stan wojenny, czyli kontrrewolucja generałów* opisuje przygotowania do stanu wojennego i jego przebieg, biorąc pod uwagę działania z jednej strony napastnika, czyli władz PRL i ich moskiewskiego patrona,

z drugiej „Solidarności” będącej ofiarą agresji. Autor nie kryje we wstępie do tomu, że interesują go zarówno decyzje podejmowane na najwyższym szczeblu władzy i ich wykonywanie „w terenie”, jak i odpowiedź, jakiej członkowie „Solidarności” udzielili na pojawienie się na ulicach czołgów. Do książki opartej na tysiącach dokumentów archiwalnych, zarówno polskich, sowieckich, jak i amerykańskich, a także na setkach wspomnień, relacji i opracowań, prof. Paczkowski dołączył rozważania dotyczące alternatywnych wydarzeń, do jakich mogłoby wtedy dojść. (red.)

## Ćwiczenie z historii alternatywnej. Dlaczego generał Jaruzelski w 1981 r. nie wprowadził stanu wojennego

W piątek 11 grudnia 1981 r. tuż po południu po codziennym komunikacie „o stanie wód na głównych rzekach Polski”, sygnale czasu z obserwatorium astronomicznego oraz odegraniu hejnału z wieży kościoła Mariackiego, spiker odczytał wiadomości dziennika radiowego. Bezbarwnym tonem rozpoczął od komunikatu Polskiej Agencji Prasowej, która „została upoważniona” do przekazania, iż „od godzin porannych odbywa się plenarne posiedzenie Komitetu Centralnego PZPR”, rozpoczęte od wystąpienia I sekretarza KC, gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego pt. „Pokój społeczny i porządek publiczny na obecnym etapie rozwoju socjalistycznego patriotyzmu” oraz sekretarza KC Kazimierza Barcikowskiego „O krokach niezbędnych dla zapobieżenia zapaści gospodarczej”. Po nich rozpoczęła się dyskusja,

w której „dotychczas”, jak stwierdzano w komunikacie, zabrali głos członkowie KC: Stefan Olszowski, Mirosław Milewski, Hieronim Kubiak, Albin Siwak i Mieczysław Rakowski. Komunikat kończył się słowami: „Zakończenie obrad przewidziano na godziny popołudniowe”. Nie powiedziano nic o treści referatów i dyskusji.

Wprawdzie o tej porze słuchaczami radia byli głównie gospodynie domowe i emeryci, ale wiadomość o obradach VII Plenum KC błyskawicznie rozeszła się po kraju, między innymi dzięki temu, że natychmiast podały tę informację radiowęzły zakładowe znajdujące się na ogół pod kontrolą „Solidarności”, które gotowe były do relacjonowania przebiegu rozpoczętych właśnie w Gdańsku obrad Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. Komunikat PAP wywołał zamieszanie. Wielu uważało,

iz posiedzenie KC oznacza sygnał do wprowadzenia stanu wyjątkowego.

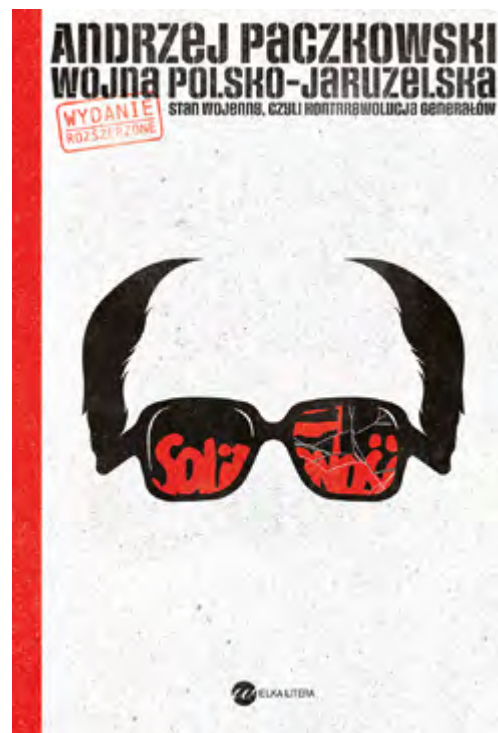
Niepokój opinii publicznej wzrósł, gdy o godz. 12.30 Komisja Krajowa ogłosiła, iż posiedzenie KC PZPR jest dowodem „dalszej eskalacji poczynań władz”, a zatem Prezydium KK przekształca się w Ogólnopolski Komitet Przygotowawczy Powszechnego Strajku Obronnego (OKPPSO). Nakazano, aby w trybie nagłym analogiczne komitety powołano we wszystkich regionach, a w ich skład wchodzić przedstawiciele dwóch-trzech największych zakładów pracy w regionie, z których jeden powinien stać się siedzibą komitetu. Obrady komisji zostały przerwane, jej członkowie dostali polecenie udania się natychmiast do swoich regionów, a Komitet Przygotowawczy – z Lechem Wałęsą na czele – otrzymał upoważnienie zarówno do podjęcia rozmów z władzami, jak i ogłoszenia, bez zbierania KK, terminu strajku. Tekst uchwały został rozesłany faksami i natychmiast odczytany w większości radiowęzłów. Po paru minutach przekazała go w całości Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa, która przerwała w tym celu normalny program. Polskie Radio dopiero w wiadomościach o godz. 13.00 podało informację o powołaniu Komitetu Przygotowawczego i przerwaniu obrad Komisji Krajowej, nie mówiąc nic o decyzji odnoszącej się do regionów. Wkrótce analogiczne informacje – o obradach KC i decyzjach KK – z powołaniem się na agencję TASS – podało radio moskiewskie.

Wciąż jednak nic nie było wiadomo o treści wystąpień i dyskusji na posiedzeniu KC. Dopiero około czternastej piętnastej Radio Wolna Europa, powołując się na anonimowego informatora z Warszawy, przekazało wiadomość, iż posiedzenie KC odbywa się w jednym z obiektów wojskowych na terenie stolicy, powodem jego zwołania było otrzymanie przez gen. Jaruzelskiego potwierdzonej informacji, iż pojawił się „poważny przeciek”, a wiadomość o jego treści dotarła do Wałęsy i prymasa Józefa Glempa. Miał on zawierać informację, że w niedzielę, 13 grudnia, o godz. 6.00 zostanie ogłoszone wprowadzenie na terenie całego kraju stanu wojennego, sześć godzin wcześniej zaś mają być przeprowadzone prewencyjne aresztowania około pięciu tysięcy osób. Wałęsa indagowany telefonicznie przez RWE stwierdził, iż nic na ten temat nie wie, ale – dodał enigmatycznie – nie byłby zdziwiony, gdyby okazało się, że rzeczywiście wprowadzenie stanu wojennego zostało postanowione. I dorzucił: „Wojna z narodem to oczywiście mój problem, ale nie mój kłopot. Niech martwi się generał Jaruzelski i jego banda, którzy szykują napad na Polskę”. Natomiast sekretarz prasowy episkopatu, odpowiadając na natarczywe pytania dziennikarzy, stwierdził, że prymas Glemp pogrążony jest w modlitwie i w ciągu najbliższych godzin będzie niedostępny. Rzecznik

prasowy rządu, minister Jerzy Urban, wydał natychmiast oświadczenie, w którym stwierdził, iż ta „wyssana z palca wiadomość” jest manipulacją „określonych sił imperialistycznych, którym nie w smak stabilizacja sytuacji w Polsce”, a „monachijska szczekaczka [Radio Wolna Europa – A.P.] od dawna specjalizuje się w prowokacyjnych informacjach”. Sztab Generalny przekazał PAP komunikat – co samo w sobie było ewenementem – w którym zdecydowanie zaprzeczano, aby 13 grudnia przewidziane były „jakikolwiek ruchy wojsk niezwiązane z długookresowym planem szkolenia bojowego”.

Napięcie sięgało zenitu. W sklepach wszystkich rodzajów ogałano półki, błyskawicznie pustoszały stoiska na miejskich i osiedlowych targowiskach, gdzie na ogół handlowano ziemniakami i marchewką, a „spod lady” mięsem i masłem. Ludzie wykupywali gorączkowo przydziały kartkowe, pod sklepami Pewexu dochodziło do bójek, a w kilku miastach musiało interweniować milicja. Na szosie koło Krasnegostawu dokonano zuchwałego napadu, porywając wojskowy samochód cysterne z kilkunastoma tonami benzyny.

Jednocześnie w zakładach pracy komisje „Solidarności” organizowały zebrania załóg.



Niemal wszędzie wypowiedziano się za natychmiastowym ogłoszeniem bezterminowego strajku powszechnego, a w niektórych fabrykach rozgrywały się sceny jak ze słynnej ryciny Grottgera, która przedstawiała kowali z 1863 r. osadzających kosy na sztorc i wyrabiających stalowe piki dla powstańców. Z Gdańska faksami rozsyłano artykuł Jacka Kuronia *Rząd narodowy* (w którym nawoływał

on do stworzenia przez Związek, Kościół i PZPR wspólnego rządu ocalenia narodowego) oraz przygotowaną już wcześniej przez Andrzeja Gwiżdżę *Instrukcję na czas strajku generalnego*. Po kraju krążyły najbardziej fantastyczne i sprzeczne pogłoski. Choćby taka, że rano sowieccy spadochroniarze wylądowali na lotniskach w Warszawie, Gdańsku i Katowicach, a kolumny pancerne Północnej Grupy Wojsk Armii Sowieckiej zmierzają w stronę Szczecina, Wrocławia i Poznania. Wedle jednych Wojsko Polskie otrzymało rozkaz pozostania w koszarach, wedle innych odwrotnie – dwa bataliony 6. Dywizji Powietrznodesantowej mają okopywać się wzdłuż arterii wiodącej z Okęcia do centrum stolicy, jednostki Marynarki Wojennej wyjść na redę, tworząc zaporę wokół podejść do portów w Trójmieście, a na rozkaz Komitetu Obrony Kraju kolejno mają zablokować stacje graniczne.

W odróżnieniu od nader aktywnej poczty pantoflowej oficjalne media milczały. Nawet Radio Wolna Europa powtarzało znane już wiadomości, co wynikało z faktu, iż korespondenci zagraniczni w Polsce byli wciąż zdezorientowani, a autor sensacyjnej informacji o przecieku nie odzywał się. Poza jednozdaniowym oświadczeniem Departamentu Stanu, że administracja „nie posiadała, ani nie posiada” żadnych informacji na temat „rzekomego planu wprowadzenia stanu wojennego w Polsce”, brak było reakcji państw zachodnich, a w stolicach obozu sowieckiego ograniczano się do przekazywania komunikatów PAP lub TASS. Wszędzie czekano na rozwój wydarzeń. Jedyne rzecznik prasowy Stolicy Apostolskiej podczas codziennego spotkania z dziennikarzami oświadczył, że Ojciec Święty modli się o pokój w swojej ojczyźnie i „apeluje do wszystkich Rodaków o rozsądek i troskę o ludzi, którzy są najwyższym dobrem Narodu”. Dziwne, a zarazem niepokojące było to, iż milczała Moskwa. Tego samego dnia (11 grudnia) w wiadomościach o 18.00 równocześnie Polskie Radio i RWE podały informację o zakończeniu posiedzenia KC, na którym przyjęto uchwałę „Pokój społeczny najwyższym dobrem i jedyną drogą wyjścia z kryzysu”. W komunikacie stwierdzono też, że KC „jednogłośnie” poparł dotychczasowy skład Biura Politycznego i Sekretariatu, co oznaczało, iż w obliczu zagrożenia doszło do porozumienia między frakcjami. Chwilę później przekazano informację, że w godzinach wieczornych w gmachu Sejmu odbędzie się spotkanie przedstawicieli rządu i „Solidarności”, którego gospodarzem będzie utworzony „na podstawie porozumienia zainteresowanych stron” zespół dobrych usług. W jego skład wchodził: kard. Franciszek Macharski, prof. Klemens Szaniawski z Uniwersytetu Warszawskiego, członek Rady Państwa prof. Jan Szczepański i Józef Kuropieska, emerytowany generał. Uspokoilo to trochę nastroje, ale w niemal wszystkich dużych zakładach pracy pozostały na noc kilkusetosobowe

grupy robotników, bramy starannie zamykano i blokowano od wewnątrz ciężkim sprzętem. Z siedzib zarządów regionów „Solidarności” wywożono do fabryk sprzęt poligraficzny, kasy i archiwa. Komisja Krajowa przeniosła swoje zasoby do Stoczni Gdańskiej. Moskwa wciąż milczała.

Na krótko przed powiadomieniem o zakończeniu obrad KC rządowym samolotem przyleciał do Warszawy Lech Wałęsa wraz z częścią członków Komitetu Przygotowawczego, do których na Okęciu dołączyło paru doradców „Solidarności” i działaczy Regionu Mazowsze. Wszyscy niezwłocznie udali się do siedziby episkopatu, gdzie w obecności bp. Bronisława Dąbrowskiego rozpoczęły się gorączkowe debaty nad ofertą odprężenia złożoną przez władze. Wałęsa, który od początku opowiadał się za tym, aby propozycję rozmów – mało precyzyjną, ale jednak realną – potraktować pozytywnie, przekonał nielicznych sceptyków. Szybko więc ustalono skład delegacji „Solidarności” i warunki zbliżających się negocjacji.

Mniej więcej w tym samym czasie w gmachu Urzędu Rady Ministrów, wokół którego zostali rozstawieni żołnierze „czerwonych беретów”, w salce konferencyjnej przy gabinecie premiera zebrało się grono około dziesięciu osób należących do najściślejszego kręgu elity władzy, zwane dyrektoriatem. W odległej o rzut beretem ambasadzie sowieckiej znajdowali się: dowódca wojsk Układu Warszawskiego marsz. Wiktor Kulikow, który już od kilku dni przebywał w Warszawie, ambasador Boris Aristow oraz generał Witalij Pawłow, szef rezydentury KGB w Warszawie. W czasie narady do ministra spraw wewnętrznych gen. Czesława Kiszczaaka co parę minut podchodził dyżurny oficer Biura Ochrony Rządu i wręczał mu notatki, które minister po przeczytaniu przekazywał premierowi. Były to streszczenia z podsłuchu umieszczonego w siedzibie episkopatu. Z uwagi na szybkość, z jaką grono to podejmowało decyzje, należy sądzić, że większość z nich była wcześniej – zapewne w ciągu minionej nocy – przygotowana i chodziło tylko o ich aktualizację po sondażu, jakim było posiedzenie KC, oraz po pierwszych reakcjach „Solidarności”.

(...)

Mimo uspokajających opinii rezultatów wieczornego spotkania przedstawicieli rządu i „Solidarności” od przedpołudnia w Polsce wrzało. W setkach zakładów pracy odbywały się zebrania związkowców, podczas których pojawiały się liczne głosy, iż wobec oczywistych objawów słabości ekipy Jaruzelskiego i kryzysu, jaki zarysował się w Związku Sowieckim, należy wzmocnić nacisk na władze, stawiając problem zasadniczych zmian ustrojowych, a przede wszystkim wolnych wyborów do Sejmu. Gdy przychodziło do uchwalania rezolucji, niemal zawsze przegłosowywano znacznie mniej radykalne

wnioski za udzieleniem pełnego poparcia Lechowi Wałęsie i delegacji do rozmów z władzami. Około południa blisko 40 (na 107) członków Komisji Krajowej zażądało natychmiastowego zwołania posiedzenia oraz wyraziło sprzeciw wobec zapisu o powstrzymaniu akcji strajkowych i rozwiązaniu komitetów strajkowych. „Musimy być w każdej chwili gotowi – pisano w oświadczeniu – do odparcia ataku na Związek”. W odpowiedzi Wałęsa w wystąpieniu natychmiast upowszechnionym przez media oficjalne, w radiowęzłach i RWE, rzucił hasło „Solidarność» nie da się skłócić!». Aby pozostać w zgodzie z tym hasłem, oświadczył, iż „jest za tym, aby w najbliższym czasie” odbyło się posiedzenie KK, na którym omówione zostaną wszystkie sprawy związane z nową sytuacją. „Teraz już nie damy się władzy oszukać” – rzucił na zakończenie.

Pełne poparcie dla rozmów i nadzieję na osiągnięcie porozumienia wyraziła zwołana *ad hoc* Rada Główna Episkopatu, papież Jan Paweł II zaś zupełnie niespodziewanie udzielił parominutowego wywiadu na żywo Telewizji Polskiej. Apelowwał w nim do obu stron, ale przede wszystkim do „wszystkich, znajdujących się w tak trudnej sytuacji Rodaków”, o umiar, rozsądek i nieuleganie emocjom. „Pojawia się okazja – mówił Ojciec Święty – aby sprawy w Ojczyźnie rozstrzygane były przez Naród i dla jego dobra”. Wezwał też, aby nazajutrz wierzący w modlitwie, a „niewierzący w namyśle”, szukali „właściwych dróg wiodących ku odrodzeniu Polski”. W niedzielę można było odnieść wrażenie, że w Polsce nie ma niewierzących – kościoły trzeszczały w szwach, większość zaś przybyłych na msze musiała pozostać, mimo mrozu, na zewnątrz. Tłumy klęczące na śniegu robiły duże wrażenie na zachodnich dziennikarzach, a ich zdjęcia nieustannie pokazywane były przez dziesiątki stacji telewizyjnych.

(...)

Wczesnym rankiem 13 grudnia grupy oficerów z Głównego Zarządu Szkolenia Bojowego pojawiły się w sztabach okręgów wojskowych, rodzajów sił zbrojnych i wojewódzkich komitetów obrony, gdzie pobrały całą dokumentację dotyczącą wprowadzenia Stanu „W” i przewiozły ją do siedziby Sztabu Generalnego. Podobne działania podjęło MSW w instancjach resortu oraz w resortach cywilnych, takich jak Ministerstwo Sprawiedliwości i Ministerstwo Łączności. Do godzin popołudniowych w terenie praktycznie nie pozostały ślady na piśmie o tym, co miało zacząć się o godz. 6.00. Nie odwołano jednak ani w wojsku, ani w MSW stanów podwyższonej gotowości, które obowiązywały już od 10 grudnia. Wszystko to przebiegało w miarę sprawnie, choć nie uniknięto pewnego chaosu, zwłaszcza w sztabach niektórych dywizji pancernych. Zdarzało się, że brakowało jakichś map, przepało gdzieś trochę kopert z blankietami asygnat na paliwo. W pewnej jednostce tajna koperta

była całkowicie przemoczona po zalaniu koniakiem („gruziński” – stwierdził przybyły oficer). Pewne nieporozumienia powstały tam, gdzie miały operować wspólne polsko-sowieckie patrole wojskowe (na przykład w Legnicy), gdyż dowództwo Północnej Grupy Wojsk nie otrzymało z Moskwy rozkazów i Sowietci upierali się, że zgodnie z planem należy przeprowadzić ćwiczenia tych patroli i „sprawdzić, czy wszyscy towarzysze polscy znają wystarczająco dobrze język rosyjski”.

Nic dziwnego, że rozkazów takich nie było, gdyż dopiero w południe – niemal tuż przed posiedzeniem KC KPZR – doszło na podmozkiewskim lotnisku wojskowym do ściśle utajnionego spotkania Jaruzelskiego, Siwickiego, Olszowskiego i Barcikowskiego z szefem KGB Jurijem Andropowem, ministrem obrony ZSRR Dmitrijem Ustinowem, głównodowodzącym Wojsk Państw Stron Układu Warszawskiego Wiktorem Kulikowem i członkiem Biura Politycznego Michailem Gorbaczowem. Generał Jaruzelski najpierw kurtuazyjnie zapytał o stan zdrowia Leonida Iljicza, na co usłyszał, iż jest „niezły, ale aktywność chorego na pewien czas wykluczona”. Następnie poinformował o działaniach podjętych przez MSW i WSW w celu wykrycia źródła przecieku. Najbardziej prawdopodobna – powiedział – jest hipoteza, iż zbiegły miesiąc wcześniej do USA płk Ryszard Kukliński, który dużo wiedział o przygotowaniach, ale nie znał konkretnej daty, miał współnika w Sztabie Generalnym, który pozostał na stanowisku po ucieczce zdrajcy. W każdym razie wszystkie pomieszczenia Zarządu Operacyjnego zostały opieczętowane i prowadzone są w nich intensywne badania daktyloskopijne, a oficerów skierowano na urlopy bez prawa opuszczania Warszawy. Podobne działania zostały podjęte w Sekretariacie Komitetu Obrony Kraju, gdzie także mogło być źródło przecieku. Andropow stwierdził, iż wywiad KGB i GRU otrzymały już rozkazy zajęcia się tą sprawą, a generał Pawłow i jego ludzie w Polsce od dwóch dni w istocie tylko nad tym pracują. Oczywiście „w kontakcie z polskimi towarzyszami” – dodał.

Stało się nieszczęście, kontynuował najpewniejszy kandydat na schedę po Breźniewie, ale trzeba jakoś z tego wybrnąć, toteż kierownictwo KPZR, wyrażając troskę o powodzenie manewru, który podjęło polskie kierownictwo, akceptuje jego decyzje. Dodał też, iż wobec bardzo ograniczonych możliwości udzielenia Polsce znaczącej pomocy gospodarczej – a przede wszystkim pożyczki dewizowej w wysokości pięciu miliardów dolarów, o którą się ubiegano – pomysł, aby idąc na chwilowe ustępstwa wobec sił antysocjalistycznych i kontrrewolucyjnych, uzyskać nowe kredyty i dotacje od państw kapitalistycznych oraz przyjęcie Polski do Międzynarodowego Funduszu Walutowego, uważa za interesujący, choć obciążony ryzykiem

pogłębienia zależności gospodarczej i technologicznej od Zachodu, i tak już zbyt dużej. Po kolei Jaruzelski i Olszowski – uważany za lidera frakcji „twardogłowych” i dlatego bardzo wiarygodny dla Sowietów (prawdopodobnie to było przyczyną, że Jaruzelski zabrał go z sobą) – jednym głosem zapewniali, iż w pełni zdają sobie z tego sprawę, ale uważaliśmy – mówili – iż dekonspiracja terminu wprowadzenia stanu wojennego zniweczy efekt zaskoczenia i doprowadzi do sytuacji, w której konieczna będzie bezpośrednia pomoc wojskowa bratnich armii, nie potrafiliśmy jednak znaleźć innego wyjścia. Czasu było bardzo mało i nie zdołano odpowiednio precyzyjnie skonsultować sprawy z przyjaciółmi. Był to zapewne błąd, gdyż postawił ich w niezręcznej sytuacji. Barcikowski dodał, iż jednym z argumentów za cofnięciem decyzji były wypowiedzi Nikołaja Bajbakowa, szefa Gospłanu, który podczas niedawnej wizyty w Warszawie jednoznacznie stwierdził, że „absolutnie nie dysponujemy żadnymi nadwyżkami surowcowymi – szczególnie surowców energetycznych – ani dewizowymi”. W takiej sytuacji sztywna realizacja przyjętego planu i związane z nią gwałtowne pogorszenie zaopatrzenia ludności zapewne doprowadziłyby do wojny domowej. (...)

Święta oczywiście nie odbyły się „na głodno”, gdyż Polacy za bardzo byli zaprawieni w zdobywaniu żywności, ale zaopatrzenie wcale się nie poprawiało. Więzy kooperacyjne w przemyśle wciąż były pozrywane, brakowało surowców, produkcja nadal spadała, co ograniczało eksport, a więc i możliwości importu. Na scenie politycznej niby stałe coś się działo, ale społeczeństwo myślało raczej o codziennych trudnościach, kolejkach i brakach, o wyłączeniach światła i spadającym co pewien czas ciśnieniu gazu. Mało kto miał głowę do zastanawiania się nad wyborami do rad narodowych, tworzeniem „branżowo-terytorialnych porozumień samorządów pracowniczych” czy budowaniem Patriotycznego Porozumienia na rzecz Odnowy Polski, co proponowała strona rządowa. Zespoły negocjacyjne podzielono na liczne podgrupy zajmujące się poszczególnymi problemami i widoczny był brak jakiegś szerszej, zbornej wizji przyszłości. Szczególnie ze strony „Solidarności”, bo strona rządowa, broniąc po prostu *status quo*, była w dogodniejszej sytuacji. Jedno trzeba przyznać – nie było strajków i podwyżek cen. Sceptycy mówili, że nie podnosi się cen, bo nie ma już na co. Ekonomiści zaś pytali: „Jak długo tak można?”.

Około połowy stycznia zaczęło dochodzić do incydentów, jakby ludziom puszczały już nerwy. W jakimś zapyziałym PGR podpity dyrektor pobił ciężarną pracownicę, na co „Solidarność” zażądała zwolnienia go i postawienia przed sądem. Wojewoda odmówił jednak wręczenia dymisji, a prokurator wzbraniał się przyjąć skargę, na co Zarząd

Regionu postanowił, wbrew apelom Wałęsy, ogłosić pogotowie strajkowe, sekcja branżowa pracowników PGR zaś uznała, iż należy ogłosić ogólnokrajowy strajk robotników rolnych. W Żyrardowie, gdzie przez dwa dni nie było w sklepach chleba i mąki, tłum wdarł się do paru lokalnych piekarni i zdemolował urządzenia. Fakt, że mąki tam rzeczywiście nie było, tym bardziej rozwścieczył mieszkańców, gdyż gdzie jak gdzie, ale w piekarni powinna być. Milicja zatrzymała kilkanaście osób i obroniła – bez użycia broni palnej – atakowany komisariat, w którym byli przetrzymywani.

(...)

W rządowych mediach znów – tak jak w listopadzie czy na początku grudnia – zaczęto mówić i pisać o narastającym chaosie, o wdzierającej się anarchii, za co czasami wprost, czasami aluzyjnie, obciążano „Solidarność” oraz „wrogie Narodowi i Państwu siły zewnętrzne”. Wszystko to szybko psuło atmosferę, wprowadzało nerwowość, zaostrzało ton debat publicznych. Także w samej „Solidarności”, w której narastało zniecierpliwienie przeciągającymi się rozmowami. Badania przeprowadzone przez związkowych socjologów wskazywały, iż spada determinacja członków: nie więcej niż 20 procent deklarowało chęć wzięcia udziału w strajku generalnym. Tylko wśród górników zdecydowana większość zapewniała, że czynnie poprze taki strajk.

W niedzielę, 22 stycznia wieczorem, tuż po powrocie premiera z akademii dla uczczenia sto dziewiętnastej rocznicy wybuchu Powstania Styczniowego, w znanej już nam salce w URM zebrał się „dyrektoriat”. Narada nie trwała długo, gdyż chodziło w zasadzie o podjęcie generalnych decyzji. Zebrani uznali, iż upoważnienie do wprowadzenia stanu wojennego, dane generałowi Jaruzelskiemu przez Biuro Polityczne jeszcze 5 grudnia, nie utraciło mocy, a więc instancja ta nie musi być konsultowana. Zresztą najważniejsi jej członkowie właśnie siedzieli przy stole. Zlecono Olszowskiemu i Rakowskiemu rozpoczęcie zdecydowanej kampanii propagandowej i opracowanie – razem z fachowcami z SB – taktyki zerwania w odpowiednim momencie negocjacji i obciążenie za to „Solidarności”. O żadnej dacie – na wszelki wypadek – nie mówiono, ale i tak wszyscy rozumieli, że będzie to noc z najbliższej soboty na niedzielę. W środę oficerowie z Głównego Zarządu Szkolenia Bojowego ponownie wyjechali w teren. Tym razem rozwozili dokumenty, które zbierali 13 grudnia. W czwartek MSW uruchomiła pocztę specjalną z centrali do komend wojewódzkich i służb resortu. Maszyna ruszyła...

Do dziś nie wiadomo, kto zdradził jedną z najpilniej strzeżonych wówczas tajemnic państwowych. Są tacy, którzy uważają, iż zrobił to sam generał Jaruzelski, ale nie potrafią jasno odpowiedzieć na pytanie: Dlaczego?

# Tatry przetworzone

**Tekst:** Ewa Kozakiewiczowa **Zdjęcie:** z albumu towarzyszącego wystawie *Tatry. Przestrzenie ulotne. Dwa spojrzenia* Konrada Pollescha i Krzysztofa Wojnarowskiego.

**Dwóch twórców fotografii mówi różnymi językami na ten sam temat. Konrad K. Pollesch i Krzysztof Wojnarowski interpretują majestat gór.**

Krzysztof Wojnarowski jest człowiekiem gór, wychowanym w etosie taternictwa i ratownictwa górskiego, wspina się od lat i to w warunkach ekstremalnych. Jest ortodoksyjnym koneserem gór, porusza się po Tatrach opustoszałych, poza sezonem, poza szlakami i biwakuje. Doświadcza mistyki gór.

– To doświadczenie jest niesłychanie osobiste i w zasadzie trudno je opisać. Nie potrafię tego ująć precyzyjnie, ale element mistycyzmu zawsze mi towarzyszył w wędrowkach górskich – wyznaje. – I nie jest to łatwa mistyka, bo łączy się z ogromnym wysiłkiem, a czasem nawet z bólem, kiedy na przykład biwakujemy na grani podczas wichury w zimie.

Dla Konrada Pollescha góry to tylko góry: obszar na mapie, poszarpana gdzieś w dali linia horyzontu widziana przez szybę samochodu albo z okna pociągu. – To świat dla mnie już raczej niedostępny z racji wieku, lecz prawdę mówiąc, nigdy, nawet w młodości, nie miałem ochoty łączyć po górach – mówi. – Chodziłbym po górach może, gdyby dało się wszędzie się dojechać taksówką – żartuje.

Jak to się stało, że mimo odmiennego stosunku do gór udało się artystom stworzyć wspólny projekt: wystawę i album *Tatry. Przestrzenie ulotne. Dwa spojrzenia*?

Wygląda na to, że rzecz powstała dzięki przyjaźni obydwu panów, którzy poznali się w 2009 roku i zwyczajnie polubili. „Punktem wyjścia dla obydwu fotografów i przyjaciół stały się pierwotne kadry Krzysztofa Wojnarowskiego. Koncepcja ta pozwoliła twórcom prześledzić sposoby mierzenia się z zapisaną fotograficznie rzeczywistością i przyjrzeć się odmiennej interpretacji” – napisała w katalogu wystawy jej kuratorka Danuta Węgiel.

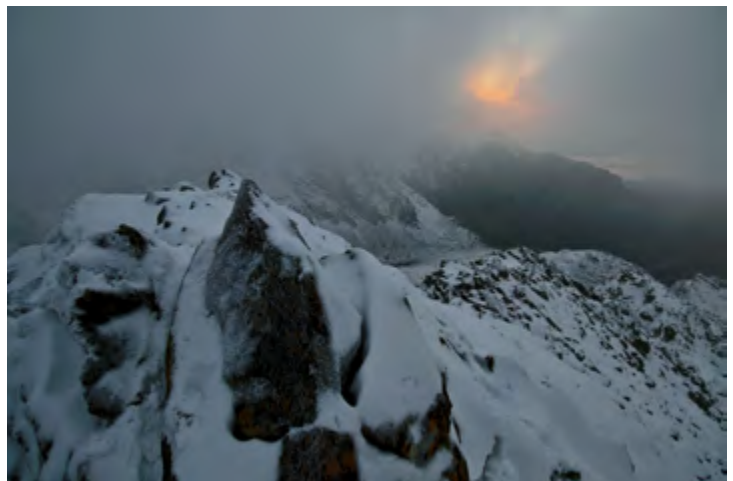
Na dużych (90 x 60 cm) fotografiach Krzysztofa Wojnarowskiego, pracującego techniką cyfrową, promień słońca przemieszcza się szybko, na kilka sekund odbija w górskim stawie, po czym obraz znika bezpowrotnie. – Jeśli nie ma emocji, nie ma sensu fotografować – mówi Wojnarowski. – A światło tak ważne w fotografii, w górach pełni szczególną rolę, to ono nadaje sytuacji dramaturgię.

Konrad Pollesch, który tworzy od dawna w szlachetnej XIX-wiecznej technice gumy dwuchromianowej, zwykł tworzyć obrazy z własnych negatywów, ale dla przyjaciela zrobił wyjątek. Najpierw wybrał kilkanaście zdjęć z gór, potem dobierał je pod kątem techniki gumy. – Guma musi być unikatem! – tłumaczy. – Ta technika nie lubi zdjęć rozmytych, zamglonych, wymaga konkretnego obrazu. Nie byłbym sobą, gdybym nie stworzył nowej rzeczy!

Wszystkie prace Konrada Pollescha są wykonane ręcznie, w większości mają trzy, cztery warstwy.



Konrad K. Pollesch



Krzysztof Wojnarowski

Wojnarowski przyznaje, że dwa obrazy (spośród 14 prac) na podstawie jego negatywów, to zdjęcia, które zostały pierwszy raz pokazane publicznie. – Identyfikuję się z tymi pracami, bo Konrad sprawił, że fotografie nabrały innego znaczenia. To odnosi się szczególnie do gumy w tonacji błękitnej.

Warto dodać, że prezentowane prace obu panów są kompletnie różne i w żadnym stopniu się nie powtarzają.

Niedawno były pokazywane w krakowskiej Galerii ZPAF, ale wkrótce – bo na przełomie maja i czerwca 2022 roku, zobaczyć je będzie można w Mieście Ogrodów w Katowicach.

# Karolina Grodziska *Ptaszy* *ludzie i inne opowiadania*

Karolina Grodziska zabiera czytelników w podróż do świata baśni. Zaczyna się ona gdzieś w mitycznym czasie, kiedy to bohaterowie krakowskich legend jeszcze nawet nie toczyli bojów ze smokami i obcymi rycerzami, a kończy w czasach nam współczesnych. Są więc na początku tego zbioru *Stare baśnie*, jak chociażby te o zwierzyńskich pannach czy mieczu rycerza płomykowskiego, mieniające się fantastycznymi postaciami i zdarzeniami, przywołanymi gdzieś ze świata dziecięcych fascynacji pierwszą, czytana być może do snu, bajką. Podobnie dzieje się w rozdziale *Wiślana*

*baśnie*. Ale już potem bohaterowie *Ptaszych ludzi* zbliżają się do tu i teraz. Są więc *Biblioteczne baśnie* (autorka jest historykiem, pracownikiem naukowym i dyrektorką Biblioteki Naukowej PAU i PAN), są i *Domowe*. I jest w tych baśniach niebaśniach nutka nostalgii za czasem minionym, postaciami nieobecnymi – oraz za Krakowem, który potrafił być bajką, legendą, snem. Świetnie się czyta te opowiadania, a czułość, z jaką Karolina Grodziska opisuje świat i ludzi, na pewno wywoła u niejednego wzruszenie. Tom – jak zwykle pięknie – wydała oficyna Austeria. (red.)

## Wiła – wiślana pani

Trudno było o wiłach nie słyszeć, mieszkając nad szeroko rozlaną rzeką, otoczoną dziesiątkami starorzeczy, stawów i sadzawek, zwykle łagodną, ale mimo to groźną, pochłaniającą co roku sporo żywotów, a w czasie powodzi zawłaszczającą swą wysoką, brudną falą całe pola i łąki, drogi i wsie. Więc też o wiłach wiedzieli wszyscy, stara księżna, rodem ze wschodu, opowiadała o wodnianach – pannach i wodnianichach – babach wodnych z Sanu i Dniestru, a trzej mnisi, przybyli z Moraw, przestrzegali swoją nieliczną trzódkę przed rusałkami i w niektóre dni, zwane przez nich „dies rosae”, specjalnie modlili się o ochronę przed nimi i pościli w swej drewnianej kaplicy.

Ludzie zaś, którzy z rzeki żyli – przewoźnicy, rybołowi, flisacy, piaskarze, wikliniarze, garnarze, a i ci, którzy w czasie wiosennych roztopów i letnich powodzi chwyтали niesione przez rzekę drzewa i gałęzie, by je suszyć na opał, i ci, którzy ścięte dęby topili w rzece, by po latach ich synowie wydobyli czarną, mocną jak kamień dębinę – oni wszyscy opowiadali o wiłach, wodnicach, wodnych pannach i wiośniankach. Ilu ludzi, tyle opowieści...

Zawsze były piękne: wysokie i zgrabne, o długich włosach, rozwianych na wietrze, lub grubych warkoczach, z których wyciskały wodę. Miały zawsze zielone oczy, śmiały się głośno i melodyjnie, choć czasem był to cierpki, zły śmiech. Nosiły – choć nie zawsze – białe koszule lub zielone suknie, ale zdarzało się, że niektórzy widywali, zwłaszcza przy starych młynach i młynówkach, małe jak skrzaty wodniczki w czerwonych sukienkach. Ilu ludzi, tyle opowieści...

W księżycowe noce, nagie, wolne i radosne, tańczyły na lustrze wody i wybiegały na brzeg. Czasem siadywały na mostkach i kładkach, wabiąc zwłaszcza młodych mężczyzn. Za dnia z upodobaniem straszyły dzieci, dziewczęta i młode kobiety przychodzące po wodę lub z praniem. Ilu ludzi, tyle opowieści...

Woźnica, któremu wóz ugrzązł na mokradłach, woj, wracający nocą z gospody bez broni i pasa, młynarz, któremu wezbrana woda porwała młyńskie koło, lub inna, której pranie poniosła woda, lub inna, która rozbija swój dzban, dzieci, którym pasące się gęsi uciekły w szkodę – wszyscy oni składali winę za swe niepowodzenia na wodne panny, a jeśli opowiadający był starszy i żonaty, to raczej na wodne baby, nie tak młode i nie kuszące, za to złośliwe. Ilu ludzi, tyle opowieści...

Ale historia o księciu, który pokochał i poślubił wiłę, była jedna. Znało ją niewielu, nie zapisał nikt przed owym poetą i malarzem, który tak stare legendy lubił, a żył tak krótko. No, ale też widząc bladezielone oczy jego wiejskiej żony, można było sądzić, że była daleką krewną wodnych panien. Może właśnie od nich usłyszał ową opowieść i te słowa, tak wiele mówiące o księciu – nie, już nie księciu, ale starym, zmęczonym królu:

Ty, królu,  
za wiele kochasz zamek  
i twoją Wisłę i skały  
kędy dziewanny  
żółte swe warkocze  
prężą ku słońcu...



Książę zaś zobaczył swoją wiłę, gdy wracali całą drużyną z łowów, zmęczeni, uszargani i głodni, z mnóstwem zwierzyny. Byli już blisko przeprawy, gdy na piaszczystej skarpie nadbrzeżnej wśród dziewann mignęła mu jej zielona suknia i złote warkocze. Więc kazał drużynie wracać, a sam przystanął nad wodą, konia puścił na łęgi i zszedł ku rzece, by jej szukać. I stało się, co się stać musiało, gdy młody książę, wnuk i spadkobierca pogromcy smoka, w srebrnej opasce na czarnych włosach i w nabijanym srebrnymi blaszkami kaftanie, spotkał pannę wodną, córkę Króla Wodnika spod Skałki, noszącą wianek z chabrów na złotych warkoczach i sznury bursztynów na szyi. Wiele godzin minęło, nim książę wrócił na zamek.

Gniewne słowa płynęły z zamkowych komnat nad wodę, gdy stara księżna próbowała odwieść syna od ożenku z wodną panną. Gniewne słowa wzbijały się znad wody, gdy rzeczny król próbował zabronić córce małżeństwa. Pewnie byliby zdziwieni – stara księżna w futrzanym tułubie, ze sznurami koralami na piersi, i stary Król Wodnik w płaszczu z zielono-srebrnych wodorostów – gdyby wiedzieli, że używają tych samych słów, przestrogi i zakłęcia. Oboje na próżno.

Pierwszy ustąpił Król Wodnik, stawiając córce pewne warunki.

– Mogę ci dać dwanaście lat na zamku, potem – zobaczymy. Twój synowie będą mogli zostać przy ojcu, niech sobie wychowa następców. Twoje córki jednak – ilekolwiek byś ich miała – oddasz mnie. Na dwanaście lat mogę zdjąć z ciebie dary panny wodnej, zostaniesz księżną wśród ludzi i żoną. Jednak przez ten czas rzeka będzie dla ciebie zamknięta, rzeczny ludu nie zobaczysz ani nie usłyszysz. Dopiero po dwunastu latach rzeka się dla ciebie otworzy...

– Ojczy... – Nie słuchała do końca, schylała się do jego rąk szczęśliwa, że dał swoją zgodę. – Ojczy...

– Jeśli jednak złamiesz przyrzeczenie, po stokroć każdy ziemski rok odsłużyć musisz. Odsłużysz rzece i rzeczniemu ludowi, nie mnie. Ciężka to będzie pokuta...

Przysięgła, zbyt zakochana, by zrozumieć ciężar przysięgi. Zbyt szczęśliwa, by usłyszeć smutek w głosie ojca.

Książęce gody obchodzono hucznie i szumnie, na wzgórzu wawelskim i nad Wisłą, w dąbrowach i na szerokich łęgach. Palono ognie, tańczono, miód i piwo płynęły szeroką strugą. W tę krótką letnią noc z rzeki wyszły panny wodne i tańczyły z młodymi chłopakami, a stare wodnianicy, wodne baby, siadały pod wierzbami i długo gadały ze starszymi kobietami, wymieniając przepisy i rady, dzieląc się domową wiedzą. Sam Król Wodnik oddawał córkę księciu, a potem z jego drużynnikami oglądał zbrojownię, próbując ciężkich mieczy i jesionowych włóczni. Stara księżna otrzymała odeń w darze sznury rzecznych

pereł i przyjęła je ze smutnym uśmiechem: oboje czuli, że łyzy jeszcze popłyną. Król Wód, prócz najlepszej z jesionowych włóczni, dostał berło z czarnego dębu. Ich smutku nikt jednak nie widział, bo w tę szaloną weselną noc ludzie i wodny lud śmiali się, pili i tańczyli, a muzyka skrzypiec przeplatała się z pieśnią rzeki. Świt sprawił, że weselni goście zapomnieli o wszystkim, a młoda księżna pamiętała dawne życie jak przez mgłę.

Mijały lata, książęca para miała już dwóch synów, gdy na świat przyszła córka. Książę pokochał dziewczyneczkę jak żadne ze swych dzieci, więc jego żona drżała na myśl, że będzie musiała przypomnieć mu o przysiędze złożonej przed laty. Obietnicę, daną przez żonę jej ojcu lekceważył, tak jak ongiś lekceważył rady swej matki. Jego królewna, jego panna córka miała zostać przy nim, póki sam nie znajdzie godnego jej małżonka...

Nie dostrzegał ostrzeżeń Króla Wodnika. Częstsze i groźniejsze powodzie, zmiany koryta rzeki, nowe odnogi, znikanie dawnych brodów, nieprzewidywalne wiry, a do tego zrywane przystanie i kładki, rzucane o brzeg promy. Woda pokwitała rdzawo, coraz bardziej bano się ją pić – i czerpać, bo wielkie sumy, dotąd leżące leniwie na dnie, nagle zaczęły wynurzać się na powierzchnię, a drańskie szczupaki ślizgały się tuż pod lustrem wody, pokazując – jedno swój nieco złośliwy uśmiech, drugie – złowrogie zęby. Tonęli ludzie.

Księżna widziała tylko jedną możliwość ratunku: ubłagać ojca. Gdy mijał dwunasty rok, w ten jedyny dzień, gdy rzeka znów miała się przed nią otworzyć, przez długie godziny wahała się i zwlekała. Słońce już zeszło z zenitu, gdy stanęła nad wodą, znów słysząc i widząc całe bogactwo swego dawnego rzeczno-świata. Wstąpiwszy weń, zrozumiała jednak, że nie był to już tamten rodzinny dom i ukochany ojciec, tylko wodne królestwo i jego władca o surowej twarzy i groźnie połyskujących zielonych oczach. Pierwsze jego słowa były jak grzmot:

– Gdzie twoja córka, księżno?

– Ojczy... Panie... – Pokłoniła się przed jego skalnym tronem. – Mój mąż, król, kocha ją tak bardzo, bardziej niż synów, bardziej chyba niż mnie... Nie mogłabym patrzeć na jego rozpacz... Nie wybaczyłby mi nigdy!

Wydawało się jej, że przychylniej spojrzenia wodnego dworu, otaczającego skałę. Że topce, wodniki i wodne wiły patrzą życzliwiej, a sumy uśmiechają się przyjaźnie.

– Ojczy, nie mogłam go zdradzić...

Kłoniła się czołem do rzeczno-świata, a jej sznury wodnych perełek i koralów wzbijały rdzawy pył, migocący w promieniach słońca. Miała wrażenie, że wirują w nim jej łyzy.

– Ojczy... panie...

Skałkę i wodny dwór zaczął zasnuwać zielonawy półmrok. Król Wodnik wstał, ciężko wspierając się na berle z czarnego dębu – jak

dobrze je pamiętała! Nagle dostrzegła, jak bardzo się postarzał. Sumy i szczupaki otoczyły go zwartym kręgiem, za nimi w milczeniu tłoczyły się wiły, topce i wodniki.

- Dwanaście lat temu, księżno, nagiąłem prawo, by dać ci szczęście. Ty zaś złożyłaś przysięgę. Ceną tego szczęścia był powrót twojej córki, zamiast ciebie, do wodnego królestwa. Bo mój czas właśnie upływa, a rzeką i jej światem trzeba się opiekować. Jeśli nie ty, to mogła być ona, krew z mojej krwi, zrodzeni z tej samej rzeki. Ty dziś łamiesz przysięgę daną ojcu, by nie zdradzić męża!

Z lękiem podniosła głowę i zobaczyła zwarty szyk szczupaków i sumów, a za nimi niespokojnie falujący, burzący się wodny tłum. Spróbowała jeszcze raz:

- Ojczy, pomóż! Wychowam dobrze dzieci, w szacunku dla rzeki i jej ludu...

Miała wrażenie, że zewsząd napływają fale zielonego mroku, już nie widziała rzecznego dworu ani ojca, czuła tylko napierający tłum, fale, szum i szepty. Sylwetki rozplywały się w jej łzach.

- Księżno, to już niemożliwe. Twój dzień dobiegł końca, mój czas dopłynął kresu. Nie masz już powrotu, może uznają tu twoje władztwo... może nie... Twoim synom pisane zwykłe ludzkie życie, twoja córka wychowała się w niewiedzy o swoim rodzie... Może

zresztą rzeka się o nią upomni? O jej niedoszłe królowanie? Ale ja tego nie widzę, córko, nie widzę, bo płacząc wraz z tobą nad twoją złamaną przysięgą...

\*\*\*

Jest już stara, stara nawet w oczach wodnego ludu. Włada i pokutuje, zgodnie ze słowami ojca. Za dwanaście lat ludzkiego szczęścia – stokrotnie.

Tak wiele się zmieniło. Skarlał jej dwór, jej świat, coraz mniej samej rzeki w kamiennym korycie. Uwięziona przez kamień, duszona przez ciemną mgłę, zatruta żyłami trującej, martwej wody – niewody. Martwy stał się nawet piasek. Wyginęły leniwe, dobrotliwe sumy, uciekły – póki mogły – szczupaki. Rzadko może dostrzec wierzby, wikliny i zielone łągi. Mogłaby jeszcze ujrzeć je czasem – w Piekarach, Tyńcu i Dąbiu, ale już tam nie może dopłynąć przez wysokie kamienne ściany.

Jej pokuta zbliża się do końca, rozumie teraz słowa ojca o dopływaniu do kresu. Marzy, by wyjść na zielony brzeg i znów spotkać chłopaka w srebrnej opasce na czarnych włosach. Marzy, że spotka swoją córkę Wandę i wszystko jej wyjaśni. Że uzyska przebaczenie...

I nie traci nadziei, że jej rzeka jakoś przetrwa.

## Modra panna

Lata temu widywało się go na wałach wiślanych codziennie, od kwietnia po październik. Rozkładał starą, wysłużoną sztalugę i metalowe krzeselko, z przypadkowej skórzanej torby wyjmował metalową kasetę z farbami, paletę i metalową manierkę z wodą – było to jeszcze przed epoką plastiku. Malował bądź to Wawel, bądź klasztor Norbertanek, ale choć mijałam go tak często – w drodze do liceum i wracając, na spacerach z Betką, idąc do miasta – nigdy nie udało mi się dostrzec jakiegoś klucza, według którego wybierał widok do malowania. Ani pora roku, ani dnia, pogoda czy światło nie decydowały. Decydował on sam, z sobie wiadomych powodów.

Był burkliwy, nie odpowiadał na przyjazne zagadywanie, nie podnosił wzroku. Gdy przechodząc, naruszało się coś, co uważał za swoją osobistą przestrzeń, fukał, wstawał, obracał się, starając się zasłonić obraz. A było to trudne, bo te jego obrazy to aż lśniły, jaśniały i promieniowały migotliwym światłem i gamą koloru. Jednego koloru: błękit, lazur, szafir, turkus, akwamaryna, kobalt, indygo, lapis lazuli i chaber – po fiołek, siność i granat. Kolory zdawały się przelewać poza krawędzie papieru, wzbierać za brzegi arkusza i poza sztalugę,

czasem osiadając w fałdach jego szarej kurteczki i załomach wysłużonego kaszkietu.

Bo on malował – wodę. Wawel, wieże kościołów, klasztor Norbertanek, Góra św. Bronisławy były tylko górnym marginesem obrazu, czasem odbijając się w wodzie. Na obrazach królowała rzeka, ale nie Wisła tamtych lat, szarobury, śmierdzący, niezamarzający mimo dwudziestostopniowych mrozów ściek, ale dawna Wisła: królowa, rzeka z baśni, wierszy i piosenek. Mądra, modra, szczodra w dary rzeka.

Kiedy akwarelowe cudo schło, starszy pan resztą wody z manierki przemywał pędzle, zamykał kasetę z farbami, starannie ją owijał i chował do torby. Potem siedział i odpoczywał, zanim odpiął obraz ze sztalugi i mógł go spokojnie schować do wysłużonej teki, kształtem przypominającej nasze dawne szkolne bloki rysunkowe, zawiązywane na tasiemki.

- Stary wariat, znów maluje – powiedziała kiedyś poznana na spacerze z psem znajoma z Dębnik. - Podobno narzeczona mu się tu utopiła. Przed wojną jeszcze.

Nie wiedziała nic ponad to, a my przeprowadziliśmy się na Dębniki tak niedawno, że

nie znałam nikogo na tyle zasiedziałego, by pytać. A głupio by było zagadywać baby handlujące na Rynku Dębnickim, choć z pewnością byłyby źródłem ciekawych informacji. Ale nieoczekiwanie przysłużyła mi się nasza Betka, młodzianka wtedy cocker spanielka, która po spuszczeniu ze smyczy z radosną energią buszowała po wałach i nieraz okrążyła pędem malarza i jego sztalugę. Udając, że pies jest bardziej „nieusłuchany”, niż był, podeszłam bliżej i aż się zachłysnęłam, widząc obraz z bliska.

- Och! Cudo!

Co sprawiło, że zechciał rozmawiać? Mój nastoletni zachwyty, dziewczyny z tarczą licealną na rękawie, urok Betki, jego widoczna samotność? Ale chciał.

- Dla mojej panny maluję. Tu się spotkaliśmy, lata temu.

- Och! Tak mi przykro. Słyszałam tu od jednej dębniczanki...

- Że co? Że utonęła? Tak gadają te stare wiedźmy!

- Noooo, tak...

- Bzdura! Co one mogą wiedzieć! Paparuchy i sieczkobrząki!

- Przykro mi...

- Nie utonęła, nie! Jakże by mogła! Przychodziłem tu jako student malować, bo ten landszafcik z Wawelem to szedł jak woda i dorabiałem sobie do stypendium. Kiedyś przystanęła koło mnie, spodobał jej się obraz. A potem przychodziła częściej, siadaliśmy na trawie. Asfaltu tu wtedy nie było, tylko dróżka na koronie wału. Lemoniadę jej kupowałem, sobie piwo. Każdy obraz dwa razy dłużej malowałem, żeby tylko się z nią spotykać. Rozmawialiśmy, śmialiśmy się... Ale do domu to mi się nigdy odprowadzić nie dała, nigdy, mówiła, że blisko mieszka, ale matka surowa...

Zapatrzył się na wodę.

- Lato mojego życia. Za rok miałem skończyć studia. Znaleźć pracę. Sprzedawać więcej obrazów. Za rok już mógłbym się zaręczyć, nawet surowa matka by nie mogła protestować.

Znów umilkł, jakby zmęczony wspomnieniami. Więc zapytałam:

- I co się stało?

- Jak to, co? Wojna się stała! W sierpniu powołali mnie do wojska. A wróciłem w październiku...

- To los był panu życzliwy - powiedziałam, myśląc o wszystkich, którzy po wrześniu 39 nie wrócili do domu. I zaraz zrobiło mi się strasznie głupio.

- ... października 1956! Po siedemnastu latach mogłem wrócić! Najpierw wrzesień. Sowiecka niewola. Łagier. Podporucznikiem byłem, więc nie zginąłem w Katyniu. A potem Armia Polska. Generał Anders. Wschód i kampania włoska. Wreszcie - Anglia.

- Nie wrócił pan od razu?

- Nie. Rodzice już nie żyli. Jacyś dalecy krewni zostali. A jej to nawet adresu nie

znałem. A jeszcze i to, że moje rysunki to do wojskowej prasy Drugiego Korpusu szły. Potem do emigracyjnej. I w Wolnej Europie miałem audycje... Koledzy mówili: nie masz po co tam wracać. Do więzienia?

- Ale wrócił pan?

- Trochę wścibscy jesteście, panienko? Ale moja wina, bo się rozgadałem niepotrzebnie. Tak, wróciłem. Bo zła decyzja to ciężar, którego z czasem przybywa. A 56 rok był jak... jak przebłysk. Przebłysk nadziei. Więc wróciłem. Nikt mnie nie uwięził. Przesłuchiowano, owszem, wielokrotnie. A praca się znalazła dobra, uczyć rysunku w liceum.

- A ona? - Skoro już byłem wścibską panną, to należało dążyć. - Znalazł ją pan?

- Nie. Szukałem, zaraz po wojnie. Pisałem do kolegów z Akademii. Tu obok Julek Kydryński mieszkał, wszystkich tu zna. Nie wiedział. No, ale ja nazwiska jej nie znałem, tylko imię i wygląd: złote włosy, niebieskie oczy, błękitna sukienka. Toż co druga z tych starych bab teraz powie, że to jej portret sprzed lat! Tylko te lata sprawiły, że z uroczej dziewczyny ponura klempa zrobiła się! No bo te lata wojny i komuny, to podwójnie...

Zamyślił się.

- Potem schodziłem i Dębniki, i Kapelanekę, Ludwinów, Zakrzówek, ba - Pychowice, Kostrze i Bodzów! Ale nie natrafiłem na nią.

Było jeszcze jedno pytanie do zadania.

- I żadnej innej?

- No, ascetą nie byłem. Artystą - tak! Były inne, były. We Włoszech, w Anglii, tutaj. Jednak żadna serca nie wzięła jak tamta. Więc przychodzę tu i maluję, bo tak myślę, że gdyby chciała, to tylko tu mnie może odnaleźć. A te plotkary dorobiły legendę, że ona utonęła, a ja zwariowałem...

Wpatrzył się w rzekę, w most Dębnicki i Wawel. A ja patrzyłam na niego, wyblakłego starszego pana w wyszarzonym paletku. I nagle zobaczyłam, jak daleko za nim, na rzece u ujścia Rudawy z trzepotem poderwały się do lotu mewy, dotąd leniwie wożące się z prądem. Z wodnego wiru pojawiła się panna wodna: złotowłosa i w błękitnej sukience, bosa.

Stąpała lekko po falach, uśmiechała się i przykładała palce do ust, prosząc o milczenie. A gdy była już blisko dębnickiego brzegu, nabrała wody w dłoń i przysnęła nią w naszym kierunku. Kropelki - błękitne, turkusowe, lazurowe i modre - posypały się na jego szary płaszcz i szary kaszkiecik, a wodna mgiełka na obraz, który zaczął migotać turkusem, lazurem i akwamaryną.

- A jak tu maluję, to czuję, jakby ona była ze mną. Piła oranżadę, siedziała nad wodą, śmiała się - dokończył, zupełnie niepotrzebnie.

# Rozbitek z Galaktyki Gutenberga

Rozmawiali Witold Bereś i Krzysztof Burnetko Zdjęcie: Witold Bereś

**Jerzy Surdykowski:** Ta władza upadnie wcześniej czy później z hukiem. Im dłużej trwa, tym większy będzie huk. Ale zdechnie. Tyle że straciliśmy wszystko, co mieliśmy, co zbudowaliśmy po 1989 roku. Odbudowa będzie właściwie niemożliwa.

**Witold Bereś, Krzysztof Burnetko:** Napisałeś fascynującą książkę *Nadzieja na sensowność świata*. Próbujesz w niej zmierzyć się nie tylko z religią, ale i z Panem B. Ale przy całym dystansie do Kościoła jako instytucji, do chrześcijaństwa jako doktryny religijnej, w gruncie rzeczy jest to książka dla wierzących. Jesteś zatem wierzącym ateistą?

Jerzy Surdykowski: Jestem po prostu chrześcijaninem. Co mnie do tego doprowadziło? Nie mówię o domu rodzinnym, bo tamto chrześcijaństwo było takie, jak w całej Polsce: w niedzielę odklepać mszę (albo i nie). U nas rządzi Bóg filozofów, który jest zimny, daleki, ogromny, tak jak Brahman u hinduistów. Tego Boga nawet nie trzeba się bać, bo jest zbyt daleko, żeby ci zrobił jakąś krzywdę. I nie można go kochać. Taki jest Bóg wszelkich monoteizmów – Jehowa, Jahwe czy Adonai, czy jak go będziemy nazywać, Allah... Także mocodawca proroka Buddy. Bo przecież Budda jest tylko prorokiem, człowiekiem zesłanym przez coś – o tym buddyści chętnie nie mówią.

Ale w chrześcijaństwie Bóg poprzez Chrystusa schodzi do człowieka i cierpi razem z nim. W tym oceanie cierpienia, w jakim żyjemy na Ziemi, on jest nieunikniony, bo jesteśmy w ten ocean wrzuceni i musimy przez niego płynąć. Bóg schodzi do człowieka i cierpi razem z nim. To jest dla mnie poruszające.

Człowiek usiłuje tego Boga, obojętnie jak go sobie wyobraża i w jakiego wierzy, sprowadzić do poziomu swojego umysłu, więc musi go nie słuchanie zubożyć.

## W poszukiwaniu Absolutu

**To piękne, ale to jednak pewna nieweryfikowalna empirycznie figura filozoficzna. A my mamy spore zastrzeżenie do tego, że nie tylko jesteś za chrześcijaństwem, ale jak się wzyta, to sympatyzujesz z współczesnymi Kościołami chrześcijańskimi. Uważasz, że to jest ta struktura, która daje jakiś porządek. Ale przecież dzisiaj Kościoły, religie są siłami destrukcyjnymi.**

Co do Kościoła – możemy nawet mówić w liczbie mnogiej, aczkolwiek do poszczególnych Kościołów mogą mieć trochę inne zarzuty – każdy Kościół jest strukturą ziemską podlegającą żelaznym prawom organizacji i wszelkim

zwyrodnieniom, jakim organizacja ulega. Kościół katolicki jako największy najbardziej jest zwyrodniały. Myślę, że Kościołowi już nic nie pomoże, on jako struktura upadnie.

**Spróbujmy uporządkować pewną terminologię. Co nazywasz Bogiem? Czy to jest Tajemnica? I, rozumiemy, rozdzielamy wyraźnie religię od wiary?**

Tak. Religia jest to pewien system, pewna organizacja, pewna hierarchia. A Kościół jest po prostu elementem religijności.

Ale skąd w ogóle Bóg? Skąd to się bierze? To jest Tajemnica, którą sobie człowiek jakoś wyobraża, tak jak potrafi, która człowieka przerasta, bardzo przerasta. Jakoś sobie to wyobraża, jakoś wydeptuje ścieżkę do tej Tajemnicy, która na pewno w każdej religii i w każdym Kościele jest w jakiś sposób skażona.

**Wyraźnie odcinasz się od Richarda Dawkinsa, zadeklarowanego ateisty. Ba, drwisz z niego. Ale może cała Tajemnica wynika tylko z tego, że tych akurat praw fizyki jeszcze nie zgłębiliśmy?**

To znany wątek. Od czasów oświecenia aż do połowy XX wieku było tak, jak powiada Dawkins z Atkinsem i całe towarzystwo ateistyczne: mnóstwa rzeczy nie wiemy, ale nauka idzie do przodu. W końcu będziemy wiedzieli tak dużo, że Tajemnicy nie będzie albo będzie już zupełnie malutka.

Tylko że gdy spojrzeć na naukę, zwłaszcza od drugiej połowy XX wieku do dzisiaj, to obszar tajemnicy zaczął się zwiększać, a nie zmniejszać.

Tego dotąd nie było. Przedtem szło się do góry, tajemnica się zmniejszała i można było wierzyć, że ten brodaty starzec zostanie kiedyś unieważniony. A teraz okazuje się, że obszar niewiedzy jest olbrzymi. Wiemy coraz więcej, ale coraz więcej też nie wiemy. I staje się jasne, że pewnych rzeczy nigdy nie będziemy wiedzieć.

Oczywiście można wierzyć, że odkryjemy jakieś niepojęte prawa fizyki, których może nawet nie będziemy w stanie pojąć, ale to też będzie wiara.

Więc lepiej powiedzieć po sokratejsku „nie wiem”.

**Ale są ludzie, którzy sobie zadają nieustanne pytanie, „po co są?”. Twoja książka zaczyna się od tego, że człowiek zaczął zadawać sobie**



**Jerzy Surdykowski** (ur. 1939) – publicysta, dyplomata, pisarz. Absolwent Wydziału Elektroniki Politechniki Gdańskiej. Początkowo pracował jako stoczniovec w Gdyni, ale od końca lat 60. ubiegłego wieku związany z dziennikarstwem – pisał między innymi dla „Perspektywy”, „Życia Gospodarczego” i „Życia Literackiego”. W sierpniu 1980 roku uczestniczył w strajku w Stoczni Gdańskiej, publikował w biuletynie strajkowym. W 1980 został wiceprezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, pełnił tę funkcję także po delegalizacji SDP, po wprowadzeniu stanu wojennego. W 1982 roku objęty zakazem pracy w mediach państwowych, współpracował

z pismami podziemnej „Solidarności”, publikował też w prasie emigracyjnej (między innymi w paryskim „Kontakcie”). W 1989 roku był redaktorem naczelnym „Głosu Wyborczego Solidarności”, następnie członkiem redakcji „Tygodnika Solidarność” i „Rzeczpospolitej”. Od roku 1990 w służbie dyplomatycznej wolnej Polski – najpierw jako konsul generalny w Nowym Jorku (1990–1996), a w latach 1999–2003 jako ambasador RP w Tajlandii (akredytowany także w Birmie i na Filipinach).

Jest autorem sztuk teatralnych (w tym skonfiskowanego w 1976 roku przez cenzurę *Horoskopy*) i scenariusza do filmu *W każdą pogodę*, eseistą i felietonistą.

**pierwsze świadome pytanie: skąd się wziął. Lecz zastosujmy brzytwę Ockhama upraszczającą problemy. Może odpowiedź na pytanie „po co?” brzmi – po nic. Ot, natura, biologia, porządek rzeczy.**

I tu jest słaby punkt w twym myśleniu, kiedy próbujesz tłumaczyć, że trzeba mieć wiarę w postęp. To jest duże uproszczenie – wszak możesz kierować się humanistycznymi wartościami i być obojętny (w najlepszym razie) wobec tak zwanego Boga czy postępu.

Sedno problemu leży nie w odpowiedzi, ale w samym pytaniu i w wartościach z których wychodzisz. Bo możesz zanegować istnienie Boga, jeśli tylko uznasz, że nauka (lub inna cywilizacja) kiedyś dojdzie do rozwikłania wszel-

**Dlaczego Bóg? Dlatego, bo sobie nie umiemy inaczej poradzić z tym, co wiemy o świecie.**

kich tajemnic. Ale nie da się w podobny sposób odsunąć pytania o sens. Ono domaga się odpowiedzi natychmiast, w naszym czasie teraźniejszym – i każdy je zadaje. Dla wielu, zamiast wiary w Boga, będzie tym sensem ziemski dorobek ludzkości, że jakiś postęp mimo wszystkich cierpień, cywilizacja zmierza ku coraz doskonalszym formom, a przekazywane z pokolenia na pokolenie wartości nas wzbogacają.

Moim zdaniem, jeśli nie wierzysz w Boga – a istnieją dla ciebie jakieś wartości – to wierzysz w postęp. Jeżeli żadnych wartości nie ma, to nie musisz w nic wierzyć i pozostaje tylko nażreć się i pokopulować. To mało radosna perspektywa, prawda?

**Tajemnica to trochę mało. Nawet jeżeli przyjmujemy, że jest Tajemnica niezgłębiona, to żeby mówić tak, jak się mówi o Bogu, ta Tajemnica musi mieć jakiś sens. To musi być jakieś wyższe dobro działające z jakimś zamierzeniem. Uważasz, że istnieje tak pojmowany Bóg? Jakieś dobro działające celowo?**

To jest właśnie ten Bóg filozofów. To jest ten Bóg wielki, bezosobowy, daleki, obcy. To jest Bóg Leibniza, Bóg Spinozy. I jeszcze drugi element trochę hellerowski, od ks. profesora Hellera, mojego przyjaciela i Mistrza: wszystko, czego się dowiedzieliśmy o świecie, mówi o tym, że jest on racjonalny i poddaje się rozumowemu poznaniu. Tam gdzie jesteśmy w stanie to poznanie zaprowadzić. To też ciekawa refleksja, że nie ma w świecie nic irracjonalnego, nic chaotycznego.

**Nawet jeżeli jesteś tak zachwycony ziemskimi losami Chrystusa, bo faktycznie to wspaśniała – choć dla wielu tylko literacka – prefiguracja losu ludzkiego, to trzeba sobie zadać pytanie o Tajemnicę. Ale nawet jeśli tej Tajemnicy nie rozszyfrujemy, to dlaczego z odpowiedzi, że nic nie wiemy, mamy wnioskować, że istnieje jakieś dobro lub siła sprawcza?** Cytujesz Yuvala Hararięgo, historyka, który stał się poprzez swe książki autorytetem wieku

XXI, ale jest też naczelnym ateistą pośród tych mądrych ateistów. On powtarza, że życie nie ma scenariusza i wedle naszej najlepszej wiedzy świat jest bezcelowym procesem i słuch o nas ginie, bo jesteśmy kropeczką w dziejach. Ale ty na to mówisz, że życie może mieć sens tylko wewnątrz sieci opowieści przekazywanych przez ludzi sobie nawzajem, bo one właśnie czynią nas społeczeństwem i nawet Harari ateista musi to uznać.

**OK – to mogłoby mieć sens. Mamy bowiem opowieści, które porządkują nasze życie, bo musieliśmy sobie wytworzyć systemy ocen, a że nasze życie mija, więc chcemy je jakoś utrwalić.**

Duchowy aspekt życia jest fascynujący. Ale na koniec pewnie z osiemdziesiąt procent ludzi zamiast duchowości szuka pośredników. A jak pojawiają się pośrednicy, to powstaje religia. Jak powstaje religia, powstaje instytucja i kończy się to zawsze sojuszem ołtarza z tronem.

**Więc może wyrzucmy z tej narracji Boga i zajmijmy się duchowością?**

Dlaczego Bóg? Dlatego, bo sobie nie umiemy inaczej poradzić z tym, co wiemy o świecie. Nie umiemy powiedzieć, w jaki sposób wykiełkowało życie na ziemi i w jaki sposób ono doprowadziło do czegoś takiego jak ludzki mózg. Nie da się tego za pomocą przypadkowej dystrybucji określić. Jeżeli w ogóle był wielki wybuch, bo nie jest to wcale powiedziane. Ale jeżeli był, to w jakiś sposób z tego Big Bangu zrodziły się akurat takie stałe fizyczne, które umożliwiły zaistnienie cywilizacji na tej jednej marginesowej planecie. Jeżeli tym nie kierowała jakaś wyższa od nas siła. Można powiedzieć tak – żadnej siły, to są prawa fizyki, które dopiero poznamy.

**Twoja książka jest rodzajem apelu. Jest tu ciekawe zdanie: „Jeśli naprawdę masz dosyć odklepywania paciorków, proboszczowskiej pychy i wyłazającego spod sutanny pedofilstwa, nie musisz się stać ateistą. Olewaj biskupa, masz przecież Chrystusa”.**

Zatem książka jest pewnym wezwaniem – to jest szlachetne, a nawet urzekające. Jak mamy rozdzielić to wezwanie do bycia zycznym człowiekiem od bycia religiantem, człowiekiem Kościoła?

**Znamienne skądinąd, że podobnie do Ciebie mówi Adam Michnik.**

Różnię się od Michnika tym, że on mówi, jak bardzo jest Kościół potrzebny. A ja twierdzę, że damy sobie radę bez Kościoła. Kościół zdechnie i nadal będzie sporo ludzi przyzwyczajonych. Joseph Ratzinger, zanim jeszcze został kardynałem i papieżem, bo w latach 60. minionego wieku, napisał piękną rzecz o przyszłości Kościoła – że Kościół będzie musiał porzucić swoje bogactwa, swoje świątynie, swoje katedry. Znowu będzie mały i biedny.

**Jak łatwo zauważyć, minęło sześćdziesiąt lat, Ratzinger odszedł na margines Kościoła, a jego marzenia, choć był papieżem, trzeba odłożyć ad acta...**

Jeśli zatem nie udało się tej reformy przeprowadzić papieżowi, który w nią wierzył, to dowód na to, jak dzisiaj Kościół instytucjonalny jest wielką siłą szkodzącą. Wiadomo, jest mądra Ewangelia i bywa ona czytana przez mądrych duchownych. Zawsze będziemy wspominać księdza profesora Józefa Tischnera, ale też nawet w czasach swej świetności on był marginesem marginesu.

Czy zatem należy kultywować w sobie to poszukiwanie Tajemnicy? Jeśli to nawet by przekonywało, to wiemy wszyscy, że po drodze do tego pytania przyjdzie gość w koloratce i powie: – A to ja mam numer bezpośredniego telefonu do Pana Boga, wrzuc tu na tacę, to zadzwonię w twoim imieniu.

To, co proponuję, jest być może dla większości za trudne – kieruj się własnym umysłem. Bądź powściągliwy w stosunku do tego, co ci usiłują wyłożyć i do czego ci usiłują nakłonić. Powściągliwość i kierowanie się własnym umysłem nigdy nie było popularne. A dzisiaj w epoce followersów internetowych, co jakaś panienka głupsze stroi miny przed kamerą, tym ma więcej obserwujących.

Autorytety rosną gdzie indziej. Przy lajkach, które można kupić.

#### **W poszukiwaniu mądrej lewicy**

**Twoje życie jest ciekawym przykładem ewolucji postaw. W 1967 roku wstępujesz do partii komunistycznej. Ale nie stajesz się dziennikarskim politrukiem. Byłeś lewicowy?**

Nadal w jakimś sensie jestem lewicowy, choć to określenie jest niemodne. Więc może powtórzę za Kołakowskim: trzeba być konserwatywno-liberalnym socjalistą.

To nie był żart intelektualny – to słuszne podejście do prób klasyfikacji ludzi na podstawie ich poglądów. Konserwatyzm to jest usiłowanie zachowania z przeszłości tego, co było dobre przy otwartości na słuszne zmiany. Socjalizm, wiadomo, to wrażliwość na innych. A liberalizm to jest wolność. Ale wolność pozbawiona odpowiedzialności to jest swawola, nic więcej, i szkodzi drugiemu człowiekowi.

Dlaczego wstąpiłem do partii? Uważałem, że jeżeli w PZPR będzie więcej przyzwoitych ludzi, to w ramach tej niewielkiej swobody, jaką jednak jakąś tam mamy, będzie można w Polsce trochę przyzwoiciej pewne rzeczy zorganizować. Okazało się, że ta postawa nic nie dała, dlatego opuściłem partię bez żalu, jeszcze jesienią 1981 roku, w okresie schyłkowej „Solidarności”, gdy mi władze zafundowały komisję kontroli partyjnej za szerzenie antypartyjnych przekonań.

**Mówisz, że jesteś lewicowcem. Czy dzisiaj z perspektywy potrafisz popatrzeć bez uprzedzeń na PRL i dostrzec w nim jasne strony?**

Oczywiście. Polska wtedy przeszła wielką przemianę, przejście ogromnych mas ludności ze wsi do miasta. Anglia przeszła to w XVIII

wieku, Niemcy w XIX, Polska dopiero w PRL. Nie przed wojną, nie zdążyła jeszcze. Hiszpania też przeszła mniej więcej w tym samym czasie, tylko w ustroju bardziej efektywnym. Oczywiście, że z tym się łączyło wykoślawienie umysłów i deprawacja ludzi, ale ten wielki przełom umiastowienia kraju nastąpił w PRL-u. To było niezbędne. Choć Nowa Huta naturalnie nie musiała powstać pod Krakowem.

Nie do przecenienia jest wreszcie rola kultury w PRL, zwłaszcza książki. Symbolem niech będzie, że za psie pieniądze można było kupić klasykę. Oczywiście, że pewne rzeczy z klasyki były niedostępne, bo można było się zdeprawować ideologicznie. Ale cała literatura polska i większość europejskiej były dostępne dla każdego chętnego i tego PRL-owi nikt nie odbierze.

Z jednej strony stał nad tym wszystkim komitet partii i cenzor. Jak nie zatwierdził, to się nie ukazało. Nieraz stawiał warunki – pan jedno zdanie dopisze, to my to puścimy. A to zdanie było haniebne. Ale jak już przeszło, to było.

**Adam Michnik mówi, jak bardzo jest Kościół potrzebny. A ja twierdzę, że damy sobie radę bez Kościoła. Kościół zdechnie i nadal będzie sporo ludzi przyzwoitych.**

**To, co powiedziałaś – to umiastowienie społeczeństwa oznaczało wielki program przemiany duchowej. Dostępność kultury w małych miasteczkach, wyjazdy zorganizowane nudne, ale do teatru się jednak chodziło. Promocja książki jako czegoś ważnego.**

Polska musiała przez ten proces jakoś przejść. On tak czy inaczej byłby bolesny. Jak nie pod tym względem, to pod innym. Wszystkie kraje, które przeszły przez umiastowienie, przeszły to z bólem, tylko ten ból był za każdym razem inny.

**Czy jako człowiek lewicy byłbyś za walką z religijnością? Czy byłbyś za walką z religią rzymskokatolicką? Kościołem?**

Nie.

**Z racji umiłowania Chrystusa i szacunku dla Tajemnicy czy ze względów pragmatycznych?**

To pierwsze. Z drugiej strony, tak naprawdę zarówno filozof, jak i wiejska baba pod krzyżem doświadczają tej samej Tajemnicy. Ani filozof, ani wiejska baba naprawdę nie wiedzą, gdzie ten Chrystus jest i jak wygląda, tylko jedno i drugie przyfruwa i jedno i drugie ufa. Dlatego raczej bym czekał, aż Kościół może przejdzie przez taką fazę, jaką młody Ratzinger opisywał – może inaczej się rozleci. Nie widzę szans, aby ta struktura, w jakiej Kościół obecnie jest, ta zwyrodniała struktura hierarchiczna mogła się zreformować. Zwłaszcza w Polsce, oczywiście.

**Cytujesz Dietricha Bonhoeffera: „Kościół tylko wtedy staje się Kościołem, kiedy istnieje dla tych, którzy pozostają poza nim”.**

Tak. Ale jeżeli chrześcijanin chce niewierzącemu coś narzucić, to już tworzy państwo wyznaniowe, nie tworzy państwa demokratycznego. Pewne wskazania Kościoła są słuszne, ale żeby człowiek chciał je stosować, musiałyby być mądre, musiałyby mieć wiedzę i mądrość starca, będąc młodym. Na przykład nierozterwalne małżeństwo. Jest piękne, jak para ludzi się zejdzie i żyje ze sobą do końca życia i razem się starzeje. Ale mając 25 lat, być pewnym, że ten ktoś będzie tą osobą, z którą możesz się zestarzeć, że on się nie zmieni tak, że stanie się dla ciebie odpychający – skąd masz to wiedzieć? Aborcja jest złem, ale powinna być dopuszczalna. Nawet na tak zwane żądanie. Oczywiście do któregoś tygodnia, to pytanie do lekarzy. Jeżeli chodzi o Kościół, to święty Tomasz, doktor Kościoła przecież, twierdził, że płód staje się człowiekiem dopiero po 40 dniach od zapłodnienia. Święty Augustyn, inny doktor Kościoła, twierdził, że dusza spływa z nasieniem męskim. Jeżeli dalej tak pomyśleć, to kobieta jest tylko chodzącą macicą, a wszystko co dobre, jest w fallusie.

To jest nie do zaakceptowania.

#### **W poszukiwaniu prywatnego sensu**

**Byłeś nie tylko gwiazdą dziennikarstwa, ale i polityki międzynarodowej. Byłeś konsulem w Stanach, ambasadorem Tajlandii. Dzisiaj**

Jeśli nie wierzysz w Boga – a istnieją dla ciebie jakieś wartości – to wierzysz w postęp. A jeżeli żadnych wartości nie ma, to nie musisz w nic wierzyć i pozostaje tylko nażreć się i pokopulować.

**napisałeś znakomitą książkę, ale ona umknie ludziom. Również dlatego, że jesteś poza głównym nurtem. I powiedzmy jeszcze jedno – tak się twe życie potoczyło, że dziś mieszkasz w Domu Pomocy Społecznej. Nie, żeby to miało być jakkolwiek ujmą, ale trudno nie zapytać: Co takiego się stało? Gdzie w twoim życiu nastąpił zwrot?**

W okresie stanu wojennego uprawiałem publicystykę intensywnie, ale w drugim obiegu. Potem pojechałem do Nowego Jorku, gdzie spędziłem prawie siedem lat jako konsul tuż przed wejściem do NATO, w latach 1990–1997. Nie można było znaleźć następcy, bo normalnie po czterech latach konsula się zmienia. Wszyscy się bali albo Polonii, albo Żydów.

Wejście do NATO też nie było proste. W amerykańskich sferach opiniotwórczych rządziły dwie postawy. Jedna – nie drażnić Rosji. Druga – niech Polacy wejdą, to są dzielni ludzie. Ale można było drobnymi krokami coś zmieniać. Na przykład w moim okręgu konsularnym udało mi się przeprowadzić przez senaty stanowe, które jednak odgrywają pewną rolę – siedem

rezolucji popierających wejście Polski do NATO. To oczywiście nie miało żadnego znaczenia prawnego, ale tworzyło dobrą atmosferę.

Z drugiej strony są w Stanach dwie wielkie organizacje żydowskie – American Jewish Committee z Davidem Harrisem na czele i World Jewish Congress. To akurat były czasy, kiedy szefem Kongresu Polonii Amerykańskiej był Edward Moskal i co rusz fundował najrozmaitsze antysemityczne wygłupy. Więc ja, po każdym takim numerze Moskala, musiałem dzwonić do Harrisa i tłumaczyć mu na czym polega – ja to nazywam – ludowy antysemityzm.

Jakoś to znosił. Dość, że kiedy było przesłuchanie w Kongresie USA w sprawie przyjęcia do NATO, David Harris wygłosił wspaniałe pro-polskie przemówienie, które przeważało szalę. **Ale dzisiaj oni pewnie tego żałują.**

Z pewnością – z obecnym cywilizacyjnym, antyliberalnym nastawieniem panującym w Polsce, szans na NATO by nie było...

Wtedy wróciłem do Polski. Zawsze zdarzało się tak, że wyjeżdżałem, gdy rządziły partie postsolidarnościowe, a wracałem za SLD. A jak było SLD, to zaraz było: won. Popracowałem trochę w ówczesnym „Wprost” u towarzysza Marka Króla i rozglądałem się, żeby gdzieś znowu wyjechać. W 1999 roku były wybory – i znowu ekipa postsolidarnościowa wróciła do władzy. Przychodzę do Bronisława Geremka, a on pyta: Kim pan chciałby być w strukturze polskiej dyplomacji? Ja: Gdzieś w sferze anglojęzycznej, bo znam język. On: Panie Jerzy, co tak skromnie? Ja widzę pana w Rosji.

Przychodzę do niego ponownie za jakiś czas i słyszę: Panie Jerzy, pan to zrozumie, u nas też jest biuro polityczne. Ono zadecydowało, że może być pan ambasadorem w Tajlandii albo konsulem generalnym w Londynie.

Wybrałem Tajlandię i nie żałuję. Cztery lata, tyle ile trzeba. Poznałem praktyczny buddyzm. Byłem w Tajlandii, Birmie i na Filipinach.

A jak wróciłem, to znowu SLD było u władzy. I znowu musiałem zaczynać od nowa.

A dlaczego DPS? Mieszkiałem na wsi. Miałem dom w pięknym miejscu w Beskidzie Wyspowym... To była dacha wakacyjna, tylko ja to przerobiłem i formalnie zostało to określone jako dom całoroczny. Niestety, żeby taki dom utrzymać, potrzebne są jednak pewne siły fizyczne i materialne – na naprawy, na opał, na wszystko. Pod koniec stycznia 2017 trafiłem do DPS-u. Świadomie. Mam tam pokój.

#### **To wszystko?**

Nie chcę tego tematu rozwijać, ale... Jest takie powiedzenie ludowe, że pierwszą żonę człowiek dostaje od Boga, drugą od ludzi, trzecią od diabła. Ja dostałem pierwszą od ludzi, drugą od Boga, trzecią od diabła. Nie potrafiłem docenić tej drugiej... Niestety, przyrodzenie prowadziło mnie po świecie. Rozwiodłem się, oddałem mieszkanie w Krakowie, zamieszkałem w domku i ożeniłem się po raz trzeci.

Ale nie układało nam się życie, więc rozeszliśmy się, jej został domek w górach, a ja...



Chciałem do tego DPS-u, żeby mieć święty spokój.

### **Czy to nie jest tak, że po pracy w MSZ ma się jakąś znaczącą emeryturę?**

Kiedy przyjechałem do Nowego Jorku za ministra Krzysztofa Skubiszewskiego, moja pensja konsula była równa mniej więcej pensji kierowcy mojego niemieckiego kolegi. Potem minister Andrzej Olechowski trochę to podniósł. Ale wtedy ludzie, którzy nie byli etatowymi pracownikami MSZ-u, wyjeżdżali na podstawie przepisów z lat 80., skonstruowanych pod esbeków i wywiad wojskowy, których delegowano do służby dyplomatycznej ze znanych powodów. Polegały na tym, że do MSZ przychodziło się w ramach porozumienia z daną instytucją (bez sprecyzowania z jaką), gdy osoba ta zostaje mianowana pracownikiem dyplomatycznym. A jak kończy się okres pracy w dyplomacji, wraca do tej instytucji.

W roku 1990, kiedy wyjeżdżałem do Nowego Jorku, byłem pracownikiem „Rzeczpospolitej”. Ale ta w tym czasie przeszła przekształcenie własnościowe, w dodatku mój wielki przyjaciel Darek Fikus, naczelny, wziął i umarł. A nowa „Rzeczpospolita” mnie nie chciała, więc poszedłem do „Wprost”. A jak wróciłem z Tajlandii, to już ten „Wprost” się przestawił w politycznie inną stronę.

Ale szybko udało mi się pójść na emeryturę. I tu się przydały te lata w MSZ. Bo nie są to kokosy, ale po przeliczeniu na złotówki, daje to średnią, która pozwala egzystować.

To nie jest Ameryka. Tam, jak masz jakiś dorobek, możesz liczyć na stanowisko tak zwane *residing writer*. Nawet uniwersytety marne, prowincjonalne, zatrudniają pisarza na rok czy dwa, on ma jakieś drobne wykłady, ale głównie chodzi o to, żeby dodawał splendoru tej uczelni. System fundacji wspierających kulturę tam jest o wiele lepiej zorganizowany.

### **Jak patrzysz na Polskę, to masz dobre czy tragiczne myśli?**

Ta władza upadnie wcześniej czy później z hukiem. Im dłużej trwa, tym większy będzie huk. Może nawet za dużo huku będzie. Ale ta władza zdechnie. Tyle że straciliśmy wszystko, co mieliśmy, co zbudowaliśmy po 1989 roku. Odbudowa będzie właściwie niemożliwa.

### **Jakie są twoje osobiste plany? Co byś chciał w najbliższym czasie zrobić?**

Mam jedną powieść gotową, nad drugą pracuję. Więcej powieści już nie napiszę. Może zbiór esejów jeszcze.

**Sarkasz na internet. Czy czasami się nie łąpiesz na tym, że my, nasze pokolenie z epoki drukowanego papieru, czegoś nie rozumiemy? Sławna anegdota, choć nie do końca prawdziwa: najstarsze zapiski na świecie odnalezione w Ur mówiły, że jeszcze nigdy nie było tak źle, a młodzi nie byli tak głupi.**

Sokrates uważał, że wynalazek pisma zniszczy kulturę. Sam nie napisał ani słowa, tylko mówił, że to zniszczy pamięć, że ludzie nie będą chcieli

nic pamiętać, nic wysłuchiwać. Dopiero Platon zaczął pisać. Wszystko co wiemy o Sokratesie, wiemy z pism Platona. Wynalazek druku bardzo wiele zmienił. Mówię o naszym pokoleniu, że jesteśmy rozbitkami z archipelagu Gutenberga zalewanego przez ocean audiowizualny. Nawet taki felietonik kiedyś napisałem o tym w „Rzeczpospolitej”. Te felietony traktuję jako minieseje.

### **Ale może i w internecie jest coś wartościowego?**

W internecie jest wiele rzeczy wartościowych. Na przykład mnóstwo zasobów, które były dotąd dostępne tylko w bibliotekach i trzeba było porządnie się przyłożyć do poszukania – znaczna ich część jest w sieci... Jeżeli człowiek się nie ogranicza do swojej bańki – to ważne!

Programowo nie mam Facebooka, nie chcę go mieć. To strata czasu, bo dostajesz zalew zdjęć od przyjaciół i nieprzyjaciół – pod tytułem: jaką mam piękną żonę i co jadłem na obiad. Po cholere mi to? A tam sztuczna inteligencja czyha i ona wiedząc, co wybierasz w internecie, podsuwa ci dopełnienie. I zostajesz w bańce internetowej. Mnóstwo ludzi tkwi w takiej bańce – dostaje już przefiltrowane takie czy inne wiadomości.

### **Hm... Tak zwany multitasking to jest zadanie męczące i czasami myślę, że ludzki umysł za chwilę nie będzie tego w stanie unieść. Z drugiej strony jednak młodzi to unoszą. I rozwijają się. Tworzą.**

Tak, to prawda. To pocieszające. Widzi się mnóstwo młodych ludzi czytających książki. Marshall McLuhan w latach 70. nazwał to archipelagiem Gutenberga. On zresztą pierwszy ostrzegał... Jeszcze nie przewidywał internetu, ale mówił o telewizji i o oceanie audiowizualnym, który płynie przez telewizję. A to się spotęgowało, gdy powstał internet.

### **Może więc i jesteśmy rozbitkami z archipelagu Gutenberga, ale nie jest nas tak mało?**

Jeśli macie ochotę na tak optymistyczną pointę naszej rozmowy, to proszę.



**Witold Bereś** – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.



**Krzysztof Burnetko** – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

# Agnieszka Stabro Igor Mitoraj. Polak o włoskim sercu

Dzięki tej zbeletryzowanej biografii możemy śledzić osobiste i artystyczne losy najbardziej rozpoznawalnego polskiego rzeźbiarza, poczynając od narodzin w 1944 roku w niemieckim Oederan, dokąd jego matka została wywieziona na roboty przymusowe, przez dzieciństwo i lata młodości, studia na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych pod kierunkiem Tadeusza Kantora. Wywarł on wielki wpływ na przyszłego rzeźbiarza i zachęcił go do szukania artystycznego szczęścia w Paryżu. Czas, który Mitoraj spędził w europejskiej

stolicy sztuki, wiązał się nie tylko z ciężką pracą, ale przyniósł także pierwsze wystawy i sukcesy. Ważne miejsce w książce zajmuje też okres włoski rzeźbiarza i jego pobyt w miasteczku Pietrasanta, gdzie stworzył wiele dzieł. Agnieszka Stabro podążyła śladami Mitoraja, by w miejscach, które były znaczące w jego życiu, szukać odpowiedzi na pytania o źródła rzeźbiarskiego geniuszu. Przeprowadziła również wiele rozmów z osobami, które znały go prywatnie i których wypowiedzi dopełniają historię artysty. (red.)

## Piękno ma w sobie tragedię

Mitoraj przygotowywał się przez całe liceum do studiów na Akademii Sztuk Pięknych, jednak plany pokrzyżowała mu nagła i niespodziewana śmierć Czesława Mitoraja w 1963 roku w kopalni. Jerzy na dwa lata musiał odłożyć swoje ambicje na bok i pomóc matce, która nie zdołałaby wyżywić z renty po mężu całej rodziny. (...) Los po drodze rzucił go w Paryżu do pracowni, w której tworzył Picasso; na razie jednak są ciemne, duszne i brudne lata komunizmu w Polsce, a Igor, po zakończeniu pracy w Zakładach Chemicznych w Oświęcimiu, zdobywa pierwsze szlify na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Równie ważna co sama uczelnia będzie atmosfera miasta, w którym Igor spędził dwa lata studiów i które w ogromnym stopniu naznaczyło jego artystyczną wrażliwość. Lata 60. to bowiem ciężki czas w Polsce, czas powszechnego niedostatku, znoju i nadal jeszcze powojennego trudu. Jednak otaczająca ludzi beznadziejność i szarzyzna lat 60., na którą skarżyła się większość społeczeństwa, omijała szerokim łukiem środowiska artystyczne, zwłaszcza w Krakowie i Warszawie. Trafiając do grodu Kraka, Igor miał wielkie szczęście: lata jego studiów przypadły na złoty czas dla artystycznej stolicy małopolskiej, a artysta znalazł się w samym centrum wydarzeń kulturalnych. Pietrasanta tętniła życiem, gdy Mitoraj do niej przybył po raz pierwszy mniej więcej dwadzieścia lat później, ale artystyczny Kraków, skupiony wokół takich miejsc jak Piwnica pod Baranami czy Krzysztofora, był miejscem nie mniej

ekscytującym. Ścierały się tutaj prądy artystyczne, ścierały osobowości, poglądy, świat tętnił od gwaru w literackich kawiarniach oraz artystycznych piwnicach.

W Krakowie prężnie działała, powstała jeszcze w latach 30. słynna Grupa Krakowska na czele z Marią Jarema, zwaną Jaremianką, Janaszem Sternem, Kazimierzem Mikulskim, Tadeuszem Brzozowskim i oczywiście samym Kantorem, to tu pierwsze kroki stawia Jerzy Grotowski, a na przeciwległym biegunie tradycyjnego teatru działają Jerzy Jarocki czy Konrad Swinarski. Mimo niesprzyjającej sytuacji politycznej Kraków staje się, zresztą zgodnie z jednym z hymnów Piwnicy pod Baranami, napisanym przez Wiesława Dymnego, wyspą, na której „żyjemy wszyscy, śliczni i czyści”. Życie płynie od wernisazu do wernisazu, jeden skandal towarzyski goni następny, jedna wystawa jeszcze się nie kończy, a już zaczyna kolejna, a wszystko toczy się w dusznych oparach tytoniowego dymu i alkoholu podawanego spod lady w ciemnych, zadymionych piwnicach.

Dostanie się przez Igora na Akademię Sztuk Pięknych stanowi kamień milowy w jego biografii, ale równie ważne, a może nawet ważniejsze okaże się to, pod czyją opieką się znalazł. (...)

Rok 1966 to dla Igora pierwszy rok studiów, rok 1967 upłynie pod znakiem poprawki. Na trzecim roku studiów, ale formalnie na roku drugim, w 1968 roku trafia do pracowni malarstwa Tadeusza Kantora, człowieka legendy, który naznaczył Kraków swoją

obecnością na zawsze i którego charakterystyczna, ubrana na czarno postać, trzymała miasto na powierzchni rzeczywistości. Przeżywał jego ulicami, rozpoznawalny już z daleka, z nieodłącznym papierosem w ustach i w czarnym kapeluszu. Wzbudzał strach oraz respekt, a zarazem ciekawość. Potrafił kogoś zmieszać z błotem, by kilka chwil później, zupełnie normlanym tonem, skierować rozmowę na inne tory, poprosić interlokutora o przysługę czy przyjaźnie klepnąć go po ramieniu. Jego niespożyta energia zarażała wszystkich dookoła, a Kantor był niczym wulkan. Wulkan, który nigdy nie wiadomo było, kiedy wybuchnie.  
(...)

Jerzy, który imię zmienił dopiero na studiach, gdy w związku z wyjazdem do Paryża musiał wyrobić sobie nowe dokumenty, symbolicznie zrywając jedyną łączącą go z ojcem więź, nie aklimatyzował się długo w Krakowie. Miasto pokochał szybko, wrósł w niego, traktował jak własne miasto i prędko wytyczył w nim swoje ścieżki. Nawiązał przyjaźnie i artystyczne znajomości, odnalazł się w lokalnym środowisku. Nie pozostawał jednocześnie wobec niego bezkrytyczny, zarówno w trakcie studiów, jak i wiele lat później. Kraków, nazywany przez artystę polską Florencją, mimo ogromnej miłości, którą go darzył, uwierał go i irytował.

„To takie typowe dla Krakowa, lokalne piekielko, zapyziała zawiść, chęć utracenia kogoś, komu się udało. Kocham to miasto, ale nie wszystko mi się w nim podoba”, mówił prawie trzydzieści lat później w wywiadzie udzielonym „Polityce”, nawiązując do zamieszkania, które wywołało umieszczenie na krakowskim Rynku jego rzeźby, przedstawiającej ludzką głowę, czyli *Erosa Bendato*.

Intuicja związana z krakowską, i zapewne nie tylko krakowską zazdrością środowisk artystycznych o sukcesy innych, musiała pojawić się u Igora długo przed udzielonym wywiadem. W latach 60. bowiem na niewielkiej przestrzeni miasta współegzystowały ze sobą największe indywidualności artystyczne, rywalizujące ze sobą i konkurujące o względy krytyków oraz publiczności. Trudno było nie zauważyć targających nimi emocji i wybuchającej co rusz zazdrości o dobrze rozwijającą się karierę innych.

Ton artystycznym środowisku nadawały dwie postaci: Piotr Skrzynecki i Tadeusz Kantor. Podczas gdy Piwnica pod Baranami nigdy nie zajmowała Mitoraja, gdyż wydawała mu się musiała zbyt krzykliwa, hałaśliwa, nachalna, w pracowni Kantora przepadł bez reszty.

Igor studiował u Tadeusza Kantora zaledwie rok, jednak z całą zasadnością tej tezy można stwierdzić, że był to kluczowy rok dla formowania się świadomości artystycznej Mitoraja. Wszystkie późniejsze tropy interpretacyjne niczym nici Ariadny prowadzą bowiem do Krakowa lat 60. i legendarnej

pracowni Tadeusza Kantora, która niczym nie przypominała standardowych pracowni oraz niewiele miała wspólnego z klasycznym malarstwem, stając się legendą już w trakcie jego działalności. Kantor przede wszystkim eksperymentował w niej ze sztuką, malarstwem, materią artystyczną, a nawet ludźmi. Godzinami robił kolaże z przypadkowych przedmiotów, naklejające je na płótno lub tworząc z nich przedziwne instalacje i konstruując słynne ambalaże, z których do mojej wyobraźni najbardziej do dzisiaj przemawiają czarne, zniszczone parasole.

(...)

Kantor tworzył na płótnie także odciski ludzkich ciał, co tak relacjonował Mitoraj:

„Odbijanie ciała na płótnie. Model, kolega z pracowni, przygotowuje się do zamoczenia w niebieskiej farbie. To długi i skomplikowany eksperyment. (...) Tadeusz Kantor robił nam za każdym razem „burzę mózgu”. Jako model służył w pracowni na przykład motocykl marki Jawa. Staraliśmy się go pokazać na różne sposoby”.

Ludzkie ciało zatem jako źródło wszechrzeczy, jako początek i koniec, jako siła sprawcza, a zarazem najdoskonalsze, chociaż niepozbawione ułomności dzieło sztuki. Fascynacją ciałem w przestrzeni, ciałem, jako materią, wreszcie ciałem, jako centralnym punktem odniesienia i zarazem narzędziem pracy Kantor zdołał zarazić Igora właściwie już na początku ich znajomości. Pod jego kierunkiem Mitoraj nie tylko rysuje, maluje i tworzy kolaże z przypadkowych przedmiotów, lecz także przygotowuje odciski ciał, wplatając je w swoje kompozycje. Miłość do Yves'a Kleina, artysty, na którym wzorował się Kantor, pozostanie w Igorze na zawsze, podobnie jak przywiązanie do koloru niebieskiego, który cenił szczególnie i który tak chętnie wykorzystywał we własnej, późniejszej twórczości.

(...)

Igor brał udział w dyskusjach, chociaż częściej z pewnością im się wyłącznie przysłuchiwał, chłonąc jednocześnie atmosferę zajęć, pracowni i sposób bycia samego Kantora, przejmując poniekąd jego sposób myślenia o sztuce w ogóle. Między innymi w niestandardowym podejściu do malarstwa, znacznie wychodzącym poza ramy tradycyjnie pojmowanej sztuki, miały swoje źródło pierwsze artystyczne intuicje przyszłego rzeźbiarza. Igor, terminując u Kantora, zrozumiał, czym jest sztuka i jaka jest rola artysty. Postawa teatralnego twórcy oraz jego podejście do sztuki i życia stały się Mitorajowi bardzo bliskie, a przebywając niemal dzień w dzień z Kantorem, szybko przyswoił ideę, której miał hołdować przez całe życie. W dusznym i niewielkim uczelnianym atelier Tadeusz Kantor starał się uświadomić swoim studentom, że piękno nie jest, wbrew pozorom, klasycznie pojmowaną harmonią czy estetyką, mającą

cieszyć oko, lecz kryje się w brzydocie, ułomności, skazie, inności. Ważne są okruchy piękna, a nie pięknie wyglądająca całość.  
(...)

Pracownia Kantora była więc całkowitym zaprzeczeniem klasycznej definicji profesorskiej pracowni na Akademii. Jeśli cokolwiek w niej nawiązywało do klasycznego malarstwa, to niewątpliwie zainteresowanie ciałem i stawianie człowieka, oprócz przedmiotów, w centrum rzeczywistości; ten trop przejął Mitoraj. Człowiek, ciało, jego materia, zmiany w nim zachodzące to główna oś zainteresowania obu twórców. Ale znowu, jak w przypadku Kantora, nic nie było zwyczajne. Kantor bowiem chętniej odciskał ciała na płótnie, two-

w młodości szukał. Wpoił mu wiarę w siebie i sprawił, że Igor wreszcie uwierzył w swój talent i możliwości. Namawiał go, aby nigdy nie rezygnował ze swoich ideałów, na przykład wszystkim i wszystkiemu zawsze był sobą. Odwaga, męstwo, bezkompromisowość, absurdalny momentami upór, trwanie przy swoim wbrew wirom i prądom rzeczywistości, nierezygnowanie z siebie; oto, czego Mitoraj nauczył się w pracowni Kantora, co być może było po stokroć ważniejsze aniżeli teoria sztuki.

Tadeusza Kantora i Igora Mitoraja łączyło także zaskakujące podobieństwo losów i kolei życiowych. Obaj pochodzili z prowincji, z rodzin pozbawionych artystycznych tradycji. Obaj w dzieciństwie wychowywali się bez ojca, jednocześnie z jego figury, a raczej z jego braku czyniąc motyw przewodni własnej twórczości. W końcu obaj doceniani byli bardziej za granicą niż w Polsce, na uznanie w ojczyźnie czekając wiele, wiele lat.  
(...)

Fundament ich bliskości stanowiły również wojenne przeżycia, w odczuciu Igora mgliste, odległe, znajdujące się za rzeką czasu, dla Kantora nadal żywe, stanowiące część jego młodości. Wojenne doświadczenie kształtowało ich myślenie o świecie. Igor co prawda urodził się w 1944 roku, zaledwie rok przed końcem wojny, lecz miejsce, w którym przyszedł na świat oraz historia jego rodziców sprawia, że II wojna światowa stanowić będzie ważny element jego biografii. Wspomnienia o niej, przykazywane przez matkę, sprawiają, że wojna mającyć będzie wciąż na horyzoncie życia twórcy, towarzysząc mu niczym cieniem. Podobnie wspomnienia o wojnie nigdy nie opuszczają Tadeusza Kantora, a pamięć o największym kataklizmie w dziejach ludzkości już na zawsze będzie jednocześnie pamięcią o ojcu, który zginął 18 marca 1942 w obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau.

Obu twórców łączyło również podobne doświadczenie dzieciństwa, w przypadku Kantora bardziej mitycznego i sielskiego niż w przypadku rzeźbiarza, jednocześnie bardzo wyraźnie naznaczone rysą, tak dobrze znaną samemu Mitorajowi. Kantor pisał: „Dzieci zawsze czekają. Całe życie czekałem na coś, co, wierzyłem, że się zdarzy”. Cekał zatem mały Tadeusz w oknie na powrót matki z pracy, czekał, pełen niecierpliwości, na pełne mistycyzmu żydowskie obrzędy, czekał na wydarzenie, które zmieniłoby bieg rzeczywistości; czekał i Igor, ze swoim zdezelowanym, miejscami pordzewiałym rowerem, na grojeckiej drodze... Obu twórców łączyła, mimo różnicy wieku, wspólnota uczuć, przeżyć i doświadczeń, a przede wszystkim bardzo ważne dla twórczości obydwu poczucie braku będące paradoksalnie fundamentem ich sztuki.  
(...)

Na rok 1946 przypada pierwszy pobyt Tadeusza Kantora w Paryżu, który już wtedy był

W 1968 roku zmotywowany słowami swojego nauczyciela Tadeusza Kantora, załamany sytuacją polityczną w kraju, targany sprzecznymi emocjami, a jednocześnie mający możliwość wyrobienia papierów umożliwiających mu stały, legalny pobyt we Francji Igor Mitoraj pakuje skórzaną walizkę, żegna się z matką i rusza na mityczny wówczas Zachód, nie oglądając się za siebie.

rząc zaskakujące kompozycje, niż je malował.

Podejście do sztuki nie jest wszystkim, co zdołał przekazać Mitorajowi Tadeusz Kantor. W ciągu roku spędzonego z performerem i malarzem, reżyserem i aktorem w jednym Igor nauczył się dużo więcej niż tylko swoistej i jedynej teorii sztuki, wyznawanej przez Kantora.

Od Tadeusza Igor przejął bowiem bezkompromisowość w podejściu do bycia artystą, na co zwracali uwagę późniejsi badacze życia Mitoraja. Sztuka to życie, a życie to sztuka; nie ma między nimi rozgraniczenia. Człowiek nie staje się artystą po przekroczeniu progu pracowni, ale jest nim cały czas, gdziekolwiek jest i cokolwiek robi. Tadeusza Kantora i Igora Mitoraja można określić mianem „artystów totalnych”. Rzadko wychodzili ze swoich pracowni, obaj, co symptomatyczne, zlokalizowali je w przestrzeni domowej, czyniąc z niej jednocześnie przestrzeń pracy i na odwrót; granica była płynna, obaj żyli sztuką, oddychali nią, stali się nierozłączni ze swoimi pracami.

Kantor, który stał się dla Mitoraja wzorem także z powodu teatralnej działalności, której przecież niedaleko do filmu, zapewne przekazał Igorowi to wszystko, czego nie był w stanie dać mu jego własny ojciec, stając się jednocześnie męskim wzorcem, którego Igor nigdy nie miał, a którego z pewnością

mekką światowych twórców. Wiele lat później, w rozmowie z Igozem, echem odbiją się jego ówczesne słowa na temat stolicy Francji. „Nie ma niczego poza Paryżem. Idee, ludzie, wizje malarstwa (...) można znaleźć tylko w Paryżu. (...) Tutaj szybciej się myśli (...) tutaj nabiera wszelkiej odwagi i stanowczości”. Nie dziwne zatem, że w 1968 roku z całych sił namawiał Mitoraja na wyjazd z Polski. Chciał, by jego uczeń przeżył te same artystyczne uniesienia, co on wiele lat wcześniej. Pragnął, by poznał wielki świat, zaznał życia, na które zasługuje, zdobył uznanie, o którym marzył i które mu przysługuje. Kantor jak nikt inny zdawał sobie bowiem doskonale sprawę, że w Polsce Igora nie czeka nic dobrego, że jego wielki talent rozpiera duszne i sztywne mury Akademii.

„Nawet jeśli Kantor sformułował to w inny sposób – mówi Czesław Dźwigaj w udzielonym mi wywiadzie – a powtarzane teraz słowa są tylko legendą, pewne jest, że dzięki niemu Mitoraj nie uległ presji, aby zostać malarzem kolorystą, i sięgnął po rzeźbę. Pewne jest także, że w Polsce nie osiągnąłby takiego sukcesu, nie tylko ze względu na nieporównywalnie mniejsze możliwości, ale przede wszystkim ze względu na to, że tu środowisko by go po prostu zjadło, zniszczyło i zakrzyczyło. Nie ma mowy, aby mógł się tutaj realizować”. Jak wiele razy wcześniej, także i teraz intuicja nie zawiodła Kantora; Paryż stał się dla Mitoraja początkiem oszałamiającej kariery.

(...)

Pozwólmy mówić samemu Igorowi:

„Ważne, inspirujące było samo obcowanie z Kantorem, który niczego nie narzucał swoim studentom. Był znakomitym nauczycielem. Uświadomił mi, że profesury i dyplomy w sztuce nie mają żadnego sensu, nie można być dyplomowanym artystą, to jest pomyłka, jeśli chodzi o sztukę”. Nietrudno się domyślić, że z takimi poglądami Kantor nie zagrzał miejsca na ASP hołdującej tradycji i lubującej się, co charakterystyczne dla Krakowa, w tytułach i odznaczeniach.

(...)

Obaj artyści doczekali się uznania w swoich miastach dopiero po wielu, wielu latach. Dla obu lata 80. to rozkwit ich karier, intensywne poszukiwania twórcze, o których głośno na świecie, ale zaskakująco cicho w... Krakowie. Zbigniew Gostmowski, profesor warszawskiej ASP, powie o braku uznania Kantora w Polsce: „Krakowska publiczność zawsze mnie zadziwiała. Mam wrażenie, że jest to jedynie miasto, w którym spektakle Kantora nie spotykają się z odbiorem, na jaki zasługują”, podczas gdy na Zachodzie już wtedy Kantora okrzyknięto geniuszem i największym z teatralnych reżyserów. Jeśli zamienimy słowa „spektakle Kantor” na „rzeźby Mitoraja”, otrzymamy diagnozę odbioru sztuki artysty w ówczesnej Polsce.

Intensywna relacja obu twórców zostaje przerwana w 1968 roku, gdy Igor Mitoraj rezygnuje ze studiów, nie uzyskawszy dyplomu, by na zawsze, na stałe rozstać się z Polską, zachęcony do tego przez samego Kantora. 7 maja Igor pisze podanie do dziekana Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie z prośbą o zgodę na wyjazd do Francji w okresie letnich wakacji w terminie od 26.07.1968 do 30.09.1968. Pismo, co znamienne dla dalszych wypadków, zawiera nigdy niewypełnione zobowiązanie terminowego powrotu i podjęcia studiów. Jerzy otrzymuje niezbędne zgody od władz uczelni, potwierdzenie, że jest studentem II roku, a także zniżkę na wizę. Z dokumentów wynika, że do Francji jedzie na zaproszenie, co oprócz pism z ASP z pewnością ułatwiło mu zdobycie paszportu.

Zmotywowany słowami swojego nauczyciela, załamany sytuacją polityczną w kraju, targany sprzecznymi emocjami, a jednocześnie mający możliwość wyrobienia papierów umożliwiających mu stały, legalny pobyt we Francji Igor pakuje skórzaną walizkę, żegna się z matką i rusza na mityczny wówczas Zachód, nie oglądając się za siebie. Już wtedy wiedział, że na studia nie wróci. 23 października 1968 roku zostaje skreślony z listy studentów z powodu niezgłoszenia się na następny semestr. Wyjedzie bez dyplomu potwierdzającego naukę na Akademii. Dlatego 35 lat później podczas uroczystości otrzymania tytułu *doctora honoris causa* ASP powie: „Nareszcie mam dyplom”.

Zrealizowano w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.



Od redakcji: Książka w oryginalnej wersji zawiera przypisy naukowe. Tu je pominięliśmy.

# Emocje zamiast słów

Rozmawiał Paweł Stachnik Zdjęcie: Paweł Stachnik

**Jacek Dukaj:** Pismo i ogólnie słowo tracą na znaczeniu na naszych oczach. Obserwujemy przenoszenie kolejnych funkcji, zawodów, dziedzin życia z tradycji i technologii wymagających posługiwania się pismem, ideami, symbolami, logiką – w te opierające się na przekazie zmysłowym, głównie obrazach, oraz na emocjach i szybkich skojarzeniach.

**Paweł Stachnik:** Pisarz *science fiction* Marek Oramus w jednej z poprzednich rozmów naszego cyklu „Obłok Lema” powiedział o Stanisławie Lemie: „My z niego wszyscy”. A jaki wpływ na Ciebie jako czytelnika miała twórczość Lema? Czy był dla Ciebie ważnym autorem?

**Jacek Dukaj:** Tak, ale jestem już raczej wyjątkiem. Owo „my” z wypowiedzi Marka odczytuję jako odnoszące się do autorów z jego pokolenia. Dla dzisiejszych dwudziesto-, trzydziestolatków nie tylko sam

Główny kierunek przemian wyznaczają: rosnąca kontrola państwa i wielkich korporacji nad ludźmi, przenoszenie pracy i życia z realu do sieci, dewaluacja pieniądza fiducyjnego i przechodzenie do cyfrowego systemu finansowego, zanik klasy średniej i jej prywatnej własności, koniec globalizacji w przestrzeni fizycznej, upadek Pax Americana i otwarcie epoki dominacji Chin, przyjęcie jako modelu bezalternatywnego rządów technokratycznych elit.

Lem, ale w ogóle poważna, ultraracjonalna *science fiction* nie stanowi żadnego punktu odniesienia; nie istnieje w pejzażu współczesnej kultury. Osobiście może mnie to boleć, ale nie oszukuję się, nie zamykam oczu na zmiany.

**Twoją twórczość wielokrotnie porównywano do pisarstwa Lema. Powiedziałeś kiedyś, że w swoim pisarstwie nie wypierasz się Lemowskich inspiracji oraz że Lemowy racjonalizm będzie w Tobie tkwił aż do śmierci. Czy po latach jest to nadal aktualne? Czy dzisiaj Twoim pisarstwem rządzą zupełnie inne inspiracje?**

Tu nawet nie trzeba moich głębokich introspekcji – ten sąd o moich tekstach jest dość powszechny. Oczywiście zmieniam się z czasem. Inspiracje się kumulują. Nie jestem tym, kim byłem rok, pięć, dziesięć lat temu. Ale nie zmienię swojej przeszłości, korzeni, lektur inicjacyjnych. Tego, że mając pięć, sześć lat wsiąknęłam w Lema przez *Śledztwo* i czytałam potem taśmowo wszystko Lema, co wpadło mi w ręce.

**W 2017 roku opublikowałaś własne spolszczenie *Jądra ciemności* Josepha Conrada (pod tytułem**

***Serce ciemności*). Zawsze chciałem zapytać, co skłoniło Cię do podjęcia tego eksperymentu translatorskiego. Powieść Conrada należy do klasyki i miała już kilka polskich tłumaczeń. Ona sama jako całość, ale i niektóre jej elementy weszły do świadomości paru pokoleń czytelników.**

*Heart of Darkness* weszło mi w mózg jak złośliwy wirus memetyczny od pierwszej jego lektury w oryginale – w odróżnieniu od wcześniejszej, licealnej lektury przekładu Zagórskiej, który zostawił mnie obojętnym. Lecz przeczytawszy oryginał, nie mogłem się uwolnić od wizji i sensów, jakie żyły tam pod tekstem – od tego, do przekazania czego Conrad tekstu i słów tylko użył. I to jako dalece niedoskonałego narzędzia, jak sam o tym wprost mówił. Od razu wtedy napisałem *Serce Mroku* [opowiadanie opublikowane w „Nowej Fantastyce” w 1998 roku – przyp. PS] jako swoistą wariację na temat, ale też rodzaj autoegzorcyzmu. Znam innych fascynatów tej noweli Conrada, którzy opowiadają wręcz o „opętaniu” przez *Heart of Darkness*.

Dopiero po z górą dwudziestu latach, gdy bardziej teoretycznie zająłem się historią i analizą wpływu różnych metod transferu przeżyć – od słowa mówionego przez pisane do technologii pozwalających przekazywać przeżycia bezpośrednio, bez kodujących je symboli – uderzyło mnie znaczenie *Heart of Darkness* jako tekstu granicznego. Oto pierwsza literatura, która świadomie przepracowuje owe ograniczenia słowa mówionego i pisanego, i wyświetla dramat człowieka usiłującego przekazać innym swoje przeżycia, pomimo tak niewielkiej przepustowości języka jako kanału przesyłu informacji. Conrad pisał o tym wszystkim *explicite*. Nie mogłem się już wycofać, pozostać przy samej teorii; czułem, że muszę spróbować oddać nie słowa Conrada, ale to, co było pod nimi i przed nimi.

**Gdy Netflix wyszedł z pomysłem nakręcenia serialu opartego na jednym z wątków Twojej książki *Starość aksolotla*, początkowo nie byłeś chętny do współpracy. Co przekonało Cię do tego pomysłu?**

Pomysł nie wyszedł od Netflixa, to Tomek Bagiński powziął taką ideę. Sporządziliśmy przez lata kilka wersji pitchu [ang. prezentacji – przyp. PS]; wędrował on po różnych studiach. Netflix go kupił, gdy zbiegły się pomyślnie różne warunki produkcyjno-biznesowo-ludzkie, między innymi zaangażowanie Jasona George’a, scenarzysty i producenta.

**Na razie tylko dwóch polskich twórców doczekało ekranizacji swoich książek przez Netflixa. Na podstawie Twojej *Starości aksolotla* nakręcono serial *Kierunek noc (Into the Night)*. Jak teraz oceniasz współpracę z filmowcami z punktu widzenia**



**Jacek Dukaj** urodził się w 1974 roku w Tarnowie. Studiował filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jest pisarzem i publicystą, jednym z najbardziej znanych i cenionych polskich twórców *science fiction*. Autor wielu powieści i zbiorów opowiadań, między innymi *Xavras Wyżryn*, *Czarne oceany*, *Perfekcyjna niedoskonałość*, *Extensa*, *Inne pieśni*, *Lód*, a także zbioru esejów *Po piśmie*. Nominowany do Literackiej

Nagrody Europy Środkowej „Angelus”, Nagrody im. Józefa Mackiewicza i Nagrody Literackiej Nike, czterokrotnie nominowany do Paszportu „Polityki”, laureat Nagrody Kościelskich i Nagrody im. Janusza A. Zajdla (sześciokrotnie). Stworzony na podstawie jego opowiadania *Katedra* film animowany Tomasza Bagińskiego był nominowany do Oscara. Mieszka w Krakowie.

**pisarza – autora literackiej podstawy? Czy przyniosła jakieś ciekawe doświadczenia?**

Dla mnie to przede wszystkim okazja do poznania od praktycznej strony jak produkuje się kulturę audiowizualną i to w największej korporacji dostarczającej dziś ludzkości te cyfrowe treści życia. Nie ukrywam przekonania, że ów generalny skręt cywilizacyjny – od tworców kultury niesionych w symbolach, piśmie, do przekazywanych wprost do zmysłów – stanowi kluczowy proces naszej epoki. A samo *Into the Night* ze *Starością aksolotla* ma związek wyłącznie na poziomie ogólnego konceptu; fabuła serialu wyszła z głowy Jasona George'a. Więc niespecjalnie biorę go do siebie.

**Pamiętam Twój głośny tekst z „Gazety Wyborczej” *Lament miłośnika cegieł*, w którym wyrażałeś tęsknotę za tradycyjnie napisanymi, rozległymi powieściami epickimi. Czy lament został wysłuchany? Czy dostrzegasz w dzisiejszej polskiej literaturze twórców piszących solidną realistyczną prozę?**

Od tamtego czasu niemal wszystko się zmieniło. Dziś te same trendy dominują na Zachodzie i w Pol-

Lekturami obowiązkowymi powinny być teraz prace Carla Schmitta i Giorgio Agambena o permanentnym stanie wyjątkowym.

sce. Sukces odnoszą powieści, które się czyta tak, jakby oglądało się seriale – więc albo jako cykle, albo właśnie jako grube tomiścza. Jakub Żulczyk i Elżbieta Cherezińska stanowią niezłe przykłady. Należałoby więc raczej lamentować nad niedostatkiem literatury traktującej o tym, czego nie można zobaczyć ani usłyszeć; o tym, co nigdy nie trafi na ekran. **Ty sam po opasyłach książkach takich jak *Inne pieśni*, *Lód* czy *Król Bólu*, które pozwalały czytelnikom zanurzyć się w oceanie prozy, wydajesz pozycje krótsze, mniejsze, eseistyczne – *Starość aksolotla*, *Imperium chmur*, *Po piśmie*. Czy to trwała zmiana?** Nie wiem. Musiałbym znać przyszłość, w tym moje przyszłe fascynacje i przypadki życiowe, żeby odpowiedzieć na to pytanie.

**Rozmawiamy o grubych realistycznych powieściach, a tymczasem w swoim głośnym eseju *Po piśmie* prognozujesz koniec epoki pisma. Jak to zmieni naszą kulturę? Jak bardzo ją zuboży i uprości? A może będzie to tylko zmiana formalna – pismo zastąpią obrazy bez straty na wartości przekazu?** Pismo i ogólnie słowo tracą na znaczeniu na naszych oczach. Obserwujemy przenoszenie kolejnych funkcji, zawodów, dziedzin życia z tradycji i technologii wymagających posługiwania się piśmem, ideami, symbolami, logiką – w opierające się na przekazie zmysłowym, głównie obrazach, oraz na emocjach i szybkich skojarzeniach. W książce szczegółowo analizuję zakresy, w jakich zmiana następuje najszybciej, i ich konsekwencje na różnych polach.

Można dzisiaj na przykład przeprowadzić takie rozumowanie: 1) W demokracji kierunki polityki teoretycznie są wytyczone przez decyzje dziesiątek i setek milionów ludzi. 2) Ludzie w coraz większym stopniu kierują się emocjami i skojarzeniami

wzrokowymi aniżeli logiką, ideami, dalekosięznymi rozumowaniami. 3) W konkurencji międzynarodowej zwyciężają podmioty planujące racjonalnie i długofalowo, a przegrywają te miotane emocjami i doraźnymi bodźcami. 4) Aby w państwie z postpiśmienną większością utrzymać procedury demokratyczne, racjonalnie planujące elity tego państwa muszą skutecznie manipulować wyborcami ku takim ich pozornie „podmiotowym” decyzjom, aby demokracje nie przegrywały z kretesem w konkurencji z niedemokratycznymi merytokracjami takimi jak Chiny. Alternatywą jest manipulacja demosem przez elity obcych państw.

**Katastrofy, epidemie, apokalipsy to stałe tematy literatury fantastycznej. Czy pandemia, którą właśnie przeżywamy, może się stać literackim materiałem?**

Już się stała. Dla literatury niefantastycznej, dla *non-fiction*.

**Coraz częściej można usłyszeć wypowiedziane jako pewnik stwierdzenie, że po pandemii nic już nie będzie takie samo jak przedtem. Czy uważasz, że to prawda? Jakże właściwie trwałe zmiany w naszym życiu wywołała ta pandemia? I czy rzeczywiście mają one nieodwracalny charakter?**

O absolutnej nieodwracalności nie sposób wyrokować, nie znając przyszłości. Ale już widać głębokie zmiany w wielu dziedzinach. Tak jak pisałem w eseju, jest to bardziej przyspieszenie trendów już znanych, lecz dotąd blokowanych, opóźnianych; pandemia wniosła wiele ograniczeń.

Generalny kierunek przemian wyznaczają: rosnąca kontrola państwa i wielkich korporacji nad ludźmi, przenoszenie pracy i życia z realu do sieci, dewaluacja pieniądza fiducjarnego i przechodzenie do cyfrowego systemu finansowego (CBDCs, crypto, nieanonimowy blockchain), zanik klasy średniej i jej prywatnej własności, koniec globalizacji w przestrzemi fizycznej, upadek Pax Americana i otwarcie epoki dominacji Chin, przyjęcie jako modelu bezalternatywnego rządów technokratycznych elit. Na Wschodzie mogą one rządzić otwarcie, a na Zachodzie – za pomocą coraz celniejszego pobudzania emocjonalnego mas przez media i coraz ściślejszego reżyserowania teatru demokracji.

Lekturami obowiązkowymi powinny być teraz prace Carla Schmitta i Giorgio Agambena o permanentnym stanie wyjątkowym. A z polskiej literatury – powieści Janusza A. Zajdla. Programowany pieniądz cyfrowy połączony z gwarantowanym dochodem minimalnym to przecież świat z jego *Limes inferior*. A żeby omijać cenzurę w internecie, już dzisiaj na YouTube mówimy koalangiem z *Paradyżi*, peryfrazami i synonimami, oszukując algorytmny Big Techu.



**Paweł Stachnik** – dziennikarz i redaktor, absolwent UJ, autor artykułów historycznych zamieszczanych w „Dzienniku Polskim”, „Gazecie Krakowskiej”, „Sowińcu” i innych tytułach, miłośnik Krakowa, fantastyki i dobrego piwa.



STU to mój debiut sceniczny – jeszcze jako student PWST w Krakowie – w *Wielkim Fryderyku* i spotkanie z Jerzym Nowakiem, Jerzym Bińczyckim i Jankiem Fryczem. Pierwszy angaż, pierwsza garderoba, pierwsza premiera i pierwsza publiczność, która kupiła bilety. To się pamięta całe życie.

*Krzysztof Głuchowski (reżyser teatralny, dyrektor Teatru im. J. Słowackiego)*

STU to nie tylko teatr, ale przede wszystkim zjawisko i stan umysłu. Każde zaproszenie na nowość, jaka powstaje w przy alei Krasińskiego, niesie za sobą – lecąc Pilchem – ekscytację w sensie ścisłym. I za to Kocham STU.

*Andrzej Wyrobiec (dyrektor Teatru Bagatela)*

Jak Proteusz, co przed namolnymi osobnikami umykał, zmieniając postać – tak przed łaknącą stałości tłuszcza teatr STU umyka od lat 55, wciąż zmieniając estetykę. To jeden z przyjemniejszych dla widza dowodów, iż lepiej uczyć się od mitów niż od nowoczesności. Niech więc STU już zostanie w tej klasie.

*Paweł Głowacki (miesięcznik „Kraków”)*

Teatr STU to więcej niż rodzina, bo odkąd bywam, czyli od 45 lat, wyjście do STU zawsze zaskakuje, choć po tylu latach można się przyzwyczaić do genialnej reżyserii, gwiazdorskich kreacji, najlepszych z najlepszych, fantastycznej mieszanki doświadczenia i młodości na scenie i – tu sobie przybasuję – niepowtarzalnej publiki na widowni. Tę jedyną w swoim rodzaju mieszankę wykreował Dyrektor, nazywając ją rodziną STU.

*Krzysztof Smolarski (Consultronix)*

# Andrzej Brzeziecki *Wielka gra majora Żychonia*

Ta książka to niemal gotowy scenariusz filmu sensacyjnego, trzymającego w napięciu od pierwszej minuty do napisów końcowych. Mamy tu bowiem walkę polskiego wywiadu z wrogimi mocarstwami z czasów 20-lecia międzywojennego i II wojny światowej, spektakularne akcje, werbowanie agentów, misterne, szpiegowskie gry, ale też piękne kobiety, luksusowe samochody, wystawne przyjęcia i sceny niczym z Bonda. Lecz przede wszystkim mamy znakomitego bohatera – majora Jana Henryka Żychonia, wybitnego oficera wywiadu II RP, który grywał na nosie swoim przeciwnikom po niemieckiej stronie,

kierując delegaturami wywiadu na Śląsku i na Wybrzeżu. I jak na pełnokrwistą postać przystało, był mężczyzną lubiącym zabawę, alkohol i niewybredne żarty, a przy tym często wymykającym się jednoznacznym ocenom. Podejrzewano go o zdradę i pracę dla niemieckiego wywiadu, choć dowodów nigdy nie przedstawiono. Nawet gdy zginął pod Monte Casino, nie zabrakło głosów, że była to znowu mistyfikacja i kolejna gra majora. Gotowy film? Owszem, choć wszystkie zdarzenia i postaci, o których pasjonująco i skrupulatnie pisze Andrzej Brzeziecki, są prawdziwe. (red.)

## Ciotkarze i Kuny

Melduję, że drogą »ciotki« zdobyłem następujące informacje...”;

„W załączeniu przedkładam uzyskaną drogą ciotek fotografię...”; „Melduję, że drogą ciotek stwierdziłem...”;

„Melduję, że drogą »ciotki« uzyskałem następujące adresy...”

„Melduję, że przez zorganizowaną pracę »ciotek« mam możliwość wglądu do korespondencji niemieckiej przewożonej w pociągach tranzytowych” – pisał w swych raportach, między innymi do szefa Oddziału II Sztabu Głównego Jan Henryk Żychoń. Adresat doskonale wiedział, kim lub czym są i co robią owe „ciotki”.

Pod tym kryptonimem kryła się jedna z największych operacji Oddziału II i jeden z największych sukcesów szefa bydgoskiej ekspozytury. Do historii operacja ta przeszła pod późniejszą nazwą „Wózek”, ale wszystko zaczęło się właśnie od „ciotek”. Określenie „ciotka” pojawiło się już w 1925 roku przy okazji (...) przechwytywania poczty niemieckich konsulatów na południu Polski. Żychoń pracował wówczas w krakowskiej ekspozyturze i „ciotka” była najprawdopodobniej właśnie jego pomysłem, choć podpułkownik Stefan Mayer jako jej inicjatora wskazywał szefa tejszej ekspozytury majora Adama Studenckiego. „Jednak słyshałem, że i w tamtej aferze mjr Żychoń brał jakiś większy udział” – dodawał Mayer. Pewne jest więc, że Żychoń był przy początkach akcji. Potem prowadziła ją ekspozytura w Poznaniu, ale na mniejszą skalę. W żargonie Oddziału II „ciotkowanie” było regularną kontrolą poczty; założyć komuś „ciotkę” oznaczało rozpoczęcie inwigilacji poprzez czytanie listów danej osoby.

Gdy Żychoń został szefem ekspozytury nr 3 w Bydgoszczy, polecił zorganizowanie zespołu, który przechwytywałby niemieckie listy w pociągach z Rzeszy do Prus Wschodnich i Gdańska. Pociągi te jeździły kilkoma trasami, między innymi przez Tczew, Chojnice i Wejherowo. Zespół działający na trasach przechodzących przez Chojnice i Wejherowo zebrał kapitan Marian Włodarkiewicz.

Było kilka rodzajów pociągów i do każdego z nich należało zastosować inną technikę. Składy osobowe i pośpieszne, z których każdy miał wagony pocztowe, otrzymywały w Polsce polską lokomotywę oraz załogę konduktorską, ale niemieccy funkcjonariusze pocztowi jechali w wagonach Deutsche Reichspost. Inaczej rzecz się miała z pociągami towarowymi, które czasami przewoziły sprzęt wojskowy. Bywało nawet tak, że w pociągu tranzytowym jechali niemieccy żołnierze. Niemcy mieli prawo do określonej liczby transportów wojskowych i towarowych, specjalna umowa zapewniała też przewożenie pasażerów bez konieczności kontroli. Wszystko to regulowały traktat wersalski oraz odpowiednie umowy polsko-niemieckie zawarte jeszcze w latach dwudziestych. Zgodnie z nimi żołnierze musieli złożyć broń w wyznaczonym miejscu i podróż spędzić w jednym wagonie, z kolei pasażerowie, którzy nie podlegali formalnościom paszportowo-celnym, nie mogli w czasie jazdy wysiadać ani otwierać okien. Wspomniane umowy miały ułatwiać Niemcom transport przez terytorium polskie, jednocześnie dawały też pole do popisu wywiadowcom z Oddziału II. Zaiste, potrzeba przeważnie bywa matką śmiałych pomysłów.

By mieć jak największą kontrolę nad przejeżdżającymi przez Polskę pociągami, bydgoska ekspozytura starała się umieszczać w nich swoich ludzi. W tym celu weszła w konszachty z dyrekcją kolei w Toruniu. „W sprawie wyboru ludzi do »wózka« jeździłem osobiście kilkakrotnie do Torunia i konferowałem z dyrektorem, inż. Dobrzyckim” – wspominał Witold Langenfeld, prawa ręka Żychonia w drugiej połowie lat 30.

Ślad takich rozmów znajdujemy w jednym z dokumentów przechowywanych dziś w Centralnym Archiwum Wojskowym. Otóż Oddział II odbył negocjacje z kierownikami PKP w „sprawie przydziału agenta jako nadetatowego bagażowego na linii Toruń–Dt. Eylau, która została załatwiona przychylnie przez wymienionych panów, z tem że wynagrodzenie kilometrowe zostanie pokryte przez P.O. [posterunek oficerski], gdyż przydział etatowy na tym szlaku jest niemożliwy wobec braku podstaw ku temu”. Współpraca z koleją była tak dalece posunięta, że jej dyrekcja w Toruniu na potrzeby Oddziału II układała rozkład jazdy pociągów, a czasami wydłużała ich przejazd przez terytorium polskie.

Żychoń nie miał problemu z tym, by do akcji zaangażować także byłych kryminalistów, którzy w poprzednim życiu włamywali się do kas, a teraz mieli służyć Polsce.

Akcja „Ciotka” ruszyła w lipcu 1930 roku. Od tej pory polska obsługa pociągów tranzytowych, zarówno kolejarze, jak i pocztowcy, składała się z agentów ekspozytury bydgoskiej. Ich zadaniem było wejść w dobre relacje z niemieckimi funkcjonariuszami pocztowymi – innymi słowy, ugościć ich „po słowiańsku”. Agenci Oddziału II mieli więc ze sobą gęsi, kury, kaczki czy też masło, „na które urzędnicy niemieccy byli bardzo łasi”, jak opisywał później Witold Langenfeld.

„Nierzadko odbywał się w czasie jazdy poczęstunek kolegów niemieckich wódką »polską czystą«. To sprzyjało budowaniu dobrych relacji między polskimi i niemieckimi pocztowcami. Polacy zabawiali Niemców rozmową, a ci potem, gdy pociąg zbliżał się do granicy, by „wyrównać czas stracony na »bibie«,” prosili ich o pomoc przy sortowaniu poczty. To był kluczowy moment, bo dawał okazję, by podebrać wyglądające na wartościowe przesyłki – takie trafiały do oficera Oddziału II jadącego tym samym pociągiem, który fotografował listy i dokumenty, a następnie przywracał list czy paczkę do stanu pierwotnego. Przejrzane przesyłki trafiały do wagonu pocztowego w kolejnym pociągu.

Istotnym elementem planu była wiedza, że Niemcy numerują tylko worki z przesyłkami, a więc nie orientowali się, jeśli nieewidencjonowany list przychodził kilka godzin później, w następnym składzie. Przy olbrzymiej ilości poczty i zachowaniu środków ostrożności wykrycie akcji Polaków było właściwie niemożliwe.

Urzędników pocztowych, którzy wykradali niemiecką korespondencję, ochrzczono potem mianem „kun pocztowych”.

W popularnym w latach 90. XX wieku serialu *Pogranicze w ogniu*, którego odcinek 17 poświęcony był akcji „Wózek”, Cezary Adamski, fikcyjny oficer Oddziału II i jeden z głównych bohaterów serialu, który wiele elementów biografii zapożyczył od Żychonia, tak charakteryzuje „kuny pocztowe”: „mały drapieżnik, coś w rodzaju łasicy. Zakrada się do kurników i wysysa mózdzki z kurzych łebków, niemal nie zostawiając śladów”. Tak właśnie działały kuny z Oddziału II – bez śladów. Po latach Stefan Mayer opowiadał, że jedyną rekompensatą dla pocztowców stanowiły „nadane im na wniosek ekspozytury Krzyże Zasługi i rokrocznie przesyłane na Nowy Rok najlepsze życzenia i kosz wina”. Nie była to prawda – agenci dostawali wypłaty, prezenty wręczano najpewniej dyrektorom kolei.

„Najczęściej przejmowaliśmy w ten sposób korespondencję między niemieckimi stoczniami a admiralicją, dotyczącą budowy okrętów, względnie korespondencję między stoczniami lub innymi fabrykami przemysłu wojennego. Korespondencja taka przedstawiała dla wywiadu znaczną wartość. Czasami też wpa-

**Akcja „Ciotka”, przemianowana potem na „Wózek”, była źródłem większości informacji zdobytych przed wojną przez Oddział II wywiadu RP temat Niemiec.**

dała w nasze ręce tą drogą poczta wojskowa” – wspominał Janusz Rowiński, jeden z ludzi Żychonia, który nadzorował akcję. Zdarzało się, że w wagonach pocztowych jechały tajne przesyłki. Były przewożone w specjalnych workach, a każdy taki worek zawierał spis zawartości. Ówczesna technika nie pozwalała dobrać się do tej poczty bez ryzyka dekonspiracji, zostawiano ją więc w spokoju. Niemcy co jakiś czas udoskonalali zabezpieczenia. Z początkiem 1931 roku Reichswehra zaczęła wysyłać wszystkie swe listy jako polecane i zapieczętowane lakiem. Ich otwarcie i ponowne zamknięcie bez śladów zajmowało więcej czasu. Innym razem na trasie Strzebielino–Malbork Polacy natknęli się na plombowane worki – to przerwało prace na około pół roku, do czasu aż dzięki współpracy z pocztą w Chojnicach udało się zdobyć niemieckie plomby i nauczono się je podrabiać. Ponieważ jednak zawsze istniało ryzyko wpadki, agenci – owe „kuny pocztowe” – w razie przyłapania przez swych niemieckich kolegów mieli zeznawać, że szukali listów z pieniędzmi. Inaczej groziła im kara za szpiegostwo, a tak „tylko” za kradzież. Poza tym wyspa mogła „spowodować przykrości na tle polityki zagranicznej”. I rzeczywiście, w 1934 roku doszło

do wyspy agenta nieostrożnie dobierającego się do niemieckiej poczty na trasie Neu Beuthen-Dt. Eylau. Złapany na gorącym uczynku, twierdził, że szukał w kopercie dolarów. Musiał to robić wiarygodnie, bo odsiedział tylko sześć miesięcy.

Raz zdarzyło się, że jeden z agentów natrafił na rulon – wszystko wskazywało na to, że był to jakiś szkic konstrukcyjny. Agent nie miał innego wyjścia, jeśli chciał wykraść materiał, jak tylko wyrzucić go z pociągu. Pech chciał, że padał deszcz – rulon zamókł, był cały upakowany błotem. Żychoń chciał materiał zachować, ale przekonany przez współpracownika, zgodził się, by go jednak z powrotem podrzucić Niemcom. Przesyłkę jeszcze bardziej uszkodzono i podrzucono ją przy torach, ale już na terenie Prus Wschodnich, tak by przeciwnik nabrał przekonania, że feralny rulon wypadł po prostu z pociągu. Kolejarze będący na usługach Oddziału II zameldowali, że po tym zdarzeniu niemiecka obsługa nie była już tak wylewna i towarzyska wobec polskich konwojentów. Zarządzono więc dwumiesięczną przerwę w operacji do czasu, aż relacje między polskimi i niemieckimi pocztarzami wróciły do normy. „Obsługa niemiecka zmieniła się, przyszli nowi ludzie, których znów zjednano sobie poczęstunkami i obdarowywaniem żywnością, na którą Niemcy zawsze byli chciwi” – mówił jeden z oficerów Oddziału II.

W tranzytowych pociągach towarowych, które zaczęto obrabiać w 1935 roku, sprawy miały się trochę inaczej. Tu także na potrzeby ekspozytury Żychonia pracowali zwerbowani kolejarze – odpowiednią drużynę lokowano w pociągu, gdy ustalono, że będzie on przewoził cenny sprzęt wojskowy. Ludzie ci byli wyposażeni w specjalistyczny sprzęt, między innymi klucze i plombownice.

Największy problem stanowiły właśnie plomby. Ale i na to znaleziono sposób: nauczono się je podrabiać. W dokumentach ekspozytury bydgoskiej można znaleźć prośbę Żychonia do szefostwa Oddziału II o odpowiednie plomby sporządzone według wzoru, a także prośbę o materiały potrzebne do pracy „ciotkarzy”, czyli agentów wkradających się do pociągów. Chodziło między innymi o tryskawki kompletne, grzejniki elektryczne 220 V, mikropalniki, skalpele, gips wyciskowy, porcelanę porowatą, rękawice gumowe, a nawet oliwę, alkohol, wate i aceton. Zanim zaczęto włamywać się do wagonów, przeprowadzono dokładne badania, jak były one zamykane. Agenci Oddziału II wyprawili się też do Rzeszy, by zakupić tam sznurki, druty i kłódki, jakich używała niemiecka poczta – okazało się, że były to standardowe kłódki dostępne w niemieckich sklepach. Wszystko po to, by móc otworzyć wagony, przetrząsnąć listy i zamknąć je w sposób niebudzący podejrzeń. „Technika naszej pracy tak w wagonie, jak i przy wykorzystywaniu samej korespondencji była bardzo staranna i nie pozostawiała śladów” – opowiadał Rowiński.

Należało więc, zachowując pełną dyskrecję, zwerbować maszynistów, którzy po wjechaniu na polskie terytorium zwolniliby bieg pociągów, a także konduktorów, którzy przymykałiby oczy na działania ludzi Żychonia. Oni zaś powinni umieć włamać się do składu i szybko przejrzeć worki pocztowe w poszukiwaniu cennych materiałów, konieczna więc była dobra znajomość niemieckiego oraz wiedza o niemieckim wojsku, bo polski wywiad najbardziej interesowała korespondencja Reichswehry. Gdy na pierwszoplanowych graczy po 1933 roku wyrosły takie formacje jak SA i SS, także ich korespondencja znalazła się w polu zainteresowania ludzi Żychonia. Z tym wiązały się nowe wyzwania: SA wysyłała swe listy nie na adresy jednostek, ale poszczególnych funkcjonariuszy, zatem ludzie przeglądający worki z listami musieli znać aktualną obsadę oddziałów Sturmabteilung. Ekspozytura w Bydgoszczy starała się być na bieżąco z awansami i wszelkimi innymi zmianami personalnymi w niemieckich formacjach militarnych.

Według Stefana Mayera to Żychoń każdorazowo decydował o podjęciu akcji. Sama operacja wyglądała następująco: po przekroczeniu polskiej granicy, gdy w pociągu nie było już niemieckich kolejarzy, współpracujący z Oddziałem II maszynista zwalniał bieg pociągu i w tym momencie zjawiali się „ciotkarze”, włamywali się do wagonów i przeglądali ich zawartość. Bywało, że część materiału w odpowiednim momencie wyrzucano z pociągu. A zatem w czasie około dwugodzinnego przejazdu przez polski odcinek, liczący niewiele ponad sto kilometrów, należało zerwać plomby, wykraść odpowiedni sprzęt i założyć nowe plomby. W teorii może to wyglądać na łatwe zadanie, w praktyce jednak wymagało ścisłej koordynacji wielu elementów. Żychoń bardzo więc dbał o to, by za „ciotki” odpowiadali sprawdzeni ludzie. Gdyby bowiem Niemcy dowiedzieli się o tych działaniach, na pewno chcieliby wywołać międzynarodowy skandal.

„Po włamaniu do wagonów można było wykonać fotokopie ważniejszych dokumentów lub nawet zatrzymać pakiety korespondencji i podrzucić je do worków w następnym pociągu. Przewożone w dużych ilościach wyposażenie wojskowe, na przykład maski gazowe, mundury, sprzęt optyczny czy fragmenty uzbrojenia, można było po prostu wykraść” – pisze Wojciech Skóra.

Stefan Mayer wśród cenniejszych trofeów wymieniał wielostronicowy materiał dotyczący prac niemieckiego kontrwywiadu. „Poza bardzo dla nas interesującymi fragmentami teoretycznych rozważań na temat bezpieczeństwa w Niemczech [...] znaleźliśmy w tym opracowaniu dokładne opisy spraw naszych agentów, którzy w okresie sprawozdawczym zostali przez niemiecki kontrwywiad zlikwidowani”.

Wykradaniem sprzętu zajmował się „specjalista ślusarz”. „W wypadku gdy zachodziła konieczność rozmontowania lub wymontowania

jakichś przedmiotów, nie było trudności technicznych” – opowiadał Mayer. „Zdobyto w ten sposób między wielu innymi rzeczami niemiecki karabin lotniczy, pociski armatnie, części wyposażenia niemieckiego żołnierza, a nawet bagaże żołnierzy wyjeżdżających, względnie wracających z kursów wojskowych, w których to bagażach znajdowały się nieraz bardzo cenne zapiski i notatki z tychże kursów” – wspominał Janusz Rowiński. Zdarzało się jednak, że urobek z akcji był znikomy. „Istotnie nie zawsze było tak – wspominał Mayer – aby ten wielki wysiłek, który trzeba było zrobić, aby dostać się do niemieckiego wagonu pocztowego, przynosił rolki filmów sfotografowanych dokumentów niemieckich, wartościowych z punktu widzenia wywiadowczego. Czasem nie było nic albo prawie nic takiego, co nadawałoby się do sfotografowania”.

Zdaniem Rowińskiego Niemcy nie mogli nie zauważyć, że ginie sprzęt, ale jeśli plomby były w porządku, najpewniej zakładali, że zaginął przy załadunku jeszcze w Niemczech. Rowiński nieraz ostrzegał Żychonia, że wykradanie sprzętu może się skończyć katastrofą, ale szef bydgoskiej ekspozytury najwyraźniej nie przejmował się ryzykiem. Nic dziwnego – była to dla niego kura znosząca złote jajka.

Wiedza z akcji „Ciotka” stanowiła sześćdziesiąt procent tego, co w danym okresie udało się Oddziałowi II dowiedzieć na temat Niemiec, zaangażowanych w nią było około dziesięciu agentów ofensywnych, a cały koszt operacji wynosił mniej więcej tysiąc złotych miesięcznie, a więc jakieś dwa procent budżetu ekspozytury.

„Ciotkowano” nie tylko w pociągach. Przez dworzec kolejowy w Tczewie przechodziły składy do Prus Wschodnich z Gdańska i Rzeszy – łącznie w ciągu doby było tych pociągów aż dziewięć. Tczew leżał na granicy II Rzeczypospolitej oraz Prus Wschodnich, był także swoistą bramą do Wolnego Miasta Gdańska. Właśnie w Tczewie poczta z Gdańska do Prus Wschodnich oczekiwała w zaplombowanych workach na pociąg z Niemiec, który przyjeżdżał kilkadziesiąt minut później. Zwerbowany w 1935 roku naczelnik urzędu pocztowego brał worki do swojego gabinetu, gdzie agenci Dwójki zabierali się do pracy. Gdy nadjeżdżał pociąg z Berlina, ładowano do niego niebudzące niczyich podejrzeń worki i przesyłki trafiały do adresatów w Królewcu i innych miastach.

Współpraca z władzami poczty i kolei była kluczowa dla powodzenia akcji. Tu też Żychoń polegał na sprawdzonych ludziach. Gdy jeden z dyrektorów kolei na Pomorzu miał w 1934 roku odejść na emeryturę, ekspozytura w Bydgoszczy interweniowała w Warszawie, by odroczyć termin odejścia urzędnika w stan spoczynku.

Co ciekawe, „Ciotka”, a następnie „Wózek” służyły nie tylko do wykradania poczty, ale do jej... podrzucania w celu utrzymywania korespondencji z agentami w Rzeszy. Ekspozytura

w Bydgoszczy dysponowała całym zestawem pieczętek pocztowych z różnych miast niemieckich i oczywiście całymi kompletami niemieckich znaczków. „Kuny pocztowe” podrzucały listy do worków i te potem trafiały do adresatów jako nadane z terenu Niemiec. „W ten sposób unikano cenzury listów »zagranicznych« wysyłanych do własnych agentów”.

Historycy i znawcy tematu do dziś się spierają, czy Niemcy wiedzieli o wykradaniu poczty czy też nie. Wydaje się oczywiste, że musieli podejrzewać, iż ich poczta jest wykradana, ale być może nie przykładali do tego większej wagi. Ostatecznie w ten sposób – czyli tranzytem przez polskie terytorium – przesyłano zwykłą pocztę. Można z niej było, rzecz jasna, wyciągnąć bardzo interesujące informacje, ale tylko szczęśliwym trafem zdarzały się przesyłki specjalne, na ogół z powodu ludzkiego błędu. Raz pewna tajna instrukcja dotycząca zaopatrywania wojska w polu trafiła omyłkowo do Królewca zamiast do Drezna. Z Królewca, przez ewidentne niedbalstwo, odesłano ją już zwykłym tranzytem i tak wpadła w ręce Oddziału II.

Z niemieckiej instrukcji wydanej w 1936 roku i dotyczącej przewozu przesyłek można wywnioskować, że Niemcy podejrzewali, iż ich poczta jest przeglądana, ale dotyczyło to tylko przesyłek przewożonych w zwykłych, cywilnych pociągach tranzytowych, bez eskorty, a nie w wojskowych składach, gdzie znajdowali się niemieccy żołnierze lub konwojenci.

„Nigdy, aż do wybuchu wojny, nie było żadnych podejrzeń, by sprzęt mógł ginąć z pociągów tranzytowych” – zapewniał Witold Langenfeld. Miał na to dowód w postaci przechwyconych i rozszyfrowanych niemieckich depesz radiowych. Gdy brak było jakiegoś sprzętu czy materiału wykazanego w dokumentach, wówczas rozpoczynała się wymiana depesz radiowych między urzędami: tym, który sprzęt wysłał, i tym, który sprzęt odebrał. Kierownik jednego urzędu robił wyrzuty kierownikowi drugiego urzędu. Winę zaginięcia przedmiotu zganiał jeden na drugiego.

Janusz Rowiński sukces polskiego wywiadu tłumaczył tym, że nawet Niemcy czasem okazywali się niedbali i nadawali ważne przesyłki wojskowe zwykłą pocztą, choć specjalna instrukcja zabraniała używania do tych celów pociągów tranzytowych – należało korzystać z kurierów, drogi morskiej lub samolotów. To, że wojskowa poczta trafiała mimo wszystko do składów jadących przez terytorium Polski, Rowiński kładł na karb nieostrożności, lekko-myślności i niedbalstwa zachodnich sąsiadów, tłumacząc to normalnymi błędami w funkcjonowaniu administracji „olbrzymiej, gwałtownie rozbudowywanej maszyny wojskowej niemieckiej”. W drugiej połowie lat 30. Niemcy byli już poza tym tak pewni swej przewagi nad Polską, zwłaszcza jeśli idzie o zaawansowany technicznie sprzęt, że być może nie przywiązywali wielkiej wagi do trzymania wszystkiego w ścisłej tajemnicy. Mogli zakładać, że wiedza na temat

niemieckich zbrojeń niewiele Polakom pomoże, bo nie są w stanie odpowiednio zareagować.

Najważniejszym argumentem w tym sporze jest to, że Niemcy nie zrobili z wykradania poczty – a więc naruszania eksterytorialności pociągów – afery międzynarodowej i nie wykorzystali tego propagandowo przeciw Polsce. A mieli to w zwyczaju, zwłaszcza przed 1933 rokiem, gdy jeszcze należeli do Ligi Narodów. Zgłaszali wówczas mniejsze naruszenia porozumień i traktatów, a niemiecka prasa nie przepuszczała żadnej okazji, by udowodnić Polsce złe zamiary wobec Rzeszy lub nierespektowanie międzynarodowych umów.

Marian Zacharski w książce *Operacja Reichswehra. Kulisy wywiadu II RP* przedstawia niemiecki dokument z 1935 roku, z którego wynika, że Niemcy przez lata funkcjonowania „Ciotki” zakładali, iż Polacy nie wykradają korespondencji, bo byłoby to niezgodne z honorem funkcjonariuszy poczty.

Światowy Związek Pocztowy powstał w 1874 roku i państwa do niego należące gwarantowały uczciwość w dostarczaniu przesyłek tranzytowych. Gdy jednak nabrali podejrzeń, wykonali ekspertyzy plomb na workach, których wynik był jednoznaczny: listy zostały prawdopodobnie wyjęte, sfotografowane i następnego dnia znowu włożone do worka.

Niemieccy eksperci pisali: „We wszystkich prawdziwych plombach znajduje się silniejsze wgłębienie nad cyframi »2« i »6«. Gołym okiem nie można zauważyć tych znaków. (...) Na plombach określanych jako fałszywe brakuje ich. Można bez najmniejszej wątpliwości stwierdzić, że plomby te faktycznie zostały zrobione fałszywymi plombownikami”. Różnice, widoczne jedynie pod mikroskopem, były także w innych literach. Co ciekawe, polscy eksperci chyba przedobrzyli, podrabiając plomby, bo niemiecki raport stwierdzał: „Wszystkie linie [w literach na fałszywych plombach – przyp. aut.] są istotnie lepsze i bardziej wypukłe niż w plombach prawdziwych”.

W 1938 albo 1939 roku wpadła w polskie ręce instrukcja zabraniająca przesyłania przez terytorium II Rzeczypospolitej wojskowej poczty tajnej i ważnej, Polacy więc jeszcze przed wojną zdawali sobie sprawę z niemieckich podejrzeń. Niemniej wojskowa korespondencja dalej jechała pociągami w dużych ilościach i zdarzały się przesyłki tajne. Z dokumentu opublikowanego przez Zacharskiego wynikałoby ponadto, że jeśli Niemcy nabrali wątpliwości, to dopiero w 1935 roku, pięć lat po starcie akcji, ale co ważniejsze, poczta wysyłana z Breslau do Prus Wschodnich miała znaczenie drugorzędne, a tylko tej trasy dotyczyło pismo. Historyk Marcin Przegiętka pisze: „Nie wiemy, czy pismo to przekazano władzom wojskowym, ani tym bardziej, czy trafiło ono do Abwehry”. Dlaczego jednak Niemcy, mając taką wiedzę czy choćby nawet podejrzania, nie reagowali? Istnieje możliwość, że wykorzystali ten fakt do tak lubianej przez służby specjalne inspiracji, a więc

podrzucali Polakom pocztę, dzięki której wprowadzali ich w błąd. Jeśli tak było, to dopiero od 1935 roku. Tyle tylko, że Polacy wykradali korespondencję wyrywkowo, toteż Niemcy nigdy nie mogli mieć pewności, który wagon i który worek zostanie splądrowany. Akcję przeprowadzano nieregularnie, raz-dwa razy w tygodniu, a o konkretnym jej terminie wiedziała tylko garstka osób. Musieliby więc non stop produkować niesamowite wręcz ilości fałszywej korespondencji, w dodatku wyglądającej na wiarygodną i zgodną z innymi informacjami, by nie budzić podejrzeń. W teorii to możliwe, w praktyce raczej niewykonalne.

„Inspiracja tą drogą, przy stosunkowo dużej ilości i różnorodności materiału oraz dorywczości naszej kontroli, byłaby technicznie niezwykle trudna. Ponadto, jak stwierdziliśmy, przejmowany przez nas materiał był bezwzględnie autentyczny” – oceniał Rowiński.

Czy możliwe jest zatem, że Niemcy zlekceważyli sygnały ostrzegawcze, a może uznali, że przesyłki tranzytowe nie zawierały drażliwych danych? Te naprawdę tajne szły do Prus Wschodnich drogą morską, lotniczą lub były przekazywane przez kurierów. Transport morzem i powietrzem był jednak kosztowny i w pierwszym wypadku długotrwały. Żychoń już na początku akcji oceniał zdobyte dokumenty jako cenne, a co najważniejsze, stuprocentowo pewne.

Dziś wiadomo, że akcja „Ciotka”, przemianowana potem na „Wózek”, była źródłem większości informacji zdobytych przed wojną przez Oddział II wywiadu RP temat Niemiec.



Andrzej Brzeziecki, *Wielka gra majora Żychonia. As wywiadu kontra Rzesza*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021.

Teatr STU i moje emocje? STU to moja rodzina, mój starszy o rok brat...  
Dbał o mnie, wychowywał, uczył, inspirował, prowokował, kochał  
Dzięki Ci za te emocje, Brachu! Najlepszej 55! I czekam na więcej!

*Tomasz Schimscheiner (aktor)*

Kiedy pierwszy raz zetknąłem się ze STU w latach 70. tamtego stulecia, to  
był dla mnie kosmos, inny świat, inna przestrzeń emocji. Nie wiedziałem,  
czy to jeszcze teatr czy jakaś abstrakcja zakręconych wariatów.

*Wojciech Starowieyski (Klub Krakowski)*

Miałem szczęście od studenckich lat uczestniczyć w wydarzeniach  
organizowanych przez STU. Na tej scenie powstały genialne  
inscenizacje i widowiska. Długo można wymieniać. Największe  
wrażenie zrobiły jednak na mnie niezapomniane benefisy, które  
oglądała w telewizji cała Polska. A ja niektóre widziałem na żywo.

*Artur Romanowski (Klub Krakowski)*

Mówiąc i myśląc o STU, sparafrazuję słowa jego twórcy Krzysia  
Jasińskiego: „Teatr ma sens tylko wówczas, jeżeli przychodzi do  
niego publiczność i szczerze go wypełnia”. I tak się dzieje. W tym  
miejscu czuję się częścią rodziny STU nie tylko na spektaklach, lecz  
również na tradycyjnej wigilii. A w dowód wdzięczności i uznania  
za sztukę przekazałem swój mundur generalskiej z długoletniej  
służby dla ojczyzny na ręce Krzysztofa Jasińskiego.

*gen. Mieczysław Bieniek*

# Muzyka na schyłek i początek roku

Tekst: Anna Woźniakowska Ilustracje: Wikimedia Commons/domena publiczna

**Muzyka nie tylko leczy i łagodzi obyczaje. W zależności od jej charakteru może też wywoływać skrajne emocje, wzywać do walki, rodzić agresję. Działa też jako pewien symbol ewokujący powszechnie znane skojarzenia. Z jakimi dźwiękami kojarzyć się mogą nadchodzące dni?**

Przełom roku to dla wielu czas podsumowań i planów. Ale za oknem ciemno i zimno, słońce, jeśli nawet świeci, nie budzi energii. Dla takich jak ja, kochających długi dzień i temperatury dwucyfrowe, to czas chronienia się w gawrze dającej poczucie bezpieczeństwa. Dom, fotel przy ciepłym piecu i... muzyka. To ideał niestety nieosiągalny, bo przecież życie musi toczyć się swoim utartym torem choć w tempie nieco zwolnionym, bo na szczęście Święta i Nowy Rok pozwalają nieco zwolnić.

A jeśli muzyka, to jaka? Ja w tym czasie szukam dźwięków delikatnych, pogodnych, otulających, dających poczucie bezpieczeństwa. Nie potrzebuję potężnych energii, wybuchów namiętności, muzycznych dramatów. A więc raczej muzyka kameralna niż wielkie formy symfoniczne czy oratoryjne. Choć jest jeden wyjątek. Tradycyjnie w grudniu w krakowskiej sali koncertowej zabrzmiał *Mesjasz* Jerzego Fryderyka Haendla. To znamienne, że oratorium przeznaczone przez librecistę i kompozytora na tydzień pasyjny stało się mocnym symbolem Bożego Narodzenia. Dziś oprawa muzyczna Wielkiego Tygodnia to domena Jana Sebastiana Bacha i jego obu *Pasji*. Mało kto sięga wtedy po dzieło Haendla o tematyce pasyjnej, choć tak-



Balthasar Denner (1685–1749), portret Jerzego Fryderyka Haendla, olej, 1733

Różnili się osobowościami. Mistyczna, nieco introwertyczna duchowość Bacha bliższa jest tajemnicy Męki i Zmartwychwstania. Teatralna ekstrawertyczność Haendla bardziej odpowiada majestatowi, ale i powszechnie radosnej, niemal ludycznej atmosferze Narodzin. Mnie, zagorzałą wielbicielek Bacha, właśnie *Mesjasz* pogodził z Haendlem, którego długo uważałam za twórcę powierzchownego, poszukującego popisu i łatwej akceptacji. A w najsłynniejszym z Haendlowskich oratoriów, napisanym dla Dublina w trudnym dla kompozytora momencie, po londyńskich klęskach i niemal bankructwie, urzekły mnie chóry. I to nie tyle słynny chór *Alleluja* wieńczący drugą część dzieła, wysłuchany w czasie londyńskiej prezentacji przez króla Jerzego II na stojąco (tą postawą monarcha oddał cześć Zmartwychwstałemu), co słuchacze do dziś naśladują, nie bardzo chyba wiedząc dlaczego. Bardziej porusza mnie pierwszy chór *And the Glory of the Lord* chwalący

W sali koncertowej *Mesjasz* Haendla.  
A w domowym zaciszu Mozart i Schubert,  
skandynawski jazz Anny Gréty Sigurðardóttir  
oraz bossa nova Luiza Bonfá i Carlosa Jobima.

we przeciw napisał. Równie rzadko pojawia się w grudniu Bachowskie *Weihnachtsoratorium*, czyli *Oratorium na Boże Narodzenie*, którego siła oddziaływania nie może się równać z Haendlowskim *Mesjaszem* jaśniejącym na muzycznym firmamencie jak gwiazda betlejemska. Obaj mistrzowie baroku używali niemal tych samych środków muzycznych i niemal identycznych figur retorycznych.



boski majestat, radosne *For unto us a Child is born*, które zawsze dźwięczy mi w uszach polskim tekstem *I Boży Syn nam się narodził*, bo poznałam *Mesjasza* w czasie, gdy dzieła obcojęzyczne prezentowano w naszych salach koncertowych w polskich tłumaczeniach. A szczytem Haendrowskiego kunsztu operowania zespołem chóralnym pozostaje dla mnie finał: majestatyczny chór *Worthy is the Lamb* i fuga *Amen*, której temat pojawiający się w różnych konfiguracjach coraz to potężniej, by rozjaśnić się w końcu blaskiem trąbek. Uderzenia kotłów podkreślają dodatkowo wagę chwili. A potem cisza, generalna pauza, którą kompozytor – wytrawny znawca reguł rządzących teatrem, także muzycznym – zastosował, jeszcze to narastające napięcie potęguje i wreszcie wybuchają ostatnie *Amen*, *Amen*, pięć akordów wieńczących potężną kadencją trwającą przeszło dwie godziny dzieło, które Haendel napisał w dwa tygodnie 1741 roku, a więc równo 280 lat temu.

Partytura *Mesjasza*, pełna skreśleń, poprawek, wręcz kleksów świadczy o olbrzymim napięciu twórczym, które wyraźnie słychać w muzyce. Legenda głosi, że kompozytor pisał dniami i nocami, niemal we łzach. Znając z licznych monografii charakter Haendla w te łzy nie wierzę, choć z pewnością zdawał sobie sprawę z niecodzienności tworzonej muzyki. Przyznam się, nie umiem tego *Amen* słuchać bez wzruszenia i staram się nie opuszczać koncertowych prezentacji *Mesjasza*. Słuchałam go i w monumentalnych wykonaniach, jak to było praktykowane przed półwiekiem, gdy potężny chór ledwie mieścił się na estradzie, i w kameralnych składach, gdy rozpowszechniły się tak zwane historyczne prezentacje. Słuchałam *Mesjasza* śpiewanego po polsku, niemiecku (Haendel urodził się w Hamburgu) i wreszcie po angielsku, zgodnie z oryginałem. Za każdym razem przeżycie było podobne. Co ważne, współczesna kameralna obsada nie ujmuje siły oddziaływania Haendrowskiej muzyce, pozwala natomiast dzięki przejrzystości brzmienia cieszyć się drobiazgami, barwnością muzyki, bogactwem nastrojów. Takie z pewnością będzie to grudniowe wykonanie, gdy z dziełem Haendla zmierzą się soliści, chór kameralny Filharmonii Krakowskiej i Capella Cracoviensis.

A więc w sali koncertowej *Mesjasz*. A w domowym zaciszu Mozart i Schubert. Dwaj kompozytorzy, choć na pozór bardzo różni, to przecież mający wiele wspólnego. Niewątpliwie łączył ich Wiedeń, jedyna w swoim rodzaju atmosfera miasta, o którym na przełomie XVIII i XIX wieku mówiono, że oddycha muzyką. Można znaleźć także podobieństwo ich losów, bo obaj nie umieli radzić sobie z trudami codzienności. To częsta cecha geniuszy, a Mozart i Schubert na to miano zasłużyli. Należeli do różnych epok stylistycznych, choć żyli niemal w tym samym czasie. Gdyby Wolfgang Amadeusz, czołowy przedstawiciel

klasycyzmu w muzyce, nie zmarł w 1791 w trzydziestym piątym roku życia, spotkałby się pewnie z romantykiem Franciszkiem Schubertem, który urodził się zaledwie sześć lat później, w 1797 roku. Z pewnością potrafili by się porozumieć, bo łączyły ich podobne ideały i podobnie byli wiernymi sługami muzyki, która płynęła przez nich szerokim strumieniem, przez ponad dwieście lat dając radość słuchającym ją ludziom lub pocieszając ich w smutku. Na grudniowe chłody i ciemności Mozart i Schubert są wspólnym remedium.

Z Mozarta wybieram dwa utwory. Oba związane są z instrumentem, który znany był od dawna, ale z początkiem XVIII wieku został na tyle unowocześniony, że zainteresowali się nim kompozytorzy, nie tyl-



Barbara Kraft, Wolfgang Amadeusz Mozart (portret pośmiertny), 1819

ko włączając go na stałe w skład orkiestry, ale też powierzając mu partie solowe. Mowa o klarncie, dziś wykorzystywanym w każdym gatunku muzyki, od ludowej przez pop, jazz po najbardziej renomowane sale koncertowe. Ale za czasów Mozarta był nowością. Wolfgang Amadeusz polubił jego miękki, ciepły dźwięk, bogaty w różne odcienie kolorystyczne, a gdy jeszcze poznał wspólnego klarncistę Antoniego Stadlera, musiało to zaowocować arcydziełem. Tak bowiem określany jest Mozartowski *Kwintet klarnetowy A-dur KV 581*, który po raz pierwszy zabrzmiał właśnie w grudniu w 1789 roku w Wiedniu. Tę opinię, zresztą słuszną, łatwo sprawdzić. Na YouTube znaleźć można kilka nagrań *Kwintetu*, ale wszystkie, czy to grają muzycy słynnej orkiestry The Academy of St. Martin in the Fields z klarncistą Antony Payem, czy I Solisti Aquilani z Alessandrem Carbonare, czy wreszcie japoński klarinet smyczkowy, w którym partię wiolonczeli

gra słynny Yo-Yo Ma, a na klarncie równie wyborny Seiji Yokokawa, urzekają lekkością, wdziękiem, elegancką prostotą muzyki melodyjnej, szczerzej, płynącej jakby z serca do serca. A gdy rozbrzmiewa *Larghetto* wyśpiewane przez klarnet jak najpiękniejsza aria, nad słuchającym po prostu otwiera się niebo. W walce o palmę pierwszeństwa ten *Kwintet* przegrać może jedynie z też Mozartowskim *Koncertem klarinetowym A-dur KV 622* napisanym również dla Antoniego Stadlera. Nie przypadkiem John Barry pisząc obsypaną nagrodami (Oscar, Złoty Glob i Grammy) muzykę do *Pożegnania z Afryką* w reżyserii Sydneya Pollacka, „pożyczył” od Mozarta środkową część *Koncertu A-dur*, by oprawić nią miłosny wieczór Karen Blixen i Denysa



Antônio Carlos Jobim

Fincha. To *Adagio* otula ciepłem, jest jak pogodna, letnia noc. Cóż może być piękniejsze w grudniowy wieczór? Można sprawdzić. Decca nagrała niegdyś ten koncert w wykonaniu Jacka Brymera i London Symphony Orchestra pod dyktando sir Collina Davisa. Na YouTube znaleźć można i nowsze wykonania.

A kto potrzebuje jeszcze większej intymności, temu polecam *Moment musicaux* i *Impromptus* Franza Schuberta, istne cymelia muzyki fortepianowej, które tak cudownie gra Grigorij Sokołow na płytach zawierających najczęściej nagrania *live* jego recitali. Wprawdzie z tej muzyki wieje chwilami smutek, nostalgia, ale przecież czasem oczekujemy, by muzyka nie tylko rozganiała złe nastroje, ale i z nimi należyście współgrała.

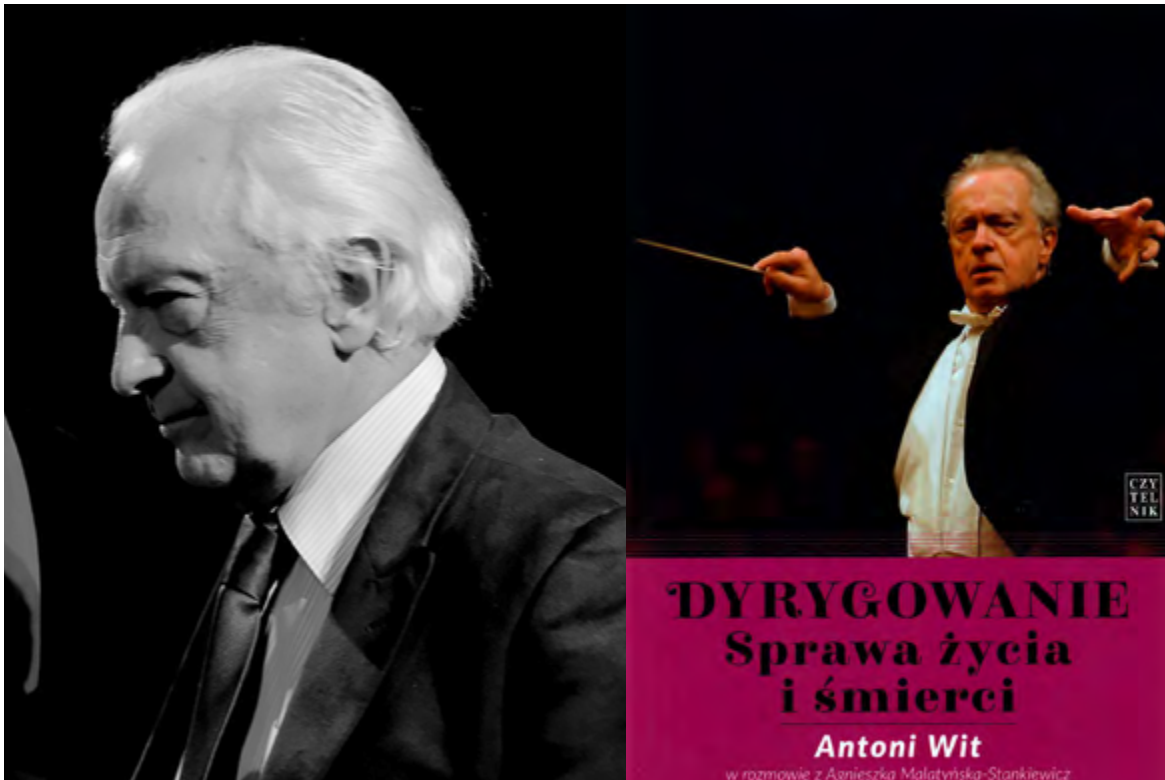
À propos fortepianu... Niedawno usłyszałam delikatne, interesujące dźwięki. Okazało się, że to debiutancki album wschodzącej gwiazdy skandynawskiego jazzu. Anna Gréta Sigurðardóttir, córka saksofonisty jazzowego,

jak samo nazwisko wskazuje urodziła się i dorastała w okolicach Reykjavíku, ale od kilku lat mieszka w Szwecji i tam rozwija swą karierę jako kompozytorka, pianistka i wokalistka. Dziś uważana jest za jedną z najciekawszych postaci skandynawskiego jazzu, o czym świadczą liczne nagrody i fakt, że to właśnie ona wystąpiła w 2020 roku w czasie ceremonii wręczenia Nagród Nobla. Jej album zatytułowany *Nightjar in the Northern Sky*, czyli *Lelek na północnym niebie*, urzeka delikatnością, spokojem, a jednocześnie pulsuje rytmem. Przesycony jest jakby rozproszonym światłem, takim jak słońce na grudniowym niebie, ale nie ma w tej muzyce uczucia zimna. Taką aurę rodzi dobry warsztat pianistyczny Anny Gréty (na afiszach pomija nazwisko), ciekawe brzmienie jej głosu i oryginalne połączenie elementów jazzu, popu i folku. Ten krążek zasługuje na uwagę. Dobrze się go słucha, bo skandynawska muzyka z łatwością śaczy się do ucha i zapada w serce.

A gdy słuchałam „nordyckich brzmień” Anny Gréty, nagle na myśl przyszła podobnie nienachalna, a przecież zapadająca w pamięć muzyka, pochodząca z kompletnie innego kręgu kulturowego, ale też łącząca jazz, pop i folk, też łagodnie rozkołysana i przesycona słońcem, tym razem intensywnym. Zabrzmiały mi w uszach bossa nova Antônio Carlosa Brasileiro de Almeida Jobima, znanego powszechnie jako Carlos Jobim, a w oczach stanął słynny film Marcela Camusa z 1959 roku, nagrodzony Oskarem *Orfeu Negro*. Starsi z pewnością go pamiętają, młodszy mogą go znaleźć na YouTube. Warto poszukać. Twórcy muzyki: Luiz Bonfá i Carlos Jobim posłużyli się wprawdzie przede wszystkim rytmami samby, bo akcja rozgrywa się w Rio de Janeiro w ostatnich dniach karnawału, ale przecież nie brakuje tam bossa nova i tego, co do południowoamerykańskiej muzyki przyszło z Portugalii, a co zawiera się w określeniu *saudade* (nostalgia, wspomnienie). A więc lekki smutek, ale i nadzieja. Bo przecież najkrótsze dni w roku wskazują, że zaraz zacznie przybywać światła, że każdy dzień będzie przybliżać nas do wiosny ewokującej zupełnie inną w charakterze muzykę. A przed nami jeszcze karnawał, oby także wypełniony pięknymi brzmieniami. Bo życie z muzyką jest po prostu łatwiejsze!



**Anna Woźniakowska** – teoretyk muzyki, absolwentka Akademii Muzycznej w Krakowie. Od lat tłumaczy czytelnikom i słuchaczom, że muzyka ułatwia życie.



# Przygotowany na szczęście

Tekst: Anna Woźniakowska

**Szczęściarz, przed którym w odpowiednim momencie otwierają kolejne wrota do kariery, czy perfekcjonista ustawicznie nad sobą pracujący? Co doprowadziło jednego z najwybitniejszych po wojnie polskich dyrygentów na szczyty? O tym Antoni Wit opowiada Agnieszka Malatyńskiej-Stankiewicz.**

Chorowite dzieciństwo przyszłego Maestra spędzane w samotności zrodziło zainteresowanie statystyką, która okazała się jednym z jego życiowych hobby, a więc zacznijmy od statystyki: działalność dyrygencka Antoniego Wita to 56 lat, 2384 koncerty i 165 przedstawień operowych i baletowych (w tym 1470 za granicą) z 235 orkiestrami w 51 państwach (w tym z czołowymi zespołami Europy, obu Ameryki i Dalekiego Wschodu), ponad 250 płyt wydanych w ponad 6 milionach egzemplarzy, 12 razy obdarzanych prestiżowymi nagrodami, w tym nagrodą Grammy poprzedzoną siedmioma nominacjami. Wśród oznaczeń Legia Honorowa i Krzyż Komandorski z Gwiazdą OOP. Można do tego jeszcze dodać wychowanków, dziś wyróżniających się polskich dyrygentów, między innymi Krzysztofa Urbańskiego, Rafała Janiaka, Dawida Runtza, a z życia prywatnego: opanowanych sześć języków, 54 450 kilometrów przejechanych na rowerze i 43 lata małżeństwa.

Za tą statystyką kryje się ciekawe i bogate życie oraz złożona osobowość artysty, który postanowił upublicznić swe doświadczenia i przemyślenia. Uczynił to w sposób dla siebie charakterystyczny. Jak napisał we wstępie: „Książka o moim życiu musi być prawdziwa i szczerza, choćby nawet miała zawierać fakty czy sprawy, z których nie jestem dumny.

Co więcej, może się zdarzyć, że wyrażę w niej nie najlepsze opinie o innych osobach – żyjących czy nieżyjących. (...) Muszę mówić i pisać tylko prawdę”.

Obserwuję Antoniego Wita od lat, w tym samym czasie studiowaliśmy w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie, a potem przez wiele lat obracaliśmy się w tym samym muzycznym świecie. Mogę więc poświadczyć, dotrzymał obietnicy, mówi prawdę. A że ta prawda składa się na fascynujący obraz nie tylko wielkiego artysty i pedagoga, ale i współczesnego świata muzycznego, to w dużej mierze zasługa prowadzącej z Antonim Witem rozmowę Agnieszki Malatyńskiej-Stankiewicz, muzykolożki, a więc znającej materię, jaka wypełnia życie jej interlokutora, a zarazem dziennikarki dyskretnie czuwającej nad tokiem wspomnień rozmówcy, dbającej o pełnię opisu wydarzeń i przeżyć. *Dyrygowanie. Sprawa życia i śmierci* to lektura ciekawa i mądra, choć czasami gorzka – jak wtedy, gdy Antoni Wit mówi o szkolnictwie wyższym i postawach młodych ludzi. Ale jej konkluzja jest wspaniała: muzyka, jeśli kocha się ją prawdziwie, daje zawsze szczęście.

*Dyrygowanie. Sprawa życia i śmierci. Antoni Wit w rozmowie z Agnieszką Malatyńską-Stankiewicz, Czytelnik, Warszawa 2021.*

# Marian Turski na cześć Ojca Stanisława Musiała

Dziennikarz (wieloletni szef działu historycznego tygodnika „Polityka”) i działacz społeczny Marian Turski oraz Anna Brzyska, zaangażowana w przywracanie pamięci o przedwojennej żydowskiej społeczności Brzeska, weszli w poczet uhonorowanych Nagrodą im. ks. Stanisława Musiała.

Przypomnijmy: Stanisław Musiał SJ od lat 80. minionego wieku jako publicysta ówczesnego „Tygodnika Powszechnego” był niestrudzonym orędownikiem pojednania polsko-żydowskiego i katolicko-judaistycznego. W 1987 roku uczestniczył w rozwiązywaniu sporu związanego z przeniesieniem klasztoru Karmelitanek z terenu obozu w Auschwitz (był sygnatariuszem tak zwanego porozumienia genewskiego w tej sprawie) i występował przeciwko akcji wznoszenia krzyży na żwirowisku w obozie. Konsekwentnie sprzeciwiał się wszelkim przejawom antysemityzmu – także w Kościele. Został między innymi pierwszym laureatem przyznawanej przez miesięcznik „Press” nagrody Grand Press w kategorii publicystyki za artykuł *Czarne jest czarne* (1997), w którym wzywał hierarchię Kościoła do reakcji na antysemickie wypowiedzi duchownych. W efekcie był przez władze kościelne i zakonne sekowany oraz marginalizowany. Zmarł w Krakowie w 2004 roku.

Nagrodę jego imienia ustanowił w 2008 roku Klub Chrześcijan i Żydów „Przymierze”. Jej fundatorami są rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prezydent Krakowa i Gmina Wyznaniowa Żydowska w Krakowie. Jest przyznawana osobom zasłużonym dla dialogu chrześcijańsko-żydowskiego i polsko-żydowskiego. Stąd wśród jej laureatów są między innymi prof. Jan Błński, prof. Joanna Tokarska-Bakir, lubelski Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, Stefan Wilkanowicz, ks. Romuald Jakub Weksler-Waszkinel i Zofia Radzikowska.

W imieniu prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego nagrodę Marianowi Turskiemu wręczył Bogusław Kośmider. Zauważył, że laureat „osobiście odczuł, jak bolesna jest cena za antagonizmy społeczeństw i religii – jako mieszkaniec łódzkiego getta, więzień obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau i ocalały z Holocaustu poznał w najczystszej postaci nienawiść, okrucieństwo i pogardę”. W 2020 roku, w czasie obchodów 75. rocznicy wyzwolenia Auschwitz, Marian Turski wzywał: „Nie bądźcie obojętni, kiedy jakkolwiek mniejszość jest dyskryminowana (...). Bądźcie wierni przykazaniu (...): nie bądź obojętny. Bo jeżeli będziesz, to nawet się nie obejrzyście, jak na was, na waszych potomków jakieś Auschwitz nagle spadnie z nieba”. (red.)

**W Krakowie Marian Turski tak wspominał ks. Musiała:**

„Można tutaj, za poradą księdza Twardowskiego, powiedzieć: nagradzajmy szybko tych, bo mogą

szybko odejść. Domyślam się, że to mogło przeważać, że ja otrzymałem tę nagrodę. Ale dobrze, dziękuję. Dziękuję za nią, bardzo się cieszę. Cieszę się zwłaszcza dlatego, że jest ona związana z nazwiskiem tego człowieka.

Pan prezydent wygłosił laudację na moją cześć. Wydaje mi się, że może moim obowiązkiem z kolei jest wygłosić, jeśli tak można powiedzieć, laudację na cześć Ojca Musiała. Spytacie: co ty masz, człowieku, do dodania. Na tej sali jest na pewno wielu ludzi, którzy spotykali go częściej, lepiej go znali niż ja. A na pewno w Krakowie nie ulega wątpliwości, bo wiem, ilu jest tych ludzi, którzy go znali. Więc ja muszę powiedzieć, jak spotkaliśmy się z księdzem Musiałem i co on dla mnie znaczył, gdzie widzę jego rolę w moim życiu.

Staszka poznałem – mówię Staszka, ponieważ wiecie Państwo, że Ojciec Musiał bardzo łatwo przechodził na ty z ludźmi i to wcale nie oznaczało aż takiej fraternizacji. Miał taki styl, dlatego ja też tak będę mówił.

Staszka poznałem na początku lat 90. ubiegłego wieku. Byłem, między innymi z Władysławem Bartoszewskim, delegowany przez Międzynarodową Radę Oświęcimską do pertraktacji z Matką Przełożoną Karmelitanek, kiedy trwał spór o Karmel. I to były te pierwsze okoliczności mojego ze Staszkiem poznania. Potem Staszek wielokrotnie był u nas w domu. Przychodził na rozmowy z moją żoną Haliną Paszkowską, która była wówczas wiceprezeską Towarzystwa Polska–Izrael. Nawet, powiedziałbym, że byłem troszeczkę jakby zazdrosny o to, ponieważ wytworzyła się między nim a Haliną jakaś wzajemna sympatia. I potem sobie uświadomiłem, na czym polegała różnica jego stosunku do Haliny i do mnie. Z Haliną omawiali na ogół to, co jest do zrobienia w Towarzystwie Polska–Izrael, jakie są nowe inicjatywy. Natomiast w stosunku Staszka do mnie było coś innego. Staszek nosił w sobie cierpienie i winy całego świata. Nosił w sobie poczucie winy za to, co się stało złem. On czuł się winny mojego losu. Hiobowego. Ten los Hiobowy... można powiedzieć: jaki tam los Hiobowy... popatrz, Opatrzność, Pan Bóg Wszechmogący dał ci to, co Hiobowi. Zrujnował, co prawda, ale potem odbudował twoje życie; stworzyłeś rodzinę, jakąś karierę, jesteś znany... To prawda. Hiobowi stworzył pozory przedłużenia rodu, dał mu nowe żony, dzieci, wnuki, potomstwo, wielbłądy, osły, konie... A te żony i te dzieci, które zginęły po to, żeby udowodnić jakąś prawdę, to się nie liczy? I myślę, że

to, co Staszka łączyło ze mną przede wszystkim, to jest jakaś wspólna nuta cierpienia.

Staszek był jednym z tych, którzy pomogli mi coś zrozumieć w moim życiu. Wychowywałem się w rodzinie wierzącej, judaistycznej, żydowskiej. Odszedłem od tego w czasie wojny. Przeszedłem na pozycje agnostyczne, a nawet dokładnie ateistyczne. Zwłaszcza że dzieciństwo moje było troszeczkę znaczone elementami takiego antysemityzmu ludowego – nie bez udziału księży. Stąd i moje odchylenie w drugą stronę. Pierwszym, który mi potrafił przywrócić spojrzenie na drugą stronę, był Krzysztof Śliwiński. Był to szef Wydziału Międzynarodowego „Solidarności”, internowany w stanie wojennym. Był bardzo głęboko religijny, nie miał święceń, ale wiem, że w Jaworznie pełnił funkcję duchownego. On był pierwszy, a potem są inni, których chcę wyliczyć, bo czuję się ich dłużnikiem. Potem był ksiądz Michał Czajkowski, wtedy był też Staszek Musiał, potem biskup Grzegorz Ryś i ksiądz Alfred Wierzbicki. Mówię o tych tylko, a poznałem o wiele więcej tego typu ludzi, o których mogę śmiało powiedzieć, mam prawo powiedzieć, że darzyli mnie przyjaźnią i że jest to po dzień dzisiejszy przyjaźń wzajemna, trwała i ciągła. I to jest to, co Staszek mi dał: spojrzenie na drugą stronę, bardziej ludzką. Przepraszam, to może wstyd tak mówić, ale tak było. Zrozumienie intencji drugiej strony, próba zrozumienia. Tak, jak rozumieć, o czym obradują w tym Przymierzu chrześcijańsko-żydowskim.

I jeszcze jedna sprawa, o której chciałbym powiedzieć, co mi było niesłychanie potrzebne. Spodziewałem, że będą dzisiaj na sali Bereś i Burnetko. Nie ma ich, ale to oni spisali tak znakomicie rozmowy z Ojcem Musiałem. Na końcu książki *Duchowny niepokorny*, w notce *Od autorów* piszą, że spotkali się, ksiądz Musiał zaakceptował to, co spisali, ale nie zgodził się na publikację. Powiedział: „Wicie, jak jest – za taką mnie zniszczą. A dla mnie Kościół i zakon są wszystkim. Wydacie to po mojej śmierci”.

Ta rozmowa była w grudniu 2003 roku, Staszek, ksiądz Stanisław Musiał, zmarł niespodziewanie 5 marca 2004 roku.

I tu jest jakiś wspólny mianownik między Ojcem Musiałem a mną. I ja należałem do czegoś, co można porównać do zakonu. I tu pozwolę sobie na absolutną dygresję, żebyście Państwo zrozumieli, co to znaczy strach, obawa, żeby nie być wyrzuconym przez wspólnotę zakonną. Opowiem zupełnie o czymś innym. W 1937 roku sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Polski był słynny „Leński”, Julian Leszczyński, wybitna postać, on był wtedy w Paryżu. Wiedział o czystkach moskiewskich, wiedział, co się dzieje, wiedział, że są aresztowani i rozstrzeliwani przywódcy KPP. Ostrzegano go: dostaniesz wezwanie, żebyś wrócił do Moskwy. Nie rób tego, bo zginiesz. On jednak wrócił. Dlaczego? Bał się, że jeżeli tego nie zrobi, będzie wypłuty przez wszystkich, znajdzie się poza zakonem. Wybrał świadomie śmierć na rzecz wierności zakonowi. To są może troszeczkę conradowskie elementy, może ja to mówię *pro domo sua*, żeby siebie samego troszkę usprawiedliwić, w czym widzę lojalność, wierność wobec zakonu. A może w tym się kryje w równym stopniu oportunizm? Nie mam na to odpowiedzi sam wobec

siebie. Ale na pewno widzę ten element związku między Staszkiem a mną.

Zacząłem od Staszka, skończyłem na nim, ale pozwólcie na jedną dygresję. Moja żona Halina i ja zawsze



byliśmy miłośnikami poezji. Poezja była dla nas również jakimś więzadłem. Halina nawet potrafiła cytować całe poematy. W Mykenach stanęła na grobie Agamemnona i tylko dla mnie wyrecytowała całego Słowackiego. Poezja była dla nas czasem kluczem do rozmów codziennych.

Pasjonowaliśmy się wspaniałym wierszem Swiętłowa, w kongenialnym przekładzie Juliana Tuwima *Grenada*:

Jechaliśmy stępa,  
pędziliśmy w kłębach  
i *Jabłoczek* piosnkę  
trzymaliśmy w zębach.  
(...)

Lecz inną pieśń jeszcze  
o obcym narodzie  
do siodła przytroczył  
towarzysz w pochodzie.

I śpiewał, choć rodak,  
tutejszy jak ja;  
Grenada, Grenada, Grenada maja.  
Na pamięć tę piosnkę  
jak pacierz znał Pański.  
I skąd do mołojca  
ten smutek hiszpański.

Kiedy Staszek wychodził po raz ostatni z naszego domu i odprowadzaliśmy go do przystanku, oboje z Haliną powiedzieliśmy jednocześnie do siebie: I skąd do Musiała ten smutek żydowski?

Gdyby on dzisiaj żył, jego smutek, podejrzewam, z wielu, wielu powodów byłby dużo, dużo głębszy.

# Imaginarium

Tekst: Maria Malatyńska

**Film jest jedyną sztuką bez granic. Fabuły, formy, postaci i zapamiętany przekaz są własnością każdego widza niezależnie od tego, w jakich rejonach świata żyje.**

To truizm, ale warto tę prawdę przypominać, zwłaszcza gdy ktoś czuje się życiowo przegrany, gdy w zderzeniu z obrazami absurdu rezygnuje ze swoich racji albo gdy nie ma siły walczyć z nachalnie demonstrowaną, a niczym nieuzasadnioną dumą i poczuciem wiecznej wielkości. To wtedy właśnie dobrze pamiętać, że podobne postawy i nastroje pojawiały się już niejedną raz na różnych ekranach i film się z nimi uporał. Zatem wystarczy czmychnąć w odpowiednio wybrany świat filmowy, żeby znaleźć ocalenie. Albo nową-starą wskazówkę życiową.

Ale można zareagować jeszcze inaczej: pamiętając o bezgranicznej możliwości ekranu, tak rozwinięte istniejące motywy obrazowe, by powstawały z tego nowe tematy dla kina. Tu jest jeszcze więcej możliwości dla filmowej inwencji.

Wyobraźmy sobie coś najbardziej nawet odległego od zwykłego skojarzenia. Chociażby wieżę Babel. Opisana w klasycznych tekstach Starego Testamentu, istnieje od zawsze w naszej podświadomości, pewnie trochę zakurzona, ale jednak zawsze obecna jako nieśmiertelny znak kultury. Ba, wiemy także, jak wyglądała! O to zadbali liczni wizjonerzy, a osobliwie Bruegel Starszy, którego fascynująco piękną wieżę Babel można sobie nawet poskładać w puzzlach.

Ale wyobraźmy sobie, że wieża Babel mogłaby być budowana nie wznwyż, jak to wieża, a... wszcz. Kino potrafi sobie przecież taki obraz wymyśleć. A więc oto ta nowa „wieża”, pracowicie układana i układana, poszerzana i poszerzana, angażująca coraz to nowe i nowe ręce do pracy, powoli stawałaby się, na naszych oczach... murem oddzielającym wybrany teren i wybraną grupę ludzi od reszty świata. Ale geneza i tu byłaby podobna. Wszak o to samo chodziło niegdyś: żeby zademonstrować całemu światu, a głównie jego Stwórcy, że się samemu posiada boski potencjał i w ogóle jest się kimś tak niezwykłym, że nie potrzeba żadnych sił zewnętrznych, by się rozwijać, bo wszystko co największe, najpiękniejsze i najgłębsze istnieje właśnie „tu”, w wybranej grupie i na ściśle określonym terenie. I tylko trzeba strzec, aby nikt, nawet przypadkowo, dostając się w ten obręb cnót wszelkich, nie zepsuł, nie zapaskudził, nie pozostawił w nim obcego elementu.

Owa wymyślona grupa budowała zatem ów mur pracowicie, dbając, by każda ustawiona część

miał wszystko, co nieodzowne, przede wszystkim broniących dostępu strażników... a w środku owi samozwańcy pęczniali z dumy. Stwórca spojrział jednak i zobaczył, że nic się nie zmieniło: „Mur Babel” miał ochraniać takie samo jak wieża zadufanie i krótkowzroczność i nawet to samo przesłanie do świata wysłał: oto jesteśmy wielcy, najwięksi, nam nikt nie jest potrzebny! I jak w klasycznej wieży Babel pomieszał Stwórca języki budującym, zaczęli się kłócić, wzajemnie odbierając sobie zasługi, aż wreszcie niektórzy, ci mniej przekonani do samoizolacji, zaczęli stamtąd uciekać. Uznani za zdrajców, zwrócili się o pomoc do świata, ale świat już tak oniemiał ze zdumienia, że nie potrafił zareagować. Wszak dotychczas nikt, w normalnych cywilizacyjnych czasach, nie popełniał aż tak zbiorowego, kulturowego samobójstwa. Świat patrzył, grupa, coraz mniejsza, kłóciła się zawzięcie o każdą piędź ziemi i o każdy znak własnej wielkości, a mury rosły. Nic dziwnego, że świat wzruszył ramionami i poszedł w swoją stronę.

No i co zrobić z taką koncepcją scenariusza? Nie ma choćby nikłej nadziei na opamiętanie się i „nowy początek”.

W sukurs zbudowanej wizji może przyjść prawdziwy film. Tym razem mogłaby to być niezapomniana francuska *Walka o ogień*. Film ten miał premierę równo 30 lat temu. Znakomity, nagradzany, zrealizował go Jean-Jacques Annaud, późniejszy twórca wyrafinowanej adaptacji książki Umberto Eco *Imię róży*. A *Walka o ogień* sprawdziłaby się tu wyśmienicie. Bo pokazała, co to znaczy w sensie społecznym właśnie nowy początek... To czasy początków języka gestów. Grupa uzurpatorów musiałaby odrzucić język pełen nienawiści, obrażający wszystkich... Odrzucić – i stworzyć go na nowo.

Annaud zrobił portret człowiekowi pierwotnemu. Zatrudnił antropologa Desmonda Morrisa, który mu ów język gestów drobniaczko opracował, pokazał więc początek międzyludzkiej komunikacji. Człowiekowi pierwotnemu ta komunikacja była potrzebna do porozumienia, do uświadomienia sobie wspólnoty celu. Bo przecież szli owi pierwotni bohaterowie w poszukiwaniu ognia, a więc życia, walczyli o niego... Czy grupce zadufanych głupców walczących o demonstrację swojej samozwańczej wielkości potrzebna by była aż taka „czystość” społeczne-porozumienia?

Zatem może raczej amerykański *Statek szaleńców* byłby tu bardziej wskazany? Stanley Kramer był ostry, krytyczny, potrafił bezkompromisowo wypowiedzieć się o europejskim społeczeństwie! Otóż chyba jednak – nie. Kramer nie mówił o początku. *Walka o ogień* sama jest społecznym początkiem. Niechby więc i to niezbyt mądre społeczeństwo zadufków zyskało szansę rozpoczynania od początku. Ciekawe, czy potrafiłoby wtedy stworzyć język bez nienawiści, bez skłócenia, bez wykluczania każdej odmienności? Język wychodzenia z izolacji i słuchania, o czym mówią inni?

Może gdy w kolejnej końcówce roku „żegnamy”, „podsumowujemy”, „przekreślamy” i „odrzucaamy”, trzeba także niezmiennie mieć nadzieję? Tego bym wszystkim życzyła!

\*

Nadzieja, już pewnie nie tylko filmowa, choć ta przede wszystkim, bo na inną nie mamy wpływu, dotyczyć powinna innego jeszcze tematu „końcówki” i „początku”: tematu wciąż niekończącej się pandemii. Tu kino jest bogate w zjawiska i w pomysły. W różne koncepcje artystyczne i wreszcie w gotowe filmy. Pisaliśmy już o tym, warto więc kinu oddać tu pierwszeństwo. Niech mówi.

Proponuję sięgnąć po najgłębszą klasykę, bo niespodziewanie to ona okazała się nieśmiertelna. Chodzi tu o postać wampira Nosferatu, nosiciela zarazy wszelkiej, postaci najbardziej charakterystycznej nie tylko dla europejskiej kultury, ale i dla swego rodzaju niemieckiej baśniowości. Filmowo postać ta należy do wielkiego niemieckiego reżysera Friedricha W. Murnaua. To jego *Nosferatu – symfonia grozy* z roku 1925, stał się klasykiem i najbardziej rozpoznawalnym znakiem twórczości. Dowodem chociażby gest innego wielkiego niemieckiego wizjonera filmowego Wernera Herzoga, który pół wieku później składając hołd tradycji kina niemieckiego ekspresjonizmu, zrealizował – według starożytnego, klasycznego scenarzysty Murnaua – własny film o słynnym wampirze, z genialną kreacją Klausa Kinsky’ego. Co jest w tej postaci tak szczególnego, że w pewnej sferze emocji, właśnie strachu przed zarazą, odbija najgłębiej charakter epoki? Może jej siłą nie są talenty obu wymienionych twórców, ale umiejętność europejskiego uogólnienia? Z tą Europą to nie przypadek, wszak pomysłodawcą i prawdziwym twórcą tej postaci nie jest Niemiec, a Brytyjczyk. Chodzi o klasyczną powieść Brama Stokera z końca XIX wieku o Draculi. To z Draculi narodził się wiele lat później Nosferatu.

Tu ciekawostka. Na ladzie jednej z krakowskich księgarni znalazłam właśnie w dziale nowości książkę o tytule...*Dracul*. Autorów jest dwóch: jeden, wyraźnie mający prawo do takiej książki, to znaczy Dacre Stoker, który wyraźnie z „przekleństwa nazwiska” uczynił swoją pisarską karierę. Jest praprabratankiem „prawdziwego” Brama Stokera, irlandzkiego pisarza, który w 1897 roku wydał *Draculę*. On sam jest pisarzem kanadyjskim, ma 63 lata i całe życie poświęcił „rodzinnemu” wampirowi. Wydał przewodnik turystyczny po miejscach, gdzie przebywał klasyczny Dracula, zrobił o nim film dokumentalny, zatytułowany *Dracula the Un-dead*, wydał powieść o słynnym praprzodku, zredagował

jego dzienniki, a opowieść, którą niespodziewanie odnalazłam i która uważana jest za prequel *Draculi*, napisał w 2019 roku razem z JD Barkerem, młodym amerykańskim prozaikiem, autorem znanych powieści sensacyjnych. Powstała książka frapująca. Ma w sobie i fragmenty *Dzienników* pradziadka, i jest współczesną wędrówką po śladach prawampira, i jest własną obecnością autorów wobec tematu i legendy. Rzecz przetłumaczona przez Szymona Żuchowskiego i wydana przez Czarną Owcę w zeszłym roku ma w sobie coś z klimatu czasów pandemii.

Dzięki słynnym filmom, od których zaczęłam ten spacer z Nosferatu, w sposób najbardziej plastyczny stała się symbolem europejskiego strachu przed zarazą. Niezawinioną, tragiczną, ale bliską i w jakimś stopniu obłąkowaną.

Może gdy w kolejnej końcówce roku „żegnamy”, „podsumowujemy”, „przekreślamy” i „odrzucaamy”, trzeba także niezmiennie mieć nadzieję?

Może się więc tym bardziej wydawać, że właśnie postać Nosferatu niesie w sobie wspólną cechę kultury europejskiej, przynajmniej tej rozkwitłej z romantyzmu i baśniowości, czyli z opowieści o wszechobecności zła i zagrożenia i to, oryginalnie, bo nawet przez odpowiednie wykorzystanie przyrody. Zanurza się bowiem ta postać niespodziewanie i w niebezpieczeństwa klimatyczne. Plener, otwarta przestrzeń, w której wędruje wampir, sięjąc wokół zarazę i spustoszenie, to już zdobycz romantycznej wizyjności ekspresjonizmu niemieckiego. Tajemnica zła, które czyha na człowieka, a przed którym nie sposób się schować – jest tutaj uosobiona także w samym wampirze. Bo przecież on sam jest również nosicielem tragedii i zagrożenia niezawinionych, to przecież śmierć, zaraza emanuje wręcz z jego postaci. Przechodzi – i sieje śmierć, powoduje, że w ludziach zaczyna się wzmacniać poczucie rezygnacji, bierności, zgody na śmierć i zarazę. Wielkie procesy z trumnami, co pamiętamy z filmu – to są obrazy, które nieoczekiwanie budzą jednak potrzebę działania. A zło, które trwa, nie tylko w wampirze, tworzy sytuację, z której człowiek chce znaleźć wyjście. Ta stara, postronantyczna baśń niesie w sobie więc wiele społecznej siły!

Nie jestem oczywiście pewna, czy to przypomnienie spersonalizowanej zarazy nam samym pomoże w nowym roku, ale obłąkawszy nieco tragiczną i baśniową postać nieszcześcicia, może obudzi nas do działania? I znowu pomocą stanie się film. Może to ma jednak znaczenie?



**Maria Malatyńska** – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.



Łucja Kłańska-Kanarek, *Jesienny*



# Arcydzieła geniusza z rynsztoka

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Albertina

Na jego obrazach modelki mają długie szyje, pociągłe twarze i pozbawione źrenic oczy, jakby patrzyły w głąb siebie. Wybierzcie się do Wiednia, by zobaczyć znakomitą wystawę *Amedeo Modigliani. Rewolucja prymitywizmu*.

Można powiedzieć, że był wzorem z Sèvres artysty przekłętogo. Kiedy wyobrażam sobie ulice Montmartre’u czy Montparnasse’u przełomu XIX i XX wieku, od razu zjawia mi się przed oczami przemierzający je chwiejnym krokiem przystojny Włoch w czarnym kapeluszu z dużym rondem i fantazyjnie zawiązaną na szyi jedwabną chustką. Wprawdzie z biegiem czasu owa chustka straciła swój połysk, a jej właściciel już nie tyle się chwiał, ile zataczał od jednego muru do drugiego, zmierzając prosto do rynsztoku, to nic nie było tak ważne jak szkicownik, którego nawet w najgorszym położeniu nie wypuszczał z rąk. Choć wykopywano go z najgorszych spelun, a kolejni marszandzi zatrzaszkiwali przed nim drzwi galerii, wiedział, że musi tworzyć. I całe szczęście. Dzięki temu na wystawie w wiedeńskiej Albertinie możemy oglądać dziś jego wybitne dzieła.

Ekspozycja zatytułowana *Amedeo Modigliani. Rewolucja prymitywizmu* prezentuje obrazy, rzeźby i rysunki, które weszły do kanonu historii sztuki. Nie są to tylko dzieła Modiglianiego, ale też jego przyjaciół z kręgu paryskiej awangardy: Pabla Picassa, Constantina Brâncușiego i André Deraina. Łączy ich to, że przynajmniej przez pewien czas podążali w podobnym kierunku, szukając inspiracji w prymitywizmie. Jak głosi legenda, pewnego dnia do kamienicy Le Bateau-Lavoir, w której tworzyli przymierający głodem artyści, ktoś przyniósł znaną w antykwariacie murzyńską figurkę. Na Picassie zrobiła takie wrażenie, że od razu rzucił się do szkicowania kobiecych twarzy z jednym okiem i długim nosem łączącym się z ustami. Modigliani dotykając płaskiej twarzy rzeźby, wypukłego czoła, szparek oczu i grubych warg wpadł na pomysł, jak uprościć formę portretowanych przez siebie postaci, wydłużając ich szyje, pozbawiając oczy źrenic i w ten sposób tworząc swój niepowtarzalny styl.

Jak bardzo przemawia on do obiorcy, możemy się przekonać, przystając przy portretach przyjaciół artysty – Maxa Jacoba czy Leopolda Zborowskiego. Jednak chyba najmocniej przyciągają uwagę wizerunki kobiet, które spoglądają w głąb siebie, niezależnie



Amedeo Modigliani, *Leżąc nago na białej poduszce*, ok. 1917, olej na płótnie

od tego, czy prowokacyjnie eksponują ciało, jak robi to Gabi – jedna z kochanek malarza, którą widzimy w Albertinie na obrazie *Leżąc nago na białej poduszce*, czy odpływają gdzieś w przestworza jak Jeanne Hébuterne, ostatnia, tragiczna miłość Modiglianiego. Artysta nigdy nie namalował jej aktu. Może dlatego, że była matką jego dzieci. Na wystawie możemy oglądać za to jeden z najsłynniejszych jej portretów ze spiętymi w trójkątny kok włosami, długą, łabędzią szyją i zamysłoną twarzą, jakby przeczuwała, co stanie się niebawem.

Mogło tak być, gdyż obraz powstał dwa lata przed tym, jak Modigliani umarł na gruźlicę, której leczenia nie ułatwiło nadużywanie przez niego narkotyków i alkoholu. Jeanne, będąc w zaawansowanej ciąży, do końca opiekowała się ukochanym, a po jego pogrzebie wyskoczyła z piątego piętra. I tę smutną historię przypomina wystawa, prezentując prywatne zdjęcia Modiglianiego, Jeanne i przedstawicieli ówczesnej bohemy paryskiej.

*Amedeo Modigliani. Rewolucja prymitywizmu*, Albertina, wystawa czynna do 9 stycznia 2022 roku.



**Magda Huzarska-Szumiec** – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Mariki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

# Kwiatusia zna odpowiedź (*Film balkonowy*, reż. Paweł Łoziński)

Tekst: Łukasz Maciejewski Zdjęcie: kadr z filmu *balkonowego* dzięki uprzejmości dystrybutora

Wciąż o tym opowiadał. Z uśmiechem, powiedzmy, że szelmowskim. Mam wrażenie, że od kilku co najmniej lat wszystkie moje spotkania z Pawłem Łozińskim, nie było ich wiele, kończyły się *Filmem balkonowym*, nawet jeżeli tytuł filmu był wtedy inny, chodziło o to samo. Że Paweł stoi na balkonie, filmuje przechodniów, pyta ich o sens życia.

Co z tym twoim balkonem?” – mówiłem. Filmuje, odpowiadał. I tak bez końca, ale mnie się wydawało, że to jest naprawdę bez końca, że on tego filmu nie skończy, nic z tego nie będzie. Pomyślałem także, teraz trochę się wstydzę, że Paweł nas wszystkich

drepczącym albo przystającym wygadać. Chce ich wysłuchać.

Film ma już swoje życie festiwalowe, wygrał sekcję na festiwalu w Locarno. Pochwały, nie ma zdań przeciwnych. W zasadzie same peany. Bo to jest wła-



wkręca, nie robi wcale tego filmu, tylko tak się przekomarza. Gruby żart.

Nie żartował. Wiedziałem o tym już wtedy, kiedy powstał, poroniony zresztą w samym założeniu, pandemiczny nowelowy film polskiego HBO, w którym nasi reżyserzy, od Sasa do Lasa, nakręcili pandemiczne *home video*. Wyszło jak wyszło, czyli właśnie kompletnie nie wyszło. Nie wyszło, poza jednym kawałkiem Łozińskiego. Bo to już był *Film balkonowy* w ekstrakcie.

Pomysł najprostszy z możliwych. Balkon, Saska Kępa (od Sasa do Lasa). Balkon na piętrze, chodnik na dole. Chodnikiem, wiadomo, maszerują ludzie, drepczą zwierzęta. I Łoziński robi dokładnie to samo, czym zachwycał w *Siostrach*, w *Takiej historii*. Pozwala się wszystkim chodzącym,

śnie jeden z tych rzadkich cudów kina, kiedy nie tylko wszystko się ze sobą zgadza, ale i wszyscy się zgadzają. Ludzie piszą o ludziach, bo piszą przecież o sobie. Ich zwierzenia, zwierzenia bohaterów, to są nasze zwierzenia. Chętnie opowiedzielibyśmy o tym, ale nie tyle się wstydzimy, ile nikt nie chce nas o to wszystko zapytać. Nikt nie chce wysłuchać. A Łoziński, „pan Pawełek”, akurat chce, i każdy przechodzący chodnikiem czuje się zaproszony do zwierzeń: pyskate dziecko, ironiczna starsza pani, kryminalista.

\*

Przecież ją znałem. Kwiatusia. Nawet się nie obrażała, chociaż wtedy, kiedy tak się do niej zwracałem, to była już mocno starsza pani. Kwiatusia, czyli Anna Retmaniak. Przyjeżdżała do Tarnowa, na festiwal Talia, pierwsze edycje. Zawsze z Andrzejem Matulem,

nierozłączni. Oboje pracowali w pierwszym programie Polskiego Radia. Dużo mówiła, paplała, prawdę mówiąc, ale jej było wolno. Znała wszystkich i o każdym opowiadała z życzliwością. Zniknęła mi na dekadę. Odnotowałem jeszcze datę śmierci.

Ale u Pawła Łozińskiego w *Filmie balkonowym Kwiatusia* (jeszcze) jest, chociaż gdyby nie napisy końcowe, nigdy bym jej nie rozpoznał. Łoziński zadaje Retmianiak to samo pytanie co innym, najważniejsze – o to, co ma w życiu sens. Młodzi, starsi, najstarsi nie bardzo wiedzą, co odpowiedzieć. Odpowiedź to banał, bo przecież od pewnego czasu wiemy już, że wcale nie jest tak, że z wiekiem nabieramy mądrości, która pomogłaby rozwikłać ten dylemat. Nic podobnego się nie zdarza. Często wiemy wręcz coraz mniej. Bohaterowie *Filmu balkonowego* również nie znają odpowiedzi. Jedną tylko Kwiatusia ją zna.

Nie jest w tym filmie Anną Retmianiak, kochającą artystów dziennikarką z pierwszego programu Polskiego Radia, to już nie ten etap, jest mocno starszą panią na wózku inwalidzkim, sąsiadką Pawła Łozińskiego na spacerze z opiekunką, a nawet z dwiema

okazji duchowa moc burzy nierówności. Łoziński nie tylko słucha. Ten spowiednik w cywilu, przechodzącej obok jego balkonu dziewczynie z różańcem odpowie, że nie będzie się modlił, raczej nie, modli się inaczej. Modlitwą Pawła Łozińskiego jest usłyszenie cudzego głosu.

Moja mama spędziła niedawno kilka dni w szpitalu. Nic groźnego na szczęście, planowana wizyta. Piszę o tym dlatego, że opowiadała mi, iż ją samą zaskoczyła potrzeba zwierzeń współpacjentów. Przy padkowe panie z sali na oddziale opowiadały mamie o smutnym (najczęściej jednak smutnym) życiu, problemach z dziećmi, chorobach. Przypuszczalnie nigdy więcej się nie spotkają, może właśnie dlatego potrzebowały się wygadać. Wyczuły, że mama chętnie ich wysłucha, że lubi słuchać.

Podobnie jest w *Filmie balkonowym*. Przechodnie czują się wysłuchani. Spacerując tamtędy kolejny raz, widząc faceta z kamerą, sami inicjowali rozmowy, a reżyser, oko kamery, słuchał, ale i pytał. I były to pytania, proszę wybaczyć emfazę, zachwycające. Szkoła taktu, empatii, czułości pozbawionej senty-



opiekunkami. To właśnie druga z opiekunek, ta sympatyczniejsza, zapyta Retmianiak, za Łozińskim, o sens życia. Pani Anna odpowie bez wahania: sensem jest właśnie to, że się żyje.

I uśmiecha się. Pomyślałem: ona również wie, że nic nie wie. Ale potrafi to docenić. My potrafimy mniej.

\*

To być może klucz sukcesu. Nawet nie tyle bohaterowie, ile głos filmowego spowiednika. *Film balkonowy* jest przecież czymś w rodzaju neospowiedzi, jest także seansem duchowym w tym sensie, że pozwala nie tylko bohaterom, ale i widzom na coś w rodzaju oczyszczenia. Wyznanie to obmycie się z winy albo przyznanie do niepokoju. Daje rozgrzeszenie. Kino ma tę moc. Fontanna di Trevi z arcydzieła Felliniego to może być deszczówka na Saskiej Kępie, ale przy

mentalizmu. Dla Łozińskiego każdy był tak samo ważny, istotny, wiarygodny. Homoseksualny mężczyzna i ultrareligijna, roześmiana młoda dziewczyna, zaradna dozorczyńni i przebojowa sąsiadka. Ludzie są ważni. Zbiorowość i indywidualność. Wszyscy.



**Łukasz Maciejewski** - wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszyźnie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego

Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty „Polityki” w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.



W góry, rys. Andrzej Zaręba

# Szczęśliwy adres

Tekst: Mieczysław Czuma

**Ile razy oglądam spreparowany przez amerykańskich mistrzów głośny musical *Skrzypek na dachu*, zawsze poprawiam się wygodnie w krześle w momencie, kiedy Chawa oznajmia ze sceny, że wybiera się do Krakowa.**

W pierwszych latach XX stulecia Żydom nie było łatwo na Ukrainie. Po pogromie w Anatewce córki Tewje Mleczarza rozjeżdżają się po świecie. Wybierają się do Warszawy, Nowego Jorku, Jerozolimy. A najmłodsza z nich, najbardziej przez ojca ukochana Chawa, wraz ze swym partnerem Fiedką oświadcza: „Tate, my jedziemy do Krakowa”.

Scenariusz tego cieszącego się niesłabnącym powodzeniem w świecie widowiska oparty jest na prozie Szolema Alejchema *Dzieje Tewje Mleczarza*. Szolem Alejchem (w hebrajskim tradycyjne pozdrowienie „Pokój z Wami”) to pseudonim literacki Salomona Rabinowicza, jednego z najwybitniejszych klasyków literatury pięknej w języku jidysz. Raz i drugi z uwagą przeczytałem *Dzieje Tewje Mleczarza*. I odkryłem, że nie ma tam nic o Krakowie. Jakim więc cudem nasze miasto trafiło do tego najpopularniejszego ze światowych musicali?

Długie śledztwo naprowadziło mnie na tropy Molly Picon, amerykańskiej aktorki o żydowskich korzeniach. To dzięki niej udało się rozwiązać zagadkę.

Mężem Molly Picon był Jakub Kalich, amerykański dramaturg i reżyser urodzony w Nowym Sączu. Jego matka, osoba poważana i ortodoksyjna, była w tym mieście właścicielką kina Wiedza przy ulicy Jagiellońskiej. Z upodobaniem rozdawała ubogim bezpłatne bilety na każdy pokaz filmowy z udziałem synowej. Molly Picon i Jakub Kalich w dwudziestolecie międzywojennym często bywali w Polsce, gdzie aktywnie uczestniczyli w życiu żydowskiej bohemy artystycznej.

W Krakowie zachodzili do kawiarni Saffera przy ulicy Dietla 51, gdzie obok starszych braci w wierze bywały liczne zastępy zaprzyjaźnionych z tym środowiskiem Polaków. Do częstych gości zaliczali się artyści awangardowego Teatru Cricot, przesiadywał tu publicysta i pisarz Adam Polewka, rzeźbiarz Jacek Puszet, nie brakowało i innych miłośników sztuk pięknych. Kawiarnia nazywała się skromnie Szmata, co miało swoje uzasadnienie. Któregoś razu podmuch wiatru od strony Wisły poderwał z ziemi sfatygowaną szmatkę i zawiesił na szyldzie. I to był chrzest.

Innym kultowym miejscem była restauracja Hirscha Thorna przy ulicy Krakowskiej 13. Cieszyła się ogólnopolską sławą wśród amatorów kuchni żydowskiej, przyciągała za-

ówno starozakonnych, jak i katolików: profesorów UJ, adwokatów, lekarzy, artystów, aktorów, dziennikarzy. Podobno gojów bywało tu nawet więcej. W soboty nie przyjmowano od gości pieniędzy, prosząc, aby należności regulować w innym terminie. Kasa zawsze się zgadzała.

Molly Picon i jej mąż pokazywali się nie tylko tam. Meldowali się na scenie Teatru Żydowskiego przy ulicy Bocheńskiej, brali

Po pogromie w Anatewce córki Tewje Mleczarza rozjeżdżają się po świecie. Jadą do Warszawy, Nowego Jorku, Jerozolimy. A najmłodsza i najbardziej przez ojca umiłowana Chawa oświadcza wraz ze swym partnerem: „Tate, my jedziemy do Krakowa”. Jak to się stało, że nasze miasto trafiło do najpopularniejszego ze światowych musicali?

udział w kręconych na Kazimierzu filmach. Po drugiej wojnie światowej, już w Stanach Zjednoczonych, Picon wystąpiła także w filmowej wersji *Skrzypka na dachu* jako swatka Jentl. To ona przeniosła za ocean obraz żydowskiego Krakowa i potrafiła zauroczyć tym kogo trzeba. Kiedy twórcy musicalu usłyszeli o tym mieście, wiedzieli już, jak pokierować losami Chawy, dokąd skierować ją pod szczęśliwy adres. I to dzięki temu właśnie arcy-mistrzowie widowiska (muzyka Jerry Bock, libretto Joseph Stein, teksty piosenek Shelldom Harnick) skazani zostali na niewyobrażalny sukces.

Od prapremiery na Broadwayu w roku 1964 aż do dzisiaj Chawa na deskach najznakomitszych teatrów świata oznajmia zaintrygowanym widzom, że wybiera się do Krakowa. I to się po prostu podoba.



**Mieczysław Czuma** – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

# „GADzia” historia muzyki

Tekst: Magda Miśka-Jackowska

**Fani mówią o nich pieszczotliwie: gady. Tych fanów zresztą przybywa z każdym kolejnym albumem, który odkurza sentymenty, przywraca wspomnienia i udowadnia, że coś, co dla nas kiedyś było ważne, rzeczywiście takie było.**

Obserwacja rynku wydawnictw muzycznych to moja codzienność. Ale umówmy się, rzadko zdarza się, aby coś z tego rynku trafiło mi do rąk. Muzyka ląduje na mailu albo platformach streamingowych, chociaż dzieje się to błyskawicznie w sekundzie premiery, a czasem nawet przed nią. Wszystko podane w formie wygodnej, apetycznej, aż żal nie korzystać. Kto powiedziałby wtedy: „nie, dzięki, poczekam na płytę, którą przyniesie listonosz”? A jednak, kiedy kilka dni temu Michał Wilczyński

GAD Records pracuje na nostalgii. Sięga do tych zakamarków naszej duszy, w których schowali się bohaterowie już dawno niemodni, kino niedzielnego, nastoletniego poranka, kiedy wszystko było można i niczego nie trzeba było. Muzyka fenomenalnie buduje relacje z tą przeszłością.

z GAD Records powiedział mi, że listonosz przyjdzie, to poczułam się jak dzieciak w Wigilię, który widzi już stos prezentów pod choinką i musi jeszcze trochę wytrzymać, ale w końcu to wszystko będzie jego. To uczucie ma zresztą z dzieciństwem, czy raczej z młodością, wiele wspólnego. Sosnowieckie „gady” bowiem, jak piszą na swojej stronie internetowej, przekopują się przez najlepszą polską (i nie tylko) muzykę z przeszłości, aby potem zdobyć cudem wszystkie licencje i wydać ją w cieszącej oko formie. Najczęściej – po raz pierwszy w historii.

Pierwszy raz usłyszałam o nich półtora roku temu, gdy w miejscach, gdzie bywam, i mam na myśli również miejsca w sieci, pojawiały się wzmianki o płytach z muzyką filmową i serialową wystarczająco starą, aby mieć pewność, że to naprawdę cenny album, i wystarczająco młodą, aby kompozycje zdążyły już zbudować sentyment. Nawet u relatywnie młodego odbiorcy, czyli u mnie. Pomyślałam, jaką frajdę z wydania *07 zgłoś się* czy *Czterech pancernych i psa* muszą mieć starsi słuchacze. Byłam oszłomiona tym, jak wspaniale przywrócono w tych wydawnictwach twórczość Andrzeja Korzyńskiego, jednego z największych i bez wątpienia jednego z najbardziej niedocenianych polskich kompozytorów filmowych. I jak obszernie! Obok instrumentalnej muzyki z *Akademii Pana Kleksa* także to, co robił jego zespół *Arp Life*, pierwszy zespół muzyki elektronicznej w Polsce, którym zachwycił się Andrzej

Wajda i wykorzystał to brzmienie w swoich filmach. Nikt wcześniej nie pokłonił się starej, dobrej polskiej muzyce filmowej w taki sposób.

GAD Records pracuje na nostalgii. Sięga do tych zakamarków naszej duszy, w których schowali się bohaterowie już dawno niemodni, kino niedzielnego, nastoletniego poranka, kiedy wszystko było można i niczego nie trzeba było. Muzyka fenomenalnie buduje relacje z tą przeszłością.

„Gady” podchodzą do sentymentów poważnie oraz z ogromnym szacunkiem traktują i wspomnienia, i twórców. Zajmują się starym rockiem, jazzem, muzyką eksperymentalną i tą z bibliotek. Wszystkim, na co komercja nie ma miejsca. Nigdy nie działają bez zgody twórcy lub bliskich, nawet gdy mają pełne prawo wykorzystać to, co znaleźli. A to znajdowanie jest żmudnym, wymagającym cierpliwości procesem przeszukiwania wytwórni, nieczynnych od lat studiów, materiałów archiwalnych z prywatnych i państwowych źródeł, prasy sprzed lat. Kiedy pytam Michała, czy to trudna robota, odpowiada bez zastanowienia: „Ja tę pracę uwielbiam!”. W angielskim jest na ten fach nieprzetłumaczalne na polski określenie – *digger*. Uwierzcie mi, kopanie w archiwum i machanie łopatą mają wiele wspólnego.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Latem zrobił furorę informacją, że będzie płyta z muzyką z serialu *W labiryncie*. Jesienią do rąk słuchaczy trafią albumy ze ścieżkami z kultowych *Nie ma mocnych* i *Indeks* w reżyserii Janusza Kijowskiego z muzyką Jacka Bednarka. Fani proszą o Komedę, Kilara i zmarłego w tym roku Jerzego „Dudusia” Matuszkiewicza.

Miałam nazwać ten felieton po krakowsku „Ocalić od zapomnienia”, ale pomyślałam, że to strasznie ckiwe, a ja tu jednak piszę o poważnych rzeczach. Ale chodzi za mną ten tytuł, bo to jest dokładnie to, co GAD Records robi. Głęboko wierzę, że to, co najlepsze w kulturze, powinno, na ile się da, zostać utrwalone. Muzyka jest jednym z najbardziej nieuchwytnych gatunków sztuki. A muzyka użytkowa już w ogóle przypomina jakiegoś ducha, który na chwilę jest i znika. Chyba że spotka na swojej drodze „gady”.



**Magdalena Miśka-Jackowska** – autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej, jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju, fanka muzyki filmowej i Krakowa.

# Dziennik pandemiczny: bezsenność z tarotem

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Był już koniec listopada i Nina z niecierpliwością czekała na czytanie tarota na kolejny miesiąc dla zodiakalnego Strzelca. Przez wiele miesięcy cierpiała na bezsenność, najpierw przez pandemię i stres związany z ośmiogwiazdkowym stosunkiem do Polski, później zaś doszła do tych wszystkich nieszczęść dziwna relacja z chłopakiem, który ze spotkania na spotkanie coraz bardziej ujawniał swą nieheteronormatywną naturę (znajomi do dziś żartują, że tak właśnie los wynagrodził Ninie aktywne wspieranie społeczności LGBT+). Sęk w tym, że ów chłopak za nic nie chciał się do tego przyznać. Ale Nina czuła, że coś jest nie tak. Niby byli parą, niby się sobie podobali, ale żyli trochę jak brat z siostrą. Nina mogłaby paradować o szóstej rano w samych koronkach albo lateksowym wdzianku, mogłaby narysować na podłodze wielki pentagram i robić na nim szpagaty bez majtek, a on by w tym czasie zmieniał kotu żwirek w kuwecie. A był to dopiero trzeci miesiąc randkowania!

Pewnego wieczoru chłopak rozplakał się w łóżku, łkał, że nie ma ochoty na seks, bo z jakichś niewiadomych przyczyn „nie czuje się bezpiecznie”. Wszystko, co mówił i robił, zdawało się jednym wielkim zaprzeczeniem tego, co można nazwać symbolem męskiego pożądania w świeżym heteroseksualnym związku. W końcu Nina zapytała go wprost o preferencje, ale wypierał się w żywe oczy.

Natury nie da się jednak oszukać. Punkt zwrotny nastąpił w trakcie imprezy nad jeziorem, gdy kumpel Niny, wyoutowany od dawna gej, szepnął do niej przy nakładaniu kiełbaski z grilla: „Ej, twój koleś mnie ostro podrywa”. Nina wcale nie była jakoś szczególnie zaskoczona, ale właśnie pożałowała tego, co mówiła koleżankom („Podoba mi się w nim to, że nie ma w sobie ani grama toksycznej męskości!”). Pomyślała, że to ostatni moment na przyparcie gościa do muru. Połała mu więcej wódki. Jedna bania, druga, trzecia. Gdy weszła do domku letniskowego po colę i wróciła po minucie, jej nowy chłopak wisił na jej kumplu i lizał go po uchu.

Od tamtej pory zaczęły się dla Niny prawdziwie białe noce, zupełnie nieprzespane albo spędzone na półczuwaniu, w trakcie których głównym jej zajęciem był milczący rachunek sumienia z głośno wykrzychaną w pustym pokoju puentą: „Dlaczego jestem taką idiotką?”. I właśnie wtedy przyszyły jej z pomocą wróżbitki z YouTube. Mogła w końcu zasypiać bez melatoniny i dziesięciu miligramów afobamu.

Nina włączyła czytanie ogólne na grudzień. Tarocistka z kanału Ogród Światła przepowiadała jej wielką zmianę i ukończenie z sukcesem bardzo ważnego projektu. Z kolei wróżbitka Agłaja wyczytała

w kartach, że właśnie teraz Nina stoi przed wielkim dylematem natury emocjonalnej, bo walczy o nią dwóch mężczyzn.

To była prawda. Jeden facet, czterdziestoletni, najpierw dzwonił do Niny kilka razy dziennie, a w weekendy chciał, by logowała się na Zooma. Zapowiadało się to wszystko całkiem dobrze... do czwartego spotkania, gdy zaprosił Ninę na obiad. Przez półtorej godziny przeżuwał wege kotleta, patrząc a to w podłogę, a to w swoje buty. Nie odezwał się do Niny słowem. Wieczorem zadzwonił i przeprosił, tłumacząc, że rozstroiła go kłótnia z mamą, poza tym cierpi na chroniczną depresję. Drugiego absztyfikanta znała Nina z dawnych lat, jeszcze ze studiów. Na kawę przyjechał teslą, potem pojeździł trochę po mieście. W aucie postanowił rozło-

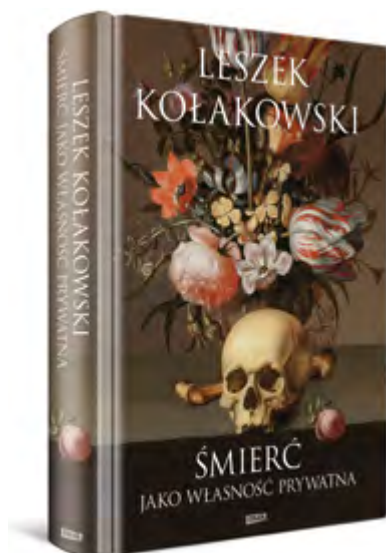
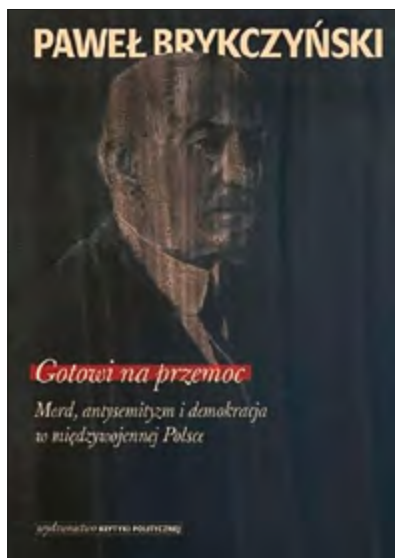
**Nina przez wiele miesięcy cierpiała na bezsenność, najpierw przez pandemię i stres związany z ośmiogwiazdkowym stosunkiem do Polski, później zaś doszła do tych wszystkich nieszczęść dziwna relacja z chłopakiem, który ze spotkania na spotkanie coraz bardziej ujawniał swą nieheteronormatywną naturę (znajomi do dziś żartują, że tak los wynagrodził Ninie aktywne wspieranie społeczności LGBT+).**

żyć jeszcze bardziej pawi ogon i puszczał jej na całą parę swoje muzyczne aranże. Po spotkaniu, zanim Nina zdążyła w progu zdjąć płaszcz, już miała na telefonie siedemnaście nieodebranych połączeń i wiadomości na mesendźerze. I tak przez następne dni od rana do wieczora, co musiało się skończyć zabłokowaniem typu na wszystkich kanałach.

„Musisz dopuścić do siebie głos serca, który od dawna próbujesz zagłuszyć!” – mówiła Agłaja, rozkładając kolejne karty, a Nina energicznie potakiwała, z głową głęboko zanurzoną w poduszkach.



**Iga Dzieciuchowicz** – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl i „Codzienniku Feministycznym”. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.



„Aby zrozumieć wzrost nastrojów antysemickich i akty przemocy wymierzone w prezydenta Narutowicza, trzeba wyjść poza stereotypy na temat plemiennego antysemityzmu Polaków i prześledzić złożone, a często zupełnie nieoczekiwane sposoby, jakimi antysemicka retoryka endeków była wykorzystywana w reakcji na konkretne wydarzenia polityczne. (...) Ukażę, w jaki sposób złożone współistnienie antysemickiej agitacji, ograniczeń instytucjonalnych, dynamiki walki wyborczej i przypadkowych wydarzeń (...) zmieniło krajobraz polskiego nacjonalizmu”.

Precyzyjny opis atmosfery sprzed stu lat, języka nienawiści, ksenofobii i antysemityzmu, ułatwiającej wielu Polakom milczącą zgodę na Zagładę dwadzieścia lat później po opisywanych wypadkach – przeraża. Książka, której czytanie boli, ale którą każdy pasjonat polskiej sprawy winien przeczytać – nie tylko w 99. rocznicę zabójstwa pierwszego demokratycznie wybranego prezydenta Polski.

Jest jednak wątek dyskusyjny. Warto się zastanowić nie tylko nad tym, jak doraźne akcje polityczne pociągają za sobą wypuszczenie demonów z flaszki nacjonalizmu, ale i zadać pytanie – a dlaczegóż ta flaszka jest pełna? Może u podstaw tak skutecznych akcji alt-prawicy polskiej (czy była zresztą kiedykolwiek poważna centrowa prawnica?) są niezgłębione pokłady antysemityzmu pieczołowicie hodowane w Polsce przez Kościół katolicki? wb

Paweł Brykczyński, *Gotowi na przemoc. Mord, antysemityzm i demokracja w międzywojennej Polsce*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2017.

Leszek Kołakowski miał ledwie 26 lat, kiedy podjął się rewizji polskiego przekładu jednego z największych dzieł światowej filozofii – *Etyki* Spinozy. Znalazł tam zdanie: „Człowiek wolny o niczym nie myśli mniej niż o śmierci, a mądrość jego jest rozmyślanie nie o śmierci, lecz o życiu”. Musiało go zafrapować, bo potem wielokrotnie sam je analizował – podobnie zresztą jak samą kwestię śmierci.

Pisał choćby w 1958 roku w eseju *Śmierć jako własność prywatna* (dotąd nieogłoszonym): „Nasza śmierć nie różni się od śmierci pająka niczym oprócz tej okoliczności, że istnieje dla każdego z nas jako świadomość wyprzedzająca i tylko w ten sposób istnieje realnie – na przekór fałszywym pociechom Epikura. (...) Każdy z nas wyróżniony jest od reszty świata podległego umiarniowi tym tylko, że przeżywa świadomość swojego zakończenia nieuchronnego”.

Jeden z największych polskich myślicieli minionych dekad analizował w swoich pismach nie tylko kwestię istoty i sensu śmierci, ale też lęk człowieka przed ową nieodwracalnością i rozmaite sposoby radzenia sobie z nim.

Robił to nie tylko w rozprawach *stricto* filozoficznych i książkach, ale też w listach do znajomych (między innymi do Tadeusza Kotarbińskiego) czy tekstach wspomnieniowych – jak choćby drugi z opublikowanych dopiero teraz materiałów: zapiskach powstałych po tragicznej śmierci przyjaciela, wybitnego reżysera Andrzeja Munka. Teraz wszystko zebrał biograf Kołakowskiego Zbigniew Mencil. kb

Leszek Kołakowski, *Śmierć jako własność prywatna*, Znak, Kraków 2021.

Płyta *Dżambli Wołanie o słońce nad światem* w chwili wydania była awangardą, a dziś jest klasykiem rodzimej muzyki popularnej. Piosenki *Muszę mieć dziewczynę*, *Masz przewrócone w głowie*, a w końcu song tytułowy znają nie tylko ci, którzy wtedy, w 1971 roku, je usłyszeli, ale i – dzięki zasadnej modzie na odkurzanie znacznych dźwięków czasów PRL – także młodszy. Połącznie rocka, rhythm’n’bluesa, funky i jazzu (dość powiedzieć, że w nagraniu albumu wzięli udział Tomasz Stańko, Michał Urbaniak, Marek Ałaszewski, Zbigniew Seifert i Janusz Muniak) z wielkimi tekstami Leszka A. Moczulskiego, Jerzego Ficowskiego czy Tadeusza Śliwiaka robi piorunujące wrażenie. Ale wielkim współtwórcą klimatu tej płyty jest niepowtarzalny śpiew Andrzeja Zauchy.

Był postacią do bólu – zważywszy na jego biografię, to słowo jest tu na miejscu – krakowską. Stąd i w kolorowej (bo jakżeby inaczej), choć też na szczęście nieprzekraczającej granic elegancji i dyskrecji, opowieści o jego życiu Krakowa jest dużo. Są bliskie mu postaci – Zbigniew Wodecki, Jan Kanty Pawluśkiewicz, Jarosław Śmietana, Krzysztof Haich, córka Agnieszka (niektóre go wspominają). Są miejsca – choćby Klub Pod Jaszczurami i Teatr STU. Jest sporo obrazków z życia polskiego artysty czasów PRL – tak na scenie krajowej, jak z wymarzonych jobów na Zachodzie. Obrazków czasem pięknych, czasem zabawnych, czasem smutnych. Zawsze nostalgicznych i dających do myślenia. kb

Jarek Szubrycht, *Życie, bierz mnie. Biografia Andrzeja Zauchy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021.





„Huta się zapadała, rozdzierała hale, zżerała swoje ciało. Do paszczy wpały piece z nagrzewnicami, kominy wciągał podziemny uskoki. (...) Huta zabierała swoje miasto do grobu wraz z mieszkańcami, a oni ten grób wykopywali. Marta Fornarius pomyślała: To miasto jest skończone”.

Już mapa zamieszczona na początku tej powieści przenosi nas do Tolkienowskiego Śródziemia: oto przejrzysty plan nowohuckich kwartałów i tam, gdzie powinien być napis *Hic sunt leones*, jest miejsce niejasne, dziżkie: KOMBINAT.

Te historie dzieją się w pierwszej połowie lat 50. XX wieku, gdy powstaje ten stalinowski potwór. Ale czy potwór? Bohaterowie spotykają się w kolejnych rozdziałach, ich losy przecinają się w różnych momentach historii dzielnicy, która miała być rajem. I po części taką się stała – tu ludzie od początku brali wszystko w swoje ręce. Ale stała się także miejscem budzącym grozę.

Autorka jest filozofką, zajmowała się też współpracą z teatrem, literaturą dziecięcą i komiksem. A że była i copyrighterką, więc nie dziwi jej świetne panowanie nad językiem, somnambuliczna wyobraźnia budząca demony i bohaterowie niczym spod pędzla Boscha. A w tle miasto-machina pożerające ludzi po kawałku...

To nie jest łatwa literatura, ale to dobra literatura. Stąd doskonała decyzja jury nagrody za debiut na Festiwalu Conrada. wb

Elżbieta Łapczyńska, *Bestiariusz nowohucki*, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2020.

„Dwa lata po katastrofie fizjoterapeutka i pochrząkujący lekarz dają mu zielone światło na wykonywanie codziennych zajęć, co oznacza, że nie ma wyboru i musi chodzić z Shay na półkolonie. (...) Dorośli chyba się skrzyknęli, żeby dawać mu szturchańce i popatrywać na niego z ukosa. Ich pozy i miny mówią: »Kryzys minął. Musisz wrócić do życia, żebyśmy i my mogli wrócić do własnego«”.

Pomysł całkiem, całkiem... Oto 12-letni chłopiec jako jedyny przeżył katastrofę samolotu, w której zginęły 193 osoby, w tym jego rodzice i brat. Jest dowodem na cud, a ludzie, nie myśląc nawet o tym, jak to jest być takim ocalańcem, pielgrzymują do niego jak do ZOO. Do tego narracja prowadzona jest dwutorowo: a to poznajemy kolejne sekundy śmiertelnego lotu, a to życie chłopca przed i po katastrofie. I udany opis traumatycznych przeżyć kogoś, kto stracił wszystko, co kochał. Słowem świetny pomysł na film, a może nawet na dobrą literaturę. A jednak nie jest to literatura przez duże L., bo coś zgrzyta. Niby jest wzruszająco, ale jednocześnie załatuje egzaltowanym smrodkiem cliwkości.

Ta książka nikogo nie przeora – ale warto ją przeczytać, bo pokazuje, jak trudno przeżywać żałobę, gdy jest tematem medialnym.

Swoją drogą, dlaczego w Polsce, umęczonej marszami, miesięcznicami i żałobami, nikt nie napisał takiej powieści na motywach katastrofy smoleńskiej? Dlaczego nie uczymy się płakać i współczuć, tylko kultywujemy histerię i agresję? wb

Ann Napolitano, *Drogi Edwardzie*, tłum. Ewa Borówka, Marginesy, Warszawa 2020.

Długo czekaliśmy na taki przekład głośnego dzieła Kazantzakisa – pełny i pierwszy z oryginalnego tekstu w języku nowogreckim, oddający wiernie zawartość merytoryczną, ale i filozoficzną powieści, bez filmowego cienia, który kładł się na poprzednich strategiach translatorskich (na osiemnaście języków!). Wcześniejsze polskie tłumaczenie Chadzinikolau też nie ustrzegło się próbie dostosowania do wersji filmowej, co poskutkowało wieloma uchybieniami. Ba, tłumacze poprawiali oryginał, nadając interpretację zgodną z oczekiwaniami czytelnika, znającego już film. Tyle że reżyser... zmienił wymowę dzieła Kazantzakisa. W filmie Szef staje się jeszcze jednym Zorbą, przyjmując jego postawę życiową, co odbiega od wymowy powieści.

Ireneusz Kania, wybitny tłumacz z Krakowa, nie tylko odtworzył pierwotną prawdę dzieła, ale uczynił to w wielkim stylu. Tłumaczenie sprawiło, że powieść Kazantzakisa stała się tym, czym była w zamierzeniu autora – przypowieścią filozoficzną. Socyści, wierny oryginałowi język powoduje, że nie tracimy nic z emocji, które nam się udzielają, podczas śledzenia fabuły. Bo mamy tu, jak w filmie, to, o czym tak długo pamiętamy po wyjściu z kina – nieokiełznanego w swoim żywiole bohatera, który na zawsze mieć będzie twarz Anthony’ego Quinna. Jego taniec, choć w powieści go nie ma, będzie przypominał o wiecznej tęsknocie człowieka do powrotu do źródeł i o pragnieniu autentyczności.

Elżbieta Wojnarowska

Nikos Kazantzakis, *Grek Zorba*, tłum. Ireneusz Kania, ZNAK, Kraków 2021.



Łucja Kłańska-Kanarek, *Na Kazimierz zlecieli Anieli*

# Jak Róża Aleksandrowicz została muzą

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Paulina Najbar-Skotnicka

**Można powiedzieć, że jej urodę potrafili docenić tylko koneserzy. Rzeczywiście, specjalną pięknnością nie była. Miała za to kilka innych zalet, które dostrzegli najwybitniejsi malarze z okresu Młodej Polski i dwudziestolecia międzywojennego.**

Dzięki temu dziś w Muzeum ASP możemy oglądać portrety Róży Aleksandrowicz namalowane ręką Jacka Malczewskiego, Teodora Axentowicza, Edwarda Baranowskiego czy Vlastimila Hofmana.

To niewielka, ale ciekawa wystawa. Przestrzeń, w której została zaaranżowana, nawiązuje do klimatu składu papierów firmy „Regina Aleksandrowicz i Synowie” mieszczącego się niegdyś w dzisiejszej Księgarni Pod Globusem przy ul. Długiej. Mamy tu więc starą, ale przepiękną kasę, szylidy i ówczesne reklamy. Atmosferę przedwojennego Krakowa dopełniają projekcje, które pojawiają się na ścianach, przenosząc nas na ówczesne ulice miasta i do samego sklepu. Jednak najważniejsze są obrazy, z których patrzy na nas Róża Aleksandrowicz. Jakim cudem niezbyt urodziwa córka właścicielki sklepu została modelką i znalazła się na płótnach mistrzów? Odpowiedź jest prosta – dzięki dobroci serca.

Do sklepu papierniczego, w którym pracowała, przychodzili często studenci pobliskiej Akademii Sztuk Pięknych, by kupić potrzebne im do pracy materiały. Nie wszystkich było na nie stać. Róża w lot orientowała się w sytuacji i zamiast podchodzić do ozdobnej kasy, by zainkasować gotówkę, zmieniała kierunek i z uśmiechem wręczała farby czy pędzle stojącym przed nią młodym ludziom. Artysty nie wiedzieli, jak się jej odwdziaczyć. Nie wiadomo, który pierwszy wpadł na pomysł, by za materiały malarskie odpłacić dziewczynie obrazem. W ten sposób Róża stała się właścicielką cennej dziś kolekcji dzieł sztuki i muzą artystów. Portretowali ją bowiem, powtórzmy, najwięksi wówczas rodzimi malarze: Teodor Axentowicz, Edward Baranowski, Vlastimil Hofman, a także wdzięczny za to, że opiekowała się jego studentami, Jacek Malczewski. I to właśnie obraz jego autorstwa znalazł się w centralnym punkcie wystawy, której pomysłodawcą jest od lat zafascynowany osobowością Róży prof. Aleksander Skotnicki.

To dzięki jego książce, poświęconej muzie krakowskich malarzy, możemy poznać dalsze jej losy. Otóż sklep Reginy Aleksandrowicz szybko zyskał renomę, podobnie jak firmy prowadzone przez jej synów. Dzięki temu żydowska rodzina wzbogaciła się, a Róża, nie musząc już stać za ladą, podróżowała po Europie i bawiła w luksusowych kurortach. Wybuch wojny sprawił, że świat młodej Żydówki runął. Razem z matką musiała uciekać do Lwowa, stamtąd trafiła do Kazachstanu. Co się z nią wtedy działo, nie wiadomo. Wiemy jednak, że kiedy w końcu udało jej się wrócić do Krakowa, nie było tu już dla niej miejsca. Wyjechała do Izraela, zabierając ze sobą



Jacek Malczewski, *Skończona pieśń* – portret Róży Aleksandrowicz, 1919, olej

kilka obrazów. Resztę swoich portretów przekazała Muzeum Narodowemu w Krakowie. I to właśnie te dzieła możemy oglądać w Muzeum ASP. Ekspozycję dopełniają prace współczesnych artystów, zrealizowane z wykorzystaniem papieru czerpanego.

Muzeum ASP, *Róża Aleksandrowicz, muza malarzy krakowskich*, wystawa czynna do 31 grudnia 2021 roku.

# Baśniowy świat Karoliny Grodziskiej

Tekst: Janusz M. Paluch Zdjęcie: Krzysztof Lis

Zaskoczyła mnie Karolina Grodziska swą nową książką! Zazwyczaj skupiała się na opracowaniach naukowych, monografiach cmentarzy. Wzruszyła uhonorowaną Nagrodą Krakowska Książka Miesiąca opowieścią *Krakowianki zapomniane. O niezwykłych paniach pochowanych na cmentarzu Rakowickim 1803–1920* (2011). A tu nagle – „rodzące się na gruncie kłęski i smutku” baśnie, miejskie legendy – *Ptaszy ludzie i inne opowiadania!*



Czytając *Baśnie stare, wiślane, krakowskie*, w końcu *biblioteczne i domowe* odkrywamy zupełnie nowe oblicze autorki, zaskakującej żywością wyobraźnią literacką. Posługując się wyrafinowaną, piękną polszczyzną, snuje krakowskie opowieści – o pannach zwierzyńskich, o niespokojnych snach panny Broni, o siedmiu topielcach i zapasach wina rodziny Wodzickich w podziemiach Pałacu Pod Krzysztoforą czy niegroźnym duchu Kichale, o diabelskich kamieniach, o Popiduchu nad Wisłą, co czasem „mija nas na wodą, (...), czasem nuci kołysankę...”, czy o ludziach, którzy w talentach niczym ptaki i z ptakami w szczególnym porozumieniu żyją.

Temat zawsze niby prosty, a jednak wyszukany... Opowiadanie *Jedyny taki ślub* jest poświęcone pamięci kapelana ks. Krzysztofa Sojki. Przypomina jedyny ślub, jaki odbył się w kaplicy na cmentarzu Rakowickim. Pretekstem do innych opowieści bywa tajemniczy przedmiot. Bohater opowiadania *Mój Wołek*, będący świadkiem dramatycznych wydarzeń chrystianizacji pewnie Małopolski, wrzucił do dołu „pod fundament ich chramu” figurkę Welesa – podziemnego słowiańskiego boga magii, sztuki, rzemiosła i bydła, bawiąc się przez lata myślą, że „on tam jest (...) jak jeden z kamieni dźwigających świątynię Chrystusa”.

Nie brakuje opowieści o postaciach, które zaznaczyły oryginalnością albo dziwactwem swą obecność w krakowskiej rzeczywistości. W opowiadaniu *Ciotka i Maurycy* pani Wanda, nobliwa wdowa mieszkająca w kamienicy przy ul. Grodzkiej, ciskała zepsutymi owocami w kondukt żałobny Adama Mickiewicza. Kilka godzin spędziła na posterunku c.k. policji. A wszystko z miłości do Maurycego Gosławskiego i jego poezji, bo jakże to, że zaszczytu spoczynku na Wawelu dostąpił „nie ten z żołnierskiego szeregu, spod ostrzału rosyjskich kul, z niewoli. Nie ten z kampanii na Kaukazie, powstania, konspiracji. Ale ten z salonów, z Włoch, Paryża. Że nie Maurycy, ale Adam...”.

Nie sposób się nie zgodzić z prof. Jackiem Purchlą, że „*Ptaszy ludzie i inne opowiadania* to w jednym baśniowa tradycja narracji Józefa Ignacego Kraszewskiego, błyskotliwość obserwacji Ksawerego Pruszyńskiego oraz bajeczna wyobraźnia Joanne Rowling”.

Opowiadania Grodziskiej zaskakują conceptem, są pełne mądrości życiowej, a jednocześnie bliskie groteskowemu anegdotom – choćby *Diabeł wieczorową porą*, *Laska pana Wincentego* czy *Jutro będzie koniec świata...*

Karolina Grodziska, *Ptaszy ludzie i inne opowiadania*, Austeria, Kraków 2021.

### ■ Wojciech Ornat z Nagrodą im. Stanisława Vincenza

Dawno nas tak nic nie ucieszyło, jak sukces naszego Wielkiego Przyjaciela Wojciecha Ornata, który został laureatem Nagrody im. Stanisława Vincenza. Właściciel wyjątkowego wydawnictwa, jakim jest Austeria, otrzymał to prestiżowe wyróżnienie za bycie jednym z najważniejszych promotorów wielonarodowej i wielokulturowej natury naszego makroregionu. Kto choć raz sięgnął po książki, które publikowane są w oficynie Wojtka, nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Bowiem nakładem Austerii ukazują się tomy związane głównie z tematyką żydowską i środkowoeuropejską. Nagrodę wręczono podczas kongresu Open Eyes Economy Summit, a piękną laudację wygłosił Krzysztof Czyżewski (opublikujemy ją w następnym numerze).

### ■ Polska ma twarz kobiety i niektórzy się jej boją

W *Dziadach* Mai Kleczewskiej, granych na scenie Teatru im. J. Słowackiego, w roli Konrada została obsadzona Dominika Bednarczyk. W tym przedstawieniu to ona wygłasza *Wielką Improwizację*, to ona wadzi się z Bogiem, to ona przemawia głosem Polaków. I nie jest to głos zakochanego w sobie, romantycznego poety, tylko dojrzałej kobiety, która potrafi wysunąć racjonalne argumenty. Nie usłyszymy tu żadnej historycznej nuty, choć to skarga skrzywdzonej osoby, która ledwo powłóczy nogami, wspierając się na kulach.

Czy aż tak mocny akcent był potrzebny, to sprawa do dyskusji, podobnie jak dyskutować można nad tym, na ile ukształtował tę postać obraz Janiny Ochojskiej i czy tak dosłowne odniesienia są w teatrze konieczne. A jest ich tu sporo. Jedne się sprawdzają, jak sceny w klasztorze Bazylianów, gdzie nie zostali uwiecznieni filomaci, tylko uczestniczki Strajku Kobiet. To przedziwne, że choć aktorki mówią tekstem Mickiewicza, wierzymy im i doskonale wiemy, przeciw komu i w jakiej sprawie zwracają słowa piosenki: „Zemsta, zemsta, zemsta na wroga, z Bogiem – i choćby mimo Boga!”. Inne nawiązania do współczesności, jak scena guseł, gdzie reżyserka wali nas obuchem w głowę, pokazując całą Polskę, z faszyzującymi narodowcami, powstańcami warszawskimi, tęczowymi gejami, katolickimi fundamentalistami i Żydami w chałatach dla mnie były zdecydowanie zbyt proste w przekazie i osłabiały siłę przedstawienia. Ale i tak jest o czym rozmawiać. W tym miejscu zamierzałam dodać, że krakowskie *Dziady* mogą być podstawą co ciekawych dyskusji w szkołach. Ale właśnie czytam, że małopolska kurator oświaty Barbara Nowak odradza nauczycielom zabieranie uczniów na spektakl. Kiedyś Gomułka bał się *Dziadów*, dzisiaj – jak widać – też są tacy, którzy się ich boją.

### ■ Matki nie odchodzą, matki umierają

Najpierw była rewelacyjna książka Miry Marcinów *Bezmatek*, nagrodzona Paszportem „Polityki”. Teraz jest spektakl Marcina Libery grany na Scenie pod Ratuszem Teatru Ludowego. Nie miałam zamiaru go oglądać, bo wiedziałam, że opowieść o umierającej na raka matce i tęskniącej za nią córce może tylko zepsuć mi wieczór. Ale nie żałuję, że się zdecydowałam, bo z teatru wyszłam naładowana dobrą energią. Wyjątkowość prozy Miry Marcinów tkwi w języku. Pisarka znalazła nowy styl na opisanie straty. Nie ma w nim nic z czułościowości, jest za to dzikość skojarzeń, dowcipna, choć czasami okrutna szczerść i prawda o tym, że pustki po odejściu najbliższej osoby nie da się niczym zapełnić. Grająca Matkę Katarzyna Tłałka i jej sceniczna Córka Maja Paniewicz udowadniają, że nawet gdy matka umiera, to tak naprawdę nigdy nie odchodzi i już na zawsze zostaje z nami.

### ■ Chcecie spotkać znajomych, idźcie do Bunkra Sztuki

Wiadomo, w Krakowie wszyscy się znają. Wystarczy wyjść na Rynek, by zaraz spotkać kogoś, komu trzeba się ukłonić albo wymienić z nim kilka ważkich uwag o pogodzie czy polityce. Jeżeli jednak chcielibyście pomilczeć w towarzystwie znanych sobie, przynajmniej z widzenia, krakowian, zejdźcie do podziemi Pałacu Potockich, gdzie obecnie znalazł dla siebie miejsce Bunkier Sztuki. Do 9 stycznia 2022 roku można tam oglądać wystawę obrazów Leszka Sobockiego. Współzałożyciel Grupy Wprost sportretował wiele krakowskich znakomitości. Jest wśród nich zamyślony prezydent Jacek Majchrowski, jest szefowa MOCAK-u Masza Potocka, na której twarzy maluje się pewność siebie, czy profesor Aleksander Skotnicki. Zresztą portretów znanych lekarzy jest na wystawie więcej, tak jak wizerunków rodziny artysty i ważnych dla niego poetów, na czele z Wisławą Szymborską, Adamem Zagajewskim i Ryszardem Krynickim.

### ■ Łoża świętuje 20-lecie

A jak już jesteśmy przy spotykaniu znajomych, to donosimy, że 20-lecie istnienia świętuje ZASP-owski Klub Aktora Łoża, mieszczący się w restauracji Łoża na naszej ulubionej trasie A-B. O każdej porze dnia i nocy można spotkać tu krakowskie gwiazdy, które przy kawie, a czasem czymś mocniejszym toczą rozmowy istotne, bez których Kraków nie byłby Krakowem. Wpadnijcie tam czasami, bo możecie być świadkiem niespodziewanego wydarzenia, spektaklu czy koncertu, które raz po raz odbywają się w piwnicy tego kochającego artystów lokalu.

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec



W następnym numerze między innymi:

Następny numer „Krakowa” (luty 2022) ukaże się w ostatnich dniach stycznia 2022 roku. Jego wiodącym tematem będą: „Kobiety zbuntowane”.

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY  
**KRAKÓW**

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”

**Wybierz Kraków!**

**Nic, co krakowskie, nie jest nam obce**

**Wydawca:** Biblioteka Kraków

**Adres Redakcji i Wydawcy:**

pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

**Kontakt:** tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82,

e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl

**www.miesiecznik.krakow.pl**

**Pismo tworzą:** Jacek Balcewicz, Witold Beres (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszcachowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński

**Fotografowie:** Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.

**Layout:** Igor Banaszewski

**Strona internetowa:** Piotr Rachwaniec

**Adiustacja i korekta:** Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

**Druk:** Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.



Rys. Piotr Błachut

## Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

**Prenumerata redakcyjna** gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopismem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

**Kontakt:** Aneta Mastela-Książek  
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,  
tel.12/61 89 120

**Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę:** Biblioteka Kraków,  
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków

**Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528**

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki).

**Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu!**

(10 numerów, w tym dwa o zwiększonej objętości)

– dla odbiorców mieszkających w kraju: **100 zł**

– dla mieszkających za granicą: **200 zł** (poczta priorytetowa).

**Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

**Numery archiwalne:** cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczegóły na witrynach internetowych kolporterów.

# W sieci kultury

Opracował Piotr Rachwaniec

Culture.pl

Rok 2021 został oficjalnie ustanowiony rokiem Tadeusza Różewicza. W 100-lecie urodzin tego wybitnego polskiego poety, dramaturga, prozaika i scenarzysty Culture.pl publikuje teksty – nowe i starsze – przypominające jego sylwetkę.

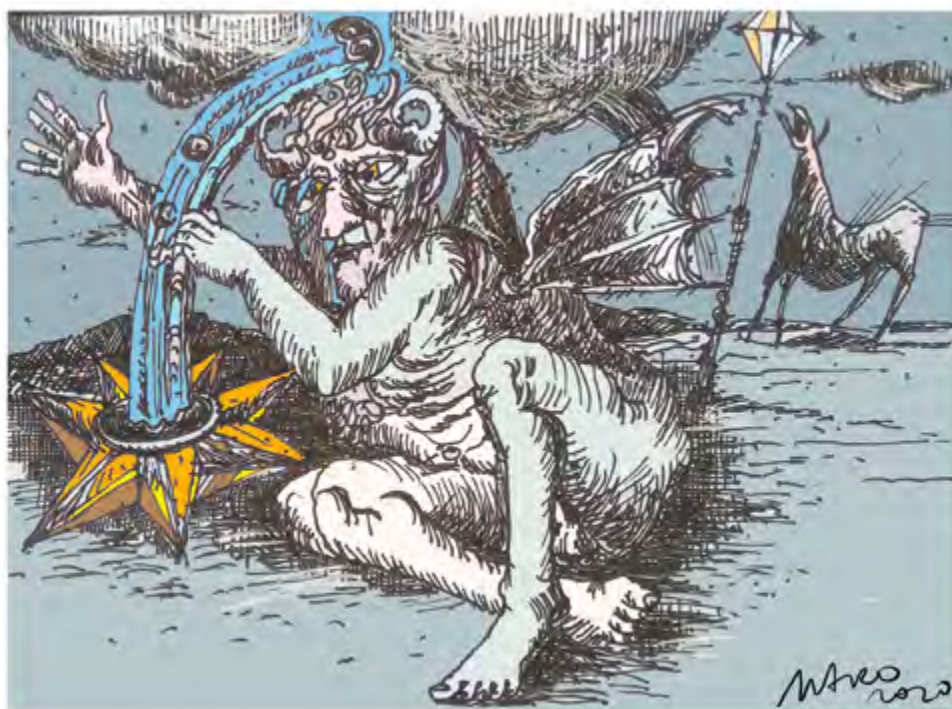
<https://culture.pl/pl/artykul/metafizyka-realizmu-filmowa-tworczosc-tadeusza-rozewicza>  
<https://culture.pl/pl/artykul/rozewicz-zbuntowany-uczen-awangardy>  
<https://culture.pl/pl/artykul/sztuka-nic-w-labiryncie-poezja-tadeusza-rozewicza>

„Prawdziwym debiutem poetyckim, obdarzonym niepowtarzalnym różewiczowskim tonem, był tom *Niepokój*, 1947. Zarysowuje się tu już drastyczny obraz świata przez wojnę zmiążdżonego, zbezczeszczonego, zohydzonego, pozbawionego nadziei, wiary i może nawet miłości (oprócz matczynej). Nie należy się dawać zwodzić wyglądem człowieka młodego ani jego domniemaną niewinnością – po latach wojny. On nie jest młody. Jest już katem i ofiarą.

(...) Odpowiedzią Różewicza na nagromadzone zło jest wyłącznie to, że pochodzi ono od człowieka, jest istotą człowieka, ponieważ nie ma zwierzęcia, które używałoby języka, słowa, do zbrodni.

*człowiek jest wypadkiem  
przy pracy  
natury  
jest błędem*

(...) Wyjątkowo wstrząsająca jest część *Złoto*, w której opisane jest dziwne, po latach, odkrycie tak „zaskakujące dla niewinnej i niezaangażowanej” Europy: skąd wzięło się w bankach szwajcarskich, i nie tylko szwajcarskich, tak wiele złota. Niczym niewyróżniające się sztaby. Okazuje się, że śmietnikiem składującym zło może okazać się bank. Złoto, samo w sobie obojętne, leżące spokojnie, nacechowane znakami odcisniętymi jeszcze w czasie wojny, »zaczęło mówić« i z chwili na chwilę stało się symbolem zła. »Nagle« okazało się, że to złoto pochodzące od ofiar Holocaustu, złoto nigdy nie oddane żadnym spadkobiercom, jeśli tacy w ogóle pozostali, złoto nikogo w czasie ani po wojnie nie napawające przerażeniem. To złoto po pół wieku zaczęło płakać w szacownych bankach krwawymi łzami”.



Rys. Marek Braun



Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

## Inżynierowie na wybiegu

Panie, co to się porobiło. Kiedyś to studenci Akademii Górniczo-Hutniczej nie zawracali sobie głowy tym, w co się ubierają, tylko wskakiwali w dreluchy i biegli zagłębiać w praktyce technologiczne nowinki, przydatne przyszłym inżynierom. Od dawna ustalone było bowiem, że szyk mają zadawać artyści z Akademii Sztuk Pięknych czy szkoły teatralnej. A tu idąc przez Rynek, dowiadujemy się, że niedawno odbył się pierwszy w historii AGH... pokaz mody. Taki prawdziwy, z wybiegiem, modelkami i modelami. A wszystko to za sprawą Uczelnianej Rady Samorządu Studentów, która w ten sposób chciała przybliżyć kolegom istotną sprawę, jaką jest stworzenie odpowiedniego wizerunku biznesowego. Bez tego przecież w naszych czasach ani rusz. Dlatego przyszłe panie inżynier i panowie inżynierowie przez kilka miesięcy ćwiczyli poruszanie się z gracją i profesjonalne demonstrowanie sukienek i garniturów. Musieli także, niczym dzisiejsze następczynie Naomi Campbell (choć właśnie ona wciąż nam się najbardziej podoba), brać udział w sesjach zdjęciowych. Mamy nadzieję, że nie wejdzie im to w krew i nie zaczną jednak zjeżdżać do kopalni w szpilkach czy lakierkach.

## Odnaleziona portmonetka

Tym razem nie chodzi jednak o zgubę, ale o ciekawe znalezisko. Owszem, zdarzało nam się już pisać o niezwykłych odkryciach archeologów, lecz tym razem trafiło się coś zdecydowanie bardziej nam współczesnego, choć też zdumiewającego. Specjaliści pracujący w kaplicy Jana I Olbrachta w katedrze wawelskiej odkryli niedawno dwie gotyckie arkady. Nieopodal nich leżała portmonetka datowana na lata 50. zaledwie XX wieku. Zagadka pochodzenia tego przedmiotu okazała się jednak łatwiejsza do rozwiązania niż tajemnica wejścia do kaplicy, która tak naprawdę była przedmiotem badań. Otóż w portmonetce nie znaleziono pieniędzy, tylko kartkę. Znajdowały się na niej nazwiska dwóch studentów architektury – Edwarda Madeja i Andrzeja Riabow-Dutkiewicza oraz informacja, że owi młodzi ludzie w 1952 roku robili w tym miejscu pomiary portalu grobowego. W portmonetce, schowanej za nagrobkiem królewskim, było też słowo od późniejszych konserwatorów. A skoro tak, to i obecna ekipa konserwatorska postanowiła dorzucić coś od siebie do „skarbczyka”. Co, o tym przekonają się potomni, którzy następnym razem będą restaurować zabytek. Oto prawdziwa ciągłość dziejów.

## Kolorowe schody niczym buła z masłem

Jest ich 55 i są pomalowane we wszystkie kolory... tęczy. Ale spokojnie, proszę nie sięgać po kropidło ze święconą wodą, bo to nie ta tęcza, która niektórych (choć nie nas) odstręcza. Mowa tu oczywiście o kolorowych schodach, które pną się ulicą Tatrzańską w Podgórzu i które stały się jedną z atrakcji tej części Krakowa. W 2013 roku Agnieszka Rola i Monika Pasek pomalowały je w ramach projektu „Patrz pod nogi” zrealizowanego z okazji Grolsch ArtBoom Festival. Artystki, chcąc przechodniów na chwilę zatrzymać i spowodować ich uśmiech, pomalowały schody na Tatrzańskiej, a każdy ze stopni opatrzyły dodatkowo cytatem autorstwa słynnej osoby, związanej z naszym miastem. Same cytaty tak dobrały, by ich treść niosła pozytywny przekaz.

Choć z czasem schody wyblakły, odrapały się i pobrudziły, ich sława nie malała. Dzięki radnemu dzielnicy panu Jackowi Młynarzowi, który projekt odnowienia schodów zgłosił do budżetu obywatelskiego, i licznie głosującym podgórzanom, właśnie zyskały one nowy blask. Od teraz są nie tylko odświeżone, ale jest ich więcej. Co za tym idzie, przybyło na nich cytatów, między innymi ze Zbigniewa Wodeckiego, Andrzeja Sikorowskiego, Ewy Demarczyk, Kory czy Zuzanny Ginczanki. Nam szczególnie spodobał się cytat z Jerzego Pilcha: „Wyobraźnia to jest umiejętność widzenia suchej buły jako buły z masłem”. I tego Państwu życzymy.

## Słowa w kosmos

Co to znaczy być obywatelem Unii Europejskiej? Dla jednych odpowiedź jest oczywista. Inni zdają się nie rozumieć samego znaczenia słów „unia” i „europejska”. Ale są też tacy, którzy na samą myśl o wspólnocie europejskiej wzdrygają się jak diabeł przed wodą święconą. Jednak wszyscy bez wyjątku mogli swoją opinię na ten temat wyrazić i... wysłać w kosmos. Było to możliwe dzięki wielkiej antenie satelitarnej, zwanej Outer Space Transmitter, która stanęła na Plantach przed Uniwersytetem Jagiellońskim.

Żeby zrozumieć jej działanie, pewnie trzeba skończyć ze dwa fakultety. Jak udało się nam jednak zorientować, z grubsza chodzi o to, by najpierw głośno wyrazić odpowiedź na postawione na początku pytanie i poczekać, aż słowa zostaną przetworzone na obraz tekstowy, a ten przetłumaczony na zestaw znaków. Znaki w postaci fal radiowych fruną sobie w kosmos i tam już na wieki wieków zostają. Prawda, że proste?

Tak naprawdę sprawa jest jednak poważna, gdyż jest to element projektu badawczego Instytutu Studiów Europejskich UJ prowadzonego z zagranicznymi partnerami, głównie z Donau-Krems University z Austrii. Dlatego za instalację odpowiedzialna jest artystka Mona Schulzek, będąca jednocześnie wykwalifikowanym radiooperatorem. Trzeba jasno podkreślić, że w tym projekcie nie chodzi o promowanie żadnych politycznych idei, ale właśnie o dialog różnych poglądów. Choć myśmy się rozmarzyli i oczyma wyobraźni ujrzelśmy maszynę, która w kosmos nie wysyła głosów eurosceptyków, ale ich samych. I to z biletem w jedną stronę. Choć wtędy z kolei kosmosu szkoda...





Rys. Janusz Stefaniak

## Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”



## Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”

---

Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków  
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków  
Grzegorz Szymański, Warszawa  
Aleksander Skotnicki, Kraków  
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków  
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków  
Adam Michnik, Warszawa  
Janusz Szerla, Kraków  
Grzegorz Kogut, Kraków  
Józef Palinka, Warszawa  
Marek Braun, Kraków  
Krystyna Zachwatowicz, Kraków  
Aleksander Herzog, Warszawa  
Jacek Purchla, Kraków  
Kazimierz Sumera, Zawoja  
Andrzej Gaworski, Warszawa  
Józef Opalski, Kraków  
Halina i Leszek Domańscy, Kraków  
Katarzyna Janowska, Warszawa  
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice  
Stanisław Bisztyga, Kraków  
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków  
Krzysztof Bień, Kraków  
Teresa Bergier, Kraków  
Antoni Legeżyński, Kraków  
Krystyna Sacha, Porąbka Uszewska  
Elżbieta Motas, Warszawa  
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków  
Iwona Ben, Kraków  
Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków  
Józef Grudnik, Kraków  
Teresa Prac, Warszawa  
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków  
Ewa Rusek, Kraków  
Andrzej Wyrobiec, Kraków  
Jarosław Poczykowski, Białystok  
Jadwiga Falkowska, Białystok  
Marcin Barcz, Piaseczno  
Tomasz Langie, Kraków  
Tomasz Majka, Zawada  
Jerzy Zoń, Kraków  
Amelia i Rafał Skąpscy, Jazowsko  
Anna Kosioriewicz, Kraków

Jerzy Hausner, Kraków  
Katarzyna Bilan-Zajac, Kraków  
Monika Gierko-Libicka, Warszawa  
Rafał Bubnicki, Wrocław  
Dominika Dudek, Kraków  
Wanda Chmielowska, Kraków  
Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków  
Gerhard Gnauck, Sulejówek  
Wacław Marszałek, Warszawa  
Piotr Krzywiec, Warszawa  
Gwidon Dziwoki, Kraków  
Waldemar Zakrzewski, Szczecin  
Renata i Wojciech Michna, Kraków  
Andrzej Kuźma, Kraków  
Jarosław Grzesiak, Kontancin-Jeziorna  
Konstanty Gebert, Warszawa  
Agnieszka Oodorowicz, Warszawa  
Janusz Fogler, Legionowo  
Anna Tyniec, Kraków  
Czesław Misiołek, Duchnice  
Małgorzata Maruszkin, Warszawa  
Anna Anderson, Dobczyce  
Marcin Barcz, Piaseczno  
Wojciech Bergier, Kraków  
Ewa Bielecka, Kraków  
Jacek Górski, Kraków  
Dorota Hajdarowicz, Bolechowice  
Grzegorz Hajdarowicz, Bolechowice  
Wanda Fryz, Wodzisław Śląski  
Maria i Paweł Niklińscy, Kraków  
Andrzej Łojewski, Kraków  
Andrzej Pach, Kraków  
Małgorzata Pach, Kraków  
Jerzy Loręcki, Kraków  
Jan Sady, Kraków  
Róża Thun, Kraków  
Stanisław Dudzik, Kraków  
Beata i Artur Romanowscy, Kraków  
Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków  
Małgorzata i Jerzy Dobrowolscy, Skarżysko-Kamienna  
Ewa i Krzysztof Jurkiewicz, Krępa  
Ewa i Grzegorz Reszka, Warszawa  
Dariusz Borucki, Łomianki

Alina Kruk, Zielona Góra  
Krzysztof Ryszard Wilk, Kraków  
Mariusz Landowski, Tczew  
Jadwiga Drąg, Paszyczna  
Halina Majdak-Maj, Bielsko-Biała  
Marta Anna Ronne, Uppsala  
Waldemar Smolski, Kraków  
Andrzej Gawłowicz, Kraków  
Anna Świętoń-Piędzioch, Kobyła Góra  
Grażyna Przybylska-Okoń, Kraków  
Teresa Stowska, Kraków  
Malwina Kopańska, Olsztyn  
Kazimierz Trybalski, Przybysławice  
Anna Kulak, Krzeszowice  
Jerzy Kicki, Kraków  
Andrzej Pienias, Bełchatów  
Alicja Byszkiewicz, Toronto  
Andrzej Mącznik, Kielce  
Anna i Adam Opatowiczowie, Kołbaskowo  
Katarina Hard, Staffanstorp  
Alicja Danecka-Chwals, Boston  
Zofia Maciąga, Łędziny  
Tomasz Wojtas, Kraków  
Hanna Dunin-Łabędzka, Jarosław Miñałto, Wrocław  
Wiesława Iskra, Dankowice  
Irena Krzywiec, Kraków  
Stanisław Dziurzyński, Sędziszów  
Elżbieta Grzeluska-Grudnik, Opatówek  
Halina Biernacka, Bolechowice  
Jędrzej Krakowski, Katowice  
Ewa Mańkowska-Grin, Kraków  
Elżbieta Wełna, Kraków  
Elżbieta Binswanger-Stefański, Kraków  
Wojciech Wróblewski, Warszawa  
Dorota i Stanisław Waltoś, Kraków  
Andrzej Saracyn, Warszawa  
Katarzyna Sondij, Teneryfa  
Seweryn Szatkowski, Warszawa  
Ewa i Jacek Godniowscy, Kraków

---

## Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 200 złotych (osoby i firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać zaproszenia

na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka uniikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

### Wpłaty:

Biblioteka Kraków  
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3  
31-154 Kraków  
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528  
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”  
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!  
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenas Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

# Myśli bez słów

Tekst: Agnieszka Kosińska

**„Żyjesz, czujesz, jesteś żyty, jesteś czuty przez innych, więc jesteś nieszczęśliwo-szczęśliwy”... Nie dane nam było usłyszeć, jak Chopin grał, ale możemy usłyszeć, jak Chopin mówi, a nawet myśli.**

Skończył się konkurs Konkurs Chopinowski. Fala energii i radości płynąca z muzyki granej przez dzieci właściwie, z mądrej rozmowy dorosłych o nich (umiejętność zachwytu!), z drobnych akcentów, nutce-wisiorku na szyi Aimi, podśpiewywaniu Garcíi Garcíi, księżycowym warkoczu Evy, lekkości samuraja Sority, kropkach potu Bruce’a, z ogromnego skupienia ich wszystkich.

Można słuchać po wielokroć tego samego utworu? Można. Na to właśnie czekaliśmy. Na stawanie się muzyki na naszych oczach. Ulotna i wieczna: tym ona jest. Za każdym razem wymykała się i szybowwała wysoko, ponad ludzkimi rachubami (lepszy, gorszy, zasługuje, nie zasługuje). Muzyka jest pełnią.

Czuł to już ośmioletni Fryderyk. Do ukończonego papy pisał, że chętniej by jakiś koncert dla niego na imieniny skomponował niż życzenia w słowie. Nie dane nam było usłyszeć, jak Chopin grał, ale możemy usłyszeć, jak Chopin mówi. Jeśli chcemy być powróceni w krainę Fryderyka, przedłużyć to, co pamięta nasze ucho, czytamy jego listy. W listach tak bardzo zbliżył się do myśli, która obywatela przecież bez słów.

„Kaź w piątek bukiet fiołkowy kupić, żeby w salonie pachniało – niech mam jeszcze trochę poezji u siebie wracając – przechodząc przez pokój do sypialnego – gdzie się pewno położę na długo” – pisał do przyjaciela Wojciecha Grzymały z Londynu w 1848 roku, gdzie ostatnie koncerty dawał.

„Ja już ledwo dyszę [...] a Ty łysiejesz zapewne i zostaniesz jeszcze nad moim kamieniem jak te wierzby nasze, pamiętasz? – co to goły łeb pokazują. Nie wiem, dlaczego Jasio nieboszczyk i Antek mi teraz w myśli, a Witwicki, a Sobański! Ci, z którymi najściślej w harmonii byłem, także dla mnie umarli; nawet Ennike, nasz najlepszy stroiciel, się utopił. Więc już nie mam dobrze nastrojonego, podług mojego zwyczaju, fortepianu na świecie. Moos umarł i nikt mi już obuwia tak wygodnego nie robi. Jeszcze 4-ech a 5-ciu niech mi pojedzie do bramy ś-go Piotra, a całe życie moje wygodniejsze będzie *ad patres*. [...]

Co mi się zostało to nos duży i 4-ty palec niewyrobyony” (z listu do Juliana Fontany, 1848). „Żyjesz, czujesz, jesteś żyty, jesteś czuty przez innych, więc jesteś nieszczęśliwo-szczęśliwy” (do Tytusa Wojciechowskiego, z pocieszeniem, 1830).

Ten skryty i powściągliwy człowiek pisał tak bliską nam polszczyznę. Ale jak on te słowa poukładał, że tyle wyraził. Odrzucił literackość, sztuczność, egzaltację i wielosłowie swojego czasu („napisz mi wyraźnie, łopata w łeb, bez ogródki”), zostawił najważniejsze. Nieledwie grał swoje myśli. Ile w nich szwungu („moje najdroższe Życie!”), rozumu praktycznego i dzielności („Żebym się mógł nawet zakochać w czymsiś, co by mnie także kochało, jak bym sobie życzył, to bym się jeszcze nie żenił, bo byśmy nie mieli co jeść i gdzie siedzieć. A która bogata, szuka bogatego, a jeżeli ubogiego, to nie cherlaka, tylko młodego przystojnego. Biedę klepać samemu wolno, ale we dwoje to największe nieszczęście. Mogę w szpitalu zdechnąć, ale żony bez chleba po sobie nie zostawię”), delikatności i dobrodusznej ironii („Dziś skończyłem *Fantazję* – i niebo piękne, smutno mi na sercu – ale to nic nie szkodzi. Żeby inaczej było, może by moja egzystencja nikomu na nic się nie przydała”). Trafiał w niewyraźne. Myśl Fryderykowska wróciła do muzyki.



**Agnieszka Kosińska:** lubi lubić. Jej strona autorska: <https://kosinska-miloszwkrakowie.com>

STU Krzysztofa Jasińskiego to moja szkoła teatru. Tam, jako adept, uczyłem się aktorstwa. (...) Na wiele późniejszych wyborów życiowych olbrzymi wpływ miały wiedza i doświadczenie wyniesione ze STU.

*Jerzy Zoń (założyciel Teatru KTO)*

Widziałem w STU wiele spektakli i projektów artystycznych. Do STU się nie chodzi, tylko się uczestniczy w poczuciu wspólnoty. Zawsze byłem jednym ze STU. Jak wielu. Wczoraj, przedwczoraj i dziś.

*Bogusław Nowak (dyrektor Opery Krakowskiej)*

Fenomen STU polega na rodzinnej atmosferze i umiejętności kształtowania publiczności, która wyznacza sposób reżyserowania, ale i odbioru dzieł. Oraz na tym, że na przekór naturalnym procesom zmierzającym do instytucjonalizacji STU zachował rys teatru alternatywnego, świeżość awangardowego eksperymentu i ducha kontrkultury.

*Robert Piaskowski (pełnomocnik prezydenta Krakowa ds. kultury)*

Jednym z miłszych epizodów w moim życiu było zaproszenie przez dyrektora Krzysztofa Jasińskiego do współpracy przy spektaklu *Kolacja na cztery ręce*. To historia rzekomego spotkania Jana Sebastiana Bacha i Jerzego Fryderyka Haendla. Poproszono mnie o przygotowanie opracowania muzycznego przedstawienia, na co zgodziłam się z przyjemnością, poza tym grali w nim wielcy polscy aktorzy: Jerzy Bińczycki (Bach), Jan Nowicki (Haendel) i Jan Peszek (Jan Krzysztof Schmitt), którego czasem zastępowali Leszek Piskorz i śp. Wiesław Wójcik. Opracowane przeze mnie utwory Bacha i Haendla były tłem do rozmów głównych bohaterów, niektóre z nich panowie grali sami na klawesynie i fortepianie.

*Joanna Wnuk-Nazarowa (dyrygentka, kompozytorka, pedagog)*

Teatr STU to esencja prawdziwego teatru. Bezbłędne przerobienie niedoskonałości ich siedziby na największy plus umożliwiający niespotykaną łączność widowni z aktorami. Jedyne miejsce, gdzie z radością udaję się na spektakle, na których już byłem, za każdym razem mając radość z uczestnictwa w misterium.

*Leszek Domański (przedsiębiorca)*

Do STU trafiłem jeszcze jako licealista z Tarnowa, byłem jednym z finalistów Olimpiady Polonistycznej. Zabrano nas po finale do teatru i choć nie pamiętam spektaklu, to do dziś mam przed oczami kruczoczarny warkocz dziewczyny z Dębicy, która siedziała przed mną. Ilekroć jestem w STU, to każda sztuka zaczyna się dla mnie od wspomnienia tego warkocza...

*Paweł Pawlik (dyrektor programowy RFM Classic)*

Teatr STU jest teatrem mojej młodości. Był wtedy synonimem sztuki odważnej, zaangażowanej. Do dzisiaj utrzymuje swoją najwyższą pozycję. Oby trwał.

*Małgorzata Jantos (radna miasta Krakowa)*

Moja emocjonalna przygoda z teatrem zaczęła się właśnie od STU. Uwielbiałem atmosferę sceny z aktorami na wyciągnięcie ręki. To był jedyny krakowski teatr, do którego chodziłem jako uczeń szkoły podstawowej i potem liceum.

*Bartosz Szydłowski (reżyser i aktor, założyciel Teatru Łaźnia Nowa, twórca Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Boska Komedia)*

Więcej głosów i wspomnień – także w rozbudowanych wersjach – publikujemy na stronie [www.miesiecznik.krakow.pl](http://www.miesiecznik.krakow.pl)

Wstęp do Klubu nie wychodząc z domu.



ZAPRASZAMY!

Wpłać 200 zł (osoby i firmy), a otrzymasz upominki związane z pismem i przez cały rok będziemy w piśmie zamieszczać logotyp **Twojej firmy lub Twój podpis**. Oczywiście członkowie Klubu **otrzymują** miesięcznik w wersji papierowej oraz elektronicznej!

Wpłaty prosimy dokonywać na konto (z dopiskiem KLUB PRZYJACIÓŁ „KRAKOWA”):

**BIBLIOTEKA KRAKÓW**  
pl. J. Nowaka-Jeziorańskiego 3  
31-154 Kraków  
nr konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

**więcej informacji:**  
[www.Miesiecznik.Krakow.pl/zakladka:  
Klub Przyjaciół „Krakowa”](http://www.Miesiecznik.Krakow.pl/zakladka:KlubPrzyjaciol_Krakowa)  
email: [redakcja@Biblioteka.Krakow.pl](mailto:redakcja@Biblioteka.Krakow.pl)

„Kraków”  
– otwarty dla każdego. **Zawsze**

Zaczytaj się  
w Krakowie  
**KRAKÓW**  
MIESIĘCZNIK

